WAR BOOK
Marcin Ciszewski • Tadeusz Michrowski
WWW.AFGAN.COM.PL

MARCIN CISZEWSKI • TADEUSZ MICHROWSKI

www.Afgan.com.pl

WAR BOOK

© 2015 WARBOOK Sp. z o.o.
© 2015 Marcin Ciszewski & Tadeusz Michrowski

Redaktor serii: **Sławomir Brudny**

Redakcja językowa: **Karina Stempel-Gancarczyk**
Korekta: **Agnieszka Pawlikowska**

Projekt graficzny, skład, eBook:
Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux, atelier@duchateaux.pl

Ilustracja na okładce: **Tomasz Tworek**

ISBN 978-83-64523-40-3
Ustroń 2015

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**
ul. Bładnicka 65
43-450 Ustroń, www.warbook.pl

Mojemu Tacie.
Tadeusz Michrowski

Zdarzyło się lub się nie zdarzyło,
w sędziwych odmętach czasu…
tradycyjna formuła, rozpoczynająca
ludowe podania Palestyny

Prolog

Irak, 2004

Gorąco. Wilgoć.

Ciasna betonowa nora.

Ostre światło tuzina lamp.

Dwóch mężczyzn klęczy pośrodku pomieszczenia. Umieszczona na stojaku kamera rejestruje worki na ich głowach, mundury w pustynnym kamuflażu i biało-czerwone naszywki przymocowane do rękawów.

Drzwi otwierają się, czarne worki drżą.

Mężczyzna, który wchodzi do pokoju, nie wygląda groźnie. Jest szczupły i trzyma się prosto. Ma zgrabny nos i czarne włosy. Można by go wziąć za Araba, gdyby nie jasne oczy. Porusza się sprężyście, ale wolno, jakby ważył każdy ruch. Skryty pod tradycyjnym, długim thobe zdaje się wręcz dostojny.

Ostrze trzymanej w ręku maczety błyszczy w świetle lamp.

Przybysz zasłania twarz.

Żołnierze kręcą głowami. Słyszą kroki, a potem ciche piknięcie kamery.

Mężczyzna wchodzi w kadr. Nonszalanckim ruchem zrywa klęczącym worki z głów, po czym odwraca się. Kadr jest niechlujny, źle scentrowany, ale on wygląda w nim dobrze.

– Jestem Ahmed Szah Safez – mówi. Jego jasne źrenice świdrują obiektyw.

Zakładnicy są bladzi i sprawiają wrażenie skrajnie wyczerpanych. Jeden trzęsie się, zagryza zęby, próbuje opanować odruchy organizmu, ale im więcej wysiłku w to wkłada, tym mniej ma nad sobą kontroli.

– Przedstaw się – mówi Safez, trącając czubkiem maczety drugiego z mężczyzn, spokojniejszego. Żołnierz ma zapadnięte oczy i chudą szyję.

– Nazywam się… – zaczyna jeniec kanciastą angielszczyzną. Kolejne ukłucie ostrza przerywa mu w pół słowa.

– W twoim języku. Imię, nazwisko, stopień, jednostka.

– Nazywam się Daniel Pawłowski. – Po tym wyznaniu następuje długi wdech. Daniel Pawłowski nie ma pojęcia, co tak naprawdę znaczą wypowiedziane przez niego słowa. Nie wie, czy kryje się za nimi już tylko kilkanaście liter nadrukowanych na kieszeni na piersi i honorowa salwa nad pustym grobem gdzieś w Ojczyźnie, czy może przyszłość. – Jestem starszym szeregowym w kompanii rozpoznawczej Drugiej Batalionowej Grupy Bojowej.

– Twoja kolej – mówi Ahmed.

Drugi żołnierz zbiera się w sobie.

– Starszy kapral Maciej Strychowski…

Ma ogromne, pełne przerażenia oczy i ściśnięte gardło, z którego ledwo wydobywa się szept.

– Kompania rozpoznawcza… – wyrzuca z siebie. – Druga Batalionowa…

Nie kończy zdania. Lewą część jego twarzy ochlapuje krew. Nie słyszał nawet świstu maczety ani krzyku Pawłowskiego. Czuje tylko ciepłą wilgoć na policzku.

Strychowski nie wykonuje rozkazu terrorysty do końca. Zaczyna się modlić. Bardzo głośno, szybko. Bardzo niewyraźnie.

Modlitwy również nie kończy.

Kadr ukazuje mężczyznę w thobe, który kolejnymi ciosami próbuje oddzielić od karku głowę starszego kaprala Macieja Strychowskiego. Gdy mu się to udaje, znów wbija niepokojące spojrzenie jasnych oczu w kamerę.

– Jestem Ahmed Szah Safez – mówi. – Nie mam żadnych żądań.

W ciągu tygodnia trzyminutowy film osiąga w Internecie siedem i pół miliona odsłon. ■

I

AFGAN

1

Nad lotniskiem bazy wojskowej w Bagram szalała burza.

Z powodu niesionego przez wiatr piachu widoczność określono na poziomie dwieście, co oznaczało, że jest praktycznie zerowa. Oficjalny komunikat ISAF nakazywał wstrzymać wszelkie zaplanowane lądowania samolotów Sojuszu. Do odwołania. Wszystkie maszyny z priorytetem innym niż najwyższy odsyłano na pobliskie lądowiska.

Tylko Casa C-295 z szachownicą Polskich Sił Powietrznych na skrzydłach próbowała uparcie przebić się przez kurzawę. Ustawiony w trawersie kadłub i podrywany co chwila lewy płat wyglądały na preludium do katastrofy.

Pilot przyziemił poprawnie. Za drugim razem.

Wcześniej wykonał dwa nieudane kręgi, dodając sobie animuszu przekleństwami tak głośnymi, że szum silników zdawał się przy nich dziecięcą kołysanką. To było coś o górach, kamieniach, widoczności, burzach piaskowych i matkach ich wszystkich.

– Puszki będę sprzedawał!

Głos ten niósł się aż do luku transportowego maszyny. Rezonował wśród ułożonego niemal pod sufit różnorakiego sprzętu: od trzęsących się skrzyń z amunicją, na chlupoczących butlach, pełnych płynów nieznanego pochodzenia kończąc.

Ściśnięty między tym wszystkim człowiek starał się tego głosu nie słuchać.

Porucznik Jan Koller był niewysoki, o całkiem zwyczajnej fizjonomii: wyróżniały go spokojne oczy i rozkład żłobiących twarz zmarszczek, suge-

rujący, że częściej niż śmiech towarzyszyły mu gniew albo smutek.

Koller poczuł w żołądku gwałtowne opadanie i lekki przechył w lewo, które sygnalizowały kolejną korektę pozycji maszyny albo zwrot pod wiatr. Przełknął ślinę, żeby wyrównać ciśnienie w uszach. Miał szczęście, że nie ziewnął. W ten sposób ocalił język.

Dwadzieścia siedem milionów dolarów opakowane w podłużny szary kadłub gruchnęło o płytę lotniska. Porucznik uniósł się dobre trzydzieści centymetrów ponad siedzenie. Poczuł szarpnięcie poluzowanego pasa, który trzymał go na miejscu. Uderzenie z powrotem o siedzisko kwalifikowało się prawdopodobnie jako najmocniejszy kopniak w tyłek, jaki zdarzyło mu się przyjąć.

A to – w przypadku zawodowego żołnierza – było pewne osiągnięcie.

Samolot przejechał kilkanaście metrów po pasie, po czym zrobił kangura i gardło jedynego pasażera znów wylądowało w żołądku. Wreszcie – jakżeby inaczej – maszyna ponownie opadła na lądowisko.

Koller uderzył potylicą o blachę za plecami. Powstrzymując mdłości, zacisnął mocniej pas bezpieczeństwa. Zdawało się, że Casa ma połamane podwozie, a on sam – kręgosłup. Przynajmniej w pierwszym przypadku nie była to prawda – maszyna jakoś toczyła się dalej. Gnana chyba bardziej warczeniem pilota niż czymkolwiek innym.

– Ale tak latał nie będę!

Pilot wydzierał się wniebogłosy częściowo z przyzwyczajenia. Wychowany na Tupolewach kapitan Sił Powietrznych Tomasz Piechowski uważał podobne zaklęcia za coś w rodzaju czułego szeptu do kochanki. Ale – tu nie było wątpliwości – zwracał się też do Kollera. Inaczej nie nadwyrężałby głosu, próbując przekrzyczeć silniki.

Porucznik nawet go rozumiał.

W takich okolicznościach nie latano, zwłaszcza w wojsku. Jak mówił przykaz: lotnictwo militarne nie operuje w trudnych warunkach pogodowych, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Narażanie wartego fortunę sprzętu i życia załogi nie leżało w niczyim interesie. Odstępowanie od tej reguły wymagało naprawdę dobrego powodu. Pilot wściekał się, bo ani mu go nie podano, ani niczego nie wyjaśniono. Dowództwo kazało po prostu

dowieźć ładunek do Bagram na czas, za wszelką cenę. Ładunkiem był Koller. Z perspektywy Piechowskiego gówniarz, ledwie porucznik, i to – Boże, widzisz i nie grzmisz! – piechoty. Na domiar złego pasażer nie dał się wciągnąć w luźną pogawędkę na temat bezzasadności niektórych rozkazów i powodów, dla których ściągano go na wojnę tak pilnie. Milczał, kiwał głową, a na koniec wrócił na tył i przez resztę podróży spał albo przeglądał wyjęte z plecaka papiery.

Dotoczyli się wreszcie do końca runwayu. Koller spróbował pozbierać swoje rzeczy i wstać, ale przypominało to wysiłki przeciwników Mike'a Tysona z jego najlepszych lat, tuż po przerwaniu walki przez sędziego.

Zza latających przed oczyma różnobarwnych kół dostrzegł, że tylko pas bezpieczeństwa ocalił go przed wpadnięciem wprost pod skrzynię z amunicją, która zerwała się z uprzęży. Nie wiedzieć czemu przyszło mu do głowy, że wykonano ją z takiego samego drewna, z jakiego zbija się tanie trumny. Nawet pachniała podobnie.

Właz luku bagażowego zaczął opadać. Cichy jęk silników utonął zaraz w szumie wiatru, do środka wpadł kurz i piach. Koller wstał i zaczął biec.

Zdążył w ostatniej chwili.

Śniadanie i resztki wczorajszej kolacji poleciały cienką strugą wprost pod buty kaprala nadterminowego Józefa Galasia, który meldował się regulaminowo, jednocześnie robiąc wszystko, żeby w pozycji „na baczność" odsunąć się o kilka zbawczych centymetrów.

– Spocznijcie, kapralu – jęknął Koller przez ściśnięte gardło. Piekło jak diabli.

– Dziękuję, panie poruczniku! – krzyknął Galaś, odskakując jak oparzony. – Latanie panu nie służy?

Koller wyprostował się z trudem. Oficer to oficer, nawet jeśli ledwo trzyma się na nogach.

– Nie mam nic przeciwko – odparł. – Ale gdyby Bóg chciał widzieć nas w przestworzach…

– Dałby nam skrzydła?

– Nie odbierałby rozumu lotnikom.

Porucznik na chwiejnych nogach wrócił po plecak. Dostrzegł, że całą scenę obserwował z satysfakcją pilot Casy. Piechowski zasalutował mu nawet, na co Koller odpowiedział dość niechlujnym przyłożeniem dwóch palców do hełmu. Piechota i siły powietrzne nie darzyły się sympatią.

Porucznik ukrył usta i nos w wojskowej chuście. Wygrzebanie okularów z kieszeni kurtki zajęło mu dłuższą chwilę, więc kilka pierwszych metrów pokonał niemal na oślep. Galaś uprzejmie dostosował tempo marszu do ograniczonych możliwości oficera. Kapral miał twarz przystojnego zbira, a w oczach jakiś ironiczny błysk, coś, co mówiło, że owszem, jest żołnierzem, a dookoła toczy się wojna, ale to nie powód, żeby zaraz brać wszystko na poważnie.

– Pan porucznik Jan Koller, tak? – spytał, niby dla podtrzymania rozmowy. – Jak ten czeski piłkarz?

– Tak, kapralu. Jak on. A co?

Galaś spojrzał na Kollera, a do błysku w oczach zaraz dołączył uśmiech. Dało się to poznać po kurzych łapkach, które pojawiły się nagle wokół oczu, tuż nad krawędziami chusty.

– A nic… – powiedział, pozornie od niechcenia. – Wzrostu trochę brakuje.

Zrobił to jednostajnym tonem meldującego żołnierza, zagłuszanym przez szalejący wokół wiatr, więc dopiero po chwili dało się zrozumieć żart.

Jan Koller, zawodnik Borussii Dortmund i reprezentacji Czech, miał dwieście dwa centymetry wzrostu – zawsze górował o głowę nad resztą zawodników na boisku. Kiedyś wiedziała o tym większość dzieci i wszyscy fani piłki nożnej, dziś mało kto o tym pamiętał.

Galaś, jak widać, owszem.

Koller przyjrzał się kapralowi. Część oficerów prawdopodobnie zrugałaby go, może nawet wlepiła jakąś karę; w końcu wojsko bazuje na dyscyplinie i szacunku dla przełożonych. Porucznik pokręcił jednak tylko głową, uśmiechając się pod nosem. Wolał jednego dobrego żołnierza z poczuciem humoru, choćby pyskatego, niż dziesięciu posłusznych dekowników. Oceniał wedle siebie: organicznie nie znosił przełożonych z kijem w dupie.

– Kapralu, przypomnijcie, jakie macie rozkazy?

– Dostałem polecenie asystowania panu w drodze do Ghazni! – wrzasnął zapytany. Z jakiegoś powodu, niewidocznego zza unoszonego wichurą piachu, zrobiło się przy nich wyjątkowo głośno. – A potem na miejsce!

– I nie było nic mowy o robieniu po drodze za kaowca?

Galaś spojrzał z wyrzutem, dotknięty tym, że nie doceniono należycie żartu na rozładowanie atmosfery.

– Nie, panie poruczniku! Ale wszystko jest do zrobienia. Ku chwale Ojczyzny!

Koller parsknął. Zaczynał lubić tego faceta.

– Kiedy lecimy?

– Niedługo. Zabierzemy się z amerykańskim zaopatrzeniem. Mięso, kawa, mleko, warzywa. W Polsce mój pies by tego nie tknął, takie dobre… No, wreszcie.

Wskazał ręką gdzieś przed siebie. Z początku porucznika to ubawiło, bo Galaś ledwo widział czubek własnego nosa, ale potem zza pyłu i kurzu, które Koller znienawidził już w Iraku, wyłoniły się dwa wielkie, podchodzące do lądowania dwuwirnikowe Chinooki.

Wiedział już, czemu nagle zrobiło się głośniej.

– Efektowne, co, panie poruczniku? – Hałas wokół narastał. Miało się wrażenie, jak gdyby ktoś postawił człowiekowi na głowie wirującą pralkę. Galaś zaczął mówić monosylabami, by mogli się słyszeć. – Mówią, że to jedyne, co warto wspominać.

I rzeczywiście, pomyślał Koller, jeśli było w tej wojnie jakiekolwiek piękno, to może właśnie je widział. Spalające się na krańcach śmigieł helikopterów drobinki metalu z piasku pustyni. Korony ognia nad maszynami wiozącymi żołnierzy, którzy przybyli do tego kraju nieproszeni.

– Nie było zakazu lotów?

– A melduję, że był. Ale pan i tak ma lecieć, pozwolenie jest. Co komu szkodzi, że chłopaki dostaną trochę nowego żarcia?

– Świeżego, kapralu.

– Nowego – zaprzeczył Galaś. – Puszka z pomidorem to puszka z pomidorem. – Niczym profesjonalny komik zamilkł na chwilę w oczekiwaniu

na uśmiech porucznika. Nie doczekał się. – Znaleźli nazwę na to – kontynuował więc. – Efekt Koppa – Etchellsa.

– Kto? – spytał Koller. Drobinki piasku trzaskały o szkiełka okularów, ale wciąż nie mógł oderwać wzroku od helikopterów.

– Korespondent jakiś wymyślił. Spodobało się.

Znał to zjawisko z Iraku, gdzie nie nazywano go w żaden konkretny sposób.

– Kopp – Etchells… – mruknął cicho. – Kim był?

– Oni, panie poruczniku. Brytyjczyk, strzelec chyba, i rangers. Amerykański. Żołnierze, jak my. Tylko lepiej opłacani, oczywiście.

– Czym się zasłużyli?

Wiatr zerwał Galasiowi chustę z ust. Po sekundzie kapral owinął się nią z powrotem, ale to wystarczyło, by najadł się pyłu. Zaniósł się kaszlem i odpowiedział dopiero po chwili.

– Tym, co zawsze. – Machnął ręką. – Zginęli.

Żołnierze wyskoczyli z Chinooków i pobiegli po czekające na pasie skrzynie. Wiatr, wzmocniony podmuchem wirników, był tak silny, że porwał zabezpieczającą je płachtę. Uleciała w dal, niczym magiczny dywan z baśni. Kapral zaśmiał się. Opatrzył zajście kolejnym zabawnym komentarzem, ale Koller go nie słuchał.

Patrzył na dwie aureole iskier na wirnikach, na tle przejaśniającego się, rozgwieżdżonego nieba. Takie same jak w Iraku.

Dwie wojny. Dwóch żołnierzy.

Dobry humor go opuścił.

2

Gabinet pułkownika Karskiego przypominał bardziej kwaterę ziemianina wygnanego z włości niż biuro dowódcy batalionu. Ściany zdobiły rozmaite bibeloty, samurajskie miecze, błyszczące monety w oprawach i inne – zdaniem Kollera – śmieci, z których wiele widział wcześniej podczas bezsennych nocy, oglądając telezakupy. Imitacji poważnego stylu dopełniało barwione na heban biurko z mosiężną lampą. Wszystko zaś znajdowało się w pomieszczeniu, które tworzyła wyłożona linoleum podłoga i ściany z bla-

chy falistej, wieńczył zaś uwieszony pod sufitem klimatyzator nieokreślonego koloru.

Pchanie symboli statusu do ewidentnie tymczasowej przestrzeni kazało zastanowić się, czy na pewno jest w niej jeszcze dość miejsca dla ego właściciela.

Kiedy Koller wszedł do środka, Karski dłubał w nosie.

– Melduje się porucznik Koller.

– No, jest nasz turysta – powiedział Karski jowialnym tonem. – Spocznij. – Przerzucił kilka papierów na biurku, wycierając o nie zabrudzoną dłoń. – Jan Koller, jak piłkarz?

– Tak jest.

– No tak. Tylko że…

– Wzrostu trochę brakuje?

Pułkownik zmrużył nieprzyjemnie oczy. Zdawało się, że przyszykował ten żart wcześniej i liczył na salwę śmiechu oraz owację na stojąco.

– Skąd wy się u mnie wzięliście, to ja nie wiem – stwierdził. – Wy pewnie też, ha?

Koller nie odpowiedział.

Miał trzydzieści lat, z których ponad jedną trzecią spędził w wojsku. Jego ojciec aż do śmierci na raka trzustki, która nastąpiła kilka miesięcy wcześniej, nie uświadomił sobie, że nigdy nie zostanie docenionym przez świat geniuszem. Miał matkę, która przez większość życia utrzymywała tego nieroba, spędzając dnie w centrum kultury tatarskiej, a noce w biurze tłumaczeń. I siostrę, która miała wszystko gdzieś i wylegiwała się teraz prawdopodobnie na jednej z australijskich plaż, czekając na esemesa od męża finansisty.

Miał też kilka odznaczeń, z tych, które dawano wszystkim, niezbyt wiele pochwał i całkiem sporo nagan, a nawet jedną degradację. Telewizor LCD kupiony na raty, tablet, kilka kursów językowych, nieważne prawo jazdy kategorii A i wciąż aktualne B. Potężnego moralnego kaca i szufladę pełną zdjęć z różnych miejsc świata.

Nie miał tylko życia poza armią.

Siedząc za biurkiem w centrum Warszawy, całymi dniami gapił się tęsknie na telefon. Jak nastolatek, który czeka na wiadomość od dziewczyny. Ten wyjazd był dla niego urodzinowym prezentem. Niezamierzonym przez przełożonych, oczywiście. Może nawet nieoczekiwanym, a zdaniem wielu obserwatorów – błędnym.

– Poruczniku Koller – kontynuował Karski. Przedstawiał standardowy do bólu typ punktowca. – Zwykle nie muszę przypominać nowym oficerom, jakiego rodzaju zadania wykonujemy. Z reguły jednak ktoś pyta mnie o zdanie przy ich obsadzie. Staramy się, żeby na misję jeździli najlepsi.

Koller nie zwykł oceniać ludzi na podstawie pierwszego wrażenia, ale w wojsku w niektórych sytuacjach trudno o pomyłkę. Karski stanowił wzór dowódcy wypranego z inicjatywy, gotowego na wszystko w imię awansu i chirurgicznie – zdawałoby się – pozbawionego wiary w to, że istnieją jakieś ludzkie zasady poza regulaminem.

– Pierwszy Samodzielny Batalion Rozpoznawczy to najlepsza, najlepiej uzbrojona i najlepiej przygotowana do wszelkich możliwych zadań jednostka Wojska Polskiego. Klucz śmigłowców Mi-24 pod dowództwem kapitana Wieteski, najdoskonalsza dostępna w kraju wersja maszyn, kompania Twardych, bateria przeciwlotnicza, dywizjon artylerii, pluton rozpoznawczy, pluton komandosów GROM. Najlepsi ludzie…

Karski wyglądał na człowieka, który nigdy nie pobrudził polowego munduru, a na paradach gubił czapkę, kłaniając się najważniejszym generałom. Porucznik nie rozumiał, jaki proces stał za decyzją postawienia na czele jednostki kogoś takiego jak Karski. Batalion faktycznie stanowił crème de la crème Wojska Polskiego. Był jako żywo zdjęty z komputerowo kolorowanych i sztucznie filtrowanych filmów w Internecie, wyposażony we wszystko, czego zachęceni nimi rekruci nigdy nawet nie powąchali.

– Szykujemy ofensywę, panie pułkowniku? – spytał Koller.

Karski nawet nie spojrzał na nowego podwładnego. Miał przygotowany scenariusz rozmowy i nie planował teraz go zmieniać.

– Ale pan… – Podniósł nieco głos i teatralnie sięgnął po leżącą na biurku teczkę. – Pan zdaje się być dowodem, że w tym przypadku jest zupełnie

odwrotnie. Że nie jadą, wiecie, najlepsi. Tylko najgorszych nam wysłano. Domyśla się pan czemu? Ha?

Koller wbił wzrok w jego klatkę piersiową.

– Nie, panie pułkowniku – odparł.

Na zewnątrz warczały silniki Rosomaków, które pokonywały właśnie ostatnią prostą przed otoczonym barakami dowództwa placem. Przez mechaniczne dudnienie niekiedy przebijały się krzyki i śmiech. Typowy dzień w bazie.

Ghazni. Duża polsko-amerykańska placówka, w prowincji, którą można przy odrobinie samozaparcia określić jako środkowy Afganistan. Strefa wojny. Wojny XXI wieku, gdzie rzadko dochodzi do prawdziwych bitew, a częściej strzału w plecy, rajdu samochodu pułapki albo wypuszczonej na oślep rakiety. Ghazni leżało w sąsiedztwie sektorów, które na mapach koloruje się czerwienią. Ta czerwień przesączała się przez granice, zupełnie nie respektując linii rozrysowanych na sztabowych planach.

Koller zerknął przez okno.

Po rozgrzanych uliczkach bazy przemieszczali się biegacze, głównie Amerykanie w białych koszulkach, z butelkami wody w ręce. Ktoś wracał z siłowni, wycierając ręcznikiem twarz. Ktoś sikał do plastikowej rury, ktoś dopełniał prozy służby wojskowej, niosąc do spalenia wielkie drewniane skrzynie z odchodami. Wojna nie wojna, żyć trzeba.

– Wy tu nie udawajcie. – Głos Karskiego oderwał porucznika od podziwiania widoków. – Nie udawajcie, że nie wiecie, jaką plamę żeście dali w Iraku. I niech wam się nie zdaje, że my wam tego nie pamiętamy. Nie wiem, kto tam w kraju oszalał, żeby wam dać ten przydział, a tym bardziej…

Koller zdawał sobie sprawę, że to teatr. Forma w wojsku jest ważna, a jednym z jej elementów są krzyki, machanie rękami, a potem załamywanie ich w narracji: „Jakiego kretyna przydzieliła mi znowu góra”. Owa forma wpisywała się w starą PRL-owską szkołę, a Karski najwyraźniej był jej reprezentantem. Celem było sprawienie, by podwładny poczuł się jak śmieć, zrozumiał ogrom łaski, którą obdarza go przełożony, że w ogóle

marnuje czas na wydawanie mu rozkazów, a wreszcie pojął, jak łatwo będzie go zgnieść w przypadku nieposłuszeństwa.

– …niepojęte, niepojęte zjawisko. Służba Wywiadu Wojskowego zupełnie oszalała. Kto to widział, żeby…

Wspomniana stara szkoła była dziś praktykowana głównie przez niedobitków poprzedniego systemu, nieudaczników i zakompleksionych karierowiczów. Koller starał się nie okazywać prawdziwych uczuć, ale podejrzewał, że jednak patrzy na Karskiego jak na idiotę. Spotkał tego faceta pięć minut temu, a miał wrażenie, jakby znał go całe życie. Pułkownik jednak zupełnie tego nie zauważył. Był zbyt zasłuchany we własne słowa.

– Żeby takiego kogoś…

– Proszę o przydział do jednostki, panie pułkowniku – powiedział Koller najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

Karski spojrzał spode łba. Jakby zastanawiał się, dlaczego jego obelgi nie robią wrażenia na stojącym przed nim wymuskanym gówniarzu. Rzucił przed siebie kolejną teczkę.

– Tu macie przydział, zadanie i mapy. Obejmiecie pluton porucznika Greczyka. Rozchorował się… na moje, typowy symulant… – Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale tylko machnął ręką. – Dziwne macie zadanie, doprawdy dziwne, żeby takie sprawy załatwiał wywiad wojskowy. I to jeszcze w osobie porucznika z taką historią.

– Nie jestem wywiadowcą – odparł Koller. – Mówimy o formie współpracy. Proszę traktować mnie jak… oficera piechoty, który w wolnych chwilach pomaga SWW w śledztwie.

– Amerykańskiego szpicla, ha?

Porucznik wzruszył ramionami. Jego przyszły dowódca najwyraźniej nie lubił kolorowych obrazków w książkach. Wolał czarno-białe.

– WSI nie istnieje. SWW ledwo powstało…

– A! I to się akurat zgadza! Oczu i uszu nie mamy! Bo im się porządków zachciało.

– WSI nigdy nie złapało żadnego rosyjskiego szpiega…

Karski zjeżył się wyraźnie.

– A ilu złapało amerykańskich? Powtarzacie propagandę polityczną. Naszymi sprawami powinniśmy zajmować się my, nieprawda?

Porucznik westchnął. Był zmęczony. Miał ochotę uderzyć Karskiego na odlew w wyszczekany pysk i zobaczyć, czy siedzi w nim coś więcej niż ledwo wystająca ponad pagony morda. Czuł, że nie. Koller nie był człowiekiem nadmiernie agresywnym. Wierzył za to w skuteczność prostych metod. Zamiast przeprowadzać karaluchowi psychoanalizę, miażdżył owada butem. To samo chętnie zrobiłby teraz.

Odegnał sprzed oczu ten kuszący obraz i powiedział:

– Prawda jest taka, że raporty mówią o handlu opium na terenie całej prowincji i w wielu rejonach prowincji ościennych. Podobne wieści dochodzą z kilku innych miejsc, ale tu się najwyraźniej zaczęło. Likwidacja procederu nie jest polską sprawą.

– A czyją?

– To problem ISAF. Nawet jeśli zaczęło się od naszego kombinatorstwa, całością misji dowodzą Amerykanie. Fakt, że do tak kluczowych zadań wzięli Polaków, świadczy o dużym zaufaniu.

– A tam, gówno tam, nie zaufanie! – Karski poczerwieniał na twarzy. – Jeśli odstrzelą któregoś z naszych, nikt się nie przejmie. A polskiej telewizji ani nikt nie ufa, ani nie ogląda, ha? I nie oszukujcie się, że jest inaczej. Wprowadzić was trzeba?

– Przeszkolono mnie… – Koller pomyślał o tygodniach spędzonych z oficerami wywiadu, którzy wbijali mu do głowy umiejętności i informacje z zaangażowaniem godnym najbardziej wypełnionych akcją rozdziałów „Akwarium” Suworowa. Nie uczono go jednak sztuczek ze spadaniem z krzesła ani chwytów krav magi czy systiemy. Przez większość czasu przyswajał niezliczone schematy powiązań plemiennych Afganistanu, struktur organizacji terrorystycznych, biografie ich najważniejszych liderów i stosy akt oficerów ISAF. – Ale jeśli pan pułkownik ma czas…

– Czas! Czas! Wojna jest, sprzęt cały czas na miny wjeżdża czy inne „ajdiki”, jak wy to z angielska nazywacie, a ten pyta, czy ja mam czas! Nie mam, ani trochę. Ale skoro już sojusznik do spółki z SWW wysyła mi ta-

kiego ważnego porucznika, i to rodaka, chyba poświęcę mu jeszcze parę minut.

Koller kiwnął głową, co miało wyglądać jak podziękowanie, a w rzeczywistości było przełknięciem cisnącego się na usta przekleństwa.

– Bałagan jest. O, tyle powiem! W zeszłym miesiącu mieliśmy więcej kontaktów bojowych niż wcześniej przez pół roku. Zima jest, powinno się spokojniej robić. A tu taka zmiana. Kilka wiosek spłonęło i przychodzą do nas się żalić, że ich nie obroniliśmy. A wiecie, czemu nie obroniliśmy?

– Na pewno jest dobre wytłumaczenie.

– Bo się sami ledwo bronić umiemy. Co kilka nocy gdzieś nad obozem przelatuje rakieta, niekiedy w coś trafi, a rannych nie ma gdzie upchać. Moi oficerowie buntują się i pagonów nie chcą nosić, bo niby w mieście na nich polują. Ponoć w związku z narkotykami. Gadają, że ktoś wykorzystuje ofensywę, bo wtedy bałagan i nie dojdziesz potem, co się działo.

– Rozgrywki między oficerami ISAF?

– Może i tak być, głupie by to nie było. Mówią też, że Afgańczycy, bratni nasz rząd znaczy, sam zaczął handel zwalczać. Ale z czyjego rozkazu i za czyją łapówkę, to już nam nikt nie powie. Sami może chcą przejąć. Tyle, co pewne, że ktoś tam narobił niezłego bigosu.

Koller podniósł dokumenty i miał się kierować do wyjścia. Powstrzymał go głos pułkownika:

– Chwila! Co za zwyczaje? Nie dałem pozwolenia na odejście. No. Wasza placówka leży na pograniczu strefy obsadzonej przez Amerykanów. Będziecie współpracować z tymi waszymi sojusznikami. Handel opium handlem opium, róbcie se, co chcecie, ale moich ludzi nie dajcie w nic wciągnąć.

– Wciągnąć?

– Najpotężniejsza konwencjonalna armia świata, z całym jej przygotowaniem logistycznym i ideologicznym, nie zdołała opanować Afganistanu. – Karski chrząknął, po czym dodał łagodnie: – Nie łudzić się, nie bawić w bohatera. Martwi oficerowie to zła prasa. Rozumiecie?

– Ma pan na myśli armię sowiecką, panie pułkowniku?

Karski kiwnął głową, a na jego twarz wystąpił uśmiech w rodzaju: „No, rozumiemy się wreszcie”.

– Nikt nie zaprzeczy – powiedział, zdobywając się na godny ton. Gdzieś w pomieszczeniu uniosła się atmosfera pochodów pierwszomajowych i plakatów wodzów partii, którzy przytulają do piersi dzieci. – Swego czasu Kreml nie miał sobie równych. Jeśli nawet z całą swoją potęgą, sprzętem, strategią…

– Również trudny kunszt baletu najlepiej posiadł on na planecie tej – rzucił Koller od niechcenia. Nie miał ochoty dłużej słuchać tego bełkotu.

Ale Karski, choć najwyraźniej zakochany w Kraju Rad, nie miał w sobie dość obycia, żeby zrozumieć i docenić nawiązanie. Spurpurowiał na twarzy.

– Won! – powiedział wściekle.

Koller strzelił obcasami. Pułkownik szykował się do tyrady. Nabierał już powietrza w płuca jak gigantyczna lokomotywa. Zachowanie umiarkowanie logiczne, skoro dopiero kazał podwładnemu się wynosić. A może logiczne po sowiecku. Zamiar przerwał głośny trzask otwieranych gwałtownie drzwi.

Oficer dyżurny niemal wpadł na Kollera. Tylko zgrabny, bokserski unik porucznika sprawił, że nie zderzyli się ze sobą, a w powietrze nie poleciały stosy trzymanych przez obu papierów.

Dyżurny zerknął na Karskiego, potem na nieznanego sobie oficera. Wyprężył się w pozycji na baczność. Jego blada mimo upału twarz zdradzała zdenerwowanie.

– No, mówcie – powiedział pułkownik, wciąż purpurowy z gniewu. – Lepiej, żeby to ważne było.

– Chodzi o Raji, panie pułkowniku!

– Znowu atak?

– Tego nie sposób powiedzieć…

Pułkownik złapał się za głowę i wyrwał z niej kilka cienkich siwych włosów.

– Znowu, znowu! Dopiero co reporterów wyrzuciłem do Amerykanów, a tu znowu to! – Spojrzał na wciąż wyprężonego i wyraźnie niecierpliwiącego się żołnierza. – Mieli jakieś straty?

– Melduję, że nie.

Karski aż trzasnął ręką w biurko.

– Co mnie straszycie? Żarty sobie robią!

– Nie żarty.

– Jak im żarcie nie smakuje, to nie mój problem.

– Nie.

– A z naprawami muszą poczekać, kolejka jest.

Na twarzy żołnierza zaczęła pojawiać się desperacja.

– Panie pułkowniku, nie o to chodzi…

– To o co? Od minuty tu stoicie i nic nie chcecie powiedzieć. Meldować zaraz!

Dyżurny westchnął i spojrzał na przełożonego z tym samym beznadziejnym żalem nad jego intelektem, co Koller kilka minut wcześniej.

– Łączność z Raji została zerwana – powiedział cicho.

Koller był pewien, że się przesłyszał.

Nie mogło dojść do zerwania łączności tak po prostu. Bazy ISAF znajdowały się w stałym, potwierdzanym co kilka godzin nasłuchu radiowym i satelitarnym. Ponadto nad każdą z nich wisiały obładowane kamerami balony obserwacyjne – obraz był przekazywany bezpośrednio do centrów dowodzenia. W tym przypadku: Ghazni. Procedury awaryjne uniemożliwiały sytuację, w której bez zapowiedzi całkowicie znika z eteru wypełniona ludźmi baza.

– Pogoda? – spytał pułkownik.

– Nie – zaprzeczył dyżurny. – W ich rejonie nie zgłaszano burz.

– No to jak? – W głosie Karskiego zabrzmiało zdenerwowanie. Nie takie jak wcześniej. Głębsze. – To nie okręt podwodny. Tyle satelitów, elektroniki więcej jak na chińskim bazarze i co, nie odzywają się?

– Nie, panie pułkowniku. Wszystko jest na głucho, nie dostajemy żadnej informacji zwrotnej. Zgłaszają się zwykle co sześć godzin, zaczęliśmy ich wywoływać rutynowo. Bez skutku. Nie ma nawet łączności z balonami.

Raji. Koller znał tę nazwę. W trakcie szkolenia powtarzano, że znaczenie placówki przekracza jej rozmiar. Leżała w miejscu prawie wyludnionym, stąd niewielki garnizon – jeden pluton, trzydziestu ludzi. Była jednak

istotna z innych powodów. Strzegła spornego terytorium i stanowiła najdalej wysunięty na zachód punkt Polskiego Kontyngentu Wojskowego. Dalej znajdowały się placówki amerykańskie. Do większości nieformalnych kontaktów na linii USA – Polska, przede wszystkim między zwykłymi żołnierzami, dochodziło właśnie tam.

Raji znajdowało się na liście czterech miejsc wytypowanych jako potencjalne ogniska handlu opium w obrębie sił Sojuszu.

Dyżurny gapił się na Karskiego, pułkownik zaś miał otwarte usta i minę wskazującą na chęć rzucenia się do ucieczki.

– To ten, co by tu…

Dowódca batalionu uniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu. Potrzymał ją chwilę w dłoni, oblizał raz i drugi usta, po czym odłożył z powrotem, nie mając najwyraźniej pojęcia, do kogo powinien zadzwonić.

– Nie no… No jak zerwana? – spytał znowu. – Co to za głupie żarty?

– Próbujemy nawiązać łączność, ale to nie kwestia sprzętu. Wydaje się, że po ich stronie wszystko jest w porządku.

– Dobra, to może tak… Gdzie Wieteska i helikoptery?

– W akcji, panie pułkowniku! Pomagają zabezpieczać amerykański konwój. Dobre trzy godziny drogi.

– Trzy godziny? Kto pozwolił, żebyśmy na tak długo zostali bez wsparcia z powietrza?

– Cóż… Pan.

Karski skrzywił się sztucznie, udając zdziwienie niczym aktor ze szkolnego teatrzyku.

– Ja?

– Mówił pan, że trzeba manifestować Amerykanom naszą obecność.

– A, tak. Bo faktycznie trzeba. No, nie trzeba?

– Panie pułkowniku – wtrącił się Koller – Raji jest po drodze do Tiro, prawda?

Karski zdawał się go nie dostrzegać. Obrócił się w stronę mapy, a potem do okna, wreszcie wyciągnął z kieszeni chustkę i zaczął dłubać przez nią w nosie. Odezwał się za to dyżurny, spoglądając kątem oka na trzymaną przez porucznika teczkę.

– Po drodze – potwierdził. – Nie trzeba nawet za bardzo zbaczać.

– Dobra – powiedział wreszcie Karski. – Zboczycie, zawadzicie, rzucicie okiem, tak? Nie robić nic bez konsultacji ze mną. Cokolwiek nie tak, najpierw meldunek do mnie, ha? Jeśli się nie odezwą… – Wytarł spocone dłonie o spodnie. – Kiedy Wieteska skończy zadanie, dołączy do was. Kogo będę miał pod ręką, też zaraz wyślę. A wy meldujcie. Na pewno to jakieś głupstwo.

Pułkownik próbował uniknąć zbędnego rozgłosu, Koller zdawał sobie z tego sprawę. Tak naprawdę dowódca batalionu był przerażony – to też dało się poznać od razu. Ostatnie zdanie wypowiedział, jak gdyby próbował przekonać sam siebie. Bladość na jego twarzy zdradzała wszystko.

Wieteski nie odwołał, co z kolei oznaczało, że chce wszystko załatwić po cichu.

Kiedy wychodzili razem z pokoju Karskiego, dyżurny trącił Kollera ramieniem.

– Ta ofensywa to tragedia – powiedział. – Prawie wszystkie bazy na południowy zachód od Ghazni zgłaszały aktywność przeciwnika. Mniejszą czy większą.

– Prawie wszystkie?

– Wszystkie oprócz Raji.

3

Karski stał przed ścianą, wodząc nieobecnym wzrokiem po zdobiących ją drobiazgach. Pułkownik był człowiekiem nieudolnym, małostkowym i zawistnym. Ukształtowało go wojsko innych czasów, armia, w której drzwi kariery otwierało dobre, robotnicze pochodzenie i popieranie się ze „swoimi”.

Po zmianie ustroju zaszedł znacznie dalej, niż mógłby się spodziewać. Miał szczęście, tyle wiedział. Naturalną konsekwencją dowództwa w Afganistanie powinien być awans.

„Generał Jan Karski”. Codziennie myślał, jak wyglądałyby złote litery na wizytówce.

Coś podpowiadało mu, że pielęgnowane od lat marzenie właśnie się oddala.

4

Żołnierze z nowego plutonu Kollera czekali na zewnątrz w pełnym oporządzeniu. Stali w nonszalanckiej pozycji na baczność, może lekko przesadzonej, na wzór filmów w rodzaju „Dziewiątej kompanii”. Część gawędziła, nie zawracając sobie głowy ściszeniem głosu.

– Podobno podoficer mu po tej historii zwariował. Słyszałem od kumpla, którego przyjaciel ma znajomych w psychiatryku. Facet zupełnie nie kontaktuje, lata z jakąś gałązką jodły i gada do niej bez przerwy. Bo ponoć ludziom nie ufa.

– A nie cyprysu?

– A co za różnica?

– W sumie żadna. Tak czy siak, klasycznie pojebany.

– Ja słyszałem, że palnął sobie w łeb jeszcze w Iraku. Na miejscu. A nie jakieś choinki zbierał.

Z ramion żołnierzy zwisały Beryle, niekiedy w improwizowanym z szarych szmat pustynnym kamuflażu. Koller dostrzegł, jak niewiele z nich stanowiły wersje z granatnikiem. Wiedział, że mocno narzekano na te braki. Uzbrojenia plutonu dopełniało kilka granatników RPG, dwa karabiny maszynowe PK i na tym kończyła się lista ogniowych atutów. Koller dostrzegł całą masę sprzętu, który żołnierze ewidentnie dokupili na własny koszt: kamizelki, ładownice, buty, plecaki i kurtki.

Z tyłu, za plutonem, czekały trzy brudnozielone Rosomaki z otwartymi włazami i dumnie uniesionymi trzydziestomilimetrowymi armatkami. „Świniaki”, jak je niekiedy nazywano, były gotowe. Sześciocylindrowe silniki mruczały przyjemnie w słońcu.

Kołowy transporter opancerzony Rosomak bez kompleksów mógł konkurować z najlepszymi maszynami pozostałych kontyngentów ISAF. Na asfalcie potrafił rozwinąć prędkość około stu kilometrów na godzinę, połowę tego na bezdrożach, na dodatek był mało wywrotny i miał świetne właściwości jezdne. Listę atutów wieńczyła imponująca siła ognia. Trzydziesto-

milimetrowa szybkostrzelna armata Bushmaster ATK Mk 44 oraz uniwersalny karabin maszynowy UKM-2000 zdawały się wręcz idealnie przystosowane do afgańskich warunków bojowych. Przeciwnik nie miał sprzętu opancerzonego, był jednak szybki i nieuchwytny. I to właśnie szybkość była w walce z nim najważniejsza.

Eksperci ISAF zgodnie cenili Rosomaka wyżej niż na przykład amerykańskie Strykery. Żołnierze zaś mniej niechętnie niż w innych przypadkach powierzali życie polskiej maszynie.

Gdy Koller stanął na placu, rozmowy urwały się nagle. Porucznik zderzył się ze ścianą milczenia i badawczych spojrzeń. Wyczuł to momentalnie, nie potrzebował ani dwunastu lat w wojsku, ani przeszkolenia przez SWW. Każdy normalny człowiek wie, kiedy znalazł się w sytuacji ucznia przy tablicy.

– Czołem, żołnierze! – rzucił z głupia frant.

Odpowiedziało mu kilka niewyraźnych pomruków, z których: „Co to za debil?” i „O tym pacanie mówiłeś, Maciek?” wydawały się jednymi z bardziej kulturalnych.

Stał i wodził wzrokiem po kolejnych twarzach. Nie były przyjazne. Wyjeżdżanie z mordą na dzień dobry, w stylu Karskiego, nie wydawało się dobrym pomysłem, ściskanie po kolei dłoni i żarcik o Polaku, Rusku i Niemcu także. Na ratunek przyszedł Galaś.

– Rozkazy, panie poruczniku?

Koller docenił gest kaprala, ale dostrzegł też dystans i pewien chłód. Głos Galasia brzmiał sucho, wręcz przesadnie oficjalnie. Podoficer nadal miał bezczelną iskrę w oczach, ale zabrakło w nich serdeczności, którą dało się dostrzec kilka godzin wcześniej na lotnisku.

– Jedziemy do Tiro, zmienić stacjonujący tam pluton.

Kapral kiwnął głową.

– Melduję posłusznie, że tak jest. To wszystko? – spytał, jak gdyby znał odpowiedź.

Szczelność obiegu informacji w bazie, w której wieść o nagłym zamilknięciu Raji rozchodziła się szybciej wśród żołnierzy niż dowództwa, przyprawiła Kollera jedynie o śmiech. Spotkanie z Karskim upewniło go, że

w tej kwestii (jak zapewne i w innych) można się spodziewać iście monty-pythonowskiego kabaretu.

– A jak myślicie? – rzucił Koller, niby od niechcenia.

Ujrzał, że Galaś obdarowuje go tym samym spojrzeniem, którym Karskiego bliźni obdarowywali prawdopodobnie od kołyski.

– Melduję, panie poruczniku, że nie myślę – wyprężył się kapral. – Na stu szesnastu stronach regulaminu wojskowego nie pada słowo „myśleć". Należy domniemywać, że myśleniem zajmują się oficerowie. Od podporucznika wzwyż.

Koller uśmiechnął się pod nosem w uznaniu klasy żartu. Nie on był jednak adresatem dowcipu, czuł to wyraźnie. Kilku żołnierzy pod Rośkami zarechotało.

Odkąd żołnierze plutonu dowiedzieli się, kto będzie prowadził oddział, coś się stało. W ciągu ostatniej godziny lub dwóch. To coś sprawiło, że choćby dowódca wygłosił teraz przemówienie nie gorsze niż William Wallace zagrzewający Szkotów do walki, rozdawał cukierki, bimber albo kupony do najbliższego domu uciech, oni i tak by mu nie zaufali.

Nie było więc sensu tracić czasu na wstępy.

– Jedziemy najpierw do Raji. Mają tam jakieś problemy z łącznością, a to właściwie po drodze. Potem wracamy do podstawowego zadania.

Wolał nie dawać im szansy wolnej wypowiedzi, więc dorzucił natychmiast:

– Do wozów! Jadę w pierwszym.

Podniósł z ziemi plecak. Ryzykował w najgłupszy możliwy sposób. Kładł na jednej szali nader prawdopodobną ewakuację do domu i dziesięć lat krążącej wśród żołnierzy legendy o poruczniku, który nie ukończył nawet pierwszego patrolu, bo zaraz wpakował się na ajdika, a na drugiej umiarkowanie dojrzały sposób udowodnienia, że przynajmniej nie jest tchórzem.

Liczył, że nie udowodni tego własnym tyłkiem.

– Galaś, ze mną – powiedział. – Każ kierowcom trzymać się hajłeja tak długo, jak uznają to za bezpieczne, a potem niech jadą na przełaj. Spieszymy się, ale bez przesady.

Galaś wzruszył ramionami. Nie usłyszał nic nowego. Setki kilometrów dróg, a oni przez większość czasu jeździli po wertepach dwieście metrów od szlaku. Na szosach, a właściwie pod nimi, talibowie najchętniej rozkładali miny pułapki.

Paranoja wojny.

Choć większość ajdików, improwizowanych ładunków wybuchowych, nie była w stanie przebić pancerza Rosomaka, nikogo to nie uspokajało. Broń ofensywna rozwijała się, zwyczajowo, w szybszym tempie niż defensywna. I już gdzieniegdzie mówiono o użyciu ładunków kumulacyjnych. Ponoć radziły sobie nawet z Twardymi.

Żołnierze rozbiegli się na rozkaz. Sprawnie, szybko i bez zbędnych ruchów. Koller obserwował to z satysfakcją. W półtorej minuty wszystkie wozy były gotowe do drogi, działonowi na stanowiskach, a Galaś zamykał za nim właz Rosomaka. Porucznik chciał siedzieć z tyłu, z ludźmi, nie na miejscu dowódcy. Chciał ich poznać.

5

Obecność Karskiego na stołku dowódcy batalionu nie stanowiła wyzwania. Jego teczkę Koller widział jeszcze w Polsce. Zawartość dokumentów dało się zamknąć w kilku słowach: karierowicz, niezbyt inteligentny, tchórzliwy, niekompetentny – te same opinie powtarzały się w zasadzie bez przerwy. Owszem, mógł przez głupotę czy asekuranctwo niespodziewanie ugryźć, ale – zdaniem oficera prowadzącego, najwyraźniej mającego na ten temat wyrobione zdanie – był w gruncie rzeczy jak wielka psia kupa; śmierdzi z daleka i nikt nie ma ochoty wziąć się do sprzątania, ale przynajmniej łatwo jej unikać. Koller skrzywił się, słysząc po raz pierwszy to niezbyt wyrafinowane porównanie, ale teraz, gdy poznał pułkownika, uznał, że jest trafne. Karskiego należało omijać szerokim łukiem, wtedy był niegroźny.

W warunkach pokoju pułkownik mógłby złamać niejedną karierę, na wojnie sprawa się komplikowała. W razie konfliktu z oficerem w świetle reflektorów znajdował się i on – dowództwo mogło sobie zadać pytanie, czy aby na pewno panuje nad swoimi ludźmi. Pułkownik starał się takich sytuacji za wszelką cenę unikać: w ocenie Kollera Karski wolał, by jego na-

zwisko pojawiało się jedynie przy okazji wspominania, jak świetną szarlotkę upiekła jego żona na piątkowego pokera w sztabie.

Poza tym był tchórzem, i to tchórzem stacjonarnym. Za bazę wyjeżdżał, tylko kiedy musiał – tak twierdziło SWW. Najchętniej w bezpieczne miejsca, a i tak większość podróży spędzał skulony, niemal leżąc na podłodze. Nie przeszkadzał więc swoim oficerom inaczej niż przez radio, co w dość istotny sposób ograniczało jego możliwości poza bazą.

Koller wiedział, że jeśli tylko nie sprowokuje dowódcy batalionu o jeden raz za dużo, nie ma się czego bać. W tej układance to nie Karski stanowił wyzwanie.

Stanowili je żołnierze.

Wozy ruszyły z kopyta, przyspieszając do osiemdziesiątki. Najwyraźniej kierowcy zamierzali nadrobić na hajłeju czas, który potem stracą na kamieniach.

Porucznik odchylił głowę w tył i przymknął oczy. W środku wozu pancernego świat zawsze wyglądał tak samo. Każda wojna i każde zadanie, dopóki zamykały się w ścianach Rosomaka, były jednakowe. W pamięci zlewały się potem w jedno pozbawione szczegółów wspomnienie. Wspomnienie emocji, które człowiek ukrywał sam przed sobą – jak dziecko, które zakrywa oczy, licząc, że schowa się przed światem – a które były tylko oczekiwaniem na huk.

Jeśli dało się słyszeć huk, człowiek przeżywał. Jeśli nie usłyszał, budził się potem w szpitalu, jak bokser po ciężkim nokaucie, i modlił się do Boga, żeby kończyna, której nie czuje, po prostu zdrętwiała od długiego leżenia.

Albo nie budził się wcale.

Koller przetarł czoło.

W Rośkach panowała zwykle przyjemna atmosfera. Jeśli dowódca nie był sztywniakiem, puszczano muzykę, grano w karty, rozmawiano, żartowano. Czujność zachowywali tylko ci, którzy obserwowali perymetr.

W porównaniu z tym, co działo się w wozie jadącym na czele zmierzającej do Raji kolumny, pogrzeb ukochanej babci przypominał karnawał w Rio.

Część żołnierzy ostentacyjnie czyściła karabiny, reszta błądziła wzrokiem po ścianach, odsuwając się jak najdalej. Padały rzadkie, banalne słowa – jeśli w ogóle. Koller czuł się jak politruk z najciemniejszych czasów komuny.

– Galaś, spróbuj nawiązać kontakt radiowy z Raji – powiedział. Było tak cicho, że jego głos rezonował o pancerz pojazdu. – Może mieli coś z przekaźnikami i złapiemy ich z bliższej odległości.

– Melduję posłusznie, że tak jest, panie poruczniku.

Kapral manipulował chwilę przy urządzeniu. Potem zaczął jednostajnym tonem wywoływać posterunek w Raji. Trwało to dobre pół minuty, ale odpowiedział mu tylko biały szum.

Koller po raz pierwszy widział, że Galaś był zagubiony. Kapral przekręcał jeszcze chwilę jakieś przełączniki, sprawdzał, czy świecą się wszystkie lampki. Nawet uderzył otwartą dłonią w sprzęt, jak gdyby reperował starego Rubina, nie najnowocześniejsze radio entej generacji.

– Ile radiostacji tam mają?

– W każdym wozie po jednej – zaczął kapral, wyliczając na palcach. – Na drużynę po jednej przenośnej. Ze trzy na posterunku… I kilka zapasowych. Nie mniej niż dziesięć. Plus coś mocniejszego z satelitą.

Jeszcze przed wyjściem od Karskiego porucznik dowiedział się, że satelity obserwacyjne Amerykanów nie dostrzegły żadnej wrogiej aktywności w regionie. Koller wiedział, że to akurat może być prawdą. Oglądał wcześniej zdjęcia terenu: same góry i bezdroża. Nie sposób podejść niezauważonym.

– Te radia. Wszystkie by się popsuły?

– Nie wiem, panie poruczniku – odparł Galaś. – Może jakieś rozbłyski na słońcu. Dużo o tym teraz piszą.

– To musiałby być najdziwniejszy rozbłysk świata, żeby dopadł tylko Raji, a ominął dwa inne posterunki w promieniu dwudziestu kilometrów.

Koller liczył, że będzie to jakiś przyczynek do dialogu. Galaś jednak wzruszył tylko ramionami, a reszta – choć z wyraźną ciekawością przysłuchiwała się dotychczasowej wymianie zdań – nagle wróciła do podziwiania spojeń pancerza cudu techniki, jakim był wóz bojowy piechoty Rosomak.

– Próbuj co kwadrans – rzucił porucznik, nagle zniechęcony. – Może się odezwą.

Przez prawie godzinę jechali w ciszy, przerywanej tylko przez odgłos kolb karabinów stukających na wybojach o podłogę i komunikaty odległych baz.

Służba Wywiadu Wojskowego dała Kollerowi wszystkie narzędzia, jakich potrzebował do wykonania zadania: pełnomocnictwa i wsparcie potrzebne do zidentyfikowania i wyłapania, po cichu, czarnych owiec. Oficerów i podoficerów, którzy handlowali opium i przez współpracę z lokalnymi grupami przestępczymi narażali integralność i legitymizację całego ISAF.

O zaufanie oddziału musiał walczyć.

– Galaś! – powiedział tak, żeby wszyscy słyszeli.

Kapral grał na telefonie w grę, w której każdy kolejny punkt oznaczał jeden fragment garderoby mniej na poruszającej się na ekranie modelce. Wywołany uniósł głowę, Koller poczuł jednak na sobie wzrok całej drużyny.

– Tak, panie poruczniku?

Powiódł spojrzeniem po każdej twarzy, na każdej zatrzymał się kilka sekund. Może nawet trochę za bardzo po ojcowsku. Westchnął.

– Widzę, co się dzieje. Odpuśćmy sobie ciche dni – powiedział powoli pod adresem wszystkich. – Mówcie, co was męczy, i załatwmy to teraz.

Cisza. Słychać było jedynie odgłos silnika wozu i ciche pikanie urządzeń komunikacyjnych od strony kierowcy.

Patrzyli na niego bez entuzjazmu. Czuł, że jeszcze chwila i straci ich na dobre.

– Nie będzie lepszego momentu. Cokolwiek powiecie teraz, w Rośku, w nim zostaje, tak się umawiamy. To dotyczy wszystkich – powiedział z naciskiem. Zaplótł ręce na piersi, jak gdyby szykował się do snu. – Macie czas do końca jazdy, potem może nie być kiedy.

Kapral kiwnął głową i Koller zobaczył na tej jego bandycko uroczej gębie, że nie chce chować urazy, ale jednocześnie nie umie zaufać człowieko-

wi, o którym wspominano w tylu opowieściach. Zbierał się chwilę w sobie i zanim zebrał do końca, ubiegł go któryś z żołnierzy.

– Pan poważnie, panie poruczniku?

Szeregowy. Jasne oczy, blondyn, chłopięca twarz. Typ przystojniaka, amerykańskiego marine z filmu. Na naszywce, która wystawała spod kamizelki, widniał napis: „Ratczak”.

– Tak jak mówiłem.

– Guglował pan siebie w Internecie?

Ba, a bo to raz? – pomyślał Koller. Miał kilka chwil słabości, kiedy wpisywał własne nazwisko w wyszukiwarce. Gdy po przeczytaniu ton wylewanych na niego pomyj wyłączał komputer, miał wrażenie, że byli z Hitlerem kumplami ze szkolnej ławki.

Wzruszył jednak ramionami z obojętną miną. Gest nie wyszedł za bardzo, Rosomakiem zaczęło nieźle trząść; wjechali właśnie na bezdroża. Czekała ich godzina losu ziemniaków w worku.

– Jakoś się nie zdarzyło… – skłamał bez mrugnięcia okiem.

– Pan wie, co wyskakuje, jak się pana wpisze? – Kolejny głos w rozmowie. Może i pędzili w stronę przepaści, ale przynajmniej na pokładzie było ich coraz więcej.

Wielki, umięśniony gość. Koller kojarzył go. Starszy szeregowy Feliks Kryszak, ksywka „Hulk”. Wystarczyło wpisać w wyszukiwarce YouTube hasło: „Afganistan” i jako jeden z pierwszych pojawiał się film, na którym Hulk wyciskał sztangę obciążoną dwustu dwudziestoma kilogramami. To była jego druga zmiana.

– Mogę się domyślać. Powiedzcie.

Hulk poprawił się na siedzeniu. Facet ledwo wchodził do Rośka, żołnierze po bokach wyglądali jak krasnale.

– Irak, panie poruczniku. Z tego, co piszą, wychodzi, że nie bardzo mamy farta z nowym dowódcą.

Koller patrzył na niego chwilę. Bezpośredniością się nie przejął. Był wdzięczny, że ktoś wreszcie się odważył, ale też trochę zły na siebie. Czym mógł się z nimi podzielić, jaką prawdę przekazać w prostych żołnierskich słowach, skoro nie przespał dotąd żadnej nocy, nie wspominając tego,

co się wtedy stało, a słów brakowało mu nawet, gdy starał się wytłumaczyć wszystko samemu sobie.

Wziął głęboki oddech.

6

Czerwiec 2004 roku. Końcówka drugiej zmiany w Iraku. Pechowa zmiana i pechowy rok. Z dwudziestu dwóch żołnierzy, którzy zginęli podczas polskiej obecności na misji, czternastu poległo wtedy, między majem i grudniem.

W tym dwóch moich.

Hiszpanie dopiero co się wycofali, to było po zamachach w Madrycie. Pamiętam ludzi z ich kontyngentu, gdy odjeżdżali. Nie patrzyli nikomu w oczy, maszerowali jak jeńcy, nie wojsko, ze wzrokiem wbitym we własne buty. Było im wstyd.

Dominikana, Honduras i Nikaragua zaraz potem zrobiły to samo.

Służyłem w kompanii piechoty Drugiej Batalionowej Grupy Bojowej. Wszystko działo się krótko po powstaniu Armii Mahdiego. Od kwietnia do końca maja notowaliśmy sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kontaktów bojowych miesięcznie, nawet w czasie zawieszenia broni. Patrole bez przerwy wpadały w pułapki, a bazy ostrzeliwano w zasadzie każdej nocy. Napieprzali ze wszystkiego co się dało. Od RPG, na pistoletach sportowych kończąc. To była pozbawiona logiki wściekłość, którą wypluwali na nas, jak gdyby sam ich gniew, nie broń, którą trzymali w ręku, miał nas zabić. Strzelali zazwyczaj z byle czego, na ogół na oślep. Ale kiedy co noc gdzieś w obozie wybucha pocisk, nie jest łatwo oddać się w ręce opartej na słabej celności wroga statystyki i po prostu zasnąć.

Prawdziwe piekło rozpętało się w Karbali, Al-Hilli i Nadżafie. Każdy o tym słyszał. Powstanie zastało nas, jak to się mówi, z ręką w nocniku, a już zwłaszcza sztabowców. Przewidywali jakieś ruchy, ale liczono na „pokojowe demonstracje z niewielką ilością prowokatorów”.

Na ulicę po prostu wybiegli ludzie z karabinami. Al-Kaida, sadryści, ponoć nawet Czeczeńcy i różni najemnicy, którzy pojadą wszędzie, żeby tylko postrzelać do ludzi za kilkaset dolarów miesięcznie. A myśmy siedzieli po-

chowani i nie mieliśmy pojęcia, co robić. Ja i moi ludzie byliśmy w Al-Hilli, zabezpieczaliśmy miejscową władzę. Na lokalnych jednostkach dało się polegać tak samo jak i tu.

To nie tak, że urządzili nam kampanię wrześniową, zresztą najgorsze walki toczyły się w Karbali, ale o tym pewnie już kręcą jakiś film. Po prostu to była misja stabilizacyjna, one wszystkie się tak nazywają. Mieliśmy zakaz prowadzenia działań ofensywnych. W tych warunkach trudno oczywiście powiedzieć, kiedy kończy się obrona, a zaczyna atak. Trudno też wyjaśnić szczegóły swojego mandatu lokalnemu urzędnikowi, dla którego nasze wycofanie oznacza śmierć w męczarniach dla całej rodziny. Wiele działo się więc na pograniczu tego, co powinniśmy, co mogliśmy i co po prostu musieliśmy robić.

Bałagan w całej prowincji. Przez kilka dni byliśmy zdani na siebie.

To były dziwne walki. Zorganizowane ataki przeprowadzano głównie nocą. W ciągu dnia co najwyżej zza rogu wyskakiwało dziecko albo kobieta, uśmiechali się do ciebie, machali ręką, a zanim zdążyłeś odmachać, w twoją stronę leciał granat. Szaleństwo.

Na początku powstania regularne potyczki zdarzały się częściej niż kiedykolwiek. Wredna, nocna, męcząca wojna, na schodach i korytarzach budynków. Byłem tam tylko z plutonem szybkiego reagowania, kompania została w bazie. Utrzymywaliśmy jakiś teren kosztem dwóch – trzech rannych, na drugi dzień okazywało się, że trzeba iść bić się gdzie indziej, a ja nie mam nawet dość ludzi, żeby obsadzić to, o co walczyliśmy poprzedniej nocy.

Nie dysponowaliśmy dobrym sprzętem, nie tak jak teraz, w Afganistanie. To było coś w rodzaju eksperymentu wojska na żywej masie ludzkiej. Co jest potrzebne, co nie, a co niezbędne. Mi-24 przysłano pod koniec lipca, nie mieliśmy praktycznie żadnego lotnictwa o porządnej sile ognia, a z całej wielonarodowej dywizji bili się tylko Polacy i Bułgarzy. Reszta nie opuszczała baz.

Dziewiętnaście państw. Walczyły tylko dwa.

Trzymaliśmy się jakoś, było trochę rannych, ale nikt nie zginął. Przyszła kontrofensywa, zawieszenie broni. Da się to opisać tylko tak – albo w jed-

nym zdaniu, albo w kilka nocy. Wróciliśmy do baz i nikt nie mógł uwierzyć, że to wreszcie koniec.

To nie był koniec. Odpoczęliśmy kilka dni i w tym czasie po zawieszeniu broni pozostało wspomnienie. Kolejne trzy tygodnie razem z Amerykanami i Bułgarami odbijaliśmy zajęte przez powstańców miasta. Wszyscy mieli już serdecznie dosyć, to była najgorsza zmiana i czekaliśmy na lipiec i koniec misji jak na zbawienie.

Wreszcie sadryści się wycofali, Amerykanie odtrąbili zwycięstwo, przyjechała telewizja i zrobiła wywiady z generałami. W prowincji zapanował spokój.

To nie było tak, że od kwietnia do końca maja nagle rebelianci zniknęli. Złamaliśmy główne siły przeciwnika i faktycznie przestał się pokazywać, ale ostrzał i zasadzki nadal się zdarzały, nawet częściej niż przed powstaniem. W koszarach mówiło się, że Al-Kaida dostała po tyłku i wycofała swoich, a zostały tylko niedobitki miejscowych, odpowiednio przeszkoleni i siedzący teraz w swoich norach, zupełnie odcięci od świata ludzie, którym nikt jeszcze nie powiedział, że przegrali.

Wymyślono więc, że w połowie czerwca razem z Amerykanami będziemy znowu wchodzić do miast. Po pierwsze, to miał być pokaz siły. Po drugie, wywiad zdobył informację, że jeden z bojowników Al-Kaidy, Ahmed Szah Safez, nadal jest na miejscu, pierze ludziom mózgi i szkoli ich do walki. Mieliśmy go aresztować.

Do Al-Hilli wchodzili ławami, z dwóch stron, Amerykanie. Zamierzali dosłownie przykryć rebeliantów ludźmi, na ruską modłę. Przeszukiwanie domów, piwnic, wyciąganie ludzi na ulicę, wszystko. Główną siłę stanowiły idące od północy dwa bataliony marines, które miały przyjąć na siebie większą część walk. Na odprawie ktoś spytał, jakich walk, skoro to ponoć tylko pokaz siły, ale pułkownik z Tennessee nic nie powiedział.

Od południa mieli iść najemnicy. Blackwater i parę innych, mniejszych firm wspieranych kompanią piechoty. Ich zadaniem było szczegółowe przeczesywanie terenu, szukanie kryjówki Safeza i każdego, kto mógł się zadekować w jakiejś piwnicy. USA bardzo chętnie korzystały w Iraku z operatorów kontraktowych. Z jakiegoś powodu byli ponoć tańsi (chociaż niektórzy

w miesiąc zarabiali więcej niż marine w rok), ich śmierci nie trzeba było odnotowywać w oficjalnych statystykach, które publikowały wiadomości, no i konwencja genewska nie odnosiła się do „prywatnych kontraktorów wojskowych”, jak siebie dumnie nazywali. Poza tym nie nosili amerykańskich flag na mundurach. Może dlatego, że służył tam każdy, od Filipińczyków, na Nigeryjczykach kończąc. W każdym razie chodziło o to, że gdyby jakiś zabłąkany fotoreporter zrobił im zdjęcie w mało szczęśliwej sytuacji, dowództwo mogło się wszystkiego wyprzeć. Zresztą najemnicy nie przyjmowali do siebie reporterów.

My dostaliśmy proste w gruncie rzeczy zadanie ubezpieczania batalionu marines. Ich siły stykały się od wschodu z oddziałami Blackwater, a od zachodu szliśmy my. Byliśmy najkrótszym bokiem tego trójkąta i wszyscy mówili nam, że bierzemy udział w operacji tylko dlatego, że to nasza prowincja, żebyśmy nie przeszkadzali i najwyżej złapali paru niedobitków, którzy uciekną przed głównym uderzeniem.

W czasie walk w Al-Hilli odznaczył się podporucznik Antoni Hołek. Antek był niesamowicie twardym facetem, chociaż wszystkim mówił, że ma tę wojnę gdzieś i pojechał na nią tylko po to, żeby zarobić na nowy motocykl. Motocykl, nie motor, bo motor to jest w kosiarce. W Al-Hilli co najmniej kilka razy zimna krew Hołka ratowała niektórym życie. Sam widziałem, jak wyciągnął żołnierza spod ognia. Miał też ogromnego farta. Każdy w plutonie był co najmniej draśnięty, a on nie zaciął się nawet przy goleniu. Przedstawili go potem do odznaczenia, a na difaku, podczas obiadu gadano tylko o nim.

Kompanią dowodził osobiście generał Bieńkowski. To była sprawa prestiżowa. Skoro operację przedstawiano jako „bezpieczną”, ze sztabu naściągano dekowników z pagonami, którzy mieli ochotę błyszczeć potem przed ministrami. Nas porozrzucano do plutonów, w efekcie czego drużynami dowodzili porucznicy i podporucznicy.

Wtedy byłem jeszcze kapitanem.

Wszystko szło zgodnie z planem. Żadnego kontaktu z wrogiem, a jeśli słyszeliśmy strzały, to tylko z daleka, od strony Amerykanów. Krąg zacie-

śnialiśmy powoli, prawie leniwie. Bieńkowskiemu nie śpieszyło się do żadnych walk.

Z lewej strony cały czas widzieliśmy marines, machali nam przyjaźnie, a gdzieś z prawej szedł Blackwater.

A potem coś się pochrzaniło.

Dokładnie na styku naszych wojsk, konkretnie mojego plutonu i najemników, pojawili się ludzie Safeza. Doszło do wymiany uprzejmości. Z początku ledwie kilka serii. Później, zupełnie nagle, walka eksplodowała jak jakiś granat obronny.

Kompletnie przykryto nas ogniem. Tynk leciał ze ścian, wszędzie kurz i rykoszety. Leżeliśmy na podłodze, trzymając się tylko za głowy, żeby nam hełmy nie zleciały.

Bieńkowski tymczasem wrzeszczał do radia, chciał koniecznie wiedzieć, co się dzieje; nikt nie umiał mu odpowiedzieć. W kilka minut straciliśmy panowanie nad częścią frontu.

Atakowali z taką mocą, jakby było ich co najmniej pięćdziesięciu, chociaż wiedzieliśmy, że to niemożliwe. Do tego dysponowali najlepszym sprzętem. Wukaemy, peka, granatniki, wszystko. Było jasne, że niedługo nas rozniosą. Mieliśmy ciężko rannego oficera, porucznika Fryję, facet tracił krew i nie dało się go stamtąd zabrać.

A potem odezwali się przez radio nasi strzelcy wyborowi. Siedzieli na dachu starej fabryki, kilkaset metrów od nas, i mieli lepszy ogląd pola walki.

To Blackwater strzelał.

Ludzie Safeza wzięli udział tylko w początkowej potyczce. Specjalnie kierowali ogień tak, żebyśmy w końcu zaczęli strzelać z najemnikami do siebie nawzajem. Wiedzieli, że utrzymujemy stały nasłuch z marines, ale łączność z oddziałami prywatnymi była słabsza. W ogóle dużo wiedzieli.

Oczywiście natychmiast zaczęliśmy wywoływać przez radio Blackwatera, a potem Amerykanów. Ale ten głuchy telefon mógł chwilę potrwać, a my nie mieliśmy wiele czasu. Mogliśmy też zwyczajnie się cofnąć, co jednak przerwałoby łańcuch okrążenia, a właśnie o to prawdopodobnie

chodziło powstańcom. Trzeba więc było nawiązać kontakt z Blackwaterem w tradycyjny sposób.

Zdecydowałem, że wezmę kilku ludzi i zrobię to sam.

Dowódcą mianowałem podporucznika Hołka. Uznałem, że ludzie będą czuli się przy nim bezpiecznie, poza tym Antek udowodnił już, że nie głupieje pod ogniem.

Pobiegliśmy dookoła, z początku cofając się trochę, a potem zachodząc najemników od tyłu. Nie spodziewali się tego i byliby zaczęli strzelać, ale na szczęście wśród nich znajdowało się kilku Polaków. Po ich przekleństwach zorientowaliśmy się, że to nasi. Spotkałem się z ich dowódcą, potężnym Kongijczykiem, opieprzyłem go, wznosząc się na wyżyny angielszczyzny, co zupełnie nie zrobiło na nim wrażenia, ale w końcu kiwnął głową, przewrócił oczami i ostrzał ustał.

I tyle. Nie powinno być z tego większej historii.

Niestety, zawiódł Hołek.

Dosłownie kilka sekund po tym, kiedy ja ruszyłem z ludźmi, podporucznik został trafiony rykoszetem w przedramię. Trafiony to duże słowo. Kula nie uszkodziła kości, nadszarpnęła tylko skórę i odrobinę mięśnia. Nawet nie została w ranie. W Al-Hilli widziałem faceta, który oberwał podobnie. Dokończył magazynek, potem drugi i dopiero wtedy obwiązał się opatrunkiem.

Ale Hołek nigdy nie zaciął się nawet przy goleniu. Coś w nim pękło na widok własnej krwi i kazał żołnierzom uciekać. To był haniebny, pozbawiony szyku odwrót, podczas którego nie zadbał nawet o to, by sprawdzić, czy wszyscy wrócili z nim.

Dalej… Wiecie, co stało się dalej. Dwóch naszych wpadło w ręce Safeza.

Z początku myśleliśmy, że po prostu się zgubili. Aż do następnego ranka przeczesywaliśmy miasto; nie udało się nikogo odnaleźć. Zaczęliśmy w końcu szukać ciał, ale bez rezultatu. Nie spałem trzy noce. Po zakończeniu akcji zbierałem ochotników z różnych oddziałów i wracałem tam, żeby ich szukać. W końcu mi zabronili, bo samowolka i narażanie, więc chodziłem sam. Ludzie nie znikają tak po prostu.

A potem do Internetu trafił film.

Hołek wrócił do Polski, gdzie musieli go poddać leczeniu psychiatrycznemu, mnie zdegradowano. Zabito dwóch moich ludzi, a cel operacji nie został osiągnięty. Przez wyłom w okrążeniu, który powstał po naszej ucieczce, mógł zwiać Safez i pół Armii Mahdiego, nie tylko niedobitki.

Przy degradacji powiedzieli mi, że chodziło o to ostatnie. Że nie popełniłem błędu, ten spadł na Hołka, jednak facetowi, który nie umiał zjeść zupy bez rozpłakania się, nikt nie zamierzał dorzucać zmartwień. Polski kontyngent rozsypał przygotowywaną kilka tygodni operację. Ukrycie tego przed mediami kosztowało kupę zachodu i Amerykanie domagali się czyjejś głowy. Tak mi powiedział Bieńkowski.

Nie będę się wybielał.

Prawda jest taka, że Strychowski i Pawłowski zginęli gdzieś w piwnicy pod Al-Hillą, bo to ja pobiegłem do najemników. Powinienem sam objąć dowództwo plutonu, a tę misję zlecić komuś innemu, choćby Hołkowi. Zadanie było proste, każdy żołnierz, nawet szeregowy, mógł je wykonać. Tego nie dało się spieprzyć.

Dowództwo plutonu pod ogniem to co innego. Poniosło mnie, zostawiłem ludzi. Dwóch zapłaciło za to życiem. Jeden trafił do psychiatryka.

7

– Dowódco! – dobiegło z przodu pojazdu, kiedy słowa Kollera wybrzmiewały jeszcze w pudle Rosomaka. – Raji w zasięgu wzroku.

Kierowca miał wyczucie dramatyzmu.

Nie czekając na reakcję żołnierzy, porucznik przesiadł się z powrotem na krzesełko dowódcy. Uchylił właz i wyjrzał przez niego. Dopiero teraz zorientował się, że zapadł zmrok.

Baza leżała wprost przed nimi. Koller znał jej plan na pamięć.

Raji. Placówka zajmowała niezbyt eksponowane, ale stałe miejsce na mapach Afganistanu co najmniej od czasów inwazji brytyjskiej, a być może i wcześniejszych. Była tym, co lubiano niekiedy nazywać daleko wysuniętym posterunkiem, gniazdem. Nie strzegła ważnych szlaków, nie broniła granicy przed najazdami sąsiadów. Leżała tam, by chronić jednych

Afgańczyków przed drugimi. Klany z Ghazni i Zabulu zwykły bowiem tu właśnie udowadniać sobie, kto ma mocniejsze prawo do większej części nieurodzajnej ziemi okolicznych gór.

Bazę umieszczono na końcowym fragmencie wąskiej grani, tuż przy urwisku. Grań oczywiście nie była zupełnie płaska, a choć jej nierówności próbowano wygładzić od blisko dwustu lat, wiele wskazywało, że minie kolejne dwieście, nim starania te przyniosą oczekiwany efekt. Wymuszało to skomplikowaną architekturę placówki. Osadzona na planie trójkąta była widoczna z daleka dzięki trzem zbudowanym jeszcze przez radzieckie kompanie inżynieryjne wieżom o kratowanych, przypominających rusztowania konstrukcjach. Przy dobrej pogodzie umożliwiały one obserwowanie terenu w promieniu kilkunastu kilometrów. Jedna z tych wież znajdowała się zaraz przy krawędzi urwiska, jeszcze bardziej wyostrzając jego zarys. Kolejne dwie, oddalone o około sto pięćdziesiąt metrów, strzegły bramy, którą umiejscowiono w najwęższym fragmencie grani. Między tymi punktami wiodły dwie drogi. Pierwsza przez sam środek obozu. Był to ogromny, jak na ledwie trzydziestoosobową załogę, plac. Po jego północnej stronie stały baraki żołnierzy, stołówka, kuchnia i parking maszynowy. Po południowej znajdowały się kwatery oficerów, radiostacja i gabinet dowódcy oraz magazyny. Północ, podobnie jak wschód, kończyła się nad przepaścią, którą osłaniało ogrodzenie z drutu, południe natomiast wtapiało się w kilkunastometrowe, pełne wąskich przejść skały. Tamtędy prowadziła druga droga między wieżami.

Wśród skał wiło się kilka ścieżek. Część kończyła się ślepymi zaułkami, część za kolejnym zakrętem wpadała w przepaść. Tylko jedna wiodła aż pod bramę. Umieszczenie bazy NATO, a nawet jakiejkolwiek bazy, tuż przy szeregu wąskich niczym w zamkach katarów przejść, było rzeczą niespotykaną. Skalny łańcuch wyrastał jednak całkowicie w obrębie Raji. Od strony przepaści wszystko w zasięgu wzroku mieli strażnicy z wieży nad urwiskiem, tak więc skryte ścieżki i zaułki jedynie dodawały placówce walorów obronnych.

Na swój surowy sposób Raji było piękne. Żołnierze jednak nazywali je pechowym. W 1984 roku grupa mudżahedinów wspięła się po skałach

od strony urwiska, obezwładniła strażników i wymordowała śpiącą radziecką załogę. Po raz pierwszy Polacy usłyszeli tę historię od miejscowych. Odtąd przy każdej zmianie „starzy” straszyli nią nowo przybyłych.

Historia miała dalszy ciąg, którego nie opowiadano. Rosjanie nie opuścili twierdzy. Zaminowali urwisko (dwadzieścia lat później ISAF poszło w ich ślady), umieścili przy nim tysiącwatowe reflektory, zaś w ich świetle powiesili przywódców wszystkich sześciu okolicznych klanów. Była to kara za dostarczenie mudżahedinom przewodników. Pięciu z zamordowanych było niewinnych, ale radziecki dowódca nie tracił czasu na śledztwo.

Afgańczycy mówili, że Raji to miejsce przeklęte.

Koller spojrzał w ekran umieszczony przed krzesełkiem dowódcy. Stali na grani, mniej niż sto metrów od placówki, na jedynej prowadzącej doń drodze. Posterunek ledwo wyłaniał się z mroku. Gniazdo było zupełnie ciemne, oświetlał je jedynie blask reflektorów Rosomaków. Front placówki składał się z żelbetonowego muru zwieńczonego spiralnym drutem kolczastym oraz stalowo-aluminowej, przesuwanej bramy. Brama była zamknięta, mury nie nosiły śladów kul.

Koller nigdzie nie dostrzegł wartowników. Przeszedł go dreszcz, który za wszelką cenę starał się ukryć.

– Jedź – powiedział do kierowcy. – Zatrzymaj się trzydzieści metrów od bramy.

– Tak jest!

Kierowca nacisnął gaz i dwadzieścia dwie tony stali ruszyły powoli do przodu.

– Działonowy! – powiedział porucznik. Sam nie wiedział czemu, ale zrobił to szeptem. – Miej wszystko pod ogniem. Tylko bez nerwów, nie chcemy strzelać do swoich.

Powtórzył rozkazy do komunikatora. Pozostałe wozy potwierdziły odbiór. Toczyli się wolno w stronę twierdzy, a jedynymi odgłosami, które im towarzyszyły, były warkot silników i chrzęst miażdżonego kołami żwiru.

– Galaś.

– Tak, panie poruczniku?

Koller odwrócił się w stronę żołnierzy. Nie wiedział, co siedzi w ich głowach, zwłaszcza po opowieści o Iraku. Powiedział im prawdę. Od nich zależało, czy to docenią.

Wydawało mu się jednak, że przynajmniej kapral nadterminowy, pierwszy żołnierz, którego spotkał w Afganistanie, stał się odrobinę mniej zdystansowany.

– Wywołaj ich.

Radio zaszumiało, z tyłu usłyszał monotonny głos Galasia:

– …Raji, drugi pluton pierwszej kompanii, baza w Tiro. Zgłoście się. Powtarzam, tu drugi pluton pierwszej kompanii, baza w Tiro. Raji, zgłoście się…

Na ekranach przed sobą Koller szukał jakiegokolwiek ruchu, śladów aktywności w miejscu, które jeszcze tego samego ranka było sprawnie funkcjonującą placówką ISAF.

Trzydziestu ludzi, trzy wozy bojowe, parę dżipów i elektronika. Wypatrywał śladów życia, które musiały tam być.

– Nic, panie poruczniku!

– A krótkofalówki? – spytał Koller, wciąż wpatrzony w bazę.

– Próbowałem już.

Jeszcze raz spojrzał w ekran.

Martwota, zakłócona jedynie łagodnym ruchem bujającego się na wietrze balonu obserwacyjnego.

8

– Działonowy! – powiedział Koller.

– Tak, panie poruczniku?

Siedzący na wieżyczce żołnierz spojrzał w dół. Sierżant Modliński, chudy jak ghul człowiek o zapadłej twarzy mordercy i nieprzyjemnie jasnych tęczówkach. Koller czytał przed wyjazdem akta każdego ze stopniem powyżej kaprala. Pozory łatwo myliły. Zanim Modliński poszedł do wojska, był nauczycielem, a potem wolontariuszem w domu dziecka. Startował też w maratonach i prawdopodobnie dlatego był tak kościsty. Typowe dla długodystansowców.

– Nadaj sygnały świetlne.

Sierżant sięgnął po latarkę. Zaczął wodzić promieniem światła po krawędziach murów. Potem przeszedł na nadawanie długich i krótkich błysków alfabetem Morse’a, a następnie, wyraźnie podenerwowany, zaczął krzyczeć.

– Hej! Siemieniak! Wiem, że tam jesteś! Oddawaj moje pięć dych!

Echo powtórzyło zniekształcony okrzyk, po czym na powrót zapadła cisza.

Skryty w głębi Rosomaka Koller poczuł ponowny dreszcz, mocniejszy. Starał się nie zwracać uwagi na swój stan. Dawno nie dowodził. Spodziewał się, że po prostu „zardzewiał”. Im bliżej był murów, tym bardziej sytuacja mu się nie podobała. Nie umiał tego nazwać, ale czuł, że pakuje się w kłopoty.

Rozważył dostępne możliwości.

Sposób działania zdawał się prosty. Powinien nawiązać kontakt z Ghazni i czekać na dalsze rozkazy. Problem polegał na tym, że Ghazni było królestwem Karskiego, a Koller nie ufał mu ani trochę. Gdy dowódca wyda rozkaz, podwładny nie będzie mógł go zlekceważyć. Przynajmniej nie wprost.

– Galaś, zostajesz – powiedział Koller, sięgając po komunikator. – Próbuj ich złapać. Reszta, pogotowie gazowe. Zakładamy maski i jazda z wozów.

Żołnierze nie protestowali.

Działonowi oddychali powietrzem okolicy dobre kilka minut i wyglądali na zdrowych, co wskazywało na niewielkie ryzyko obecności trujących substancji. Mogła jednak chronić ich odległość od bazy i dmący nad granią silny, przeciwny wiatr.

Koller postanowił zachować ostrożność, nawet jeżeli miałby stać się po raz kolejny obiektem niewybrednych żartów.

Żołnierze włożyli maski. Większość sprzętu wyglądała, jakby nigdy dotąd go nie używano. Paski spinały gumki recepturki, a guma pachniała fabryką. Wyskoczyli z Rosomaków niemal jednocześnie, ubezpieczając się wzajemnie. Słabe światło reflektorów ukazywało dwudziestu żołnierzy

o twarzach skrytych za gumową powłoką z jednej strony i czarny mur zwieńczony ginącymi w ciemności nieba wieżami z drugiej.

Porucznik pomyślał, że właśnie tak musiały wyglądać senne koszmary ludzkości ery nuklearnej. Odrealnione ludzkie zjawy i groza płynąca z nieznanego zagrożenia.

Odrzucił niepotrzebne refleksje. Musiał się skoncentrować.

Oddział powoli, pod osłoną dział Rosomaków, ruszył w kierunku bramy. Im bardziej się zbliżał, tym cichsze zdawało się gniazdo.

Koller uniósł rękę.

– Wystarczy.

Z tej odległości bez zamachu przerzuciłby kamień na drugą stronę muru. Żołnierze przyklękli, wodząc wzrokiem za szczerbinkami karabinów i omiatając lufami okolicę. Stal bramy i beton muru znaczyły jasne plamy świateł reflektorów i podczepianych pod karabiny latarek. Ludzie wyraźnie się niecierpliwili. Jakaś atawistyczna niechęć do pozostawania w bezruchu na otwartej przestrzeni sprawiła, że zaczęli krzyczeć w stronę twierdzy.

– Pewnie poniósł ich melanż.

– Pijani!

– Panie poruczniku, śpią. Już po dobranocce.

Koller czuł od samego początku, co znaczą te krzyki. Były jak zapewnienia dziecka, które samo w ciemnym pokoju mówiło na głos, że nie ma żadnych potworów, choć jego wyobraźnia właśnie do potworów kierowała te słowa.

Żarty i przekleństwa trwały jeszcze chwilę. W końcu ucichły. Ciemność i chłód nocy potęgowały ciszę, wchodząc nieprzyjemnie za kołnierz.

Koller otrząsnął się dopiero po chwili.

– Ratczak, Hulk, do mnie! – powiedział.

Wokół dął wiatr, typowo górski, mocny, lodowaty. A jednak nie trzeba było krzyczeć. Ten wiatr niósł słowa. W pięć sekund później obaj wywołani klęczeli obok porucznika. W maskach przypominali nieco tatę słonia i słoniątko ze starych kreskówek. Tylko nieporównywalnie bardziej spiętych.

Wskazał na bramę.

– Ratczak, zajrzysz do środka. Hulk cię podsadzi.

– Tak jest! – odparli chórem, zrywając się na nogi.

– Zajrzysz tylko, jasne?

– Nie zostawać na kolacji. Przyjąłem!

– No, to jazda.

Koller rozejrzał się i nim jeszcze żwir strzelił spod butów Hulka i Ratczaka, kazał pozostałym ludziom ich ubezpieczać – zdawał sobie sprawę, że nie ma to większego sensu. Stali na wprost murów i zamkniętej bramy – obu stworzonych do odpierania ataków – więc możliwości osłaniania kogoś, kto chciał się przedostać na drugą stronę, były żadne. Przynajmniej bez wsparcia z powietrza.

Koller chciał jednak zająć myśli żołnierzy, wyrwać ich z roli obserwatorów.

Hulk i Ratczak poruszali się bardzo ostrożnie, powoli, jakby jakaś siła odpychała ich od bazy. Porucznik znał tę siłę; nazywała się instynkt samozachowawczy.

Żołnierze dotarli pod bramę. Hulk złożył ręce w „koszyk”. Ratczak wskoczył na tak przygotowany podest i wyniesiony w górę przez silniejszego kolegę znalazł oparcie na jednym z filarów bramy, na wysokości drutu kolczastego.

Wszyscy wstrzymali oddech.

Ratczak rozglądał się, przyświecając sobie latarką. Trwało to kilkanaście sekund, a potem popełnił prosty, ludzki błąd.

Zamiast zejść na dół albo, nie zmieniając pozycji, po prostu zameldować, co widzi, szeregowy spróbował odwrócić się w kierunku dowódcy w zwyczajnym odruchu patrzenia na tego, do kogo się mówi. Czubek filara był na to zbyt wąski. Ratczak stracił równowagę. Odruchowo chwycił dłonią za drut kolczasty, wrzasnął głośno, zachwiał się, całą powierzchnią ciała wpadł w drucianą spiralę wieńczącą mur bazy, po czym wraz z nią poleciał do środka.

Koller zamarł.

Miał jednocześnie ochotę wydzierać się na głupotę podwładnego i biec go ratować. Wstał, wykonał dwa pierwsze kroki i uklęknął z powrotem. Ostre ukłucie rozsądku przypomniało mu Irak. Miał pod komendą oddział,

a nie jednego człowieka. Żołnierze patrzyli to na niego, to w kierunku Raji. Porucznik wziął głęboki oddech. Odliczał w myślach kolejne sekundy, w rytm uderzeń serca, które słyszał teraz nazbyt wyraźnie. Poprawił opartego o kolano Beryla. Musnął delikatnie zamek, by upewnić się, że pocisk siedzi w lufie, i wstał.

– Pierwsza drużyna… – zaczął tonem, który dopiero nabierał mocy. Działał instynktownie, na początku zdania nie wiedząc nawet, co powie na końcu.

Nie dowiedział się.

Przerwał mu ciężki, niosący się od strony posterunku zgrzyt. Wszyscy odwrócili się momentalnie, by ujrzeć, że stalowo-aluminiowa brama rozsuwa się powoli.

Zza jej skrzydła wyłonił się zakurzony żołnierz w przeciwgazowej masce. Ratczak.

Za nim ziała pustka.

9

– Nikogo, panie poruczniku! – krzyknął Ratczak. Jego głos tłumiła guma maski. – Nawet Donka nie ma.

– Donka? – zapytał z głupia frant Koller.

– Ich psa.

Koller wzniósł oczy do nieba, ale szybko się opanował. Mogło być znacznie gorzej.

– Pierwszy Rosiek do środka, trzecia drużyna ubezpiecza – rozkazał. – Galaś, z wozu i do mnie. Wchodzimy! Powoli, panowie. Pierwsza drużyna ze mną. Sprawdzimy budynek dowodzenia i radiostacji, druga przeszukuje baraki i difak. Nie zbliżać się do skał. Działonowy, to twój rejon.

Wóz powoli przejechał przez bramę, mrucząc jak wielki, stary niedźwiedź. Żołnierze instynktownie trzymali się blisko stalowego kadłuba. Rozchodzące się wokół promienie latarek taktycznych i jasna smuga reflektorów były jedynym blaskiem w absolutnej ciemności.

Blask ten wyrwał z mroku fragmenty gniazda.

Pozbawione śladu życia alejki, biegnące pomiędzy kanciastymi kontenerami mieszkalnymi. Odrapana, aluminiowa blacha, wśród której rezonowało echo. Porozrzucane po boisku do siatkówki ogrodowe krzesła, z których część była połamana przez wiatr. Piłka przy betonowej podmurówce. Pranie, pozakręcane na sznurkach albo wiszące bezwładnie na ostatnim ze spinaczy. Skrzynki na odchody. Plastikowe rury do sikania, w migotliwym świetle latarek kładące – niczym szpony potwora – rozedrgany cień na skałach.

Gdzieś z tyłu bazy, w tle: ciasne, poskręcane ujścia bazaltowych korytarzy, w których załamywało się światło i między którymi wył wiatr.

Żołnierze stawiali kroki ostrożnie, niespokojnie rozglądając się na boki. Gniazdo, tak ciche i bezludne, zdawało im się jeszcze bardziej odległe zza cieknącego na oczy potu i parujących okularów masek przeciwgazowych. Słyszeli tylko własne oddechy i to potęgowało nastrój niepewności i zwykłego strachu.

Koller widział drugą drużynę, która stanęła na wprost drzwi do baraków. Dostrzegł wyraźne wahanie, z którym dowódca, sierżant Balszkowski, szykował się do wejścia. Dawaj, pomyślał. Nikt za ciebie tego nie zrobi. Sierżant, jakby słysząc myśli porucznika, nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Żołnierze jeden po drugim zniknęli w środku.

Koller odetchnął z ulgą, po czym odwrócił głowę. Miał własny pododdział.

Skradali się ciszej niż antyterroryści w najlepszych czasach Pruszkowa i Wołomina. Porucznik spojrzał na idącego tuż przed nim Ratczaka. Szeregowy poruszał się miękko, na ugiętych nogach, z palcem zranionej o drut, krwawiącej dłoni na spuście.

Zatrzymali się przed drzwiami. Średnia ilość oddechów na minutę u dorosłego człowieka wynosi szesnaście. Zaparowania na masce Ratczaka drgały co najmniej dwukrotnie częściej. Żołnierz cofnął się, z nietrudnym do odgadnięcia zamiarem wywalenia kopem drzwi z zawiasów. Koller powstrzymał go ruchem dłoni. Pomny doświadczeń Balszkowskiego podszedł bliżej i powoli nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte.

Koller pstryknął przełącznikiem, ale światło nie zabłysło. Najwyraźniej w agregacie prądotwórczym skończyło się paliwo.

Korytarz baraku dowodzenia przywitał ich gorącą, nieruchomą ciemnością. Wyłaniały się z niej meble w zwykłych dla siebie miejscach, a drobne pyłki tańczyły w blasku latarek. Żołnierze widzieli pełne zakurzonych teczek szafki oraz fotele, których obicia znaczyły plamy po herbacie. Słyszeli niedomknięte, skrzypiące cicho drzwi. I chrzęst piachu, wyraźnie brzmiący pod stopami.

Kolejno, z bronią przy ramieniu, pochyleni nad celownikami, na lekko ugiętych kolanach wchodzili do korytarzy i pomieszczeń. Zdawały się one mówić tylko jedną rzecz: jedyne, co odbiega od normy, to siedmiu zdenerwowanych mężczyzn w pełnym oporządzeniu szukających nieistniejącego wroga. Pustka. Żadnych śladów walki. Nic, co wskazywałoby na pośpieszną ewakuację. Po prostu zamarła w bezruchu codzienność, która przyprawiała o ciarki.

Pokój odpraw przywitał ich długim stołem, kilkoma krzesłami i mapą okolicy na ścianie. Nie było tam okien ani półek.

Gabinet dowódcy był przynajmniej zwyczajnie umeblowany. Na biurku stała niedopita kawa, a w krzyżówce leżącego tuż obok popularnego magazynu brakowało zaledwie dwóch liter do hasła.

– Panie poruczniku – szepnął Galaś. – Kurtka.

Na wieszaku, skrytym dotąd za szafą na dokumenty, wisiała kurtka z pagonami porucznika. „Jamróz” – głosił napis na piersi. Z kieszeni po drugiej stronie wystawały papierosy.

– Może miał dwie – powiedział Ratczak.

– I trzymałby jedną tutaj? – spytał Koller z powątpiewaniem. Pociągnął drzwiczki szafy. Była zamknięta. – Przeszukaj biurko.

Pulpit, poza kawą i czasopismem, był pusty. Szeregowy począł wysuwać szuflady. Zajęczały metalowe prowadnice.

– Kwatermistrzostwo, podania żołnierzy… – recytował po kolei Ratczak. Galaś przyświecał mu latarką. – Raporty patroli!

– Jest coś z dzisiejszą datą? – ożywił się Koller.

– Nie, wszystko stare.

– Zostaw, szkoda czasu.

Obok znajdował się prywatny pokój Jamroza. Znaleźli w nim jedynie kilka historycznych książek i Biblię, ułożone na półeczce wykonanej z sosnowych desek po skrzyni z amunicją. Poza tym panował tam absolutny, wzorcowy wręcz porządek. Skarpety i bielizna równo poukładane, koszule wyprasowane, podkoszulki złożone w kostkę. Wszystko wyczyszczone i odkurzone, pachnące cytrynowym płynem.

– Nadal uważacie, że taki facet jak Jamróz zostawiłby kurtkę w gabinecie? Ona tu w ogóle nie pasuje – spytał Koller.

Żołnierze zachowali milczenie. Sami nie wiedzieli, co myśleć.

Ruszyli dalej, do znajdujących się w osobnym kontenerze kwater podoficerów, połączonych jednym przejściem z sypialnią dowódcy i gabinetem. Tam, w dużym wspólnym pokoju, odkryli więcej śladów życia. Szczyt szafki ze sklejki zajmowało kilka puszek po piwie, tuż obok wyłączonej mikrofalówki. Na podłogę między łóżkami ktoś rzucił ręcznik; nieco dalej stało Playstation, z ciemnym, jakby martwym ekranem. Ściany służyły jako element typowej dekoracji; od podłogi do sufitu oklejone zostały plakatami z mniej czy bardziej (na ogół bardziej) rozebranymi panienkami, zdjęciami rodziny czy sportowych samochodów, zależnie od potrzeb i fantazji.

Ratczak poświecił na leżące przy konsoli pudełko.

– „Modern Warfare”. Syn mojego brata w to gra – rzucił, ale nie rozładowało to atmosfery. Tylko jeden z szeregowców zaśmiał się nerwowo, potem zapadła jeszcze bardziej dojmująca cisza.

Koller myślał intensywnie. Bałagan. Ale nie bałagan pośpiechu i nerwów. Po prostu zwykły, codzienny nieporządek.

– Panie poruczniku! – powiedział Galaś. – Telefony.

Za piwem leżał telefon komórkowy, nieco dalej – pod poduszką – drugi. Kollerowi nie wydało się to dziwne, choć wiedział, że wielu żołnierzy woli zostawiać komórki w Polsce i nie zabierać ze sobą codziennych problemów w postaci niezapłaconych rachunków, ponagleń z banku czy pretensji o nieobecność na wywiadówce. Niebagatelny był fakt, że na misjach co prawda płacono nieźle, ale dziesięć złotych za minutę rozmowy dość łatwo mogło to uposażenie uszczuplić.

– Sprawdź, kiedy wykonano ostatnie połączenie.

– Z tego… wczoraj. Jakiś numer w Polsce. Z tego spod poduszki dawno… – Galaś zamilkł i zaczął intensywnie przyciskać klawisze.

– Co jest?

– Afgańska sieć. I afgański numer.

Koller kiwnął głową. Umiał dodać dwa do dwóch; miał nadzieję, że tylko on.

Jeden z podoficerów Jamroza handlował opium.

Co tu się działo?

Zostało pomieszczenie radiostacji. Znajdowało się w osobnym kontenerze, tuż obok, miało też własny, osobny agregat dla najważniejszych urządzeń. Ścianę naprzeciwko drzwi zajmowało tam sześć ekranów, spod których szły niezamaskowane kable do czterech połączonych ze sobą biurek z komputerami. Po lewej stronie była otwarta przestrzeń, którą zajmowała jednostka centralna. Wielkie metalowe pudło. Serce radiostacji.

Byli już właściwie w środku – Koller, Galaś i jeszcze trzech żołnierzy – gdy usłyszeli hałas. Ktoś szybko biegł po metalowych schodkach na zewnątrz. Ciężkie buty uderzały o stal. Cała piątka bez komendy przyklękła, z napięciem obserwując drzwi. Lufy karabinów drżały. Koller zdał sobie sprawę, że wszyscy – łącznie z nim samym – są na granicy, że ich nerwy trzymają się na ostatnich, naprężonych do ostateczności nitkach.

Kroki urwały się po chwili.

– Nie strzelać! – dobiegł ich głos stojącego na zewnątrz Ratczaka. – Swój.

W drzwiach pojawił się Balszkowski, facet wzrostu Kollera, tyle że zdecydowanie bardziej przysadzisty. Co złośliwsi powiedzieliby nawet, że brzuchaty.

W jednostce nazywano go „Złomiarzem”. Cztery razy siedział w Rosomakach, które wjechały na ajdika; kumple śmiali się, że je złomuje. Facet miał zresztą niebywałe szczęście: nigdy nie stało mu się nic poza chwilową utratą słuchu.

Koller odetchnął z ulgą i opuścił karabin. Czuł na plecach strumyczek potu. Cholerna baza, cholerny Karski, cholerny Afganistan.

– Pan pójdzie ze mną na difak, panie poruczniku. Znalazł się Donek – powiedział Złomiarz lekko zachrypniętym głosem. Koller nie był pewny, ale Balszkowski wyglądał na rozbawionego.

– Kto?

– Ich pies.

– Mam iść oglądać psa?

– Pan zobaczy – potwierdził Złomiarz, nie dostrzegając w zaproszeniu niczego dziwnego.

Koller kiwnął głową. Spojrzał na kaprala, który grzebał gdzieś w kablach u podstawy jednostki centralnej.

– Galaś?

– Tak jest, panie poruczniku?

– Jak sprzęt?

– Przekaźnik z kamer prawdopodobnie spalony. Dlatego nie było dostępu z Ghazni – rzucił kapral z klęczek. – Jakieś spięcie. Na pewno mają zapasowy. Kilka innych bezpieczników też się chyba sfajczyło, ale to mały problem. Wymienię, zresetuję system i wszystko będzie śmigać. Trzeba tylko potwora nakarmić. – Koller domyślił się, że chodzi o agregat. – Ten zapas już ledwo zipie.

– Ratczak, zajmij się tym – rozkazał porucznik, widząc, że szeregowy zagląda przez drzwi. Spojrzał znowu na kaprala. – Chcesz odtworzyć nagrania z kamer?

– O ile dyski twarde są w porządku. Warto byłoby zobaczyć, co tu jest grane, nie?

– Długo ci to zajmie?

– Godzinę, dwie. – Galaś wskazał na maskę. – Pod warunkiem że wcześniej się nie uduszę.

Koller pozostawił tę uwagę bez odpowiedzi. Odwrócił się w stronę Balszkowskiego.

– Dobra – powiedział. – Prowadź do tego psa.

Kiedy szli przez plac, widział napięcie, z jakim trzecia drużyna wpatrywała się w wyloty skalnych ścieżek. Tak musieli wyglądać Rzymianie Warusa, gdy maszerowali przez bukowe lasy Germanii. Koller skarcił się

w duchu za to porównanie. Skały Raji pobudzały najwyraźniej także jego wyobraźnię. Wziął głęboki oddech. Zbędny balast. Za dużo wrażeń. Za mało logicznego myślenia.

Przed wejściem do stołówki czekało dwóch żołnierzy. Na widok oficera natychmiast uchylili drzwi. W środku ujrzał podporucznika Ścickiego, który kiwnął mu głową.

Ścickiego i…

…pole bitwy.

Stołówka była jednym wielkim, wypełnionym żarciem pobojowiskiem. Cokolwiek się w niej stało, wydarzyło się w trakcie lub zaraz po wydaniu posiłku. Szczątki talerzy, szklanek, plastikowe tace zajmowały podłogę. Ocalałe naczynia leżały poprzewracane na stołach. W powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa, musztardy i octu.

Koller ruszył środkiem. Szkło i plastik trzeszczały pod butami. Rozglądał się w poszukiwaniu zwłok, aż doszedł do końca pomieszczenia. Tam znalazł psa.

Donek leżał na boku, w kącie. Miał minę najszczęśliwszego zwierzęcia w historii i monstrualnie wydęty brzuch. To, co znajdowało się wokół, przypominało resztki po konkursie jedzenia na czas parówek, schabowych i wszelkich dodatków.

– On to wszystko…? – spytał Koller, rozglądając się jeszcze raz po sali.

Złomiarz podrapał się obok ucha, przy pasku maski. Pies dyszał ciężko, niemal nieprzytomny z przejedzenia i szczęścia.

– Raczej. Zżarł posiłki dla czternastu ludzi, policzyliśmy. Dlatego nie miał siły na nas szczekać. Ale poza tym chyba jest okej. O ile nie pęknie.

– Dobra – powiedział Koller, zdejmując maskę. Był cały przepocony, choć noce w Afganistanie nie należały do ciepłych. Mimo strachu, zmęczenia i frustracji chciało mu się śmiać. Pieprzony Donek. – Jeśli pies jest zdrowy, my też. Balszkowski, odwołaj pogotowie gazowe. Ścicki, obejdź obóz, obsadź wszystkie wieże, wprowadź pozostałe wozy do bazy i każ zamknąć bramę. Do odwołania rozkazów zachowujemy się, jakby naszym przydziałem było Raji, jasne?

– Tak jest!

– Ścicki.

– Tak? – Podporucznik zatrzymał się w pół kroku.

– Każ zaminować wyjścia ścieżek w skałach. I wyznacz trzech ludzi, którzy będą je obserwować przez noc. Ustaw jednego Rośka tak, by miał je w zasięgu ognia. Rano zdejmiemy ładunki i zorganizujemy dokładne przeszukanie.

– Ale…

– Rano – powtórzył Koller nieco ostrzej, niż zamierzał. – Jest ciemno, wszyscy padają na pysk. Nie chcę żadnych wypadków przy pracy, jasne?

Ścicki skrzywił się, ale nie dyskutował.

Koller rozumiał go. Jego też kusiło, żeby rozwikłać zagadkę jak najszybciej, ale nie chciał ryzykować życia żołnierzy. W środku nocy, zmęczeni, mogli przeoczyć coś ważnego. Teren mógł zapełnić ładunkami wybuchowymi wróg, o ile taki istniał, albo nawet ludzie Jamroza.

Sierżant i podporucznik zniknęli za drzwiami. Koller wrócił do pomieszczeń łączności. Wokół jednostki centralnej walały się resztki poprzycinanych kabli, stare wypalone bezpieczniki i fragmenty metalowych płyt rozkręconej obudowy.

– Co z radiostacją? – spytał od wejścia.

– Dziwne, panie poruczniku – odparł kapral, poprawiając posklejane włosy. – Poza tymi bezpiecznikami wszystko jest w najlepszym porządku. Sprzęt włączony na nasłuch, połączenie z satelitą idealne.

– To zdaje się wam dziwne?

– Melduję posłusznie, że tak jest, panie poruczniku. Gdzieś tu ktoś zapomniał zostawić notki „zaraz wracam, obiad na stole”.

– Raczej w psie.

– Słucham?

– Nieważne. Co z nagraniami?

– Jeszcze trochę. Zacząłem od łączności, bo myślałem, że z tym będzie najwięcej roboty.

– Dobra. Nawiąż kontakt z Ghazni i poinformuj ich, co znaleźliśmy. – Koller zastanowił się chwilę. Co w zasadzie znaleźli? – Tylko bez siania pa-

niki – powiedział wreszcie. Znając Karskiego, pułkownik i tak zwariuje. – Nigdzie nie ma śladów walki.

– …No w sumie nie – odparł Galaś z ociąganiem.

– Ale?

– Ale widział pan tu jakąś broń? Albo Rosomaki?

10

Rozmowa przebiegła w dość typowy sposób. Szczerze mówiąc, Koller nie spodziewał się niczego innego. Karski najpierw przez pięć minut krzyczał, że to niemożliwe, żeby wszyscy zniknęli, i czy na pewno wszystko dobrze sprawdzono. Dał spokój dopiero, kiedy porucznik odparł, że pułkownik może przyjechać i sprawdzić sam. Ostatecznie Karski nakazał powstrzymać się od jakiegokolwiek działania, co zaskoczyło Kollera równie mocno jak śnieg w środku zimy.

Resetowanie systemu zajmowało Galasiowi sporo czasu i jeszcze więcej przekleństw. Jedyne rzetelne źródło informacji, film, który mógł coś wyjaśnić, wciąż nie był dostępny.

Koller ruszył na obchód. Pragnął zabić czas, uspokoić ludzi swoją obecnością i upewnić się, że należycie wykonali rozkazy. Miał też osobisty interes: chciał rozchodzić stres, złapać oddech i uporządkować myśli, choć czuł, że dopóki nad gniazdem nie wzejdzie słońce, a lodowaty wiatr nie przestanie wyć na grani, będzie to mało prawdopodobne.

Mijał kolejnych żołnierzy i miał wrażenie, że nie okazują już niechęci tak ostentacyjnie. Tylko jeden szeregowiec splunął, kiedy przechodził obok ustawionego na środku placu Rosomaka, co w porównaniu z zachowaniem w Ghazni Koller uznał za pewien krok naprzód. Powód, jakkolwiek chętnie tłumaczyłby to swoją szczerością w wozie, był prosty.

Uwaga plutonu była skupiona na skalnych ścieżkach. Ludzie Ścickiego kończyli minowanie wejść.

Porucznik wciąż zastanawiał się, czy zrobił dobrze, odwlekając oczyszczenie skał do jutra. Wchodzenie w te pajęcze labirynty w środku nocy, bez szczegółowej wiedzy o tym, jak się układały, było głupotą. Pytanie jednak, czy w obecnych okolicznościach pozostawienie blisko jednej trzeciej terenu

bazy niezbadanej okaże się mądrzejsze. Czuł niepokój, jakiś zupełnie niezależny od wiatru chłód, gdy patrzył w tamtą stronę. Wiedział, że żołnierze odczuwają to samo. Wielu z nich nie będzie w stanie zasnąć do rana.

Ruszył w stronę północnej części urwiska. Kroczył powoli, a światło reflektorów, które wydobyło wreszcie bazę z mroku, i towarzyszące mu echo warkoczącego agregatu wcale nie napełniały spokojem. Gdy stanął przy krawędzi, w pełni zdał sobie sprawę, jak wysoka i ostro zwieńczona jest grań. Widział niezmierzoną pustkę nocy, dopiero daleko na horyzoncie rozjaśnioną słabym światłem nielicznych wsi.

Gniazdo naprawdę mogło obserwować całą dolinę, a wieże strzegły każdej ze skalnych ścian. Najsłabszym punktem była brama, jednak także z tamtej strony w promieniu co najmniej trzystu metrów niezauważona nie przecisnęłaby się nawet mysz. Każdy wróg, choćby najlepiej wyszkolony czy najbardziej liczny, poniósłby ciężkie straty, już tylko próbując skrócić dystans.

Porucznik usłyszał chrzęst piachu za sobą. Ścicki stanął tuż obok.

– Rozlokuj w łóżkach tych, którzy nie mają wyznaczonych zadań – powiedział Koller. – Jest późno, mamy za sobą długą drogę, a rano czeka nas sporo pracy. Chcę, żeby byli wypoczęci.

Podporucznik milczał chwilę. Krzysztof Ścicki był człowiekiem, jak się zdawało, zdjętym wręcz z półki z podręcznikowymi oficerami niskiego szczebla. Nie mówił dużo, nie narzekał, palił tylko przed patrolami, na te zaś często zgłaszał się sam i niewiele więcej dało się o nim powiedzieć. Podobno świetnie grał w FIFĘ, piłkarską grę na konsoli Playstation. Przez trzy tury miał czas się nauczyć. Niestety, jako człowiek z podręcznika, nikogo nie obdarzał zaufaniem zbyt łatwo. A zwłaszcza gdy o rzeczonym osobniku krążyła masa sprzecznych, zwykle negatywnych opinii. Traktował więc swojego przełożonego z ogromną rezerwą. Był jednak profesjonalistą i nie pozwalał, by cokolwiek zaburzyło mu ogląd rzeczywistości.

– Będzie ciężko, panie poruczniku.

– Bo?

– W barakach są rzeczy żołnierzy Jamroza. Ludzie są przesądni, gadają. Nie chcą spać w ich łóżkach.

– Nie ma innego wyjścia – odparł Koller tonem, który miał znaczyć, że rozumie obawy podporucznika. – Spróbuj ich przekonać. Niech prześpią się chociaż kilka godzin. Jeśli ktoś bardzo nie chce, może da się go zmieścić w którymś z Rosomaków. Daj im taką opcję, ale nie zachęcaj przesadnie.

W głosie Ścickiego znać było powątpiewanie.

– Dużo to nie pomoże – powiedział, odchodząc. – Wielu miało tu przyjaciół.

Koller kiwnął głową i ruszył w stronę radiostacji.

Też ich tu miał.

11

Porucznik Leszek Jamróz.

Początkowo nie umieli się dogadać. Skazani na siebie w akademiku Wyższej Szkoły Oficerskiej mogli służyć za wzorzec dziecięcego wierszyka o Pawle i Gawle. Jamróz był spokojny, wyważony, czasem wręcz melancholijny. Potrafił podejmować ryzyko, ale lubił je wcześniej przeanalizować, co Kollera doprowadzało do furii. Sam wolał rzucić się na żywioł, improwizować, w myśl zasady, że nic tak nie rozwija jak praktyka, a konieczność jest najlepszą motywacją do wysiłku. Jamróz miał świetne oceny, nie pił w nadmiarze i ze spokojną determinacją szukał dziewczyny na całe życie. Koller na egzaminy przychodził skacowany, a na imprezach próbował podrywać wszystko, co miał w zasięgu wzroku. Nieraz potem musieli z tego powodu prowadzić nierówną walkę z miejscowymi, przy użyciu najbardziej popularnej z honorowych broni polskiej wsi. Sztachet z płotów.

Jamróz nigdy się nie zmienił, Koller tak.

Patrząc w przeszłość, porucznik nie miał wątpliwości, jak wielkim był idiotą. Na ostatnim roku przeżywał niekończący się festiwal coweekendowych imprez, kiedy potrafił wyjechać samochodem w czwartek wieczorem, przebalować trzy dni nad morzem i na podwójnym gazie przyjechać wprost na zajęcia. Na uwagi przyjaciela odpowiadał, że po pijaku jeździ lepiej niż na trzeźwo. W rzeczywistości tak nie myślał. Kłopot polegał na tym, że nie myślał wcale.

Wypadek, który spowodował, nie należał do najbardziej brzemiennych w skutki. Na swój sposób był nawet kuriozalny. Dwa samochody zderzyły się na prostym odcinku pustej wiejskiej drogi. Wina leżała po obu stronach. Z jakiegoś powodu postanowili się ścigać, stary polonez musnął starego volkswagena i oba wylądowały w rowie.

Policja zabrałaby im prawo jazdy, rzecz oczywista. Jednak dla słuchacza szkoły oficerskiej, o nie najlepszej reputacji, podobne zdarzenie mogło oznaczać jedyne możliwe następstwo: wydalenie. Tylko ktoś cieszący się powszechnym szacunkiem, o nienagannych ocenach i sympatii wykładowców, miał szansę ocalić karierę. Ktoś taki jak Jamróz.

Leszek przyjechał w środku nocy i wziął na siebie całą winę. Jakoś zdołał przekonać kierowcę drugiego wozu, żeby Kollera wyłączyć z tej sprawy. Udało się, choć policja była bardzo podejrzliwa. Jamróz wykazał się honorem i lojalnością, o jakich zwykle czyta się w książkach. I to mimo że nie miał wielu powodów, żeby lubić kolegę z pokoju. Patrząc wstecz, Koller sam nie bardzo lubił siebie z tamtego okresu.

Wtedy zmienił się po raz pierwszy. Sprzedał samochód, ograniczył imprezy. Nadal był narwany, ale zaczął myśleć. Gdyby nie to, nigdy nie zostałby żołnierzem. Zawdzięczał to szansie, którą dał mu przyjaciel ze szkoły oficerskiej.

Teraz ten przyjaciel zniknął. A wraz z nim trzydziestu ludzi.

12

Około pierwszej w nocy Galaś zaklął, po czym kilkakrotnie kopnął w obudowę głównego komputera.

– W Polsce nawet dom dziecka nie wziąłby takiego złomu – powiedział, wyciągając z wnętrza myszki kłębek kurzu. Koller otworzył oczy, po czym ujrzał kaprala patrzącego na niego z triumfem w oczach.

– No? – spytał, ziewając.

– Działa.

Koller przetarł powieki, co pozwoliło mu na dobre wyrwać się z sennego odrętwienia.

– Są nagrania?

Galaś wszedł szybko w ustawienia kamer umieszczonych na balonie oraz w różnych miejscach bazy, po czym pootwierał foldery odpowiedzialne za archiwa.

– Melduję posłusznie, że tak jest. Dużo tego – stwierdził. – Cały zeszły tydzień.

– Kiedy przestali odpowiadać?

– Mieli zameldować się o dwunastej. Wcześniej o szóstej kontakt był potwierdzony, więc zniknęli gdzieś w tym czasie. Około ósmej wracają patrole.

– Dobrze. Puść od szóstej i przewijaj na podglądzie. – Koller wskazał na wiszące na ścianie monitory. – Dasz radę zmieścić tu wszystkie rzuty?

– Jest miejsce na sześć, kamer dwanaście.

– Okej. Daj widok z góry, główny plac, urwisko, kamerę sprzed bramy, stołówkę i… – Zapatrzył się na Galasia.

– Może gabinet dowódcy?

– Niech będzie.

Galaś wstukał szybko ustawienia i na telewizorach na ścianie zaraz pojawiły się obrazy poranka w Raji.

Jamróz rozwiązujący krzyżówkę w swoim biurze. Kilku żołnierzy na boisku obok głównego placu ćwiczących na porannej zaprawie. Inni, leniwie wkraczający do stołówki; wiatr unoszący znad drogi kurz przed bramą.

Martwa ściana urwiska.

Donek wbiegł między ludzi, którzy spędzali poranek na boisku do siatkówki, Jamróz spisywał raport poprzedniego dnia, kucharze zbierali resztki, Rosomaki ruszyły na patrol.

Nuda i rutyna.

Koller przybliżył twarz do jednego z ekranów.

Na podjeździe do bazy pojawiła się kolumna wozów, ale z tej odległości porucznik nie był w stanie rozpoznać szczegółów. Dostrzegł za to, że Jamróz w swoim gabinecie poprawił mundur i pagony, po czym wyszedł na plac. Żołnierze zgromadzili się w okolicy placu apelowego. Brama uchyliła się. Obca kolumna wjechała do środka. Amerykanie. Dwa Humvee

i wielka, kanciasta ciężarówka z naczepą i podłużnym, płaskim urządzeniem na dachu, przypominająca wozy dowodzenia, ale zupełnie nieznanego Kollerowi typu.

– Ja znam tę laseczkę! – stwierdził Galaś, aż gwiżdżąc z wrażenia.

Porucznik oderwał wzrok od maszyny.

Z jednego z Humvee wyłoniła się atrakcyjna kobieta o blond włosach i wysportowanej sylwetce. Miała na sobie mundur marines. Koller dostrzegł kapitańskie naszywki na ramionach.

– Kto to?

– Kapitan Nancy Sanchez.

– Skąd ją znacie?

– Aaaa… – Kapral zawahał się, jakby oceniając, na ile może swego nowego dowódcę dopuścić do tajemnicy. – To dłuższa historia. Mieliśmy ćwiczenia w Polsce, przed wyjazdem tutaj…

– Razem z nimi?

– Tak. Zaraz jak przyjechali ci Amerykanie, major zrezygnował. Nie tylko z dowodzenia, ale w ogóle z wojska.

Koller skinął głową. Słyszał o tym coś niecoś, pół roku temu to była głośna historia. Chodziły plotki, że major Jerzy Grobicki odszedł w atmosferze konfliktu z dowódcą Piątej Brygady Pancernej, odpowiedzialnej za sformowanie batalionu. Nikt nie chciał uwierzyć, że ktoś może dobrowolnie zrezygnować z dowodzenia batalionem, jednostką w polskim wojsku unikalną. Co gorsza, skutki rezygnacji Grobickiego, obojętnie, wymuszonej czy dobrowolnej, żołnierze batalionu odczuwali do dziś. W miejsce pierwotnie planowanego oficera przyszedł Karski, co wszyscy zgodnie uznali za ostry zjazd w dół. Grobicki miał liczne wady, ale był dobrym dowódcą i inteligentnym człowiekiem. Karskiego powszechnie uważano za durnia.

– To MDS? – zapytał Koller, wskazując na ekranie wielką ciężarówkę.

– Dokładnie. Mobile Defense System.

– Co oni tu robią?

Galaś wzruszył ramionami.

– Melduję posłusznie, że nie wiem – odparł, nie precyzując, czy odnosi swoją odpowiedź do tej konkretnej sytuacji, czy ogólnie do pobytu oddziału MDS w Afganistanie. – Mieliśmy razem ćwiczyć parę miesięcy temu, ale Amerykanom się odwidziało. Nie wiem, czy przez tę aferę u nas, czy chodziło o coś innego. W każdym razie przyjechali, popatrzyli i zawinęli się, odwołując manewry. Przylecieli dopiero tutaj, ponoć podpięci pod nasz batalion. Parę razy ćwiczyliśmy tu, na miejscu, chociaż na ogół w Ghazni trzymają się ze swoimi. MDS pełnił rolę osłony… To nawet zabawnie wyglądało, muszę powiedzieć. Siedzieliśmy pod tarczą, a chłopaki ze śmigłowców napierdalali w nas ze wszystkiego, co mieli. Dym, huk jak cholera, a do nas nawet podmuchy nie dochodziły. Wszystko zatrzymywało się tam, na polu siłowym.

Koller kiwnął głową.

Miał na temat MDS-a bardzo ogólną wiedzę. Wiedział tyle, że system wykorzystuje zjawisko pola siłowego. Stworzona z niego kopułowa tarcza osłaniała znajdujących się pod nią żołnierzy. Przed wyjazdem uczulono go, żeby swoje śledztwo trzymał z dala od amerykańskiego oddziału, a w razie wątpliwości kontaktował się bezpośrednio z CIA.

Zanotował w pamięci, żeby w wolnej chwili odezwać się do kogoś z wywiadu w tej kwestii, po czym wrócił do obserwowania ekranu.

Jamróz podszedł do kobiety i zasalutował. Sanchez odpowiedziała. Wymienili kilka zdań, wskazując na sprzęt, po czym przeszli do gabinetu porucznika. Marines rozpakowywali wyposażenie. Donek wykopał coś w rogu bazy, a następnie pobiegł zanieść znalezisko między skały.

Potem przez godzinę panował spokój, przerwany dopiero przez wracające z patrolu Rosomaki. Jamróz w towarzystwie kapitan Sanchez wyszedł z biura, by przywitać żołnierzy. W kuchni coś się przypaliło, na ekranie ukazującym stołówkę widać było dym. Do bazy wjechały wozy bojowe, a za nimi samochody, po czym konwój stanął. Żołnierze wyszli na zewnątrz, wyciągając ze środka zakutych w kajdanki jeńców. Było ich kilkunastu, zgarbionych, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Trudno było uwierzyć, że wszyscy pomieścili się w ciasnych wnętrzach transporterów.

– Zatrzymaj! – rzucił Koller przez zaschnięte gardło. Obraz na ekranie znieruchomiał.

Porucznik przyjrzał się jednemu z więźniów. Nie mylił się, w sylwetce było coś znajomego.

– Możesz powiększyć tego gościa? – zapytał, dotykając palcem monitora.

Galaś kliknął prawym przyciskiem myszki i przekopiował zrzut ekranu do programu graficznego.

– Spróbuję. Tylko jakość spadnie.

– Nie szkodzi. Wystarczy, że będzie trochę większy.

– Chyba że weźmiemy kilka klatek, zrzucimy w jeden plik i wygładzimy. Wtedy powinno być lepiej.

– Działaj.

Kapral oblizał wargi i wystukał na klawiaturze prawdziwe staccato. Twarz jeńca zaczęła rosnąć, a wraz z nią tworzące obraz piksele. Paradoksalnie, im większy był kadr, tym mniej było na nim widać.

– Wystarczy – powiedział porucznik. Nie miał już wątpliwości, że zna tego człowieka.

Nim jednak rozkazał kapralowi ponownie nacisnąć przycisk „play”, usłyszał zza pleców zasapany głos Balszkowskiego:

– Dowódco! Samochody na perymetrze.

Koller odwrócił się. Żołnierz był wyraźnie czymś zaniepokojony. Porucznik nie dziwił się: pustka w bazie działała na nerwy wszystkim bez wyjątku. Myśląc o człowieku z nagrania, wyszedł na plac i od razu usłyszał odgłos silników w oddali. Nim zdążył zrobić dwa kroki, doszedł go głos Hulka, który klęczał przy bramie nad przenośną radiostacją.

– Stać, zidentyfikujcie się.

– Swoi – trzasnęło w radiu.

– Jacy swoi?

– GROM. Spodziewaliście się striptizerek?

Płynna polszczyzna. Absolutnie piękna, tym piękniejsza, że rozbrzmiewająca w kraju, w którym wystarczyło odwrócić się do miejscowych plecami, by mieć spore szanse, że przyjaźni do tej pory tubylcy wbiją w nie nóż.

– Szeregowy, otwórzcie bramę – polecił Koller.

Hulk wykonał rozkaz. Samochody wjechały wolno do środka. Porucznik dostrzegł mimochodem, że jego żołnierze mają teren w zasięgu skutecznego ognia. To nie był zły pluton. A on nie był złym dowódcą.

Z trzech samochodów wyłoniło się dziesięciu mężczyzn w czarnych jak noc mundurach. Przez piersi mieli przewieszone pistolety maszynowe Heckler & Koch MP-5, za pasami noże, na hełmach lornetki noktowizyjne. Ten, który szedł na przedzie, zdjął czarne rękawice i ruszył w stronę porucznika. Wyciągnął rękę. Miał w sobie coś z twardziela ze starych filmów. Raźny chód, wyprostowaną sylwetkę, ale przede wszystkim niesamowity, zimny spokój.

– Drab – przedstawił się. – GROM.

Koller uścisnął wyciągniętą na powitanie dłoń, czując, że uśmiecha się mimowolnie. Operatorzy GROM-u nigdy nie używali prawdziwych nazwisk. Znał jednak tego człowieka. „Drab” był pseudonimem porucznika Janusza Wojtyńskiego.

Legendy. ■

II

WALKA

1

Nancy Sanchez pojechała do Afganistanu nie dla przygody, kariery ani nawet ojczyzny. Pojechała dla Jonathana Whitmana. Ojca, który ją stworzył, wychował i który – nie mając syna – pokładał w niej całą nadzieję na kontynuację ciągnącej się od czasów wojny secesyjnej wojskowej chwały rodu. Nancy była dobrą córką. Złożyła dokumenty do West Point, nie wspominając nikomu, że przyjęto ją także na medycynę. Nie mogąc pogodzić obu aktywności, zrezygnowała z marzeń o zostaniu lekarzem i postanowiła nigdy tego nie żałować. Szybko awansowała i była ceniona przez przełożonych, jednak jako zaledwie kapitan nie wyróżniała się w pełnym generałów albumie rodzinnym. Wiedziała, że jej pozycja ojcu nie wystarcza. Zdobywała więc pochwały za wzorową służbę, jeździła na wymiany i kursy. Nie wahała się bawić w odrobinę polityki przy okazji comiesięcznych koktajli w wilii Whitmanów nad brzegiem Atlantyku. Szukała swojej szansy.

Szansy takiej jak MDS, najlepiej strzeżone przedsięwzięcie wojskowe od czasów projektu Manhattan. Najdroższa pozycja w historii budżetu USA zaraz po programie Apollo. Pole siłowe, podróże w czasie. Science fiction w czystym wydaniu.

A w awangardzie najważniejszego wynalazku nowej ery Nancy Whitman jako dowódca MDS Unit. Nie szkodzi, że w oficjalnych dokumentach występowała pod nazwiskiem męża. Zorientowani i tak wiedzieli, o co chodzi. Najważniejsze, że wiedział ojciec.

Jednak nigdy nie powinna była jechać do Afganistanu.

Błagała ją o to matka, za plecami ojca. Prosił Jerzy Grobicki na wojskowym lotnisku gdzieś na południu Polski, gdzie po raz pierwszy poza granicami USA mieli testować MDS. Jurek. „Dżazi”, jak to wymawiała. Człowiek, którego nie widziała od osiemnastu lat. Którego kiedyś, w dawnym życiu, kochała. Major Wojska Polskiego. Przeznaczenie krzyczało coś w jej racjonalnym na co dzień umyśle. Nancy nie wierzyła w nie. Nie mogła zrozumieć dawanych przez podświadomość sygnałów. Obecność Jerzego była ledwie pierwszą niespodzianką, zdecydowanie najmniejszą.

Podczas krótkiego, chaotycznego, wypełnionego po brzegi emocjami spotkania powiedział: „Nie jedź”. A potem pokazał dziecko, dwuletniego chłopca tak bardzo do niej podobnego; myślała, że oszaleje. Nie urodziła go, choć przecież czuła, że jest jej. Niczym w transie słuchała surrealistycznej opowieści Grobickiego. Pomyślała, że to wielkie kłamstwo, a jednocześnie była pewna, że wszystko zgadza się co do joty. Instynkt, ten nieomylny kompas, podpowiadał, że rzeczywiście miała swoje alter ego, podobnie jak opowiadający te słowa Grobicki. Oboje przeżyli w przeszłości wielką wojenną przygodę, przez kilka lat wiedli szczęśliwy żywot w Ameryce, czego owocem był właśnie beztrosko śmiejący się chłopiec mówiący do niej „mamo”. Po czym oboje zginęli, każde w innych, choć równie dramatycznych okolicznościach. Pozostał dwuletni Johny.

Nikt by w to nie uwierzył. Niemal nikt.

Zostawiła chłopca Grobickiemu, po czym obiecała mu, że po powrocie natychmiast zadzwoni. Nie mogła zrezygnować z wyjazdu na misję, zresztą i tak musiała mieć czas, by wszystko na nowo przemyśleć. Wyjechała targana sprzecznymi uczuciami i czymś na kształt wyrzutów sumienia. Tęsknić zaczęła niemal natychmiast, ku jej zaskoczeniu, za oboma Grobickimi, małym i dużym. Przez kilka pierwszych tygodni w Afganistanie niewiele się działo, jej aktywność ograniczała się do kontrolowania procedur, ćwiczeń, zgrania z pododdziałami batalionu i utarczek z nowym dowódcą, pułkownikiem Karskim, którego osobowość, nie mówiąc o kulawej, niegramatycznej angielszczyźnie, przyprawiała ją o naprzemienne napady śmiechu i wściekłości. Zastanawiała się, co dalej począć ze swoim życiem po powrocie. Wielokrotnie podchodziła do telefonu, by zadzwonić do Polski, próbowała

wytłumaczyć sobie samej, że to wszystko jest rodzajem snu, kiedy przyjazd do bazy w Raji odmienił wszystko.

Nie tylko dla niej.

Dla każdego człowieka, który znalazł się tamtego dnia w Raji, życie zmieniło się bezpowrotnie.

Przynajmniej dla tych, którzy przeżyli.

2

Leszek Jamróz zgłosił się na misję, by spełnić obowiązek żołnierza. Walczyć. Był wzorowym oficerem i nie wyobrażał sobie siebie siedzącego w domu, gdy inni narażają życie. Nie interesował się przyczynami i dylematami wojny z terrorem ani polityką. Pojechałby znacznie wcześniej, ale dawny dowódca w Polsce blokował każdego, kto nie był lizusem. Dopiero sformowanie Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego było dla Jamroza szansą.

Antosz Skrawiński, tłumacz plutonu Jamroza, chciał zebrać materiały do doktoratu z antropologii.

Sierżant z pierwszej drużyny, Siemieniak, zamierzał zrobić kurs oficerski. Afganistan dobrze wyglądałby w papierach. No i sierżant miałby pieniądze na wykończenie piętra w domu. Już cztery lata pozostawało nietknięte.

Chorąży Bączkowski nie interesował się żadną wojną, potrzebował adrenaliny. Nie umiał usiedzieć na miejscu. W domu bez przerwy bawił się w sporty ekstremalne, od skałkarstwa, przez nurkowanie na bezdechu, skoki ze spadochronem, a ostatnio na BASE jumpingu kończąc. W swoim życiu zanotował dwadzieścia sześć złamań. Pewnego dnia żona powiedziała, że jeśli tak bardzo potrzebuje wrażeń, niech przynajmniej ona nie musi na to patrzeć. Dwa miesiące później siedział w samolocie do Ghazni.

Timothy James, marine z Teksasu, chciał zostać bohaterem.

Ze wszystkich tych ludzi Nancy znała tylko Jamroza i Jamesa.

3

Ostatnim, co pamiętała Nancy, była rozmowa z Jamrozem. Niedługa, pełna formalności wymiana zdań, kiedy to lodowatym tonem informowała

polskiego porucznika o niedopełnieniu podstawowych procedur bezpieczeństwa. W bazie, w której znajduje się MDS, nie powinno być żadnych osób postronnych, a już zwłaszcza wrogich jeńców.

Jamróz też to pamiętał. Choć jego zdaniem owo spotkanie mocno nadwyrężało definicję słowa „rozmowa”. W trakcie rozmowy interlokutor dałby mu wypowiedzieć chociaż jedno pełne zdanie. Kolejnym… Kolejnym wspomnieniem porucznika był chaos. Coś stało się z MDS-em.

Antosz Skrawiński palił papierosa oparty o wóz bojowy, Siemieniak opieprzał szeregowców, a Timothy James drapał się po jajach. Bączkowski obgryzał paznokcie wewnątrz swojego Rosomaka. Żona nienawidziła, gdy to robił.

Bączkowski nigdy więcej nie zdenerwował żony.

Ciała ich wszystkich przeszył dreszcz, zakręciło im się lekko w głowach, niczym po zbyt długim przebywaniu na słońcu. Bączkowski miał nawet lekki odruch wymiotny. Rozciągająca się nad Raji sfera pola siłowego MDS-a – niezbyt dobrze pamiętali, kiedy się tam pojawiła – pociemniała i na kilka sekund zasłoniła niebo. A potem… znaleźli się pośrodku placu, tak samo nierównego jak w Raji, otoczonego tymi samymi skałami. W miejscu blaszanych baraków stały jednak płócienne namioty, zaś betonowe ogrodzenie i bramę zastąpił kamienny mur i zwyczajne zasieki. Zamiast wysokich stalowych wież nad placówką wznosiły się znacznie niższe, drewniane.

Nancy rozejrzała się. Obok żołnierze tworzący MDS Unit spoglądali po sobie z wpółotwartymi ustami, tak samo zaskoczeni i zdezorientowani jak ona. Nieco dalej zgromadzony wokół trzech Rosomaków pluton Jamroza kwitował sytuację stekiem przekleństw. Kilkunastu jeńców klęczało i rozglądało się wokół.

A potem wszyscy nagle zamilkli.

Timothy James zamarł z dłonią w spodniach. Skrawiński uszczypnął się.

To nowe Raji-Nieraji miało własnych lokatorów. Amerykanie i Polacy nie zdążyli im się przyjrzeć. Dostrzegli płaszcze, bliźniaczo podobne do tych, które znali z czarno-białych zdjęć i wojennych filmów. Mundury szyte przed laty przez Hugo Bossa dla wojsk Wehrmachtu.

Ludzie, którzy je nosili, z pewnością nie byli Niemcami. Mieli ciemne oczy, gęste, czarne włosy i opalone na brąz twarze.

Byli równie zaskoczeni jak oni.

4

Gdy rozbrzmiała pierwsza seria, kapitan Sanchez padła na ziemię. To samo uczynili wszyscy wokół, poza Jamesem, który zaczął wydzierać się na swoich ludzi, i Bączkowskim, który siedział w wozie.

Nancy zerwała z ramienia karabin i kręcąc głową na boki, starała się zorientować w sytuacji. Próbowała obserwować walkę, wciąż zmagając się z dojmującym uczuciem nierealności. Kto do kogo właściwie otworzył ogień? I po co?

Skrawiński rozglądał się za bronią. Dopiero co miał Beryla w dłoniach, w końcu przed chwilą wrócili z patrolu, ale teraz nie mógł go znaleźć.

Serie trzech osadzonych na wieżach czechosłowackich ciężkich karabinów maszynowych ZB vz. 37 kalibru siedem dziewięćdziesiąt dwa milimetra uderzyły w środek stojącego na placu tłumu. Niemal w tym samym momencie w wieżę pierwszego Rosomaka trafił pocisk z niewielkiej armaty tej samej produkcji. Wykonane w zakładach Škody czterdziestosiedmiomilimetrowe działko KPUV zyskało kiedyś miano niszczyciela czołgów.

Eksplozja przebiła pancerz. Bączkowski odgryzł sobie końcówki palców, ale nie miało to większego znaczenia. Wywołany wybuchem wzrost ciśnienia sprawił, że pękły mu bębenki i naczynka w oczach, a klatka piersiowa została dosłownie zmiażdżona.

W wozie nikt nie przeżył.

5

Nancy próbowała zorientować się, gdzie właściwie są jej ludzie. Mimochodem zaobserwowała kolejny szczegół. Będąc perfekcjonistką, przed wyjazdem zapoznała się z każdym rodzajem uzbrojenia, jakie stosowali Afgańczycy, naród, który przed wiekiem zasłynął jako najlepsi rusznikarze Bliskiego Wschodu.

To, z czego zaczęto strzelać, nie znajdowało się jednak na liście przygotowanej przez specjalistów z Korpusu Marines.

Ludzie nie zastanawiali się dłużej, kto właściwie strzela.

Bardziej martwiło ich, że robi to celnie.

Czas nagle przyśpieszył. Dużą część polskiej załogi Raji zmiana scenografii i aktorów zaskoczyła w trakcie codziennych zajęć: sprzątania, zaprawy, gotowania. Impet pierwszych serii ciężkich karabinów maszynowych rozerwał piersi stojących najbliżej samotnej wieży kucharzy plutonu Jamroza. Nawet nie wiedzieli, że umierają. Ich pokrwawione ciała upadły na plac jako pierwsze, a krzyki utonęły w łomocie serii i złowrogim dzwonieniu rykoszetów.

Jakiś człowiek – Nancy nie znała nazwiska sierżanta Siemieniaka – wpadł między żołnierzy z grupy patrolowej i z siłą niedźwiedzia zaczął rozrzucać ich na boki, za wozy.

Tymczasem los kucharzy podzielili inni. Trafiony potężnie w brzuch kwatermistrz plutonu jakimś cudem ustał na nogach, cofnął się o krok, potem drugi, wykrzykując imiona swoich dzieci. Wreszcie oparł się plecami o pancerz Rosomaka. Dopiero wtedy zamilkł. Obaj radiooperatorzy zginęli od razu. Czaszka pierwszego pękła jak arbuz, drugi – trafiony w serce – upadł w piach, twarzą do przodu. Kilku zwykłych żołnierzy próbowało rozbiec się na boki lub szukać schronienia. Jeden lub dwóch po prostu stało w miejscu i uparcie sięgało po Beryle, które powinny być na plecach. Nie mieli czym się bronić, ich karabiny zostały w barakach, niekiedy w transporterach.

Nancy notowała te szczegóły niemal podświadomie. Dziesiątki obrazów jednocześnie zaatakowało umysł. Do tego dołączył huk wystrzałów, który zagłuszył krzyki w kilku językach.

Ludzie nie ginęli pojedynczo czy jeden po drugim. Kilkusekundowa seria po prostu zwaliła ich z nóg jednocześnie. Zawodowi żołnierze dwudziestopierwszowiecznej armii, armii, w której po jednego rannego wysyła się helikopter, a śmierć kolegów na ogół jest efektem wybuchu miny albo pojedynczego strzału snajpera, nie byli psychicznie gotowi na rzeź.

Ci, którzy nie otrząsnęli się od razu, zapłacili za to życiem.

– James! McIntire! – krzyknęła Nancy, wywołując dowódców obu sekcji. Nie widziała ich, ale co innego mogła zrobić. – Do mnie! Za wozy!

Nie słyszeli jej.

Drużyna marines początkowo miała szczęście. Zginęło tylko dwóch żołnierzy, najbliżej MDS-a. Pierwsza nawała ogniowa została skierowana na Polaków. Po rozpoczęciu ostrzału żołnierze piechoty morskiej natychmiast się rozproszyli.

Pierwsza sekcja uciekła w stronę skał. Amerykanie biegli szybko, piach i kamienie strzelały spod nóg. Kilku złapało się za brzuch albo klatkę piersiową i padło na ziemię. Ci, którzy zatrzymywali się i próbowali pomóc kolegom, ginęli również. Krzyżowy ogień sprawił, że do celu dotarła zaledwie połowa ludzi.

Drugą sekcją dowodził sierżant Timothy James z Dallas w Teksasie. Przełożeni, w tym Nancy, często chwalili go za inteligencję, ganili zaś za zbytnią skłonność do brawury. Dziadek Timothy'ego dostał Brązową Gwiazdę za samodzielną akcję w czasie D-day w Normandii i w głębi serca wnuk zawsze chciał mu dorównać. James miał do wyboru ucieczkę pomiędzy skały albo frontalny szturm na którąś z wież.

Przeważyła brawura; wybrał atak.

– Mansy! – wrzasnął. – Zrób mi sieczkę z tego karabinu! Bermudez, rusz to swoje meksykańskie dupsko i pomóż mu. Szybciej, Patsy! Chcesz żyć wiecznie, do cholery?

Po czym sam pobiegł na szpicy, wykrzykując na zmianę przekleństwa do przeciwnika i zachęty do swoich.

– Już po was, wy żałosne skurwysyny! Dziś wieczorem drinki stawia pani kapitan! To jest mój dzień!

Niestety, Timothy James mylił się.

Nie miał ani zdolności, ani szczęścia swojego przodka. Został trafiony jako pierwszy z oddziału. Poczuł potężne uderzenie gdzieś w okolicach pachwiny i jak przystało na prawdziwego Teksańczyka, pierwszym, o czym pomyślał, była przyszłość rodu. Klęknął więc i szepcząc imię Świętej Dziewicy, sięgnął ręką, by sprawdzić, czy nie urwało mu jąder.

Nie zdążył się przekonać.

Kolejny pocisk leciał niemal tym samym torem, co poprzedni. Trafił Jamesa w czubek głowy i zabił go natychmiast. Jego następca, kapral Stirling,

wybiegł naprzód, by przejąć komendę. Odłamek wybuchającego granatu urwał mu nogę tuż przy stawie biodrowym.

Pozbawieni dowództwa Amerykanie przerwali atak. Padli na ziemię, szukając osłony. Nie znaleźli jej – szarżowali drogą, a tu nie było występów skalnych. Atakowano ich zewsząd. Nie widzieli nawet wszystkich przeciwników. Wróg zaś ewidentnie zaczął się wstrzeliwać. Co chwilę któraś z kul trafiała w cel.

Najsensowniej zachowali się polscy żołnierze, którzy przed zmianą dopiero wrócili z patrolu. Ich umysły nie wyszły jeszcze z trybu bojowego, najlepiej więc znieśli szok. Nim padła jakakolwiek komenda, dwa wciąż sprawne Rosomaki ryknęły silnikami i zaczęły stawiać zasłonę dymną, po czym otworzyły ogień z dział.

– W co? – spytał działonowy w jednym z nich.

– Napierdalaj, w co popadnie – odparł dowódca wozu, chorąży Czajka. Sam patrzył w ekrany, próbując połapać się w sytuacji. – Potem będziemy kombinować.

Charakterystyczny terkot działa rozniósł się po placu i dodał otuchy walczącym. Do Bushmasterów dołączyły Beryle. Umilkła jedna z wrogich maszynek. Jednocześnie wozy przesunęły się tak, by zamknąć okrąg, niczym osadnicy na filmach o Dzikim Zachodzie broniący się przed Indianami.

Nancy nie widziała masakry swoich ludzi. Zanim ustaliła, gdzie są, wszystko wokół znalazło się w cieniu zasłony dymnej. Przeciwnik wciąż jednak strzelał. Dopadła do najbliższego Rosomaka niemal w tym samym momencie, co Jamróz. Seria zabębniła o warstwowy pancerz. Spomiędzy czarnych kłębów fosforu kapitan dostrzegła jeńców. Dobiegali właśnie do skał.

– Do środka! – wrzasnął Jamróz, wskazując otwarte drzwi przedziału desantowego Rosomaka.

Pokręciła głową.

– Muszę znaleźć swoich ludzi.

Porucznik nie tracił czasu dyskusje. Wskoczył do wozu i dopadł do radiostacji.

– Pierwsza drużyna w skały! Zajmijcie pozycję, ustawcie UKM i ogień na bramę. Czajka! – Jamróz krzyczał, choć wiedział, że tylko przyprawia dowódcę drugiego transportera o ból uszu. Nie mógł jednak zapanować nad emocjami. – Wyeliminuj tę armatę, a potem daj im osłonę. Druga drużyna, zostajecie, gdzie jesteście, i strzelać bez rozkazu. Bączkowski, jeśli żyjesz, odezwij się! Trzecia drużyna… – Porucznik przerwał w pół słowa.

Trzecia drużyna nie brała udziału w patrolu. To oni zginęli jako pierwsi. Ci, którzy pozostali, o ile ktoś w ogóle ocalał, nie mieli ani broni, ani radia. Nie było sensu ich wywoływać.

– Działonowy – rzucił zamiast tego Jamróz. – Spróbuj uciszyć wieżyczkę przy bramie.

– Którą?

– Północną. Ma najlepszy kąt do strzelania między skały.

– Tak jest, panie poruczniku!

Kilka sekund później działko wypluło trzypociskową serię. Osłonięta drewnem i lekkim pancerzem wieża przy bramie otrzymała cios. Nawet zza utrudniającego celowanie obu stronom dymu widać było latające na boki odłamki i fragmenty drewnianej konstrukcji.

Polacy dysponowali przewagą uzbrojenia i siły uderzeniowej. Nie było co do tego wątpliwości.

Przeciwpancerne działo strzelało jednak dalej, niemal dokładnie spod wieży przy urwisku. Na wpół zakopane i osłonięte z boku ścianą skalnego ostańca nie dawało się wyeliminować łatwo. Jamróz zobaczył je na krótko, nim oślepiła go ich własna zasłona. Teraz było zupełnie niedostrzegalne.

Kolejne dwa pociski uderzyły w unieruchomionego Rosomaka Bączkowskiego. Pierwszy urwał jedno z przednich kół. Wybuch uniósł szczątki w powietrze i rzucił na szczyt wozu bojowego Czajki. Drugie trafienie weszło w pancerz. Jamróz nie łudził się, że Bączkowski weźmie jeszcze udział w walce. Dziękował Bogu, że przeciwnik, nie mogąc dostrzec ich zza zasłony, nie zdecydował się na szukanie szczęścia w wypatrywaniu nowego celu.

– Pośpieszcie się – powiedział do siebie Jamróz, obserwując walkę z wnętrza wozu.

Zasłona nie mogła starczyć na długo. Wiatr w Raji był bardzo silny.

– Panie poruczniku – zameldował działonowy. – Jeńcy zniknęli. Nawet trupów nigdzie nie ma.

– Złapiemy ich potem. Po kolei, żołnierzu.

Na zewnątrz Nancy dostrzegła kolejną chmurę dymu, która oddalała się powoli w stronę przepaści wieńczącej północną część grani. Zza niej majaczyły zarysy MDS-a.

Nancy pochwaliła w myślach Holdena za ten manewr. Urwisko nie zdawało się może najlepszym wyborem, ale przynajmniej leżało z dala od głównego pola walki. Marines – z ich strat nie zdawała sobie jeszcze sprawy – nie mogli jednak przedostać się tam, by osłaniać urządzenie. Wiedziała, że nawet jeśli dotarli między skały, z pewnością są odcięci.

Polacy wokół kryli się za Rosomakami, te nie dawały jednak pełnej osłony. Nancy słyszała krzyki i rozmowy, choć nic z nich nie rozumiała. Spodziewała się, że walczący informują się nawzajem o położeniu przeciwnika.

Jeden z żołnierzy, Antosz Skrawiński, znalazł wreszcie karabin. Miał go pod brzuchem – cały czas na nim leżał. Był w zbyt dużym szoku, by zorientować się wcześniej.

– Ja pierdolę, Antosz, przepraszam. To moja wina! – usłyszał.

– Co? – Skrawiński oparł Beryla o pancerz wozu i nie wychylając zza niego głowy, posłał serię gdzieś w powietrze. Mało profesjonalnie, ale miał to gdzieś. Wokół leżało wystarczająco dużo profesjonalistów.

– Rozwalą nas, rozumiesz? Przeze mnie.

– Co ty pieprzysz?

– Babę swoją zdradziłem z jedną małolatą, przed wyjazdem. Zamoczyć chciałem, mówię, co za różnica, nikt się nie dowie. – Żołnierz odbezpieczył granat i rzucił go, celnie, w stronę dwóch ludzi w mundurach Wehrmachtu. – A ta mała mnie potem w Internecie znalazła. Moja to wyszukała i poszła do wróżki, żeby urok rzucić, kumasz?

Eksplozja zamieniła obu przeciwników w czerwoną mgiełkę, która osadziła się na wszystkim wokół. Skrawiński zobaczył, jak jego partner sięga po kolejny granat.

– Urok?

– No, kurwa. A to niby normalne? Wpakowałem nas w jakieś mroczne gówno, stary. – Odkaszlnął. – A ja się jeszcze z baby śmiałem.

Antosz chciał powiedzieć, że lepiej w takie rzeczy nie wierzyć, ale akurat wtedy żołnierz wychylił się, by rzucić kolejny granat. Zrobił to dokładnie z tego samego miejsca, co poprzednio. Błąd. Dostał trzy kule w klatkę piersiową i kolejną w twarz. Granat na szczęście potoczył się za Rosomaka i dopiero tam eksplodował. Urwał głowę martwego już Polaka, ale nie zagroził nikomu żywemu.

Antosz poczuł ucisk w żołądku. Odrzucił karabin na bok i ukląkł, obrzygując czyjś zakrwawiony hełm.

Ot i tyle, jeśli chodzi o badania do doktoratu z antropologii, pomyślał.

6

Nancy widziała, jak polskie siły topnieją. Wolniej niż na początku, ale stale. Plan Jamroza wydawał się jej dość oczywisty. Był też, wedle wiedzy taktycznej, jaką posiadała, najlepszym, co mogli w tej chwili zrobić.

Otoczeni nie mieli szans wygrać potyczki. Przeciwnik był wszędzie. Polacy i Amerykanie wyeliminowali tych, którzy stali najbliżej, ale wróg i tak miał przewagę liczebną, umocnione punkty ogniowe w postaci dwóch pozostałych wież i idealną pozycję do ataku.

Na dodatek sprzyjał mu teren. Rośki mogły pokonywać przeszkody o nachyleniu nawet sześćdziesięciu stopni lub większym, jeśli przeszkoda miała najwyżej pół metra wysokości. Były to znakomite właściwości jezdne. Nie dawały natomiast szans na dostanie się pod wieżę przy urwisku. Występów skalnych było zbyt wiele.

Sanchez i Jamróz mieli jednak dwa zasadnicze atuty. Pierwszym była siła ognia. Zwykli żołnierze „niemieckiego”, jak Nancy odruchowo nazwała go w myślach, garnizonu Raji dysponowali głównie jakimś rodzajem powtarzalnego karabinu, bronią niemającą żadnego porównania z Berylem czy M16. Drugim z atutów było skupienie wojsk. Owszem, Polacy znajdowali się w okrążeniu (pozostali przy życiu Amerykanie runęli między skały, wyrywając się z kręgu), ale dość blisko siebie. To umożliwiało mobilność

w czymś w rodzaju wędrującej obrony okrężnej. Rozproszenie „Niemców” dawało im skuteczność w ataku, ale czyniło niemal bezbronnymi w obronie.

Ten właśnie czynnik zamierzał wykorzystać Jamróz. Chciał uderzyć na kilkunastu przeciwników skrytych między skałami, wypchnąć ich stamtąd albo wybić, następnie rozłożonymi tam karabinami maszynowymi osłaniać odwrót pozostałej części sił, dotąd skrytej za Rosomakami. Między skałami wieże i ciężkie karabiny maszynowe przeciwnika oraz stojące w oddali działko przeciwpancerne nie miały wielkiego pola do popisu. Jamróz liczył na przewagę ogniową, choć zdawał sobie sprawę, że manewr najpewniej skończy się utratą wozów bojowych. W obliczu posiadania przez wroga artylerii i tak zdawało się to nieuchronne.

W grę wchodził jeszcze inny wariant: ukrycie piechoty w wozach i przejechanie nimi pomiędzy skały. Odrzucił go jednak: potrzebował całej siły ognia, każdego strzelca, by trzymać w szachu przeciwnika. I pewności, że w kamienistym labiryncie nie czeka na nich wróg. Tam Rosomaki były bezbronne.

Starając się przekrzyczeć strzelaninę, w kilku szybkich, niegramatycznych zdaniach wyskandował plan wprost w ucho Nancy.

Kapitan Sanchez kiwnęła głową. Zdawała sobie sprawę, że powodzenie zamierzeń porucznika może zależeć od udziału w walce pozostałych marines. Wiedziała już, że z grupy Jamesa nie zostało nic. Ale była jeszcze pierwsza sekcja. Wedle jej wiedzy prawie dokładnie tam, gdzie zmierzał Jamróz. Musiała znaleźć ich, przejąć dowództwo i uderzyć jednocześnie z Polakami. Wiedziała, że przeciwnik, choć gorzej uzbrojony i równie zaskoczony jak oni, wkrótce ochłonie.

Odległość od krawędzi Rosomaka do zbawiennego cienia skał wynosiła około trzydziestu metrów. Sześć sekund sprintu, może nawet mniej.

Sześć sekund w samym środku walki.

Nancy Sanchez wzięła głęboki oddech i wstała. Była gotowa.

Dowództwo pierwszej drużyny, zwanej w plutonie pieszczotliwie „Kundlami”, sprawował sierżant Siemieniak, spokojny i opanowany trzydziestolatek z siedmioletnim wojskowym stażem. Wśród żołnierzy słynął z umiejętności opowiadania sprośnych dowcipów, niezłej gry w pokera i nieprzyjemnej cechy nieoddawania pożyczonych pieniędzy. Podoficerem był jednak znakomitym.

Choć sprzyjała im zasłona dymna i ogień potężnej salwy stłoczonych w krąg Rosomaków, Siemieniak uważał za niemożliwe, by jedenastu obładowanych sprzętem żołnierzy zdołało pokonać drogę dzielącą ich od skał bez strat. Gdy wystartowali do biegu, w duchu modlił się, by choć połowa osiągnęła cel.

Pierwsza drużyna specjalizowała się jednak w rzeczach niemożliwych. Dopadli do skał, mając zaledwie dwóch rannych. Tylko jeden, szeregowy Mańczak, nie mógł ustać na nogach, ale podciągnięty za ramiona przez kolegów zdołał dotrzeć do celu. Kule odłupywały fragmenty bazaltu, rykoszetowały na wszystkie strony, ale stanowisko było w zasadzie całkowicie bezpieczne.

Siemieniak zdał sobie sprawę, jak wielkie mieli szczęście, i natychmiast odzyskał wigor. Teraz on i jego ludzie mieli przewagę. Koledzy na środku nadal pozostawali pod ogniem. Wspomożenie ich było pierwszym zadaniem.

– Do roboty, chłopy! Napierdalać! – rozkazał. – Dawajcie tu UKM, zanim ich wykończą, pieruny!

Żołnierze błyskawicznie ustawili na podstawie ciężki karabin maszynowy o liczącej dwieście nabojów taśmie z amunicją i sile ognia, która zrywała czapki z głów. Najczęściej razem z głowami.

– No, rypać do nich!

Terkot UKM był dla sierżanta prawdziwą muzyką. Tym bardziej gdy zobaczył pierwszych przeciwników, którzy zwalali się na ziemię, przeszyci kulami. Wielką jak łopata dłonią klepnął operatora karabinu po plecach, aż tamten jęknął.

– Na taką wojnę to jo się zgodzom!

Zaczynali się odgryzać.

Mańczak nie brał udziału w walce. Koledzy zostawili go z dala od pierwszej linii, tuż obok rozwidlenia ukrytych wśród skał ścieżek. Leżał półprzytomny na plecach, niemal ogłuszony zwielokrotnionym przez góry echem strzelaniny.

Gdzieś pomiędzy majakami o niewiernej dziewczynie dostrzegł przemykający w promieniach słońca cień. Uniósł zakrwawioną dłoń z wyciągniętym w górę kciukiem.

– …Amerykanie – szepnął tak cicho, że żaden z zajętych walką „Kundli” nie zdołał go nawet usłyszeć.

8

Nancy Sanchez nie przebiegła nawet pięciu metrów.

Nie znała imienia polskiego żołnierza, który padł jej w ramiona. Nie miała go już poznać. Naszywka na czerwieniejącej od krwi piersi zawierała jedynie nazwisko: „Kowalski”, znaczące tyle, co Smith w jej kraju. Niewiele, jak na wiedzę o człowieku, który zasłonił ją, ratując życie.

Kowalski nie zdążył usłyszeć podziękowania. Jedna z kul, na których drodze w bohaterskim odruchu stanął, przerwała rdzeń kręgowy.

Szeregowy był martwy, nim jeszcze dotknął kolanami ziemi.

Kapitan Sanchez puściła bezwładne ciało i wskoczyła z powrotem za Rosomaka. Kolejna seria załomotała o pancerz. Czuła w uszach pulsującą krew, w gardle jej zaschło, a oczy szczypały od kurzu. Drżącą dłonią wygrzebała z zasobnika magazynek do M-4. Mieścił trzydzieści naboi pośrednich pięć pięćdziesiąt sześć milimetra, standardowego kalibru NATO.

To był ostatni.

Dziwne, pomyślała Nancy. Zdawało jej się, że nie wystrzeliła dotąd ani razu. Spojrzała pod nogi. Wokół jej stóp leżał stos łusek. Zaczęła szeptać do siebie. Nie były to żadne sensowne słowa, raczej zlepek połajanek i uwag, które zdarzało się jej jako małej dziewczynce słyszeć od ojca. Teraz kierowała je pod własnym adresem. Sensowne czy nie, pomagały. Dym się rozrzedzał. Nad granią dęło jak zwykle. Zarepetowała broń i wychyliła się w poszukiwaniu przeciwnika.

Odprysk rozbitego o pancerz pocisku ledwie o kilka milimetrów minął jej twarz. Ukryła się z powrotem. Łapczywie złapała haust powietrza.

Żadne ćwiczenia nie mogły przygotować do prawdziwej bitwy.

– Myśl! Myśl. Dopóki żyjesz, myśl!

Zaklęcie podziałało. Zaczęła analizować. Nim się schowała, dostrzegła błysk. A więc dobrze: znała pozycję strzelca.

Druga godzina, umocnione stanowisko pod wieżyczką przy urwisku. Na oko dobre osiemdziesiąt metrów.

Zdjęła z głowy Kowalskiego hełm. Przysunęła się do krawędzi wozu.

– No to jedziemy, pani Whitman – powiedziała do siebie.

Wyrzuciła hełm w powietrze, w nadziei, że zmyli przeciwnika. Jednocześnie w pozycji leżącej wyturlała się poza osłonę, jaką dawał Rosomak. Zmyłka była skuteczna. Pod wieżą znowu rozbłysło, ale tym razem żaden pocisk nie rykoszetował w pobliżu. Nancy oddała trzy pojedyncze strzały.

Spudłowała.

Poszatkowała worki z piachem wokół strzelca pod wieżą, ale jemu samemu nie zrobiła krzywdy. Umknęła z powrotem za wóz, nim wróg zdążył przeładować karabin. Wbrew temu, co działo się wokół, nie tak łatwo było zabić człowieka.

Dopiero wtedy spojrzała na hełm Kowalskiego.

– W co ja się wpakowałam – szepnęła.

Kilka centymetrów od samego środka hełmu widniała dziura po kuli. Człowiek ukryty pod wieżą trafił w maleńki, ruchomy cel z osiemdziesięciu metrów. Nancy nie liczyła na trzecią szansę. Przesunęła się powoli w stronę drugiej krawędzi Rosomaka.

Strzelec będzie jej szukał tam, gdzie poprzednio. Jak dobry nie był, kilka dziesiątych sekundy straci na zmianę celu.

Wysunęła się w przyklęku. Ujrzała go przez optyczny celownik M-4. Zobaczyła, że i on ją dostrzegł, przesunął minimalnie karabin. Serce jej stanęło. Ale palec nacisnął spust.

Piach z worków znowu prysnął, lecz tym razem zabarwiła go też krew. Strzelec poleciał do tyłu, broń wypadła przed umocnienie.

Nancy przetarła czoło. Nie wiedziała, że w kilkanaście sekund można spocić się tak bardzo.

Usłyszała huk. To jedna z wież przy bramie, ta bardziej niebezpieczna, została wreszcie unieruchomiona. By do tego doszło, działko transportera musiało ją, dosłownie, powalić. Nie udało się unieszkodliwić karabinu czy załogi: po prostu utrzymujące stanowisko drewniane rusztowanie załamało się pod gradem kul i runęło.

Amerykanka dostrzegła, że Polacy są już między skałami. Rozłożyli ciężki karabin maszynowy i celnym ostrzałem zaczęli uzyskiwać nad „Niemcami" przewagę.

Odetchnęła.

W tym samym momencie pocisk czechosłowackiej armatki uderzył w wieżyczkę wozu chorążego Czajki.

9

Jamróz siedział w wieżyczce swojego transportera i obserwował przedpole przez peryskop. Przeciwpancerna armata prowadziła intensywny ogień.

– Działonowy! – rzucił. – Uciszysz to działo?

– Tak jest, panie poruczniku!

Przerzucił kanał komunikatora.

– Czajka! – powiedział, starając się nadać swemu głosowi opanowane brzmienie. – Żyjecie?

– Działonowy martwy, pozostali poobijani, ale cali – zaszumiało w słuchawce. – Mam uszkodzone działko. Tyle miesięcy ćwiczeń i nigdy się nic nie działo. Pierdolę taką robotę.

Jamróz poczuł gwałtowne szarpnięcie i huk. Bushmaster zaczął polowanie na artylerię przeciwnika. Huk i wstrząs powtórzyły się. A potem jeszcze raz.

– Nie przejmuj się tym. „Kundle" zajęli skałki – odpowiedział, gdy już słyszał własne myśli. – Nie obracaj wozu, szkoda czasu. Dawaj na wsteczny i cofaj do nich. Wykorzystamy twojego Rośka jako dodatkową osłonę.

– Przyjąłem!

– Piechota do wozów. Ruszamy!

– Panie poruczniku! – zameldował działonowy. – Działo zneutralizowane.

– Dlaczego Czajka tego nie zrobił? – Jamróz próbował powściągnąć gniew. W nerwowej sytuacji pola walki nawet dla niego, na ogół wzoru cierpliwości, nie było to łatwe.

Działonowy podrapał się po czole.

– Melduję, że jest dobrze osłonięte, a na ślepo, zza dymu, ciężko strzelać. No, i jeśli ma uszkodzone działo, to najwyżej mógł podrapać załogę, ale armata zostawała cała. To tylko prymitywny kawał żelastwa. A załoga się zmienia. Teraz już nie postrzelają.

– Dobra. Wychodzę na zewnątrz po jankeskę – powiedział porucznik. – Ucisz drugą wieżę przy bramie. Postaraj się, żeby tym razem nie trwało to tak długo.

– Tak jest!

Nancy, zgodnie z przewidywaniami Jamroza, nie ruszyła się zza wozu. Klęczała obok zwłok jednego z polskich szeregowców i ściskała w dłoniach Berettę. Obok leżało M-4 z zablokowanym zamkiem. Jamróz wiedział, że mimo wszystkich wprowadzonych poprawek amerykańska zabawka z aluminium wciąż lubiła się zacinać w trudnych warunkach. Karabin posiadał wprawdzie umieszczony w kolbie zestaw do czyszczenia broni, porucznikowi nie wydawało się jednak, by Sanchez miała czas z niego skorzystać.

Jamróz uznał, że albo przyzwyczaja się do huku, albo wymiana ognia przycichła. Z pewnością stała się bardziej zorganizowana.

Przy drzwiach do przedziału desantowego czekali żołnierze drugiej drużyny. Zaczęli dzień w dwunastoosobowym składzie; będąc jeszcze wewnątrz, Jamróz miał nadzieję, że zdoła ich upchać w ośmioosobowym przedziale desantowym Rosomaka. Gdy jednak wyszedł na zewnątrz, zobaczył czterech. Na pytające spojrzenie porucznika jeden z nich – Skrawiński, tłumacz – odpowiedział, kręcąc tylko głową.

– Do wozu – powiedział Jamróz znacznie słabszym głosem, niż zamierzał. – Pani kapitan! – odezwał się do Amerykanki, kładąc jej rękę na ramieniu. Wciąż klęczała obok Kowalskiego. Wyglądało na to, że jest w szo-

ku. – Doceniam waleczność, ale myślę, że najwyższa pora przyjąć zaproszenie do środka.

Nancy kiwnęła głową. Wstała chwiejnie.

– Musimy chronić urządzenie – powiedziała, spoglądając w stronę stojącego na grani MDS-a. – Przed nami masa roboty.

Porucznik zerknął w kierunku skał. „Kundle” prowadzili intensywny ostrzał stanowisk przeciwnika, Czajka na wstecznym biegu zmierzał w ich stronę. Jeszcze kilkanaście sekund i ich zasłoni.

– Idzie ku lepszemu – odparł i spróbował się uśmiechnąć.

10

Szeregowy Mańczak nie zdążył nawet krzyknąć. Jego zamglony bólem wzrok pozwolił ujrzeć tylko błysk stali. Poznawał to ostrze: popularny Ka-Bar, o płaskim kształcie, płytkim zbroczu i wytłoczonych tuż przy rękojeści literach USMC. Nóż amerykańskiej Piechoty Morskiej. Znał go każdy żołnierz świata.

Mańczak nie poczuł cięcia.

Po prostu zaczął dławić się krwią. Był tak zamroczony wywołanym postrzałem bólem, że nie dostrzegł nawet, gdy poderżnięto mu gardło. Spróbował chwycić trzymającą nóż dłoń, ale wyślizgnęła mu się. Zza opadającej na umysł śmiertelnej mgły zobaczył kilkanaście sylwetek, które jak cienie skradały się za plecy „Kundli”.

Nie Amerykanie ani nawet „niemiecki” garnizon.

Jeńcy.

11

Rozpoczęła się walka wręcz.

Siemieniak kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Coś otarło mu ramię. Sierżant odskoczył gwałtownie. Sięgnął po broń.

Cios nie był skierowany w niego.

Człowiek w białej, zasłaniającej usta chuście, o dziwnych jasnych oczach, wybrał za cel operatora karabinu maszynowego. Cięcie było tak potężne, że nóż zatrzymał się prawdopodobnie dopiero na kręgach szyjnych.

Siemieniak uniósł karabin i wycelował w klatkę piersiową.

Kiedy kule opuszczały lufę, przeciwnik był już zupełnie gdzie indziej. Poruszał się jak duch.

Krótka seria przeorała plecy siłującego się z kolejnym szuszwolem Polaka. Sierżant nawet nie zdążył przyjąć tego faktu do wiadomości. Mężczyzna w chuście odskoczył lekko na nogach, odbił się barkiem od skały i uderzeniem noża prawie odciął nadgarstek dowódcy „Kundli" od przedramienia.

Siemieniak nawet nie krzyknął.

Układ nerwowy eksplodował falą tak potężną, że sierżant po prostu wypuścił karabin i padł na kolana. Gapił się chwilę na kikut, zupełnie nie rozumiejąc, jak może nie czuć rany. Wreszcie ból, rozpalony niczym pochodnia, wybuchnął w samym środku głowy. Siemieniak zaczął odzyskiwać świadomość.

Nożownik nie dobił go. W zgrabnym przewrocie poderwał z ziemi karabin i krótkimi, precyzyjnymi seriami zaczął masakrować Polaków. Jego towarzysze – część uzbrojona w noże, część w broń palną – dopełniali dzieła.

Siemieniak chwycił nóż w sprawną dłoń i spróbował wstać.

12

Przegrali.

Świadomość ta uderzyła Jamroza z siłą ciosu w żołądek, odbierając mu oddech. Było w tym także rozjarzające umysł bezsilną wściekłością poczucie niesprawiedliwości. Zrobił wszystko, co mógł, a pomimo to przegrywał.

Porucznik stał we włazie Rosomaka, wciąż z uśmiechem na ustach, kiedy ujrzał atakujących oddział Siemieniaka jeńców. „Kundle" nie dali się wybić od razu, ale tylko kilku żołnierzy zdołało zareagować. Pierwsze sekundy starcia nie pozostawiały wątpliwości, jaki będzie rezultat. Trzech Polaków zginęło natychmiast, kolejni nawet nie wiedzieli, w którą stronę mają właściwie strzelać.

Jamróz widział Siemieniaka, który – sam ciężko ranny – rozpłatał nożem twarz jednego z przeciwników, w pełnym gracji, szermierczym ruchu przechodząc zaraz do ataku na okolicę wątroby następnego. Cios nie doszedł jednak celu. Ze szczytu skały opadł na niego kolejny szuszwol i wbił

własne ostrze w bok szyi sierżanta, tuż nad obojczykiem. Polak szarpnął głową jak po ugryzieniu pszczoły. Zatoczył się, spróbował unieść dłoń – by zatamować krwawienie lub kontynuować atak, ale w tym momencie nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

To był już epilog.

Przez polską drużynę przebijał się jeniec ze zdobycznym Berylem, zostawiając za sobą trupy.

Jamróz runął do środka pojazdu. Musiał ratować, co się dało.

– Czajka! – wrzasnął do komunikatora. – Zatrzymaj się! Zabierz stamtąd wóz! Czajka, do kurwy nędzy, wracaj tu. Czajka…

Przy Rosomaku sierżanta pojawili się pierwsi jeńcy. Jamróz nie widział szczegółów, był jednak niemal pewien, że uzbrojenie, którym dysponowali, tylko częściowo mogli zdobyć w walce. Wóz Czajki zatrzymał się wreszcie, przez chwilę stał w miejscu, po czym ruszył w przeciwną stronę.

Zbyt wolno.

– Panie poruczniku! – usłyszał głos działonowego. Pociski z broni maszynowej stukały o pancerz. Dźwięk przypominał jakąś oszalałą maszynę do szycia. – Przeciwnik w natarciu.

– Wiem!

– Nie ten.

Jamróz zerknął na ekran ukazujący widok z kamery umieszczonej w bocznym pancerzu pojazdu. Do frontalnego ataku, niemal w radzieckim stylu, ruszyli żołnierze w niemieckich mundurach. Czarne płaszcze powiewały w biegu, jednoczesny trzask powtarzalnych karabinów na chwilę prawie zagłuszył dźwięk broni maszynowej.

Porucznik obserwował szarżę, jakiej nie widział żaden żyjący polski żołnierz. Brakowało tylko głośnego „urrraaa!”, które zabrzmiałoby w powietrzu.

– Na co czekasz? – wydarł się Jamróz. – Jazda z nimi!

– Nie mam pestek do działka, panie poruczniku. Ani do PK.

– UKM w łapy i do roboty!

Żołnierz posłuchał rozkazu, sięgnął do przedziału desantowego, stęknął pod ciężarem kaemu, po czym wychylił się przez górny właz. Seria za-

brzmiała niemal natychmiast i była kojąco długa. Do środka zaczęły wpadać rozgrzane łuski.

– Czajka, odbij w stronę bramy!

Nie wiadomo, czy Czajka usłyszał rozkaz. Rosomak sierżanta pokonał pięć metrów, gdy kilku jeńców, w tym szczupły mężczyzna w białej chuście – ten sam, który wcześniej wiódł atak na ludzi Siemieniaka – przemknęło obok. Niemal w tym samym momencie wóz zatrzymał się.

– Czajka, czy ty mnie… – zaczął Jamróz.

Nie dokończył zdania.

Potężna, skumulowana wewnątrz eksplozja wyrwała tylny właz wozu. Huk ogłuszył na chwilę wszystkich bez wyjątku – broniących się i atakujących. W tej dźwięczącej bólem bębenków ciszy porucznik poczuł, jak coś kapie mu na twarz. Było ciepłe, lepkie i gęste. Ciemnoczerwone. Krew. Przeczesał dłonią włosy w poszukiwaniu rany. Nic.

Spojrzał w górę.

Działonowy wisiał bezwładnie na wieżyczce. Jego głowa i górna część klatki piersiowej były jedną wielką miazgą.

Jamróz poczuł dreszcz. Spojrzał w ekrany. Zostali sami. Nie miała znaczenia taktyka, skuteczność działania w pododdziałach, rozkazy. Liczyła się tylko jedna rzecz.

Kto chciał przeżyć bardziej.

– Kierowca – powiedział przez komunikator. Miał ściśnięte gardło. Czuł, że będzie wstydził się tego rozkazu. Z drugiej strony wiedział, że jeśli się zawaha, nigdy więcej nie wyda żadnego. – Postaw zasłonę, jeśli jeszcze ją masz, i zabierz nas stąd.

Ryknął silnik i wóz zaczął jechać. Nancy rzuciła się w stronę włazu.

– Musimy chronić MDS! – krzyknęła. Nie znała polskiego, nie miała jednak wątpliwości, jaki rozkaz Jamróz mógł wydać żołnierzowi prowadzącemu pojazd. – To jest priorytet!

Coś wybuchło tuż obok nich. Wozem zatrzęsło. Staccato karabinowych kul przyspieszyło.

– Proszę usiąść – poprosił porucznik. Jego głos zdawał się dochodzić z innego świata. – Zrobi pani sobie krzywdę.

– Obrona systemu to podstawa!

– Martwi żołnierze niczego nie bronią.

Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami. Ten człowiek nie miał pojęcia, jak potężne narzędzie oddaje w ręce wroga.

– To sytuacja, w której nasze życie jest drugorzędne – powiedziała, unosząc w górę Berettę. Żołnierze siedzący w wozie patrzyli na nią jak na wariatkę. – Każ mu zawrócić. Mamy rozkazy!

Wóz przyspieszył. Porucznik spoglądał na twarz Amerykanki poprzez muszkę trzymanej przez nią broni. Kobieta była wściekła. Jamróz poczuł dziwny, nieodgadniony spokój.

– Wszyscy je mieliśmy – odparł.

Zapadła przerywana hałasem bitwy cisza.

– Jesteśmy za bramą – powiedział kierowca.

– Jesteśmy za bramą – powtórzył po angielsku Jamróz. Było mu wszystko jedno, czy Amerykanka strzeli, czy nie.

Odgłosy walki zostały z tyłu.

Nancy opuściła Berettę, po czym znowu uniosła ją gwałtownie. Chciała coś powiedzieć, ale poruszyła tylko bezgłośnie ustami. Poczuła się, jakby połknęła wielką kostkę lodu, która wędrowała teraz do samego żołądka. Zawiodła siebie, przełożonych i ojca. Zachwiała się na nogach, broń wypadła jej z ręki.

Kolejny wybuch, tuż obok, Nancy Sanchez usłyszała jak gdyby z daleka.

Wtedy spadała już w ciemność.

13

Żołnierze zwykli nazywać pieszczotliwie rzeczy, które napełniały ich lękiem. W ten sposób stawały się bliższe, mniej złowrogie. Jedną z tych rzeczy, najważniejszą, była śmierć. Szeregowi plutonu Jamroza upersonifikowali ją, nadali cechy i imię. Brzmiało ono „Ponury”. Prosty, pozbawiony grozy skrót od Ponurego Żniwiarza.

Żołnierze w niemieckich mundurach wbiegli pomiędzy skały. Terroryści odskoczyli i zniknęli w wąskich przejściach. Ruszyli w stronę wież.

Ponury zagościł w Raji. ■

III

OPIUM

1

Koller lubił pracować z ludźmi z jednostek specjalnych. Byli konkretni. Wojsko należy do środowisk, w których łatwość podejmowania decyzji jest w pewnym sensie koniecznością, jednak oficerowie GROM-u wyszlifowali tę cechę do maksimum, czego najlepszym dowodem była propozycja Wojtyńskiego. Po zapoznaniu się z sytuacją w Raji Drab zaproponował, że jego ludzie oczyszczą skalne zaułki gniazda.

Koller nie wahał się. Miał do GROM-u pełne zaufanie, poza tym wiedział, że podniesie to morale jego żołnierzy. Patrzył, jak operatorzy jednostki specjalnej nakładają noktowizory, przeładowują broń i ruszają w skalny labirynt krokiem przywodzącym na myśl raczej zwykły dzień w fabryce niż wyprawę w ciemne zaułki gniazda, w którym dopiero co zniknęło trzydziestu ludzi.

Nie minęło dziesięć minut, a w pomieszczeniu radiostacji głośniki zaczęły trzeszczeć od następujących po sobie komunikatów.

– Alfa, południe południowy wschód. Czysto.

– Charlie, południe zachód. Kilka świeżych dołów. To chyba pies. Poza tym czysto.

– Bravo…

Meldunki powtarzały się. Beznamiętne głosy operatorów sił specjalnych podawały rozmaite szczegóły, w rodzaju skrzynki alkoholu, którą ukryto w piachu, albo kupy śmieci. Nie wspominały nic o zwłokach, broni, minach czy śladach walki. Po półgodzinie wyglądało na to, że skały nie kryją żadnych tajemnic. Że, choć pobudzają wyobraźnię, nie kryły ich od samego początku.

– Melduję posłusznie, że gówno, panie poruczniku – mruknął Galaś, gdy przebrzmiał ostatni komunikat.

– Wolałbyś stos trupów?

– Melduję posłusznie, że jak by nie patrzeć, trupy przynajmniej miałyby sens. – Kapral wytarł nos w rękaw kurtki i jakby skurczył się w sobie. – A tak, jak nie było Copperfielda, tak nie ma.

– Każ im wracać – powiedział tylko Koller.

Wyszedł na zewnątrz. Od samego początku nie łudził się, że ludzie Draba rozwiążą jakąkolwiek zagadkę. Chciał mieć po prostu czyste sumienie i bezpieczne plecy. Myślał o czymś innym, czymś, co nie dawało mu spokoju. Gdzieś na pograniczu świadomości żywił pewne przypuszczenia co do zniknięcia Jamroza. Myśl była mało uchwytna i niejasna, bardziej jak wrażenie, impresja na temat czegoś, co było.

Gdy GROM wychodził spomiędzy skał, porucznik usłyszał głosy żołnierzy z najbliższego Rosomaka.

– Nasi lecą.

Nadciągali ostatni z gości, których – wedle zapowiedzi Karskiego – należało się spodziewać. Koller wiedział, że jego ludzie musieli usłyszeć o śmigłowcach przez radio. Nigdzie nie było bowiem widać świateł pozycyjnych helikopterów, a wiatr wył zbyt głośno. Porucznik ruszył w stronę urwiska, wpatrując się w niebo. Znowu nic. Dopiero gdy miał zawrócić i opuścił wzrok, dostrzegł kilka czerwonych punkcików, które majaczyły w oddali.

Przemieszczały się tuż nad dnem doliny.

Mi-24 Hind. Jeszcze w czasach Związku Sowieckiego jego wcześniejsza wersja została przez mudżahedinów ochrzczona przydomkiem „diabelski rydwan”. Lokalna nazwa oddawała charakter maszyny lepiej niż wypełnione specyfikacjami technicznymi kartki. Choć wszystkie z polskich śmigłowców zbudowano w połowie lat osiemdziesiątych, ostatnie ulepszenia sprawiły, że Mi-24 uzbrojone w pięciolufowe zestawy artyleryjskie GAU 25 i rakiety Sidewinder nawet pod koniec 2007 roku robiły wrażenie.

Podobnie jak dowódca zmierzającego nad Raji klucza.

Kapitan Jan „Johny” Wieteska sprawiał wrażenie ostatniej osoby, której skostniały niczym grunt na Suwalszczyźnie oficer w rodzaju Karskiego powierzyłby komendę nad czymkolwiek. Usta mu się nie zamykały, odpalał papierosa od papierosa, a przekrwione oczy wskazywały, że w jego terminarzu dobowym było miejsce na latanie i nocne popijawy. Rzadko na sen.

Wieteska emanował buntowniczą charyzmą, czymś, co przywodziło na myśl Marka Hłaskę albo Zbigniewa Cybulskiego. Skórzana kurtka, nieregulaminowy Desert Eagle za pasem, chód gwiazdy kina i nonszalancja lotnika – dla którego obecność na ziemi zdawała się karą – na pierwszy rzut oka trąciły lekkim fałszem. Z tą filmową otoczką kapitan nie wzbudziłby sympatii Kollera…

…gdyby porucznik nie zobaczył wcześniej, jak Johny lata. Nawet jeśli przez większość tego lotu podziwiał po prostu sunące pod horyzontem iskry świateł pozycyjnych.

Klucz Mi-24 do ostatniej niemal chwili zdawał się sunąć płozami po ziemi. Ledwie kilkadziesiąt metrów przed bazą poderwał się, ostro podwyższając pułap przed urwiskiem. Kadłuby czterech śmigłowców błysnęły w świetle strzegących perymetru reflektorów.

Maszyny zatoczyły nad Raji krąg niczym sępy nad ofiarą i runęły ku ziemi z siłą atakującego szerszenia. Końcowa faza lotu sprawiła, że Balszkowski zamknął oczy, wypowiadając słowa modlitwy. Ktoś inny zaczął bić brawo.

Kapitan Wieteska w ostatnim momencie zwiększył ciąg i helikopter dotknął lądowiska lekko jak baletnica. To samo, niemal z równą gracją, powtórzyli jego ludzie. Biorąc pod uwagę, że przy wszystkich tych akrobacjach ulokowali cztery śmigłowce w miejscu przeznaczonym dla dwóch, Koller przywitał pilotów z otwartymi z podziwu ustami.

Drzwiczki najbliższego Mi-24 otworzyły się i na ziemię zeskoczył niewielki facecik w lotniczym hełmie. Zdjął go niedbałym ruchem i odłożył do środka. Wyjął z kieszeni kurtki okulary przeciwsłoneczne, po czym założył je, nie przyjmując do wiadomości, że słońce, które ewentualnie mogłoby go oślepić, wstanie dopiero za kilka godzin. Rozejrzał się, jakby taksując

atrakcyjność miejsca, i dopiero wtedy wolnym krokiem ruszył w stronę zbaraniałych gospodarzy bazy.

– Kapitan Jan Wieteska – powiedział, po czym wyciągnął rękę, prawidłowo rozpoznając w Kollerze dowódcę. Porucznik usłyszał w jego głosie nonszalancję i nadmierną pewność siebie, ale wybaczył mu natychmiast. Po poprzedzającym powitanie pokazie umiejętności powierzchowność i sposób bycia gwiazdy kina przestały mieć znaczenie.

Lotników było dziesięciu. Czterech pilotów, czterech operatorów uzbrojenia, dwóch techników pokładowych.

Była to iście diabelska kompania, która wsławiła się wszelkimi możliwymi nietaktami wobec dowództwa i sojuszników, notując jednocześnie ogromną skuteczność w realizowaniu postawionych przed nimi celów. Ludzie z klucza Wieteski popisywali się wyobraźnią, na którą w polskiej armii XXI wieku nie było już miejsca. Narażali maszyny, siebie, a czasem osoby postronne, pili i uganiali się za kobietami z pozostałych kontyngentów, łamiąc paragrafy regulaminów, zaleceń i instrukcji.

Koller znał ich akta całkiem dobrze. Niektóre fragmenty czytało się jak powieść sensacyjną. Tym bardziej nie pojmował, jakim cudem ekipa Wieteski nie doprowadziła jeszcze Karskiego do zawału oraz, niejako w drugą stronę, z jakiego powodu Karski zaniechał relegowania awanturników do kraju. Koller nie słyszał o takich staraniach.

Oprócz Wieteski asami przestworzy i bogami na pokładach swoich maszyn byli jeszcze Maciej „Polonus” Ugawe i Jędrzej „Halny” Wańkowski oraz Kuligowski, bez pseudonimu. Polonus zawdzięczał ksywkę faktowi, że był Mulatem. Jego ojciec przyjechał do Europy z Wybrzeża Kości Słoniowej w latach siedemdziesiątych. Na studiach poznał dziewczynę z Polski, zamieszkał z nią w Gdyni i spłodził Maćka. Dla chłopaka zaowocowało to trudnym dzieciństwem, w trakcie którego koledzy z podwórka nierzadko kazali mu „wypierdalać do siebie”. Polonus czasem wdawał się z tego powodu w bójki, po których rzeczywiście wracał do siebie. Na Orłowo.

– Kawaleria przyleciała. Uwaga, w nocnym kamuflażu – powiedział Ugawe, wskazując na kolor swojej twarzy. – Chować dziewice i alkohol!

Charakteryzował się typowym dla czarnoskórych poczuciem humoru i luzem połączonymi z błyskotliwością gdyńskiego cwaniaka. Był przez pozostałych lotników zwyczajnie kochany.

– Porucznik Wańkowski – przedstawił się Halny, najmniej wygadany z całej czwórki. Miał za to najmocniejszą głowę, najłatwiej dawał się sprowokować do bójki i z wielką chęcią podkreślał swoje góralskie korzenie, chociaż, wedle wiedzy wywiadu wojskowego, co najmniej dwa ostatnie pokolenia Wańkowskich urodziły się i wychowały w Radomiu. Jędrzej był bliskim przyjacielem Wieteski, razem kończyli szkołę lotniczą. Kilka lat później Halnemu, ze względu na końskie zdrowie, zaproponowano przydział do myśliwców – marzenie każdego pilota – lecz Wańkowski nie przyjął oferty. Wolał zostać w kluczu z Wieteską.

Ostatni z pilotów, Kuligowski, zasalutował tylko, nie przedstawiając się.

– Panie kapitanie – odezwał się Koller odrobinę bardziej formalnie, niż planował – pan pozwoli ze mną i porucznikiem do radiostacji.

– Może po kolacji? – spytał Johny.

– Teraz. Bardzo proszę.

Wieteska wzruszył ramionami.

– Nie zaczynajcie beze mnie – rzucił do towarzyszy, po czym ruszył za Kollerem i Wojtyńskim.

– Zgodnie z rozkazem – zapewnił Ugawe. – Rozejrzymy się tylko.

Polonusa, Halnego, Kuligowskiego, techników i operatorów uzbrojenia do stołówki odprowadzili żołnierze GROM-u. Wieteska powiódł za nimi podejrzliwym wzrokiem.

Trójka oficerów ruszyła w stronę pomieszczenia radiooperatorów. Gdy weszli do budynku radiostacji, powitała ich pustka i cisza. Nawet Galaś gdzieś zniknął, a jedynym śladem działalności kaprala był bałagan wokół jednostki centralnej. Koller upewnił się, że drzwi są zamknięte, i wypowiedział do Draba ustalone wcześniej zdanie. Zrobił to z ciężkim sercem.

– Poruczniku, proszę odebrać kapitanowi Wietesce broń.

Wojtyński ruszył w stronę Johny’ego. Ten odruchowo uniósł dłoń w kierunku kabury. Drab zrobił spokojnie kolejny krok, Koller zauważył jednak, że uczynił go minimalnie bardziej miękko, niżej na nogach.

Dłoń Wieteski zatrzymała się w pół drogi.

– Kapitanie Wieteska – zabrzmiał w ciszy głos Kollera – nakładam na pana areszt.

Johny opuścił z powrotem dłoń i mruknął cicho coś, czego porucznik nie zrozumiał, jakby coś sobie tłumacząc. Sytuacja dziwiła kapitana wyraźnie mniej, niż należało się spodziewać w podobnych okolicznościach.

– To nie żart? – na wpół spytał, na wpół stwierdził obojętnym tonem, jak kelner, który upewnia się, czy do kotleta podać ziemniaki, czy frytki.

– Niestety nie.

Przymknął oczy i na jego twarzy – na ułamek sekundy – zawitał przypominający uśmiech grymas. A potem Johny Wieteska powolnym ruchem wyjął z kabury pistolet, uwolnił z zaczepu magazynek, zarepetował, zręcznie łapiąc znajdujący się w komorze nabój, po czym odłożył wszystko na szafkę obok.

Wojtyński wykazał się taktem. Nie sięgnął po broń, pozwalając jej zostać na miejscu.

– Więc? – zapytał Wieteska.

Koller w kilku zdaniach przedstawił swoje pełnomocnictwa, ale nie wspomniał o przyczynie aresztowania. Wieteska nie pytał o to.

– Oficer wywiadu? – spytał kapitan, gdy Koller umilkł. Był wyraźnie zmęczony, ale jednocześnie jakoś desperacko zadziorny. – Taki nasz James Bond? Dupeczki, kasyna, drogie samochody?

– Niestety nie. – Koller nie zamierzał dać się sprowokować. – SWW oraz dowództwo ISAF nadały mi pewne uprawnienia w obrębie misji. Pan nazwałby mnie pewnie szczurem. – Krótka pauza. Kapitan milczał, rozglądając się po pomieszczeniu. – Nie spyta pan, o co jest oskarżony?

Wieteska spojrzał na niego uważnie, po czym bez pytania opadł na stojące przed komputerem krzesło. Miał doskonale obojętną minę. Koller obserwował go chwilę, po czym zdecydował, że kapitan udaje. Był za bardzo rozluźniony.

– Oszustwa podatkowe?

– Nie.

– Mogę? – zapytał Johny, wyciągając z kieszeni munduru piersiówkę.

Koller spojrzał bezradnie na Wojtyńskiego. Drab stał w rogu pomieszczenia i nie odczuwał potrzeby uczestniczenia w tej części rozmowy. Kollera zastanawiało, czy ta pozycja to przypadek, czy może wyszkolony nawyk, który kazał zawsze mieć zabezpieczone plecy. Dopiero potem przyszło mu do głowy, że Wojtyński wykonywał rozkazy, ale w gruncie rzeczy uważał aresztowanie Wieteski za szopkę i stratę czasu. Stał w kącie, by pokazać, że dystansuje się od działań Kollera.

Koller sam najchętniej by się od nich zdystansował.

Tym razem porucznik nie odpowiedział, zwłaszcza że Wieteska wyraźnie nie czekał na pozwolenie. Z namaszczeniem odkręcił korek i przechylił butelkę. Z wyraźną przyjemnością pociągnął kilka łyków.

– Whisky – powiedział po chwili. – Chce pan?

Koller pokręcił głową. Wieteska westchnął, po czym schował piersiówkę z powrotem.

– A kajdanki? – zapytał.

– Będą potrzebne?

Wieteska spuścił teatralnie głowę.

– Co za cios – powiedział, siląc się na zawiedziony ton. – SWW mnie nie docenia! Rozumiem, że chłopaki z GROM-u też nie poszli do stołówki, żeby podawać moim orłom ciasteczka?

– Upewnili się, że pańscy ludzie nie odlecą. Dyskretnie. Nie potrzeba nam rozgłosu.

Koller przedyskutował wcześniej plan działania z Wojtyńskim. Oficer GROM-u nie podlegał SWW, jednak rozkazem samej góry ISAF brał udział w śledztwie. Potrzebowano kogoś, kto znał warunki panujące w Afganistanie, a jednocześnie nie wsiąkł w struktury misji. Ludzie Draba, rzadko bratający się z kimkolwiek spoza „rodziny”, świetnie wyszkoleni i operujący w zasadzie na terenie całej prowincji – wraz z przyległościami – byli idealnymi kandydatami.

Wysyłając do Raji właśnie ich, Karski zrobił Kollerowi prezent.

– Jakbym słyszał pułkownika – westchnął Johny. – Możecie ich puścić. Biorę wszystko na siebie.

– Wszystko? Może najpierw warto upewnić się co?

Wieteska spojrzał Kollerowi prosto w oczy. Cokolwiek miał w piersiówce, jak długo nie spał i jak bardzo wojna go zmieniła i wyczerpała, wzrok miał zupełnie trzeźwy.

– Darujmy sobie żarty, dobra? Jestem zmęczony. Skoro wy wiecie, ja też. I wystarczy.

– Dobrze – oparł Koller, wyciągając z wewnętrznej kieszeni munduru pamięć USB. – Ale jest coś, co chciałbym panu pokazać.

Wiedział, że właśnie zaczęła się gra. Przesłuchanie już trwało i tak długo, jak Johny nie zdawał sobie z tego sprawy, przewaga była po stronie porucznika. Podłączył dysk do komputera. Na ekranie wyświetliła się zawartość pamięci. Zawierała tylko jeden plik. Wieteska i Wojtyński podeszli bliżej, by widzieć monitor. Ten ostatni zrezygnował nawet ze swojego bezpiecznego kąta.

To był film z kamery umieszczonej w pokoju przesłuchań jednej z wielkich wojskowych baz, w których zgubić się równie łatwo jak w europejskich metropoliach, prawdopodobnie gdzieś w Niemczech albo Wielkiej Brytanii. W pomieszczeniu znajdowało się dwóch mężczyzn.

Pierwszym był oficer piechoty zmechanizowanej w stopniu porucznika. Kiwał się ze zmęczenia i co chwila ziewał. Mówił cicho, zaplatając nerwowo palce. U dołu ekranu znajdował się licznik, który pokazywał siedem godzin i dwadzieścia dwie minuty. Nie było jasne, czy to godzina, czy czas nagrania.

Drugim mężczyzną, tym, który prowadził przesłuchanie, był Jan Koller.

2

Po kolei, po kolei… Myślisz, że takie rzeczy dzieją się po kolei? Dzieją się po prostu i tyle. To nie jest tak, że ktoś to planował, Koller. A ty tu chcesz początku, jak w bajce. No dobra. Jeśli się zaczęło gdzieś konkretnie, to pewnie w tej pipidówie.

To była mała wioska, jedna z tych, do których – pewnie nie będziesz chciał uwierzyć – nigdy nie trafił jeszcze nikt z ISAF. Nikt, czaisz? Byliśmy tam pierwszymi żołnierzami od czasów wojsk Związku Radzieckiego. Wyobraź sobie.

Kiedy wjechaliśmy, a nasze Rośki stanęły pośrodku niewielkiego placyku, wszystko wyglądało jak wyludnione. Wyludnione i… stare. Tylko góry wokół, chaty z kamienia i my. Czuliśmy się jak jacyś podróżnicy w czasie. Jak w tym filmie, tym z deskorolkami i srebrną furą, łapiesz? Jakbyśmy trafili do średniowiecza, z naszymi karabinami, noktowizorami, kamizelkami i transporterami opancerzonymi w miejscu, w którym szczytem techniki był drewniany kołowrót na studni.

Jaka jazda, wiesz, że ludzie jeszcze tak żyją.

Z początku było zupełnie pusto, przez chwilę myśleliśmy nawet, że to może jakieś ruiny. Albo że talibowie czy ktokolwiek inny wybił wszystkich lata temu, no i został taki skansen. Ale nie. Chaty – chociaż biedne i niedzisiejsze – były zadbane. Ktoś naprawiał te dachy, ktoś łatał dziury w płotach. No i zwierzęta srały na drogę, a jak są zwierzęta, to są i ludzie. Więc stanęliśmy na środku, karabiny w łapach i czekamy.

Potem zaczęły pojawiać się dzieci. Ktoś zawsze nie upilnuje dzieciaka, a one są strachliwe, ale też ciekawskie. Zresztą może wcale nie są strachliwe… Jak kiedyś w Ghazni daliśmy im szamę z chili, to potem rzucały w nas kamieniami… Nie patrz tak na mnie, poważnie. No więc zobaczyliśmy malucha czy dwóch, którzy przyglądali nam się, skryci za niskim murkiem.

Chłopaki zaczęli ich zachęcać; mówili łagodnie, pokazywali słodycze. Ktoś rzucił parę słów po pasztuńsku. Zanim się obejrzeliśmy, dzieci podeszły, a w końcu pojawili się dorośli. Kilku starców, do tego ze dwóch zwyczajnych gości – starszyzna wioski. Byli życzliwi, częstowali nas herbatą i jedzeniem, chociaż widać było, że sami ledwo co mają. A nasi rozkleili się zupełnie – no bo wreszcie ktoś na tej jebanej wojnie pokazał, że jest człowiekiem. I że naszych traktuje jak ludzi.

No więc rozdaliśmy dzieciom chyba wszystko, co mieliśmy. Okulary, jakieś sprzączki, którymi mogły się bawić, jedzenie, głupią wodę w plastikowych butelkach. Jeden koleś oddał nawet zegarek.

Wróciliśmy do siebie i oczywiście połowa miała sraczkę, bo to inna flora bakteryjna, ale mniejsza. Całą noc gadaliśmy o tym, że może tu nie jest

tak źle, że nie tylko ajdiki i szuszwole z kałachami i że może ten kraj jednak da się uratować.

Jeździliśmy tam potem na patrole. Częściej niż w inne miejsca, bo sam wiesz, miło było zobaczyć szczerze uśmiechnięte twarze. Nie podejmowali nas tak dobrze jak wcześniej – nie mieli za wiele – ale zawsze czymś nas obdarowywali. Sami też staraliśmy się im przywozić jakieś drobiazgi. Taka gwiazdka raz na dwa, trzy tygodnie.

I pewnie myślisz, że teraz opowiem ci, jak przyjechaliśmy pewnego razu i znaleźliśmy same trupy. Nie. Nie było tak.

Ktoś zaczął kombinować, ktoś zawsze zacznie kombinować. No i wyszło mu, że oni dobrze znają teren, żyją tu od lat. A my, chociaż zarabiamy nieźle, jednak nie dość, żeby opłacało się narażać dupę. No bo kurde, jedziesz tu, walą do ciebie, wpakujesz się na ajdika, zabiją ci kumpla, a potem wracasz do kraju, nikt z tobą nie pogada i jeszcze na ciebie plują różne oszołomy. A nie daj Boże wejdź w Internet, to się okaże, że my tu tylko palimy, zabijamy i gwałcimy. Dziękuję za taką wojnę.

Chyba żeby jakiś interes zrobić, mieć jakiś dodatek do pensji, poza mnożnikiem za misję. Są niby dzieła sztuki, co ci mówiłem, ale sztabowniki zaraz kładły na nich łapę. A weź spróbuj takiemu podskoczyć. Nie wspomnę, że tym też się już ktoś interesował, bo nie jest do końca normalne, że w Polsce nagle masz skrzynie pełne obrazków i figurek z Bliskiego Wschodu. Musieliśmy radzić sobie inaczej.

Tu jest tylko jedno bogactwo naturalne. Maki.

I nie gadaj, że ktoś z tym walczy. Te wszystkie programy, co im proponowali, żeby niby soję uprawiali albo fasolę jakąś, są śmiechu warte. Jakby do naszych rolników przyjechali i kazali banany pod Opolem sadzić.

Wiesz dobrze, jak jest. NATO zrzuca winę na rząd afgański, a rząd na NATO. Bo nikt nie ma jaj powiedzieć ludziom, że nie mogą zarobić, żeby dziecku kupić ubranie albo rower, żeby jeździło do szkoły, bo gdzieś tam, w mieście, jakiś ćpun lubi sobie dziabnąć.

No i zaczęliśmy robić ten interes. Z początku na małą skalę. Kontyngentowi nie starczały nawet własne Casy, często musieliśmy latać z Amerykanami, więc nie było co szaleć ze szmuglem. Sztabowniki nosa za szlaban

nie wysuną, to pilnować się musieliśmy tylko w bazie. Pakowało się komuś po cichu kilogram do plecaka, jak zmieniali turę, i jakoś to szło. Kilogram na sześć miesięcy to tyle co nic. Zwłaszcza że cena zbytu też dupy nie urywała, bo nie mieliśmy dobrego kontaktu, a strach był, że nas ktoś z tym przyłapie.

Ale nawet po podziale na łebka przypadał niezły hajs. Niezły. Mieszkania nikt za to nie kupił, ale starczyło na wkład do kredytu albo trzyletni samochód.

Najlepsze w tym wszystkim, że Ghazni jest terenem „wolnym od uprawy opium". Zresztą wiesz, co piszą w raportach. No, skoro jest wolne, jest idealnym miejscem.

Zaczęliśmy rozwijać biznes. To też było fajne, bo wioska na naszych oczach rosła. Założyli studnię głębinową. Mieli w końcu nawet kablówkę. Rozumiesz? Wielki, biały talerz, na jakimś, kurde, słomianym dachu, czy z czego one tam są. Nie tłumaczę się, wiadomo, że chodziło o hajs, ale miło było popatrzeć.

Uprawy zaczęły rosnąć, a poza tym nasi przyjaciele przechodzili przez góry, do Zabulu, a tam i w Kandaharze uprawia się na potęgę. Na osiołkach to jedna noc.

Podaż zaczęła rosnąć. No i dochody. Tylko transportu brakowało. No, ale ja jestem w końcu z logistyki, co nie? Więc zaczęliśmy wciągać Francuzów, Amerykanów, Włochów, Holendrów, Brytoli. Każdego, nawet Rumunów i Albańczyków. Tylko nie Niemców. Oni i tak przyjeżdżają tu jak na piknik, nie wychylają dupy z baz, więc dlaczego mieliby ryzykować.

Biznes się rozwinął. Niesamowicie się rozwinął. W Afganistanie jest teraz ze czterdzieści tysięcy ludzi na misji. Uwierz mi, co najmniej kilkudziesięciu ma szansę zostać milionerami.

3

– To film sprzed pięciu miesięcy – powiedział Koller. Wyłączył program odtwarzający i schował dysk USB do kieszeni kurtki. – W dalszej części pada sporo nazwisk ludzi zamieszanych w handel. Domyśla się pan, dlaczego to mówię?

– Ni cholery – odparł Wieteska. Każdym calem osobowości dawał do zrozumienia, że film nie tylko nie powiedział mu niczego nowego, ale wręcz go znudził.

– Tam pada też pańskie nazwisko, kapitanie.

– To tylko jedno zeznanie. Trzeba by coś więcej, żeby postawić formalne oskarżenie.

– Jest więcej, dużo więcej.

– No i? – spytał Johny po chwili milczenia.

– Zdaje pan sobie sprawę, że przy tej skali wystarczy jeden dobry dziennikarz śledczy i obecność NATO w Afganistanie stanie pod znakiem zapytania?

– Sześć lat misji – potwierdził Wojtyński.

Wieteska, ku powszechnemu zdziwieniu, parsknął śmiechem.

– A co dokładnie takiego wspaniałego robimy w Afganistanie, że dobro ISAF jest aż tak istotne? – spytał, nie starając się nawet tłumić rozbawienia. – Poza sprawdzaniem własnymi tyłkami wytrzymałości Rosomaków na improwizowane ładunki wybuchowe, oczywiście.

Koller wiedział, że nadeszła najważniejsza chwila. Wydarzenia ostatnich godzin odebrały mu większość kontroli nad sytuacją, ale skoro miał Wieteskę w rękach, porucznik musiał grać według ustalonych wcześniej reguł. Jakkolwiek dziwne by się to zdawało.

– Tysiące poległych żołnierzy odda swoje życie na darmo, jeśli będziemy musieli wycofać się, nie zostawiając żadnej trwałej administracji – powiedział powoli, spokojną powagą kontrastując z nastrojem Wieteski. Bóg raczył wiedzieć, ile go ten spokój kosztował. Nadal nie mógł wymazać z pamięci plutonu Jamroza i zaginionych Amerykanów wraz z ich eksperymentalnym wynalazkiem. – Może mnie pan oskarżać o patos, ale mówię o faktach. Zostawimy za sobą spaloną ziemię, na której wyrosną tylko grupy bardziej radykalne, lepiej uzbrojone i zorganizowane niż przed naszym przybyciem. Skuteczniejsze, bo skuteczności nauczyła ich walka z nami. Od dwa tysiące pierwszego roku zginęło chyba dość ludzi, żeby nie był to zły powód.

Wieteska długo milczał, patrząc ponuro w ścianę. Po wesołości nie został ślad.

– I co dalej? – zapytał w końcu.

– Wywiad wojskowy liczy na pańską współpracę – odparł Koller pojednawczym tonem. – Z pożytkiem dla obu stron.

To nie był jego autorski pomysł. Oficerowie SWW jeszcze przed wyjazdem wytypowali Wieteskę jako kandydata do zwerbowania i zaproponowali strategię: w pierwszym rzędzie odwołać się do honoru, etyki, nie do strachu. Dopiero potem zaproponować korzyści. Na szkoleniu zapoznano Kollera z kilkunastoma możliwymi scenariuszami podobnej rozmowy. Żaden jednak nie przewidywał tego, co stało się zaraz potem.

Johny wyciągnął piersiówkę, jednym długim haustem opróżnił ją do końca, po czym wyrzucił za siebie. Nim metal trzasnął cicho o podłogę, zdążył otrzeć rękawem usta.

– Nie ma o czym gadać – powiedział. Jego głos zabrzmiał wręcz grobowo. – To wszystko i tak już dobiega końca. Wielki polski wywiad do spółki z CIA, czy kim tam jeszcze, przeoczył to i owo. Są daleko w tyle za szuszwolami. Pańskie nagranie jest nieaktualne, a cholera wie, czy handel nie jest też nieaktualny. Przynajmniej w formie, jaką wszyscy znamy.

Koller przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko. Wieteska wiedział doskonale, że słowo „współpraca” nie oznaczało prywatnych zwierzeń, ale donoszenie na kolegów. W normalnych warunkach Koller momentalnie uciąłby próbę ucieczki od tematu, ale jego sytuacja była bardzo daleka od normalnej. Uznał, że przy okazji nie zaszkodzi zdobyć dodatkowe informacje.

– Karski mówił, że rząd afgański prawdopodobnie wziął się za handel opium na własną rękę – powiedział. – Dowództwo misji wątpi jednak w skuteczność tego rodzaju działań.

– Rząd afgański na własną rękę umie się co najwyżej załatwić. Wiecie, co się naprawdę dzieje? Nie? Ktoś po drugiej stronie eliminuje dostawców. A ostatnio także kontrahentów.

– Oficerów ISAF?

Wieteska przewrócił oczami i jęknął. W głosie zabrzmiało nieukrywane politowanie.

– Sześć lat w Afganie i nigdy nie było ofensywy zimą – powiedział. – Nagle ilość kontaktów bojowych rośnie ośmiokrotnie, a sztab śpiewa, że oho, zmiana taktyki. Przyjrzyjcie się wreszcie, do cholery, do kogo oni strzelają.

– Do oficerów zamieszanych w handel opium – odezwał się Wojtyński. Uznał widać, że czas nazwać rzeczy po imieniu.

– Owszem – potwierdził Wieteska. – Ale nie tylko. Pojawił się ktoś po stronie talibów, kto – jak to się ładnie mówi – się nie pieprzy.

– A jaśniej?

– Nie wiem, o co do końca chodzi. W przeciągu tygodnia rozpętało się piekło. Dwa razy lecieliśmy na miejsce umówionego spotkania, żeby znaleźć tylko okaleczone trupy. Okaleczone… – Zamilkł na chwilę, jakby szukając odpowiednich słów. – Do czegoś takiego trzeba mieć albo całkowicie zwyrodniałą wyobraźnię, albo, nie wiem, jakieś studia. W tym samym czasie okoliczne wioski zapłonęły jak race na meczu Legii. A na chłopaków zaczęli polować. Ghazni to obecnie jedno wielkie, zastygłe w bezruchu przerażenie. Więc każdy, kto ma trochę rozumu w głowie, siedzi cicho i się nie wychyla. Żadna kasa nie jest warta śmierci z rąk tych idiotów.

Zamilkł i przetarł palcami powieki. Miał przekrwione oczy. Wyglądało na to, że dobry nastrój kapitana sprzed kilku minut ulotnił się zupełnie.

Koller zawahał się. Zasady mówiły, że zmęczenie przesłuchiwanego obiektu jest najlepszym przyjacielem przesłuchującego. Ale nie wiedział, co dalej. Po prostu nie wiedział. Wieteska nie miał oporów przed przyznaniem się do przestępstwa. Szantaż na niego nie działał, a – jak twierdził – siatka się całkowicie posypała. Wielka operacja SWW trafiła w pustkę.

Porucznik musiał przemyśleć parę spraw.

Czytał dossier Wieteski, widział jego wyniki ze szkoły lotniczej i opinie instruktorów. Johny był wyjątkowym żołnierzem. Nie zasłużył na to, żeby się nad nim znęcano.

– Myślę, że wystarczy na dziś – stwierdził Koller, kątem oka dostrzegając skrzywienie ust Wojtyńskiego. O nim też wiedział co nieco. Drab był formalistą i uważał zapewne, że przesłuchanie powinno być kontynuowane do skutku. Postanowił to zignorować. – Może pan wracać do swoich ludzi.

O dziwo jednak, kapitan nie skorzystał z oferty. Zamiast tego rozparł się wygodnie na obrotowym fotelu z ułamanym podłokietnikiem. Położył nogi na konsoli radiostacji. Zastygła pod maską zmęczenia twarz ożyła.

– Nie pogadamy o znikającym oddziale?

Wojtyński i Koller spojrzeli na siebie. Wyglądało na to, że kapitan ma jeszcze co najmniej jednego asa w rękawie.

– Ma pan dla nas instrukcje od Karskiego? – zapytał Drab.

Johny zaniósł się śmiechem. Ponowna zmiana nastroju lotnika była tak niespodziewana, że Koller poczuł się całkowicie zbity z tropu. Wojtyński dla odmiany nawet nie drgnął.

– Zniknął pluton żołnierzy – stwierdził kapitan, wyciągając z kieszeni paczkę marlboro, po czym zaczął macać się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki. – A wy poważnie pytacie mnie o instrukcje od faceta, który nie nosiłby butów, gdyby żona nie napisała mu wcześniej, który jest lewy, a który prawy?

– Mimo wszystko dowodzi batalionem – stwierdził Koller, sam krzywiąc się w duchu.

– Dobrze. Rozwieję wątpliwości. – Wieteska wyciągnął w końcu zapalniczkę. Srebrne zippo trzasnęło cicho. Kapitan zaciągnął się dymem. – Rozkaz dosłownie brzmiał tak: „Lećcie i ten, no, sprawdźcie. Sprawdźcie coś. I czekajcie na dalsze rozkazy. Ja się spytam kogoś, co się stało”. Jeśli zaś chodzi o dowodzenie… – Papieros musiał sprawić mu wyjątkową przyjemność, Johny aż zamilkł z rozkoszy. – Nie ma to jak whisky i marlboro…

– Jeśli zaś chodzi o dowodzenie? – trzymał się głównego nurtu Koller.

– Pan wie, co się wydarzyło, zanim tu przyjechaliśmy? – zapytał Wieteska.

– Z grubsza – odparł Koller. Coraz bardziej dziwił go kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa. Początkowa przewaga nad lotnikiem topniała. Może w ogóle była tylko wspomnieniem. – Zdjęto generała, który organizował batalion. Grobicki, którego planowano mianować podpułkownikiem i dowódcą misji, z dnia na dzień odszedł z wojska. W jeden dzień zniknęła większość wyższego dowództwa. Karski został jedynym starszym oficerem,

którego można było mianować dowódcą batalionu, nie wywołując skandalu w przeddzień rozpoczęcia kolejnej zmiany.

Wieteska złożył dłonie w geście niemych braw. Znad palców unosił się szary papierosowy dym. Obłoki płynęły powoli, zawiesiste i gęste.

– Brawo, brawo. Wywiad jednak coś wie. Teraz moja kolej – powiedział. – Opowiem wam bajeczkę. Jej tytuł to trzy literki: MDS. A potem obejrzymy sobie taśmy i zobaczymy, co się stanie, zgoda?

Koller nie odpowiedział. Johny oparł się wygodnie.

– Niech pan na chwilę założy, że wszyscy w promieniu pięciuset metrów od siedemdziesięciu lat nie żyją – powiedział, po czym skłonił głowę w stronę porucznika. – Z wyjątkiem pana, poruczniku Koller.

4

Kwadrans później do pomieszczenia wszedł Galaś i od razu wyczuł wiszące w powietrzu napięcie. Twarz Kollera była mokra od potu, zszarzała, jakby dziwnie skurczona. Wojtyński siedział przy blacie i palcami wystukiwał szybki, nerwowy rytm, co u zwykle opanowanego specjalsa było czymś niespotykanym. Wieteska rozglądał się leniwie wokół, sprawiając wrażenie człowieka snującego plany atrakcyjnego spędzenia reszty nocy. Do tego Galaś zobaczył leżący na stoliku pistolet Wieteski, ale to akurat wydało mu się najmniej dziwne. Kapitan miał powszechną opinię świra, a przy tym, co wyprawiał za sterami, rozrzucanie wokół siebie broni i amunicji zdawało się ledwie nieszkodliwym niechlujstwem.

Koller wydał krótkie polecenie, kapral pomanipulował przez chwilę przy odtwarzaczu, po czym film ruszył. Pokazywał moment, w którym więźniowie weszli do bazy.

– Jamróz raportował wzięcie jeńców? – spytał Wojtyński.

Nikt nie odpowiadał. Galaś wykrzywił twarz w niemym pytaniu, zatoczył wzrokiem po wszystkich dookoła, po czym uznał, że wywołano go do odpowiedzi.

– Nie ma takiego obowiązku – powiedział. – Mogli to zrobić dopiero przy zwyczajnym kontakcie… Pan porucznik zna regulamin?

– Patrzcie na ekran – uciął Koller.

– A bo tam coś interesującego… Gadają, gadają, szuszwole klęczą w kółku, ot i tyle się dzie…

Kapral zamilkł z otwartymi ustami. Ekran zaczął migotać. Przez zakłócenia dało się jednak dostrzec zamieszanie, które wybuchło w bazie. Polacy wybiegali z baraków na środek placu, co mogło oznaczać, że chwilę wcześniej został ogłoszony alarm bojowy. Marines wyglądali na wyraźnie podenerwowanych.

– To chyba ćwiczebny alarm – stwierdził Wojtyński. – Jamróz i kapitan Sanchez się nie śpieszą. Nawet kucharze wyszli się przyglądać… – Drab chciał powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał w pół słowa.

Wszyscy roili się dookoła MDS-a niczym ćmy wokół lampy. Żołnierze stali w szyku, wyraźnie czekając na reakcję oficerów. Amerykanka przyśpieszyła kroku, a Jamróz stanął na środku, najwyraźniej nie wiedząc, co robić. Wydał jakiś rozkaz i Polacy podbiegli do klęczących bez ruchu więźniów. Zaczęli odciągać ich w stronę baraków.

– Jest pan pewien? – spytał Koller.

Wojtyński nie odpowiedział.

Ekran zaczął drgać i śnieżyć mocniej. Rozpoznawalność szczegółów spadła niemal do zera. A potem, z sekundy na sekundę, co potwierdzał zegar u dołu, wszystko się uspokoiło. Obraz znów stał się idealny.

Plac w Raji był pusty.

Wojtyński i Koller odwrócili się w stronę Wieteski, skrytego za obłokiem papierosowego dymu.

– Coś musi być nie tak z ustawieniami – powiedział kapral nadterminowy, wciąż wpatrzony w ekran. – Ktoś pozamieniał klatki albo coś. To nie jest łatwe, ale…

– Dziękujemy za pomoc – powiedział Koller. – Możecie odejść.

– Ale…

– Jesteście wolni, kapralu.

Galaś mruknął coś pod nosem i wyszedł z radiostacji powoli, całym sobą dając do zrozumienia, jaka niesprawiedliwość go spotkała.

– Nie powiem. – Johny strzelił papierosem w stronę popielniczki. – Ciekawe. Nawet dla mnie. Co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć na wła-

sne oczy.

– Skąd o tym wiedziałeś? – zapytał Koller.

W „bajce”, opowiedzianej przed pojawieniem się Galasia, Wieteska przewidział wersję wydarzeń, którą zobaczyli na ekranie. Zrobił to bardzo ogólnie, jego opowieść dałaby się zamknąć w jednym zdaniu: pojawi się amerykańskie urządzenie, coś zacznie się przy nim dziać, a potem wszystko zniknie: ludzie, sprzęt, broń…

– Jesteśmy na „ty”? Przegapiłem bruderszafta czy przenieśli mnie do ruskiej armii?

– Do rzeczy.

– To będzie brzmiało jeszcze mniej sensownie niż dotąd – stwierdził Johny.

Uśmiechnął się przepraszająco. Pod uśmiechem i nonszalanckim sposobem bycia kapitana Koller po raz pierwszy dostrzegł niepewność.

– Zamieniamy się w słuch.

– Ten… MDS. – Wieteska wskazał odruchowo na ekran, chociaż ziała na nim teraz tylko pustka ciemnych pikseli. – To eksperymentalne urządzenie. Jedną z jego funkcji, chyba pobocznych, jest podróż w czasie.

– Słucham? – zapytał Koller pewien, że się przesłyszał.

– To wehikuł czasu. Serio.

Wojtyński parsknął śmiechem. Nawet jego wzięło.

– Myślę, że tracimy czas… – powiedział, ale umilkł, widząc podniesioną dłoń Kollera.

– Johny czy panie kapitanie, jak wolisz – zaczął porucznik, bardzo powoli. Intensywnie wpatrywał się w pilota. – Nie musisz mnie lubić, nie musisz mnie nawet szanować. Twoja sprawa. Nie będę straszył, powiem ci, jak jest. Jesteś zabawnym gościem, ludzie takich lubią. – Spojrzał na Draba, jak gdyby szukając potwierdzenia, ale ten nie zareagował. – W więzieniu wojskowym docenią trochę humoru. Ja przy tobie jestem nieciekawy. Ale widziałeś kiedyś prokuratora? Oni są dopiero nudni. Tylko że tacy nudni goście jak oni, którzy słuchają takich nieciekawych facetów jak ja, mogą sprawić, że do końca życia będziesz oglądał helikoptery raz w tygodniu, w bi-

bliotece. A o lataniu pogadasz sobie przez grypsy, z kolegami z sąsiednich cel. Z Ugawem, Halnym…

– Trzeba było się nie odzywać… – stwierdził Wieteska.

– Nie – zaprzeczył Koller. Jego głos był twardy jak stal. – Powiedz mi. Powiedz mi wszystko. Nie przerywałem twojej opowieści, prawda? Przerywałem?

– Nie…

– Właśnie. Dałem ci szansę. Ale jeśli naszło cię na głupi żart, który ciągniesz, bo twoja whisky jest taka mocna albo żeby mieć dobrą historię dla chłopaków, będziesz go żałował do końca życia. – Porucznik uśmiechnął się paskudnie. – Wierzysz mi?

– Tak. – Wieteska stracił tupet. Na jego czoło wystąpiły krople potu. – Ale zanim podłączycie mi jaja do akumulatora, powie mi pan może, czy macie lepsze wytłumaczenie? Jak wpadnie Galaś i potwierdzi, że to tylko teleporter, wszyscy odetchną?

– Mów dalej – warknął Koller.

– Tyle. Wehikuł czasu. Mało?

– Jakieś szczegóły?

– A co ja jestem, „Science Magazine”? – obruszył się Wieteska. – Mówię, co wiem.

– A skąd wiesz? – spytał Wojtyński.

Wieteska zastanowił się, jakby ważąc, ile może powiedzieć.

– Sami się prosicie – powiedział. – Okej. To już się kiedyś wydarzyło. Tak sądzę, chociaż jeśli się chwilę pomyśli nad szczegółami, człowiek od razu wariuje. Pierwszy Samodzielny Batalion Rozpoznawczy, najlepsi ludzie, najlepszy sprzęt i tak dalej, przeniósł się w czasie i trafił do zachodniej Polski w pierwszym dniu kampanii wrześniowej.

– Której kampanii?

– A ile kampanii wrześniowych było? – obruszył się teatralnie kapitan. – Wiem, wiem… – dodał już łagodniej. – Prawdę mówiąc, sam byłem bliski zamknięcia w wariatkowie tego, od kogo usłyszałem tę historię.

– Od kogoś z batalionu?

– Gorzej. Od mojej żony.

Koller poszperał w pamięci. Pamiętał z akt Wieteski, że jego żona (jak ona się, do cholery, nazywała? Regina? Romualda? Roksana?) była mocno wspierana przez Fundację Osób Zaginionych. Straciła, jak twierdziła, pamięć, i była zmuszona wyrobić od nowa wszystkie dokumenty, łącznie z aktem urodzenia. Pobrali się z Wieteską zaraz potem, tuż przed wyjazdem na misję.

– I co takiego powiedziała? – wyręczył porucznika Wojtyński. Zachowanie Draba wskazywało, że nadal uważa przedmiot rozmowy za bzdurny.

– Że urodziła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku – odparł Wieteska najbardziej obojętnym głosem ze swego przebogatego repertuaru. – Między innymi, oczywiście.

Wojtyński patrzył na Wieteskę jak na wariata. Koller odszedł w stronę ekranów. Gapił się na pusty plac, który ukazywał monitor – na tej klatce zatrzymał film Galaś.

– To długa historia – powiedział Wieteska niezrażonym tonem. Teatralnym gestem strzepnął z rękawa kurtki niewidoczny pyłek. – Ale nie ona jedna ją potwierdza.

– Kto jeszcze? – Drab mówił bardziej jak sanitariusz do chorego niż przesłuchujący.

– Grobicki.

– Koller, jego trzeba zamknąć i odseparować. Siedzi przed nami patologiczny mitoman.

– Niech mówi dalej.

– No więc Grobicki i batalion byli w przeszłości pięć lat. Tam się narobił jakiś straszny bigos i kiedy wrócili w nasze czasy, Jurek stwierdził, że musi zatrzymać bałagan u źródła… No i pogadał sam ze sobą. To znaczy ze swoją wersją przed wyruszeniem w przeszłość. W efekcie Grobicki zrezygnował z dowodzenia i odszedł z wojska. Po czym bieg wydarzeń się odwrócił.

– Co stało się z tym drugim Grobickim? – spytał Koller, odwracając się.

– Nie żyje.

– Zabity?

Wieteska przetarł usta.

– Nie wiem.

Zmieniać historię, pomyślał Koller. Co za absurd.

– Sam wielu rzeczy nie wiem, wielu nie rozumiem – powiedział kapitan, wyprzedzając kolejne pytania. – Wierzę Rozalce…

W tym momencie Koller sobie przypomniał: żona Wieteski miała na imię Rozalia.

– Moja żona urodziła się przed wojną, batalion, w tym ja, miał, a może ma nadal, alternatywną historię, a MDS może dokonywać skoków w czasie. Tyle wiem. Wierzcie albo nie, ale odpierdolcie się ode mnie.

Drab wstał z krzesła tak energicznie, że nóżki aż zastukały o podłogę. Podszedł do Kollera i tłumiąc wściekłość, zdobył się na szept.

– To nie moje śledztwo, ale na co ty mu pozwalasz? Zamierzasz dalej słuchać tych bredni?

– Gorzej – odparł Koller. Był zaskakująco opanowany, nawet jak na siebie. – Zamierzam dać do zrozumienia, że w nie wierzę.

– Co?

– Nieważne, czy mówi prawdę, czy nie. On wierzy. – Ponad ramieniem Draba zerknął na Johny’ego. Kapitan albo rzeczywiście nic nie słyszał, albo powinien się ustawić w kolejce po wszystkie Oscary świata. – Nie wiem, czy MDS umożliwia skoki w czasie, w przestrzeni, czy jest po prostu perfekcyjnym kamuflażem, ale Johny jako jedyny jest w tym jakkolwiek zorientowany.

– A Karski?

Kollerowi podobne pytanie przyszło do głowy już wcześniej. Zaraz po tym, dlaczego pułkownik w swojej logice trepa nie powiedział mu nawet o istnieniu amerykańskiego oddziału? Być może myślał, że trzymając porucznika w niewiedzy, lepiej będzie go kontrolował. Istniały dwa potencjalne powody takiej taktyki: nawyk – radziecka szkoła to radziecka szkoła – im mniej żołnierze wiedzą, tym lepiej, lub fakt, że amerykańska misja miała wysoki stopień tajności, a ewentualny wypadek tym bardziej wymagał jej przestrzegania. Pułkownik nie chciał ryzykować.

– Nie wiem, ale nie spodziewałbym się, że cokolwiek nam powie. – Koller poczuł złość. Przyjechał tu, by wykryć i rozbić sieć handlarzy

opium, a dostał do rąk zagadkę zniknięcia plutonu Jamroza i ściśle tajnego amerykańskiego systemu bojowego, o którym dowiadywał się zgoła fantastycznych rzeczy. – Zresztą nie wierzę, że jakiś amerykański generał jest dość głupi, żeby wprowadzać tego idiotę w szczegóły. A co do opium… Mam pewną hipotezę, którą chcę sprawdzić. Może obie sprawy wcale nie są tak różne, jak się wydaje.

– Jaką hipotezę?

– Potrzebuję więcej informacji. Na szczęście Wieteska wie trochę o jednym i o drugim. Jak mówią Amerykanie: jackpot.

Drab kiwnął głową. Jego staranne wyszkolenie i bystry, nawykły do wszechstronnej analizy umysł tym razem nie podpowiadały właściwych rozwiązań. Opowieść Wieteski brzmiała jak niezbyt wyrafinowana bajka. Problem polegał na tym, że dobrze pasowała do rzeczywistości. Nie przekonywała go, ale na podejście Kollera był gotów się zgodzić.

– Twoja historia nadal nie wyjaśnia, co stało się tutaj – powiedział Koller.

– A to to już nie mój problem, panowie oficerowie. Mnie czeka proces za handel opium.

– Po coś nam to mówisz.

– Połączcie sobie to, co widzieliście na filmie, z możliwościami MDS-a – powiedział Wieteska, po czym uśmiechnął się chytrze.

Koller pomyślał o człowieku, którego podobiznę kazał powiększyć Galasiowi podczas pierwszego przeglądania nagrań. Coś podpowiadało mu, że tam, gdzie dzieje się kilka dziwnych rzeczy jednocześnie, choćby nie wiadomo jak bardzo niepowiązanych na pierwszy rzut oka, przypadek można wykluczyć.

– Czyli mamy przyjąć, że MDS wraz z ludźmi Jamroza i z jeńcami przeniósł się w czasie?

Wieteska wzruszył ramionami.

– A co ja jestem, wróżka Kamasutra? Może tylko pojechali się poopalać, gdzieś, gdzie jest lepsze słońce.

Koller spojrzał bezradnie na Wojtyńskiego, ale porucznik milczał.

– Wróćmy do opium – powiedział, starając się, by zmiana tematu zabrzmiała możliwie najbardziej naturalnie. – Musimy zdecydować się na jakąś kolejność. W tej kwestii na razie dużo więcej nie ustalimy – wyjaśnił, dostrzegając zdziwienie Wieteski tym przeskakiwaniem po wątkach. Drab zachowywał się neutralnie. – Panie kapitanie, może nam pan powiedzieć coś więcej o tym, kto z drugiej strony eliminuje siatkę handlarzy?

– Nie. – Johny pokręcił głową. – Ale znam kogoś, kto może.

– Kto?

– Do tego będziecie mi, panowie, musieli zaufać. I pożyczyć na kilka godzin helikopter.

5

Dwadzieścia minut później piechota w Raji została postawiona na nogi, a sprzęt, począwszy od wozów bojowych i na helikopterach skończywszy, zatankowany, zaopatrzony w amunicję i przygotowany do drogi.

Koller nie zwrócił Wietesce broni. Biorąc jednak pod uwagę, że oddał w jego ręce najlepiej uzbrojony w polskim wojsku śmigłowiec, a także życie swoje oraz Draba, była to w zasadzie restrykcja czysto symboliczna.

Porucznik wydał rozkazy Ścickiemu. Podporucznik sformował z dwóch Rosomaków kolumnę, która miała asystować helikopterowi w podróży. Ten ostatni musiał oczywiście znacznie ograniczyć prędkość, ale zdaniem Johny'ego wioska nie znajdowała się daleko, a dodatkowy środek ostrożności mógł tylko pomóc.

W Raji zostawał Balszkowski z resztą ludzi, jednym Rosomakiem i trzema pozostałymi helikopterami. Poza Wojtyńskim i Kollerem ekipę desantową śmigłowca stanowiło dwóch operatorów GROM-u. Kiedy Wieteska uruchamiał silniki, stali kilkanaście metrów od helikoptera i odbywali odprawę z dowódcą.

– Po raz pierwszy, jeszcze na lądowisku, zanim się przedstawiliśmy, zanim kazałeś mnie aresztować – powiedział Johny. W helikopterze siedział na razie tylko Koller i on. Operator uzbrojenia sikał pod barakiem radiostacji. – Pomyślałem, że się chyba znamy… – Kapitan zwiększył ciąg, sprawdził komunikatory, szybkim spojrzeniem obrzucił przyrządy pokładowe. –

Ale nie. Dopiero chłopaki powiedzieli mi, że pan porucznik dał sobie zabić dwóch ludzi w Iraku. Tak było?

– To długa historia – powiedział cicho Koller. Ludzie z SWW i Amerykanie uprzedzali go: będzie ciągnęła się za nim czarna legenda, z którą będzie musiał walczyć, by przełamać nieufność ludzi.

– Nie w walce. Pozwoliłeś ich porwać, a potem jakiś facet w turbanie pozarzynał chłopaków przed kamerą. – Wieteska nadał swemu głosowi idealnie obojętne brzmienie. – Rodziny dowiedziały się o tym z wiadomości. Tak było?

Koller widział jedynie plecy rozmówcy, ten bowiem nieustannie zajmował się czynnościami przedstartowymi, jak gdyby nie przywiązywał wielkiej wagi do tej rozmowy.

– To naprawdę najlepszy moment na wspomnienia?

– Najlepszy – potwierdził Johny z mocą. – Bo ja na przykład nie chciałbym, żeby moja żona włączyła rano elektryczne pudło, żeby obejrzeć sobie Makłowicza, a znalazła zdjęcie szuszwola z moją głową w ręku.

– Rozumiem.

– Kamień z serca – stwierdził Wieteska i w końcu się odwrócił. Miał drwiącą minę, ale ostre spojrzenie. – Jeśli wydaje ci się, że współpracujemy, bo ktoś ma taką czarującą osobowość, to gdzieś z tyłu jest klucz francuski. Weź go i palnij się w łeb. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo i ani jedną obietnicę.

– Więc dlaczego w ogóle lecimy?

– Bo te skurwysyny strzelają do moich kumpli.

Koller nie odpowiedział.

Operator uzbrojenia zajął miejsce z przodu śmigłowca. Chwilę później Wojtyński i dwaj specjalsi wsiedli na pokład. Johny, nie bawiąc się w żadne zapowiedzi i nie czekając nawet, aż ktoś zamknie drzwi, wyrwał potężnie w górę. Przy akompaniamencie ryku turbin silnika żołądki przypomniały wszystkim o ciężkostrawnym obiedzie.

– Trzeba się śpieszyć – usłyszeli głos pilota w interkomie. Wieteska z właściwą sobie niefrasobliwością odpowiedział na niezadane pytanie. – Droga długa, zadanie nie cierpi zwłoki.

Zupełnie pominął przy tym logikę, mieli w końcu czekać na Rosomaki.

Wojtyński spojrzał pytająco na Kollera. Ten tylko wzruszył ramionami.

Nie zdawali sobie sprawy, że zabawa dopiero się zaczyna. Dobrem misji dało się prawdopodobnie wytłumaczyć wyjątkowo niski pułap, ale nagłe skręty, kilka gwałtownych zatrzymań niemal w miejscu, wreszcie próbę czegoś na kształt beczki – dzięki Bogu niepełnej – już nie. Mi-24 nie były maszynami nadającymi się do akrobacji. Kapitan zupełnie się tym nie przejmował, a ekipa desantowa była zbyt zajęta powstrzymywaniem wymiotów, by zdobyć się na jakąkolwiek spójną reakcję.

Do Kollera dotarło, że w dziedzinie doprowadzania ludzi do mdłości jego pilot z Bagram, Piechowski, był zaledwie amatorem.

Na szczęście lot nie trwał długo.

Po niecałej godzinie przekleństw, próśb, gróźb i objawów desperacji ujrzeli niewielką wioskę. Najbardziej zaufaną, pierwszą, z którą polscy oficerowie nawiązali współpracę. Zobaczyli ją z daleka mimo panujących ciemności.

Płonęła.

6

Pożary były w gruncie rzeczy niewielkie. W liczącej kilkaset osób wsi nie stał żaden duży budynek, magazyn ani stos drewna, który dałby żywiołowi dość pożywki. Z powietrza Polacy dostrzegli jedynie siatkę ogników, niczym rozrzucone na polu pochodnie.

Pożary dogasały. Żadne z drgających w mroku świateł nie przekraczało rozmiarami dużego ogniska, jednak w zimnej ciemności gór rozkwitały wręcz, widoczne wyraziście z wielu kilometrów.

Kiedy Mi-24 znalazł się dokładnie nad środkiem placu, który służył chyba za miejsce narad albo może targu, odezwał się Wieteska.

– Lądujemy – stwierdził, rozglądając się w poszukiwaniu dogodnego miejsca.

– Zaczekamy na Rosomaki – zaprzeczył Koller. – Zabezpieczą teren.

Johny prychnął, zamruczał coś o tchórzostwie i dekownikach, ale jego ręce na sterach znieruchomiały. Maszyna przestała opadać.

– Idę o zakład, że nasi zwinęli tych jeńców tutaj – powiedział.

– Przeczucie?

– Nic innego nie jest dość blisko, a zgliszcza wyglądają na świeże. Zaczęły się palić kilka godzin temu. Skoro nasi tu byli, musi być bezpiecznie. Może nawet oni to wszystko podpalili, chociaż cholera wie, czemu mieliby to zrobić.

– Przez kilka godzin dużo mogło się zmienić – powiedział Koller. Spróbował wyjrzeć na zewnątrz, ale niczego nie dostrzegł. – Zaczekamy.

– *As you wish, my master* – powiedział Wieteska. Koller nadal nie mógł się przyzwyczaić do tego stylu. Nie był przesadnym formalistą, jednak pajacowanie kapitana zaczęło mu działać na nerwy. Johny otrząsnął się po groźbach w bazie wyjątkowo szybko.

Silnik śmigłowca ryknął. Wieteska przyspieszył, po czym położył maszynę na skrzydło. Koller ponownie poczuł żołądek podjeżdżający do gardła. Powoli ogarniała go złość.

Gdy kilka minut później usłyszał w komunikatorze głos Ścickiego, był już bliski wybuchu.

– Wjeżdżamy do wioski.

– Oczyśćcie teren – powiedział Koller z ulgą. Głos podwładnego, rzeczowy i konkretny, pozwolił mu się uspokoić.

– Tak jest – odparł podporucznik sucho.

Koller przycisnął twarz do bulaja i spojrzał w dół.

Ludzie Ścickiego rozbiegali się właśnie po wsi. Z tej wysokości malutcy jak mrówki, przypominali postaci w starej grze komputerowej. Wrażenie potęgowała dyscyplina, z jaką się przemieszczali. Szeregi punkcików, które mknęły pod ścianami, przeskakując, dynamicznie niczym pingpongowe piłeczki, przez wąskie uliczki, gdy zajmowali kolejne strategiczne pozycje. Część z nich znikała pod strzechami domów, by po chwili ponownie pojawić się na otwartej przestrzeni.

Helikopter Wieteski krążył tymczasem nad okolicą. Zrobił kilka kręgów, raz czy dwa wzniósł się wyżej, nie przesadzając jednak z pułapem, by nie wpaść w oko nikomu niepożądanemu. Johny Wieteska wyraźnie nudził się za sterami.

Nie minęło wiele czasu, gdy w komunikatorze ponownie odezwał się podporucznik.

– Czysto – zameldował. – W obrębie wioski brak zagrożeń.

– Znaleźliście kogoś?

– Potwierdzam.

– Żywego?

– Tak, kilku mężczyzn. Starców.

– Czemu nie gasili ognia?

– Sami i tak nie daliby rady. Może nie marnowali czasu.

– Coś jeszcze?

– Nic – odparł Ścicki. – Nie ma tu czego szukać.

Koller odwrócił się w stronę Wojtyńskiego.

– Jak bardzo by mi się to nie podobało – powiedział Drab – chyba nie mamy dziś szczęścia.

Koller skrzywił się na ten eufemizm. Wojtyński prawidłowo odczytał minę porucznika.

– Trzeba powiadomić o wszystkim Karskiego. – Oparł ręce na udach. – No, może bez szczegółów, jak bardzo wyszliśmy poza granice tego, co pułkownik lubi nazywać zdrową żołnierską inicjatywą.

– Lecieliśmy na marne – stwierdził Koller.

– Bzdura – przez zatykane gwałtownym wzrostem ciśnienia uszy usłyszeli głos Wieteski. Rozmowa odbywała się przez interkom – kapitan był nie tylko jej świadkiem, ale również uczestnikiem. Mi-24 opadał błyskawicznie w dół. – Wszystko przebiega zgodnie z planem.

Koller nie zdążył zareagować.

Śmigłowiec przyziemił pośrodku placu, pomiędzy chatami, niemal zawadzając tylnym rotorem o ruiny jednej z nich. Kapitan nie pozwolił nikomu zadać choćby jednego pytania. Zdjął lotniczy hełm i wyskoczył z helikoptera. Szedł bez wahania, nie rozglądając się na boki, jakby był w wiosce setki razy i dokładnie znał drogę. Robił to w swoim stylu, stylu Johna Wayne’a kroczącego przez miasteczko na Dzikim Zachodzie. Rozstawieni wokół żołnierze klęli i osłaniali twarze przed wirującym piaskiem. Widzieli niewyraźne sylwetki, rozmyte w unoszącym się pyle. Z tyłu zaś, pod gwieź-

dzistym, chłodnym niebem helikopter i aureolę ognia, która zdobiła jego wirnik. Efekt Koppa – Etchellsa w pełnej krasie.

Na środku wioski Johny zatrzymał się, wydął usta, jakby zbierając się do wyplucia czegoś.

– Nie na zachód – powiedział Koller.

– Co?

– Spluń w inną stronę, nie na zachód. Jeśli ktoś na nas patrzy, nie wybaczą nam tego.

– Czemu?

– Muzułmanin nigdy nie wykonuje obraźliwych gestów w kierunku Mekki. W Afganistanie to zachód.

Koller ujrzał na twarzy Johny'ego zdziwienie pomieszane z czymś na kształt akceptacji.

– Edukacja w SWW nie jest taka zła – powiedział pilot, mrużąc teatralnie oko.

– Moja matka jest praktykującą muzułmanką – odparł Koller spokojnie. Wietesce otworzyły się usta. Po raz pierwszy nie wyglądał, jakby wszystko miał gdzieś. – Z polskich Tatarów.

Kapitan szybko doszedł do siebie.

– Może źle wybrałeś mundur – powiedział.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Przedtem splunął. Jednak na wschód.

– Ciała – powiedział cicho Wojtyński, zrównując się z Kollerem. Nie dawał po sobie poznać, że słyszał deklarację porucznika. Albo, w odróżnieniu od Wieteski, nie uznawał tego za istotne.

– Tak. Zauważyłem.

Wioska była zrujnowana i płonęła. Na ścianach budynków Polacy widzieli świeże ślady krwi. Nigdzie jednak nie dostrzegli ciał.

Chata, do której weszli, była właściwie na wpół osadzoną w skale ziemianką i nie miała dachu. Sufit stanowiła lita skała, na której zbierała się wilgoć. Ściany, choć obłożone sprzętami codziennego użytku, przypominały grotę jaskiniowców. Przedmioty wokół przedstawiały eklektyzm w czystej formie i najbardziej niewyobrażalne połączenie epok. Aluminiowa puszka coca-coli służyła za stojak dla czegoś, co wyglądało jak drewniany

rylec, zasuszone zioła zwisały z konstrukcji przypominającej przerdzewiały korpus dziewiętnastowiecznego karabinu ładowanego od wylotu lufy. Na samym środku zaś wisiał ciekłokrystaliczny telewizor Samsung i zdobiona orientalnymi wzorami, drewniana półeczka z najnowszymi filmami o mutantach z serii X-Men.

Cztery postaci siedziały nieruchomo nieco dalej, pod ścianą.

Ścicki pomylił się, określając ich wiek. W mroku nocy rzeczywiście wyglądali staro. Może nawet wydaliby się tacy w świetle poranka. W Afganistanie znaczyło to niewiele. Johny znał trzech spośród nich; wiedział, że żaden nie ma więcej niż czterdzieści pięć lat.

Ten surowy, skalisty kraj łatwo odbierał ludziom młodość.

– *Salam alejkum* – powiedział Koller, witając się ze wszystkimi po kolei. Po każdym uścisku dłoni kładł prawą rękę na sercu w oznace respektu. Po uprzejmych, niespiesznych powitaniach trójka oficerów siadła naprzeciw starszyzny.

Zaczął łamanym angielskim Wieteska, od czasu do czasu wtrącając pasztuńskie słowa. Przechodzenie od razu do rzeczy nie leżało w naturze Afgańczyków, jednak okoliczności sporo zmieniały. Poza tym Wietesce nie takie rzeczy uchodziły na sucho. Kapitan pominął temat, który zdawał się oczywisty: słowem nie wspomniał o masakrze. Zaczął pytać o dostawy, jak gdyby na zewnątrz panowała spokojna zimowa noc, nie płonęły chaty, a wioska nie sprawiała wrażenia martwej.

– Koniec, Tańczący w Przestworzach. Wszystko koniec – powiedział smutno jeden z mężczyzn łamanym angielskim.

Imię, którym tubylec zwrócił się do Johny’ego, wydało się Kollerowi zabawne. Jak z indiańskiej powieści. Wiedział jednak, że Rosomaki nazywano tu zielonymi diabłami, które widzą nocą. Tańczący w Przestworzach należał do tej samej kategorii wyobraźni.

Mężczyzna, który zabrał głos, miał bielmo na prawym oku i burzę zupełnie białych włosów. Okalając jego dostojną twarz, wyglądały jak grzywa lwa.

– Rozejrzyj się – mówił dalej. – Nikogo nie ma. Są tylko my. Tylko my zostali. Spójrz. – Pokazał ręce. Była na nich ziemia, mokra od osocza,

które ciekło z popękanych bąbli. – Zakopaliśmy wszystkich… – Zamyślił się. – Pochowaliśmy – dodał, znajdując lepsze słowo.

Wieteska milczał przez chwilę, oddając szacunek zmarłym. A potem wrócił do tematu.

– Mieliśmy duży transport dogadany. Duuuże – Wieteska pomógł sobie gestami – pieniądze. Bardzo dużo. Co się stało?

– Koniec. Wszystko koniec. Spójrz dookoła.

– Kto to zrobił?

– Nie wiecie? – Pełna zmarszczek i bruzd twarz rozciągnęła się w zdziwieniu. – Wasi zabrali.

– Nie rozumiem.

– Jest człowiek. Mówią, że z Zabulu, z miejsca, gdzie kwitną migdałowce. Wiecie?

– Tam wszędzie są migdałowce – powiedział Wieteska.

Przeczący ruch głową.

– Tylko jedno miejsce z taką nazwą.

– Pokażesz na mapie?

– Pokażę.

– Człowiek – wtrącił Koller. Wiedział, że to nietakt, ale musiał to zrobić. Wieteska nie miał pojęcia, jak istotny jest ten wątek. – Co to za człowiek?

Afgańczyk obrócił na porucznika spojrzenie żywych, młodych oczu. Bruzdy na twarzy zadrgały, zdawało się, że w grymasie gniewu, jednak po chwili złagodniały.

– Człowiek od Osamy. On nie lubi, że handlujemy z wami. Morduje. Dla przykładu. Pali i morduje wszystkich. Nic go nie obchodzi. Wszystko zabija.

– Dlaczego?

Mężczyzna rozłożył ręce, a potem wskazał ku górze.

– Haram – powiedział gardłowo. – Niemuzułmańskie. Opium śmierć, niemuzułmańskie. Handel z krzyżowcami, niemuzułmańskie. Haram. Za nieposłuszeństwo śmierć.

– Co stało się tutaj?

– Przyszedł i mordował. My byliśmy w górach.

– Mówiłeś, że „nasi zabrali” – tym razem odezwał się Wieteska. – Kogo?

Wojtyński milczał, podobnie jak czyniło to trzech pozostałych Afgańczyków. Rozmowa toczyła się między przyjaciółmi. Wystarczyło, że Koller złamał tę regułę.

– Wioska spalona, ludzie zabici. Potem przyjechały wasze zielone diabły, które widzą nocą. Schodziliśmy z gór, widzieliśmy.

– Ilu było ludzi człowieka z Zabulu?

– Kilkunastu. – Afgańczyk zamyślił się. Spojrzał po twarzach towarzyszy. – Piętnastu, dwudziestu – powiedział.

– Walczyli?

– Nie. Nie walczyli. Poddali się.

Koller sam nie wiedział, na której twarzy dostrzega większe zdziwienie: Wieteski czy Wojtyńskiego. Być może dostrzegłby na własnej, gdyby tylko miał lustro albo choć taflę wody.

– Jak „poddali się”?

– Złożyli broń, kiedy zobaczyli waszych, jeszcze z oddali. Nie uciekali, stali i czekali. Klęknęli i położyli ręce, o tak. – Mężczyzna oparł dłonie za głową, w uniwersalnym geście poddania.

Oficerowie spojrzeli po sobie. Sporo się dowiedzieli, choć tajemnica nadal pozostawała nieprzenikniona. Dlaczego dwudziestu zahartowanych w bojach mudżahedinów, tuż po wymordowaniu mieszkańców wioski, poddało się patrolowi polskich żołnierzy? Dowody zbrodni były zbyt oczywiste, by mogli spodziewać się łagodniejszego wyroku niż dożywocie. Musieli też liczyć się z tym, że wstrząśnięci mordem żołnierze będą chcieli sami wymierzyć sprawiedliwość.

Uznali widać, że ich cel wart jest ryzyka.

– Pomożemy wam – powiedział Johny, wstając. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie ma nic więcej do dodania. – Przyjedzie jedzenie. Koce.

Jednak pomylił się.

– Jeszcze jedno – wtrącił Koller. Zwrócił się bezpośrednio do mężczyzny z bielmem na oku. – Znacie imię człowieka, który przyszedł z Zabulu?

– Safez – odparł tamten powoli. Jakby wypowiadał imię upiora. – Ahmed Szah Safez.

7

Na zewnątrz powietrze wydawało się nadspodziewanie świeże, mimo wyraźnie obecnego w nim zapachu spalonego drewna. Żołnierze Ścickiego rozeszli się po wsi. Czekali, w milczeniu i gotowości, z profesjonalną starannością obserwując góry i podejścia do wioski. Czasami rzucali spojrzenia na dopalające się resztki chat. Nikt nie próbował ich gasić: byłoby to marnowanie sił i czasu.

Pierwszy nie wytrzymał Wojtyński.

– To jakaś bzdura – powiedział. – Miejscowi muszą się mylić.

– Widzieli wszystko z gór – zaprzeczył Wieteska. – Znam tego człowieka. Nie okłamałby mnie.

Drab nie akceptował jednak tak łatwo opowieści sprzecznej z logiką świata walki, który znał lepiej niż cokolwiek innego.

– Kilkunastu zaprawionych w bojach bojowników mogło, nawet powinno nawiązać walkę z niewiele liczniejszym patrolem – powiedział powoli, trochę jak nauczyciel tłumaczący prostą prawdę niezdolnym uczniom, wypowiadając na głos myśl, która chodziła Kollerowi po głowie, nim jeszcze rozmówca Wieteski skończył swą opowieść. – Nie kładliby się na ziemi i nie czekali grzecznie, aż ktoś łaskawie zwiąże im ręce i nakarmi batonikami z naszych MRE-ów.

– Może liczyli na łatwy łup i nie spodziewali się oporu? – spróbował kapitan.

– Bez sensu. Widzieliście taśmy, w Raji nie były dzieci, tylko żołnierze – zaprzeczył stanowczo Wojtyński. – Walczymy z nimi od miesięcy. To nie wieśniacy. Nie składają broni łatwo.

– I tak by nie wygrali.

– Zgoda – przyznał Wojtyński. – Rzecz w tym, że wcale nie musieli. W górzystym terenie mogli łatwo się oderwać. Gdyby zareagowali odpowiednio szybko, a stąd w świetle dnia musieli widzieć nasze Rośki, prawdopodobnie nie ponieśliby nawet strat. Nie ma logicznego wytłumaczenia,

dla którego zaczekali na nasz patrol, a potem po prostu się poddali. To się nie miało prawa wydarzyć. Już nie mówiąc o trupach mieszkańców… Przecież to dowody przeciw nim.

Wieteska nie dyskutował dłużej. Prawdopodobnie myślał podobnie, a chwilowa rola adwokata diabła pozwoliła mu przekonać się ostatecznie.

– A pan, komandorze Bond? – spytał, trącając Kollera ramieniem. – Ani słowa?

– Safez – powiedział powoli ten ostatni. – Ahmed Szah Safez.

– Ładne imię. Szkoda, że mamusia mi takiego nie dała.

Koller rozejrzał się na boki. Stali kilka metrów od helikoptera, z dala od żołnierzy Ścickiego. Operator uzbrojenia, choć był najbliżej, siedział zamknięty w kokpicie, nie mógł więc ich słyszeć. Ludzie podporucznika prawdopodobnie też. Nawet żołnierze Gromu, na polecenie Draba, zostali z tyłu.

– Safez jest moim głównym zadaniem.

Wieteska spojrzał zaskoczony na porucznika. Wojtyński odwrócił się. Stali twarzami ku sobie, kręgiem, jak konspiratorzy.

– Safez? A opium? – Kapitan uniósł skrzyżowane w nadgarstkach ręce. – Nie noszę chyba tych niewidzialnych kajdanek dla kaprysu?

– Opium to część misji. ISAF domaga się zakończenia handlu, najlepiej bez rozgłosu. Dlatego jest z nami Drab. – Porucznik kiwnął ostrożnie głową. Wcale nie czuł się pewniej od Wieteski w tym chaosie intryg. Nie znosił tego. W gruncie rzeczy wolał walkę z otwartą przyłbicą. – Tyle że Amerykanie, a chyba nie będziemy się oszukiwać, że ta misja to coś więcej niż ich prywatny cyrk, domagają się głowy Safeza.

– Kto to, do cholery, ten Safez?

– Człowiek, który w Iraku zamordował dwóch moich ludzi – odparł Koller.

– E, *bullshit*. Z całym szacunkiem dla twoich ludzi, ale Amerykanów gówno to obchodzi.

Koller nie dał się sprowokować.

– Kontynuujmy w środku, dobra?

Ruszyli w stronę helikoptera. Drab dał jednak znak swoim ludziom, by jeszcze do nich nie dołączali.

– Skąd to wiadomo? – spytał Johny.

– Dlatego tu jestem.

– A jaśniej? – odezwał się Wojtyński, niejako stając po stronie Wieteski. Biorąc pod uwagę jego zwyczajne opanowanie, fakt, że nie użył żadnej z grzecznościowych formułek, musiał oznaczać dwunastkę w prywatnej emocjonalnej skali Beauforta. Dotąd milczał, najwyraźniej próbując ukryć przed Wieteską, że nawet jemu duża część szczegółów operacji jest zupełnie obca. Nie mógł jednak robić tego w nieskończoność, a skoro Koller nie uciął tematu, Drab uznał, że porucznik musi mieć jakiś powód.

Weszli do środka i usiedli w fotelach. Koller zapiął pas, nie śpiesząc się z odpowiedzią.

– Opium to sprawa w równym stopniu ISAF i Amerykanów – powiedział wreszcie.

Wiedział, że musi zacząć od rzeczy, które są dla nich zupełnie jasne. Inaczej tylko zaciemniłby obraz.

– Zacznij od czegoś, czego nie wiem – skrzywił się pilot.

– Wszyscy wiemy, że handlu nie da się zatrzymać – stwierdził Koller, dodając do równania kolejną oczywistość – nie tracąc resztek poparcia lokalnej ludności. Strategia mówi, strategia, której nie mogliśmy czytać, bo oficjalnie nie istnieje… – Poprawił pas i kurtkę pod spodem, by go nie uciskała. Zamierzał przygotować się na kolejne powietrzne szaleństwa Wieteski najlepiej jak potrafił. – Że należy wykluczyć z handlu oficerów Sojuszu, a następnie, w miarę możliwości, wyrwać handel z rąk talibów, choćby kosztem sformowania się miejscowych zorganizowanych grup przestępczych. O ile tylko będą bardziej liberalne ideologicznie. Wreszcie, mamy zapewnić przeorientowanie szlaków przerzutowych. Gdy narkotyki będą trafiać do Kabulu albo Pakistanu, osiągniemy sukces.

– Sukces? Ratowanie świata pełną gębą – zakpił Wieteska.

Wojtyński nie wydawał się rozbawiony.

– Co z Safezem? Dlaczego to tajne?

– Bo dowództwo ISAF jest międzynarodowe. Zresztą wkrótce się dowiesz… Sprawy spieprzyły się szybciej i bardziej, niż tego oczekiwano – powiedział Koller. Mówił neutralnym tonem, by jak najmniej ugodzić w ambicję gromowca. Nie chciał, by Wojtyński miał wrażenie, że został dopuszczony do tajemnicy, ponieważ operacja wyrwała się spod kontroli. – Mnie oddelegowali tutaj Amerykanie, wykorzystując SWW.

– Będę wdzięczny za wyjaśnienie mi subtelności tej różnicy – warknął Drab.

Koller westchnął. Wojtyński nie dawał się łapać na ogólniki. Dla niego liczyły się fakty.

– USA boi się przecieków w dowództwie Sojuszu. Nie wierzą w szczelność tak licznego sztabu. SWW formuje się na nowo, mamy bałagan. W tej sytuacji nietrudno im nas kontrolować.

– To ma niby ułatwiać działanie?

– Tak. Bo tak naprawdę traktują nasz wywiad jako własną komórkę. Wybrali kilku zaufanych oficerów i przez nich zawiadują misją, omijając górę. W razie czego będą mogli powiedzieć: „Nie wiedzieliśmy, z kim mamy rozmawiać”. Jesteśmy po prostu zinfiltrowani przez własnego sojusznika. Tyle że w szczytnym celu.

– A czemu my?

– Bo jesteśmy silnie zaangażowani na miejscu, a z większych kontyngentów należymy do niewielu krajów, gdzie muzułmanin jest równie powszechny jak Inuita. To znów minimalizuje ryzyko przecieków. No i mamy dużą grupę oficerów umoczonych w handel opium, nikogo więc nie dziwi takie śledztwo. Łączymy kilka wykluczających się cech, które owocują sprzyjającymi warunkami. Poza tym ja już spotkałem się z Safezem.

Wojtyński przegryzał zasłyszane informacje. Pominięto go przy najważniejszej części zadania i to nie nastawiało go dobrze ani do Kollera, ani do tej cholernej operacji. Zwykle właśnie GROM wiedział najwięcej. Drab nie dał jednak niczego po sobie poznać.

– Co Safez robi tutaj? – spytał.

– To, co ja, tylko po swojemu. Czystkę.

– Wiedzieliście o tym?

– Spodziewaliśmy się – potwierdził Koller. – Należy do radykalnej, nawet jak na Al-Kaidę, frakcji. Bin Laden prawdopodobnie chce przede wszystkim odzyskać kontrolę nad szlakami, które przejmuje teraz ISAF. Wysłał Safeza, bo najpewniej uznał, że będzie najskuteczniejszy. Według naszych informacji on naprawdę uważa handel za zło i chce go wyplenić jak chwast.

– Wbrew szefowi?

– Nie do końca. Nawet jeśli wybije wszystkich, co nie jest możliwe, komu innemu, jeśli nie ludziom bin Ladena najłatwiej będzie zagospodarować spaloną ziemię. Legenda okrucieństw Safeza tylko w tym pomoże. Osama po prostu wykorzystuje naturalne skłonności swojego człowieka.

Koller powiedział znacznie więcej, niż powinien, zwłaszcza przy Wietesce.

Był szczery, choć nie do końca, nie wspomniał bowiem o najważniejszym: w imię planu, który właśnie realizował, zginęło dwóch Polaków. Oczywiście bez jego świadomego udziału. CIA miało swojego człowieka w organizowanych przez Safeza strukturach Al-Kaidy już w 2004 roku. Kret niewiele wtedy znaczył, ale był jedynym poza Ahmedem człowiekiem, który znał w przybliżeniu lokalizację porwanych żołnierzy.

CIA zdecydowało wtedy, że należy poświęcić Polaków. Koller dowiedział się o tym przed kilkoma miesiącami. Był wściekły. Z punktu widzenia strategicznego Amerykanie podjęli jednak dobrą decyzję. Ten sam kret zdradził im niedawno plany Safeza.

– To talib? – dopytywał się Wojtyński.

– Palestyńczyk.

– Czemu siedzi akurat w Al-Kaidzie? Palestyńczycy mają od groma własnych organizacji terrorystycznych.

– Trudno powiedzieć. Wiadomo tylko, że jako obcokrajowiec, nie ze starej gwardii, musiał wykazać się podwójną brutalnością i oddaniem, żeby dojść tam, gdzie jest.

– A gdzie jest?

– Mówimy o prawdopodobnie o najwyżej postawionym ze swobodnie operujących ludzi bin Ladena.

– Skąd się tam wziął?

– Dziecko wojny – powiedział Koller, przywołując szczegóły z zakamarków pamięci. Ze wszystkich życiorysów, które czytał w ostatnich latach, ten znał zdecydowanie najlepiej. – Dorastał w obozach dla uchodźców, czterech, pięciu, może nawet więcej. Od najmłodszych lat błąka się po Bliskim Wschodzie jak bezdomny pies. Ojciec nieznany, matka dawno nie żyje. Morderca, ale nie tępy zbir. Wykształcony, inteligentny, sprytny.

– Wykształcenie? Skąd?

– Organizacje pozarządowe. Uczęszczał na kursy wielu z nich. Miał bardzo dobre oceny. W jednej ubiegano się nawet dla niego o stypendium w Columbia University. Nie dostał z czysto politycznych powodów.

– Jak możecie wiedzieć aż tyle? – spytał Johny, wyraźnie pod wrażeniem jakości udzielanych przez Kollera informacji. – Ponoć ich się nie da zinfiltrować.

– Wywiad to nie tylko agenci, podsłuchy i satelity – zauważył Koller. – Większość roboty to przerzucanie stosów papierków. Da się w nich znaleźć wszystko.

– Jakich papierków? Facebooka chyba wtedy jeszcze nie było, co?

– Wszelkie organizacje pracujące przy obozach dla uchodźców, rządowe czy pozarządowe, żyją z dotacji. Dokumentują wszystko, żeby udowodnić, że dobrze je wykorzystują. Listy obecności, raporty, prace domowe. Prezentują je, kiedy proszą o kolejny grant. Wystarczy wizyta w kilku archiwach ONZ, Unii, amerykańskich programów pomocowych i tak dalej.

Wieteska cmoknął z uznaniem.

– Nie jak w filmie… ale może nawet lepiej – powiedział.

– Usystematyzujmy – wtrącił Wojtyński. Wyraźnie chciał nadrobić braki w wiedzy. – Safez zlecił spalenie tej wioski, tak?

– Nie – odparł Koller.

Drab przewrócił oczyma.

– Więc kto?

– Spalił ją osobiście – powiedział Koller. – Widziałem go na taśmie z Raji. Był wśród jeńców.

Wojtyński aż gwizdnął. Milczenie przeciągnęło się.

– I co teraz? – spytał w końcu Wieteska.

– Wracamy do bazy. Ale jeśli pytałeś o dalsze plany… Nie mam pojęcia. Nikt nie przewidywał rzeczy, która jest największym shitem ze wszystkich.

– Zniknięcia plutonu Jamroza.

– *Exactly*, jak mawiają Amerykanie.

Koller wyjrzał przez drzwi.

Bez jego rozkazu piechota zajęła miejsca w Rosomakach. Wozy szykowały się do odjazdu. Żołnierze na wieżyczkach obracali się, wypatrując niebezpieczeństwa, w radiu padały kolejne meldunki o gotowości. Dwaj operatorzy GROM-u wsiedli do helikoptera. Przez komunikator słyszeli, jak Ścicki ustala kolejność w kolumnie, trasę i prędkość przejazdu. Podporucznik na własną rękę zarządził powrót tą samą trasą. Koller nie oponował.

Johny odpalił silniki.

– Niezły burdel – skomentował, nie kierując tej odkrywczej myśli pod żadnym konkretnym adresem.

– Mówiłeś, że za pomocą MDS-a można podróżować w czasie – powiedział Koller do mikrofonu, starając się przekrzyczeć ryk silników. – To znaczy, że Jamróz i wszyscy wokół się przenieśli?

Dopiero teraz zaczynał brać pod uwagę możliwość, że Wieteska nie fantazjował na temat zniknięcia MDS-a.

– Tak twierdzi moja niewątpliwie piękna i inteligentna, ale prawdopodobnie szalona żona.

– Tylko gdzie? W jaki okres?

– Bardzo dobre pytanie.

8

Ahmed Szah Safez nie patrzył, jak jego ludzie dobijają rannych. Ufał im. Stał na szczycie otaczającego posterunek muru, zbudowanego z ułożonych na sobie, nieociosanych kamieni. Patrzył w dal, a wiatr targał białą chustą zasłaniającą jego twarz.

Za nim płonęły wysadzone granatami wieże.

Walka w skalistych przejściach Raji trwała jeszcze blisko godzinę po ucieczce Rosomaka. Umiejętność wykorzystania ciasnych labiryntów

oraz przygotowanie i precyzja ludzi Safeza pozwoliły zatriumfować nad pozostałym w obozie wrogiem. Jego bojownicy, podzieleni na trzy niezależne oddziały, doskakiwali do żołnierzy garnizonu, atakowali z pomocą zdobycznych granatów i broni palnej, po czym uciekali. Gdy przeciwnik kontynuował pościg, uderzała kolejna grupa, z którejś z bocznych ścieżek. Potem następna, potem znów pierwsza.

I tak w kółko, dopóki było z kim walczyć.

Posterunek Raji nie był przystosowany do walki z przeciwnikiem znajdującym się wewnątrz jego murów. Ani w 2007 roku, ani w przeszłości.

Gdy Safez analizował w archiwum stare mapy, kiedy rozrysowywał dokładnie możliwe warianty walk, obawiał się tylko jednego atutu przeciwnika: północnej wieży przy bramie. Tej, do której nie dało się dostać labiryntem skalnych ścieżek, chroniącym przed ostrzałem. Walka z tym punktem ogniowym mogła trwać bardzo długo, a jej efekt wcale nie był przesądzony. Zrządzeniem losu Safezowi pomogli Polacy, eliminując go w pierwszej kolejności.

– Gotowe – usłyszał za plecami głos Rashida.

Rashid nie był mądry, nie wyglądał również na intelektualistę. Odznaczał się solidnymi brakami w uzębieniu, krzywym nosem i malutkimi, bezlitosnymi oczkami, które mówiły, że z chęcią kopał słabszych, biegając jednocześnie przy nodze silniejszych. Walczył w wielu bitwach, w żadnej się nie zasłużył. Miał tylko jedną, bezwzględną zaletę. Zawsze wykonywał polecenia i nigdy nie zadawał pytań.

To wystarczało.

Safez obrócił się powoli i obrzucił uważnym spojrzeniem pole niedawnej bitwy. Rosomaki o przetrąconych kołach i osmalonych włazach, dziesiątki zwłok oraz MDS. Stał na samym środku, niemal niedraśnięty.

Pierwsza część misji przebiegła zgodnie z planem.

– Stan? – spytał Ahmed.

– Nikt z lokalnych nie przeżył. No… – Rashid wyszczerzył resztki zębów, a w jego oczach mignęło okrucieństwo. – Przynajmniej nie do teraz. Naszych dziewięciu zabitych, czterech rannych. – Spojrzał na własną za-

krwawioną koszulę. – Dwóch ciężko. Amerykanów policzyłem. Wszyscy zginęli. Tylko ze sprzętem źle. Nic się nie nadaje. Miejscowi byli twardzi.

– Sprzęt nie jest nam potrzebny. A Polacy?

– Jeden zielony diabeł uciekł, a w nim oficerowie.

– Oficerowie?

Safez zmrużył oczy. Rashid bardzo nie lubił, gdy jego dowódca tak robił. To mogło oznaczać wszystko. A w przypadku Ahmeda Szaha Safeza „wszystko" naprawdę oznaczało wszystko. Od przyjacielskiego poklepania po plecach do tortur, w trakcie których masaż zębów wiertłem do betonu był tylko radosnym odpoczynkiem.

– Tu ich nie ma – wydukał Rashid. – Musieli być w wozie.

– Oboje?

– Chyba. Tak.

– Mówiłeś, że Amerykanie nie żyją.

– To nieważne. To kobieta… Poza tym nic nie wiedzą… – powiedział, po czym poczuł, że jego tłumaczenia nie idą we właściwą stronę. Zamilkł i wbił wzrok we własne buty.

Safez nawet na niego nie spojrzał.

– Szykuj ludzi do drogi – rzucił.

Poprawił targaną wiatrem chustę i ruszył w stronę stojącego na środku pobojowiska pojazdu. MDS stał bez ruchu, majestatyczny, tajemniczy, nieodgadniony. ■

IV

GRA SAFEZA

1

Rozmyte obrazy, mdłości. Ciemność.

Zdziwiona twarz Grobickiego na polskim lotnisku wojskowym. Nie, nie zdziwiona. Wypełniona jednocześnie smutkiem i radością. Pełna uczuć. Ale nie zdziwiona. To Nancy była zdziwiona, gdy Jerzy – dla niej Dżazi – powiedział, że na nią czekał. Chaotyczne rozmowy, wyjaśnienia, które niczego nie wyjaśniały. Szaleństwo. Dziecko. Jej i nie jej. Johny, dziecko z innego czasu, innej Nancy, Nancy, która nie żyła.

Dziecko, które pokochała. Genetyka?

Szaleństwo.

Spróbowała otworzyć oczy.

Twarz, zatroskana, znajoma twarz. Dżazi? Nie, to nie Grobicki. Czyja więc? Co to za hałas? Jakby łomot. Jakiś samochód. Co to za miejsce? Ciemne, pełne mroku i świecącej w tym mroku elektroniki.

Co to za czas?

Ból.

Nancy uśmiechnęła się. Ból oznaczał, że żyje.

– Pani kapitan? – Znajomy głos. Fatalny akcent.

Spróbowała podeprzeć się na rękach i wstać. Zwyczajnie, jak co dzień rano od lat. Wysiłek zakończył się jedynie kolejnym spazmem mdłości i przeciągłym jękiem bezsilności. Zostałam ranna? – pomyślała.

– Mówiłem, żeby pani usiadła. – Ten sam głos z wyraźnym akcentem. – Dostała pani w bok głowy, będzie guz. Wszystko w porządku?

Spróbowała spojrzeć w bok, ale nawet to powodowało wzmożone łupanie w czaszce. Powiedziała pierwsze, co przyszło jej na myśl:

– Gdzie MDS? Gdzie Holden?

Właściciel znajomego głosu pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jak na cztery godziny utraty przytomności prezentuje pani zadziwiającą ciągłość myśli. – W jego tonie zabrzmiało lekkie rozbawienie i coś na kształt podziwu. – Niestety, nie znam odpowiedzi na te pytania.

Jak on się nazywał? Zerknęła na mundur, ale w tym świetle nie widziała identyfikatora. Wciąż kręciło jej się w głowie. Jak to było? Jakoś tak po ichniemu, trudne do wymówienia. Janos? Nie. Jator… Jarus… Jamróz!

– A my? – spróbowała znowu. Bardzo, bardzo powoli myśli zaczęły się porządkować. Wracały ostatnie wydarzenia, na razie bezładnie. Zlepek obrazów, krzyków, zapachów, uczuć i dźwięków. Niczym w jakiejś mieszaninie malunków Boscha, współczesnego postmetalowego growlu i poimprezowego kaca. Nieprzyjemne uczucie. – Gdzie jesteśmy my?

Polak wydawał się nieprzygotowany na to pytanie. Zatoczył głową, niepewnie, wyłamał kostki w palcach. Nancy nigdy nie lubiła tego odgłosu.

– W górach, ogólnie rzecz biorąc.

Oparła się na łokciu, uniosła nieco głowę. Wciąż czuła mdłości. Nie jestem ranna, stwierdziła na poły z ulgą, na poły ze zdziwieniem. Tylko to uderzenie w głowę. Dopiero teraz zaczęła odczuwać ból. Nie miała wątpliwości – będzie guz jak cholera.

– A konkretnie?

– Około trzydziestu kilometrów na południe od Raji. Teren się zgadza.

– Dobrze…

– Nie tak dobrze – powiedział porucznik.

Nancy rozejrzała się po wozie. Jamróz, tłumacz, trzech żołnierzy. Wszyscy patrzyli na nią. Jakoś dziwnie, to ze współczuciem, to z urazą. Co takiego zrobiłam? – pomyślała. Ach, no tak. Uważają pewnie, że znaleźli się tu przeze mnie. Miło byłoby im powiedzieć, że nie.

Tylko po co kłamać?

Ponownie powiodła po nich wzrokiem. Wszyscy byli brudni i wyglądali na wyczerpanych walką i stresem. Jeden z nich, ranny, siedział w kącie. Przyciskał opatrunek do obojczyka i był bardzo blady. To cud, że tylko jeden, pomyślała. A może nie? Przypomniała sobie, że ona i Jamróz znajdo-

wali się na końcu kolumny, z dala od miejsca, w którym wybuchła walka. Mimo to wnętrze transportera było całe we krwi, przypominając kiczowatą scenografię podrzędnego horroru.

– Mój operator działka – powiedział Jamróz, odgadując jej myśli. – Pochowaliśmy go, kiedy pani była nieprzytomna, a my bezpieczni. Na tyle, na ile to możliwe. Pod kamieniami, żeby chociaż psy go nie rozwlekły.

Nie skomentowała. Mówił dalej:

– Poza terenem nie zgadza się nic. Droga, punkty orientacyjne, łączność…

Wymieniał po kolei. W trakcie wyliczanki rzeczywistość spadła na nią i przygniotła ciężarem niemal nie do udźwignięcia. Była świadkiem wymordowania kilkudziesięciu ludzi, jeden umarł jej na rękach, próbując zasłonić Nancy własnym ciałem. Porucznik mówił, a chaos w jej głowie – pozornie niezwiązany z wypowiadanymi przez Jamroza słowami – układał się w jedną całość. Bosch oddzielił się od metalu, a kac odpływał powoli, pozwalając wreszcie ujrzeć obraz w pełni.

Obraz ten sprawił, że zadrżała.

Kapitan Sanchez była twarda. Whitmanowie nie bali się nikogo, a na zajęciach sztuk walki instruktorzy często chwalili ją po sparingach, że jest bardziej zaciekła od mężczyzn. Była żołnierzem, nie gorszym niż ktokolwiek z rodu. Ale nadchodzący powoli pobitewny szok wzmagało coś, co było tuż za nim, coś większego. Coś nieodwołalnego. Niedającą się zagłuszyć świadomość, która podpowiadała, że trauma walki jest jej najmniejszym problemem. Wraz z nią, gdzieś, na razie w cieniu, niemal niedostrzegalnie czaiła się rozpacz.

– GPS też nie działa, prawda? – spytała powoli. – I wszystkie systemy oparte na zewnętrznych zasobach.

Jamróz długo nie odpowiadał. Patrzył na nią podejrzliwie.

– Skąd pani wie?

Rozpacz wzmogła się. Nancy ledwo dostrzegalnie pokręciła głową.

– Możemy się zatrzymać? – Znowu spróbowała wstać. Ktoś podał jej rękę. Tłumacz, żołnierz o niebieskich oczach i nieśmiałym uśmiechu, o dziwo Polak. – Chciałabym porozmawiać… w cztery oczy.

Jamróz kiwnął głową. Uśmiech na twarzy tłumacza zgasł.

2

Rosomak zahamował na bezdrożu, wzbijając chmurę duszącego kurzu. Nie było jednak wokół nikogo, kto by go dostrzegł, kto zauważyłby cokolwiek, nawet ten dym w gorącym powietrzu południa. Jedynie stary sęp spoglądał sennie z oddali na ten dziwny ruch na jego łowieckim terytorium.

Potem ruch nagle ustał. Obok wielkiej kanciastej sylwetki pojawiły się dwie mniejsze, ludzkie. Odeszły o kilkadziesiąt kroków i odwróciły się twarzami do siebie. Sęp ledwo widział ich cienie, skąpane w słońcu. Odwrócił głowę w poszukiwaniu bardziej obiecującej zdobyczy.

– Proszę mi opowiedzieć, co się stało – powiedziała Nancy. Mrużyła lekko oczy, oślepiały ją padające z boku promienie słońca. Jej uroda zniknęła pod pancerzem złożonym z zakrwawionej wargi, przegryzionej w czasie uderzenia głową o burtę wozu, brudnej twarzy, na której nie pozostały już nawet resztki makijażu, pulsującego krwią guza na skroni i zmierzwionych włosów.

Porucznik odwrócił się w stronę słońca. Dopiero teraz, poza ciemnością wozu, amerykańska kapitan ujrzała, że wcale nie wygląda lepiej od niej. Nie miał poobijanej twarzy, jednak to, co w Rosomaku wzięła za ślady czerwonego kurzu albo piachu, było krwią. Zostawiła ślady na mundurze i na szyi. Operator działka – domyśliła się natychmiast.

– Wie pani tyle co ja – stwierdził Jamróz. Jego głos brzmiał, jak gdyby Polak nie chciał rozmawiać. Nancy czuła jednak, że przyczyna leży gdzie indziej: w niechęci zaakceptowania tego, co widział na własne oczy.

To właśnie musiała zmienić.

– Na potrzeby naszej rozmowy proszę przyjąć, że straciłam pamięć.

– Po co?

– Żebyśmy widzieli świat tak samo.

Wiedziała, że jeśli wszystko zakomunikuje Jamrozowi wprost, nie przebije się przez filtr oddzielający ludzką psychikę od szaleństwa. Dlatego prosiła, żeby opowiedział wszystko od początku; nie jej, a sobie. Chciała zmu-

sić go, by sam wysnuł wnioski. Tylko wtedy proponowane przez nią rozwiązanie równania mogło mieć dla niego sens.

Twarz porucznika ogrzewały promienie zachodzącego słońca. Mówił cicho, bez przekonania.

– Rano, po wysłaniu patroli, dostałem zawiadomienie bezpośrednio z dowództwa ISAF, że pojawi się amerykański oddział, który będzie testował w Raji jedno ze swoich eksperymentalnych urządzeń. Ponoć naszego dowódcę, Karskiego, powiadomiono z wyprzedzeniem, ale nikogo niżej. Najwyższa klauzula tajności i tym podobne. – Otarł pot z twarzy. Głos miał zachrypły. – Mieli wszystkie upoważnienia, podali kody i hasła wywoławcze. Nie powiedzieli mi, czemu test będzie odbywał się akurat w Raji.

– Bezpieczeństwo – wtrąciła Nancy. – To jedyna z polskich placówek, która w ostatnich dwóch miesiącach nie miała kontaktu z przeciwnikiem. Dochodziły też względy… geograficzne. Bazę wybraliśmy bardzo precyzyjnie, wspólnie z konstruktorem maszyny.

– Dlatego za obstawę mieliście tylko jedną drużynę marines?

Potwierdziła.

Jamróz powstrzymał się od komentarza odnośnie do efektów „precyzji” wyboru miejsca i skuteczności założeń w postaci niewielkiej ochrony. Nancy podziękowała mu w duchu.

– Nie chcieliśmy zwracać niczyjej uwagi – powiedziała. – Co stało się później?

– Krótko po informacji ze sztabu patrole zameldowały, że natrafiły na przeciwnika. Mudżahedini podpalili okoliczną wioskę. – Porucznik odwrócił się, ruszył powoli na drugą stronę drogi. Kamienie chrzęściły cicho pod jego ciężkimi butami. To pomagało mu ułożyć myśli. Nancy szła obok, starając się skupić. – Wszystko opowiadałem w gabinecie…

– Nie szkodzi. Proszę kontynuować.

– Wróg poddał się natychmiast po przybyciu patrolu, bez walki. Może nie powinienem, ale uznałem, że nie stanowi zagrożenia. Pomyślałem, że to pewnie banda pastuchów, którzy znaleźli ukrytą przez talibów broń i postanowili się zabawić. – Porucznik westchnął. Opowieść nie przychodziła mu z łatwością. Każdy najmniejszy nawet błąd rezonował w niej wspo-

mnieniem twarzy ludzi, którzy przez niego zginęli. – Wróciliśmy do Raji, później wróciły patrole, na końcu przyjechaliście wy. Zrobiła mi pani awanturę o jeńców, których nie powinno u mnie być, bo misja jest tajna, a potem…

– Tak? – Nancy kiwnęła głową zachęcająco. Nie komentowała słów o awanturze. Wtedy po prostu trzymała się procedury.

Dochodzili do sedna.

– Potem zaczęło się coś dziać z MDS-em. Wyszliśmy na zewnątrz. Na niebie pojawiło się coś, jakby wielka mydlana bańka. Rozkazała pani któremuś ze swoich ludzi…

– Holdenowi – wtrąciła Amerykanka.

– …tak. Kazała mu pani wyłączyć urządzenie. – Jamróz przerwał. Podrapał się po głowie, spojrzał na sępa, który wzbił się w powietrze w oddali. Wziął głęboki oddech i mówił dalej: – Coś poszło nie tak, bo ono się nie wyłączyło. A potem, cóż, chaos…

– Proszę spróbować go nazwać.

– Pani kazała mi natychmiast ogłosić alarm i zabrać jeńców jak najdalej od MDS-a. Myślę, że mogło upłynąć pół minuty, wszyscy moi ludzie pojawili się na placu, a później… Usnęliśmy na chwilę? Nie, chyba nie… Ni z tego, ni z owego znaleźliśmy się w innym miejscu.

– Jakim miejscu?

Przewrócił oczami, jak gdyby uznał pytanie za idiotyczne.

– Przecież pani wie – powiedział.

– Wiem – odparła. – Ale niemówienie o tym nie sprawi, że stanie się choćby odrobinę mniej absurdalne. Zresztą dochodzimy do momentu, w którym może być najwięcej rozbieżności w postrzeganiu tego, co stało się potem.

– Dobrze. W miejscu pełnym Arabów… może Afgańczyków albo Persów. Ubranych w mundury, jakkolwiek śmiesznie to zabrzmi, Wehrmachtu. I uzbrojonych w kupę zabytkowej broni. – Porucznik przygryzł wargę, próbując sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów. – Chociaż, według mnie, nie mieli broni niemieckiej. Ale nie jestem fachowcem – dodał niepewnie. – Ten Wehrmacht… Ci ludzie byli chyba jeszcze bardziej zasko-

czeni niż my, zupełnie nieprzygotowani do walki. Znaleźliśmy się niemal dokładnie pośrodku ich… naszej bazy. A potem zaczęła się jatka.

– Jak?

Tym razem pytanie było naszpikowane ciekawością. Nancy Sanchez nie wiedziała.

Jamróz przymrużył oczy. Wiał lekki wiatr, niosący ze sobą ostre drobinki piasku. Porucznik nie zwracał na to uwagi; liczył się tylko ożywczy powiew.

– Wydaje mi się, że ogień padł najpierw z naszej strony – powiedział. – Więcej, jestem pewien. To był odgłos pistoletu. Beretty, może Glocka. Na pewno niczego, co mieli tamci.

– Również odniosłam takie wrażenie.

– Choć równocześnie nie mam wątpliwości, że był skierowany w pani ludzi. Wszystko działo się bardzo szybko, ale to wokół waszych samochodów zaczęli padać pierwsi zabici. Wehrmacht, nazwijmy go tak na chwilę, spanikował i też zaczął strzelać. Ale nie oni zaczęli.

– Więc kto?

– Jeńcy? – Wzruszył ramionami. – Wydaje się mało prawdopodobne, żeby zdobyli broń tak szybko, ale żaden inny scenariusz nie przychodzi mi do głowy. W bazie… naszej bazie obszukaliśmy ich ponownie. Nie mieli przy sobie niczego niebezpiecznego… Wracając do tematu. Moi ludzie nie zaczęliby strzelać. Część była nieuzbrojona. – Na twarzy porucznika na ułamek sekundy pojawił się grymas gniewu. Wspomnienie masakry bezbronnej trzeciej drużyny, uzbrojonej w fartuchy kucharskie i paletki do badmintona, sprawiło, że zagotowała się w nim krew. – Pozostali wrócili z patrolu, byli bardziej… uważni.

– Dobrze – powiedziała Nancy. – Zostawmy to na chwilę. Wróćmy do jeńców. Zdobyli broń…

– Musieli zdobyć. Proszę mnie nie pytać, w jaki sposób odebrali broń uzbrojonym żołnierzom. Potem trwała walka… – Przełknął ślinę. – Czemu nie kazałem Siemieniakowi najpierw ustalić, co się stało z marines? Albo z jeńcami? – spytał odmienionym głosem. – Źle oceniłem sytuację. Nie wiedziałem, że jeńcy są uzbrojeni. Musieliśmy się wycofać. – Parsknął.

Najwyraźniej nie miał już ochoty dbać o pozory. – Uciekać – poprawił się. – Musieliśmy uciekać.

– Wbrew mojemu rozkazowi – zauważyła Nancy.

Jamróz zjeżył się lekko.

Wyczuła to. Nie powinna robić mu wyrzutów.

– Odpowiadam za swoich ludzi, pani kapitan. Proszę nie myśleć, że jestem z siebie dumny, moje błędy kosztowały życie wielu żołnierzy, ale pani pomysł skończyłby się śmiercią nawet resztki, która siedzi teraz w wozie. Może osiągnęliśmy jedyny sukces, na jaki było nas w tamtym momencie stać. Przeżyliśmy.

– Dostał pan, zdaje się, informację o naszym przyjeździe – odparła Sanchez twardo. W niej także zagrały emocje. – I polecenie wykonywania naszych rozkazów, tak?

– Próśb – zaprzeczył porucznik, wyraźnie podkreślając to słowo. – Polecono mi zapewnić wam właściwe warunki do działań i spełniać wszelkie rozsądne prośby sojusznika. W moim prywatnym słowniku do tej kategorii nie zalicza się samobójstwo.

Mierzyli się wzrokiem typowym dla dwóch przekonanych o swojej racji oficerów obcych armii, którzy nie mogli zdać się na wyrok wyższego dowódcy.

Nancy opanowała się, zaskoczona zaciekłością, która się w niej rodziła. Odwróciła wzrok, bardzo powoli nabrała powietrza w płuca i równie powoli wypuściła je. Płynąca do żył adrenalina zwolniła. Co za głupstwo? – pomyślała. Nie ma sensu robić sobie z niego wroga. Czuje się sfrustrowany stratami i niewiele rozumie z otaczającej go rzeczywistości. Jesteśmy na siebie skazani.

– Dobrze – powiedziała ugodowym tonem. Sporo ją kosztował, uznała jednak, że wysiłek wart jest stawki. – Nie mam zastrzeżeń do tego, jak dowodził pan w walce. Co do reszty, nie kłóćmy się. Mamy teraz ważniejsze sprawy.

– W tym jednym się zgadzamy – potwierdził.

– Pana zdaniem, co to wszystko znaczy? To, że Raji nagle zniknęło i zamieniło się w miejsce wypełnione Persami w historycznych ubraniach

i sprzęcie? Że nie działa komunikacja i połączenie z satelitą, a w okolicy góry są takie same, ale punkty orientacyjne już nie?

Porucznik nie udzielił odpowiedzi, której się spodziewała. Nie udzielił właściwie żadnej odpowiedzi.

– Kapitan Sanchez. – Jego głos niósł w sobie jednocześnie zmęczenie i beznadzieję, ale też jakąś desperacką determinację i głuchą wściekłość. Nie była ona skierowana w jej stronę, raczej w przestrzeń. Może w los. – Straciłem dziś dwudziestu ludzi, nie licząc pani marines. W pewnym sensie zostawiłem ich. Nie jestem religijny, ale dziś wieczorem będę się modlił do Boga, żeby okazało się, że podjąłem właściwą decyzję. – Widziała w jego oczach, że mówi prawdę. Przeszło jej przez myśl, że masakra oddziału niemal złamała tego człowieka. – Że naprawdę w Raji nie pozostał nikt żywy, a ja ratowałem swoich żołnierzy i panią. Nie: uciekałem jak tchórz.

– Decyzja, którą pan podjął…

– Proszę dać mi skończyć – powiedział twardo. – Nie bawmy się w zgadywanki. Jeśli ma pani jakąkolwiek wiedzę na temat przyczyn tego bajzlu, niech pani po prostu powie. Nie każe bawić się w detektywa. Jestem pewien, że nie zabraknie nam innych niewiadomych.

– Dobrze – odparła.

Wykorzystała całą swoją powagę i siłę, by wyjaśnić wszystko, czego dowiedziała się w ciągu kilku lat edukacji i ostatnich kilkunastu miesięcy spędzonych nad tajnymi dokumentami. Jednak to, co zrozumiała dopiero w tej chwili, mogło zostać skondensowane właściwie w jednym zdaniu.

– Prawdopodobnie przenieśliśmy się w czasie.

Milczał znacznie krócej, niż się spodziewała.

– Dobrze. I co dalej?

To jej zabrakło słów.

– Tak po prostu? – spytała po chwili. – Bez żadnego „ale”, „to niemożliwe”, „zwariowała pani”? Nie jest pan zdziwiony?

– Prawdopodobnie doznała pani wstrząśnienia mózgu – zauważył Jamróz, odrobinę nazbyt szczerze. – Jednak, prawdę mówiąc, widziałem dziś

dość, żeby żadnego wytłumaczenia nie odrzucać z góry. Miałem w głowie kilka znacznie głupszych. Co dalej?

– Urządzenie, którego nie chciałam zostawić, nosi nazwę MDS…

– To akurat wiem…

– …Mobile Defense System. Jest systemem wytwarzającym pole siłowe, zasilane z przenośnego, ultranowoczesnego reaktora atomowego. Pole siłowe to tarcza chroniąca oddział znajdujący się pod nim. System jest dość skomplikowany… mniejsza o szczegóły.

Przyjął to ze spokojem.

– Przynajmniej nie ufoludki – powiedział, nie wiadomo, żartem czy z ulgą. – A gdzie wehikuł czasu?

Nancy przeszło przez głowę, że właśnie zaczynają się schody. Trzeba się było pilniej uczyć fizyki w szkole. Chociaż… Nie. Zasady dynamiki Newtona i tak by jej się teraz nie przydały.

Trzeba było wytężyć mózg i przypomnieć sobie, co mówił Holden.

– Pole w pewnym sensie opiera się na zakrzywieniu czasoprzestrzeni. Nie jestem fizykiem, ale wiem, że jego skuteczność bazuje w znacznie większej mierze na zaburzeniu ciągu przyczynowo-skutkowego niż na zasadzie dwudziestopierwszowiecznej rycerskiej tarczy.

Cholernie dużo wielosylabowych słów, pomyślała. Na dodatek w obcym dla Polaka języku. Ciekawe, czy to przetrawi.

– Można jaśniej?

Najwyraźniej nie.

– Tarcza MDS-a nie odbija pocisków – powiedziała, wysilając jednocześnie intelekt i pamięć. – Sprawia, że obecni pod nią żołnierze znajdują się, minimalnie oczywiście, w innym miejscu i czasie. To są milimetry i ułamki sekund, ale wystarczają, by z obecnych w chronionej strefie żołnierzy czynić nie aktywnych uczestników, ale obserwatorów świata, w którym de facto nie przebywają. Dlatego tarcza zdolna jest wytrzymać nawet wybuch jądrowy, choć o ograniczonej sile.

– Co za różnica?

– W mocy samego ładunku – niewielka. – Chodziło o poprzedzający eksplozję impuls elektromagnetyczny. Zbyt silny zdołałby zaburzyć pracę

urządzenia i tym samym zniszczyć tarczę.

– Pogubiłem się…

– Sama również nie czuję się zbyt pewnie – przyznała z nieoczekiwaną szczerością. – Większości z tego dowiedziałam się niedawno. Wprowadził mnie Holden, jeden z twórców urządzenia. Spróbować inaczej?

– Dziękuję – odparł Jamróz uprzejmie. – Pojmuję ogólną zasadę. Tyle na razie będzie musiało wystarczyć. Czemu testowaliście urządzenie po raz pierwszy w mojej bazie?

Nancy uśmiechnęła się. Był to ładny uśmiech, choć wykwitł na twarzy jakby żywcem zdjętej z plakatu kampanii przeciwko przemocy domowej.

– Kto powiedział, że po raz pierwszy? – zapytała.

Jamróz przechylił głowę z zaciekawieniem.

– Urządzenie miało być pierwotnie testowane w Polsce – kontynuowała. – Okazało się to niewykonalne, misję odwołano, a MDS wrócił do Stanów, gdzie pomyślnie przeszedł testy.

– Niewykonalne?

– To długa historia. Przyjdzie na nią czas. Powiem tyle, że wykryto spisek na styku polskiego dowództwa i naszych ludzi. MDS w pierwotnej wersji miał wykonywać krótkie, kilkugodzinne skoki w czasie. Tę funkcję zaprojektowano, by umożliwić dowódcom naprawienie ewentualnych błędów w potyczce.

– Kilka godzin? Czy oni wtedy nie spotkaliby samych siebie?

– Cóż… Tak, prawdopodobnie. Ale główny architekt tej części urządzenia, doktor Levinsky, twierdził, że potrafi naukowo obejść problem.

– Ktoś inny to potwierdził? Ten drugi?

– Można powiedzieć, że Levinsky był spiritus movens przedsięwzięcia. Holden koncentrował się na innych funkcjach urządzenia. Między innymi na tej, by przeskok był jak najmniej odczuwalny przez żołnierzy. W pierwszej wersji kończył się utratą przytomności nawet na kilka godzin i wymiotami. A to podważało w zasadzie sens cofania się w czasie.

Jamróz zamilkł, jak gdyby wszystko to po kolei trawił. Najwyraźniej historia nie docierała do niego do końca. Być może wydawała się zbyt bajkowa.

– I nikt się nie przyjrzał bliżej błędowi, który zauważyłby nawet fan komiksów? – spytał z niedowierzaniem. – Ot, tak po prostu uwierzyliście jednemu facetowi?

– Słyszał pan o programie wojen gwiezdnych? Miliardy dolarów na kosmiczne lasery?

– Dobra, nie mam pytań.

– Holden odniósł sukces – kontynuowała niezrażona Nancy. – Po powrocie z Polski usunął skutki podróży, utratę przytomności i tak dalej. Szybko jednak podniósł kwestię niebezpieczeństwa mieszania w historii. Uważał, że ta funkcja nie decyduje o wartości systemu, a jest potencjalnie bardzo groźna. Zbiegło się to w czasie z odkryciem spisku i wydarzeniami w Polsce, które wskazywały na to, że doszło już do pewnej pętli, która, dzięki Bogu, zamknęła się sama, bez szwanku dla nas. – Przygryzła język, wymawiając ostatnie słowa. Ładnie „bez szwanku”, pomyślała. – Nie mogliśmy ryzykować dalej. Holden usunął z systemu funkcję skoków czasowych.

– Tyle że nie do końca?

– Nie jestem naukowcem. Ale skoro MDS opiera się na zaburzeniu czasu, to chyba nie da się pozbyć możliwości podróży całkowicie, nie czyniąc go bezużytecznym.

– Więc jesteśmy w przeszłości?

– Tak sądzę.

– Kiedy?

– Bez dostępu do MDS-a – nie mam pojęcia. Nie mamy też możliwości powrotu, oczywiście. Możemy wnioskować na podstawie tego, co widzimy.

Jamróz potarł czoło.

– Można zmienić czas. A miejsce?

– Nie. Tylko czas. Zresztą wie pan dobrze, że byliśmy w Raji. Budynki i inne wytwory działalności człowieka się różniły, ale teren nie.

– No tak – powiedział, zdrapując z brody zaschniętą krew. Zrobił to nieświadomie. Opowieści Nancy brzmiały jak bajka, ale były logiczne. Tłumaczyły wiele, pozwalały odpowiedzieć na większość pytań.

Z wyjątkiem jednego, zasadniczego: co, do cholery, powinni w tej sytuacji zrobić?

3

Wojtyński, Koller i Wieteska lecieli do Raji.

Byli zmęczeni, zdezorientowani, niepewni tego, co właściwie należy dalej robić. Ponurym myślom towarzyszył szum wirników Mi-24 i widok reflektorów sunących gdzieś w dole Rosomaków. Z przodu, na horyzoncie, ciemność nocy powoli przechodziła w półmrok. Na ziemi nie było tego jeszcze widać, ale z powietrza dało się dostrzec nadchodzący dzień.

Nie spali już blisko dobę.

Wojtyński kiwał się półprzytomnie na siedzeniu w tylnej części śmigłowca. Czuł zmęczenie i jakąś dziwną niemoc. Miał za sobą naprawdę ciężki dzień. Jego ludzie siedzieli po bokach, nieruchomi jak posągi. Koller zajmował miejsce z przodu, bliżej kabiny pilota, tuż przy otwartych drzwiach. Błądził wzrokiem po nieodległych szczytach gór.

– Co powiemy Karskiemu? – spytał Wojtyński, kładąc na karku mokrą chustę. To pozwalało mu zachować przytomność. Przesunął się do przodu. Nie było obawy, by operatorzy GROM-u mogli dosłyszeć rozmowę. Jeden słuchał muzyki z odtwarzacza, drugi spał.

– Coś w końcu będzie trzeba – odparł Koller. Ta sama myśl dręczyła go od dłuższego czasu. – Prawdę?

– Prawdę? – parsknął Wieteska prosto w słuchawki. – Przyjaciele, prawda to ostatnie, na co ma ochotę pułkownik Karski. Po pierwsze, nie uwierzy, po drugie, zwariuje, po trzecie, zabroni komukolwiek ruszać się z bazy. Po czwarte wreszcie, jeśli nawet uwierzy, nie zwariuje i będzie działać, spieprzy wszystko, co tylko się da. Daję sto procent gwarancji.

– Nie możemy go pomijać. To się zemści prędzej czy później.

– Kapitan ma niestety sporo racji – powiedział Wojtyński z wahaniem. – Działając na ślepo, przez kilka godzin zebraliśmy więcej informacji, niż zgromadzilibyśmy przez miesiąc wedle wskazówek Karskiego.

– Opowiedzcie mu tylko o faktach – zaproponował pilot. – Niewiele tego, więc jakoś wszystko przetrawi. Z podejrzeniami zaczekajcie.

Wojtyński starał się nadać swej wiedzy jakiś określony porządek. Jemu samemu ciężko było oddzielić fakty od domysłów. Bez hipotez i założeń same fakty niewiele mówiły.

– Pańska żona zdradziła, kto doprowadził do tego przeskoku w czasie?

– Tego, w którym uczestniczyła? Nie przypominam sobie. Zresztą akurat ten element nie jest najmocniejszym fundamentem naszego małżeństwa. – Wieteska trącił lekko ster. Helikopter przechylił się. Zataczali pętlę nad wozami. – Nie gadamy o tym przy okazji niedzielnej wycieczki do lasu. Odpowiadając na pytanie: Amerykanie albo nasi, kto inny?

– Tylko po co?

– Cholera wie, może to był wypadek? Na taśmie z Raji tak wyglądało.

Wojtyński ziewnął. Mokra szmatka na karku traciła moc przywracania koncentracji.

– Przepraszam – powiedział. – Wyobrażam sobie, że to urządzenie jest zabezpieczone wielokrotnie lepiej niż bomba atomowa. A nawet bomby nie da się odpalić „przez przypadek”. Trudno uwierzyć, żeby ktoś niechcący siadł tyłkiem na konsoli i o, stało się.

Wieteska wyrównał lot i powrócił na pierwotny tor. Zataczali pętle z dwóch powodów. Po pierwsze, by zwiększyć zasięg widzenia – latając wokół kolumny wozów, nie tylko nad nią, pilot i operator uzbrojenia zwiększali szanse, że dostrzegą ukrytego gdzieś w górach przeciwnika. Po drugie, z powodu prędkości. Helikopter mógł zatrzymać się w powietrzu, jednak Mi-24 był dość dużym celem. Dla własnego bezpieczeństwa nie powinien lecieć zbyt wolno.

– Nie mamy do czynienia z przypadkiem – stwierdził Koller.

– Skąd ta pewność?

– Nie mam konkretnych dowodów. Ale Ahmed Szah Safez nie znalazł się w Raji w wyniku zbiegu okoliczności. To nie jest tego rodzaju człowiek. Nim nie rzuca po świecie jak jakimś warlordem. – Te myśli chodziły mu po głowie od kilku godzin. Wciąż jeszcze niesprecyzowane, nieułożone w jedną spójną teorię. – Studiowałem jego życiorys. W pewnym sensie jest geniuszem.

– Szuszwol geniuszem? – zakpił Wieteska. – Pan porucznik chyba przeżył w wiosce jakąś traumę, co?

– Palestyńczyk, nie szuszwol – poprawił kapitana Koller. Był zupełnie poważny. Całymi dniami analizował, jak stało się możliwe to, co za chwilę opowie. – W Iraku miał zaledwie kilkunastu ludzi, kiepsko wyszkolonych; był otoczony i w zasadzie bez szans. Doprowadził do sytuacji, w której wojska sprzymierzone zaczęły strzelać do siebie nawzajem. Wyślizgnął się i uciekł. Utnę mu łeb, jeśli tylko nadarzy się okazja – podkreślił. – Ale prawda jest taka, że nie znam żadnego oficera NATO, który mając takie zasoby, zdołałby przeprowadzić podobną misję z porównywalną precyzją.

Wojtyński pokiwał głową. Starał się nigdy nie lekceważyć przeciwnika. Z reguły dobrze na tym wychodził.

– Rozumiem – powiedział. – Tyle że nadal nie wiemy, skąd wiedział o urządzeniu.

– Przeciek? – zaryzykował Koller. – Amerykanie nadali systemowi najwyższy stopień tajności, ale skoro już raz się zdarzyła podróż w czasie, może jeszcze ktoś poza żoną kapitana dysponuje wiedzą, którą nie powinien.

– Zgoda. Tylko że sama wiedza nie dawała Safezowi żadnej pewności przeniesienia w czasie. – Wojtyński był mimo wszystko sceptyczny. – A już zwłaszcza do epoki, do której by sobie zażyczył. No i skąd wiedział dokładnie, gdzie i kiedy znajdzie się MDS?

– Nie wspominając o prostym pytaniu, po co miałby się przenosić w czasie? – dorzucił Johny.

Kapitan czuł, że może znać jeszcze jedno potencjalne źródło przecieku. Z Grobickim, niedoszłym dowódcą batalionu, przyjaźnili się od wielu lat. Nie mieli przed sobą tajemnic. Były major wiedział od swojego wojennego alter ego o możliwościach MDS-a. Kiedyś, w przypływie podszytej goryczą szczerości, opowiedział o tym ze szczegółami. Trudno było podejrzewać Grobickiego o współpracę z islamskim terrorystą, ale fakt pozostawał faktem: Jerzy był doskonale świadom szans, jakie oferował system.

– Co mogą mieć jego ludzie? Trochę granatników i broni ręcznej. Liczni też nie są. Musieliby się cofnąć ze dwieście lat, żeby mieć jakiś wpływ

na cokolwiek. A może i więcej. To amerykańskie urządzenie w ogóle ma takie możliwości?

– Dobre pytanie – przyznał Koller.

– To się nie trzyma kupy.

– Na razie nie.

Do opowieści żony Wieteski Koller podchodził ze sporym sceptycyzmem, dając sobie jednak pewien margines na rzeczy, powiedzmy, nieodgadnione. Albo takie, których nie sposób ogarnąć rozumem, przynajmniej przy pierwszym podejściu. Ostatnio był ich świadkiem coraz częściej.

Jeśliby nawet przyjąć, że Rozalia Wieteska mówiła prawdę, a podróże w czasie to nie brednia, mogło być prawdą również i to, że świetnie wyposażony współczesny batalion nie zdołał zmienić biegu historii. Ktokolwiek stał za przeniesieniem Polaków w czas kampanii trzydziestego dziewiątego roku, musiał być wojskowym. Prawdopodobnie wysokiego szczebla oraz z pewnością starej daty. Zdradzało go myślenie taktyczne.

Koller doskonale to rozumiał.

Nie wygrywa się wojen, wygrywając bitwy. Napoleon w Rosji wygrał wszystkie mniejsze czy większe starcia, a wojnę przegrał z kretesem, tracąc niemal całą armię. Clausewitz, hołubiony przez wykładowców w mundurach pruski teoretyk wojskowości, dawno już zauważył, że wojna jest przedłużeniem polityki. Jego następcy uparcie powtarzali tę myśl, pozostawali jednak ślepi na jej znaczenie w praktyce. Myślenie generałów koncentrowało się wokół walki, ta zaś była jednym z wielu narzędzi, nie celem.

Sztuka nie polegała na tym, by przenieść w przeszłość jak najwięcej nowoczesnego sprzętu i zmiażdżyć wroga w kilku bitwach. Mając możliwość uderzenia w rycerski napierśnik zaostrzonym przez neandertalczyka kamieniem albo renesansowym mieczem dwuręcznym, oczywiście wybierze się drugą opcję. Sukces gwarantuje jednak nie broń, a metoda – wiedza o lukach w pancerzu. Sztuka polegała na tym, by przenieść tylko tyle technologii, ile absolutnie konieczne, i wykorzystać ją do uderzenia w chwili i miejscu, gdzie historia zależała od sekund i podmuchów wiatru, a nie gdzie była przesądzona.

Safez wiedział o tym. Koller był przekonany, że jeżeli w istocie jego przeciwnik odbył skok w czasie, mając na celu korektę historii, dokona tego jednym szybkim, precyzyjnym cięciem, starając się osiągnąć maksymalną skuteczność przy ograniczonych zasobach.

Porucznik zamknął oczy. Nie pogrążać się w analizach, nie zakładać z góry, nie dopisywać wytworów wyobraźni do faktów. Miał zbyt mało danych, by obrócić je w konkrety.

W śmigłowcu zapadła cisza.

Drab powrócił na miejsce, złożył ręce na kolanach i zasnął tuż obok swoich żołnierzy. Nawet czynności fizjologiczne wykonywał z godną uwagi dyscypliną.

Koller przyłożył głowę do ścianki helikoptera. Spróbował przymknąć oczy.

– Poruczniku Bond – usłyszał w słuchawkach głos Wieteski. Zwyczajowa już złośliwość pilota wyjątkowo zdawała się pozbawiona energii. – Ma pan moment?

Koller poprawił się na siedzeniu i zerknął na plecy pilota.

– Na dobrą drwinę albo wypominanie porażek z przeszłości? Zawsze.

Johny mruknął coś niewyraźnie. Wydawał się odrobinę mniej pewny siebie niż dotąd. Przechylił śmigłowiec do kolejnej pętli.

– Będziecie ich sądzić? – spytał.

– Kogo?

– Handlarzy.

– Prawdopodobnie nie. Co najwyżej kilka czarnych owiec. Najważniejszych trzeba będzie po cichu usunąć. Urlopy zdrowotne, przeniesienie do kraju do pracy za biurkiem i tak dalej. Zdecydowanej większości się upiecze. Jak zawsze w podobnych przypadkach.

– Pan wie, o co pytam.

Porucznik wiedział. Nie bez powodu unikał odpowiedzi. W skrzynce z narzędziami Służby Wywiadu Wojskowego jemu przypadło pełnić funkcję młotka. Ta rola, o ile była satysfakcjonująca, gdy chodziło o ściganie Safeza, nie czyniła samopoczucia lepszym, kiedy szło o Polaków. Czy się to Kollerowi podobało, czy nie, rozkazy nie zależały od niego. Po prostu

je wykonywał. Był żołnierzem. Nikt nie zapraszał go potem do pokoju zwierzeń, nie klepał po ramieniu i ze smutną miną nie pytał, jak się z tym czuje.

Postanowił nie owijać w bawełnę.

– Jesteś na świeczniku. Żandarmeria ma na ciebie całe pudła materiału dowodowego. Całe pudła – powiedział, przywodząc na myśl teczki z szarego papieru, które starym wzorem gromadzono na kapitana Wieteskę. Bogaty życiorys. Kollera najbardziej uderzało jednak, że był to życiorys bliźniaczo podobny do jego własnego. Różniło ich tylko mgliste znaczenie podjętych decyzji i odrobina szczęścia do ludzi. – Niczego nie odpuszczają, a twoje nawyki z Dzikiego Zachodu tylko lepiej dopełniają obraz.

– Jasne. Czarną owcą numer jeden będę ja.

W głosie kapitana nie było zżymania się na oczywistą niesprawiedliwość tej myśli. Tylko ciekawość.

– Nie wiem, komu się upiecze, Johny, ale na pewno nie tobie – przyznał Koller. – To jest w zasadzie postanowione.

– Za jaką część operacji będę odpowiadał?

– Możliwe, że za całą. Przynajmniej ze strony polskiej.

Wieteska zmrużył oczy. Ta ledwo dostrzegalna reakcja mówiła o głuchej wściekłości, która próbowała wydostać się na zewnątrz. Kapitan opanował się jednak. Zamiast wybuchu padło jedno zdanie. Jakby usprawiedliwienie.

– Jestem na pierwszej turze. Nigdy wcześniej nie latałem poza Polską.

– Polityka – powiedział Koller. Owszem, Johny nie mógł być szefem czy ważnym elementem funkcjonującego od lat procederu, w którym przez większość czasu fizycznie nawet nie brał udziału. – Nikt nigdy nie przyzna się do skali handlu. A zwłaszcza USA i CIA. Zrobią pokazowy proces, który ukaże przejrzystość i uczciwość misji NATO, a nie potęgę chaosu i korupcji. Nikt nie jest zainteresowany prawdą, więc nikogo ona nie wyzwoli.

Na te słowa nie padła odpowiedź. Kapitan wrócił do obserwacji horyzontu, za którym widział teraz prawdopodobnie znacznie więcej niż dotychczas.

– Leszek Jamróz – zapytał Koller po chwili wahania. – Dowódca plutonu z Raji. Brał w tym udział?

Powtarzał sobie, że to nie ma najmniejszego znaczenia. Ale chciał wiedzieć. Obojętnie, jakie są fakty, planował postąpić właściwie. Miał nadzieję, że będzie wiedział, która lojalność jest ważniejsza.

– Nie – odparł Johny. – Wiedziałbym o tym.

– A gdyby brał… Powiedziałbyś mi?

W jakiś sposób dopiero bezpośredniość w odbierającej nadzieję Wietesce i poniżającej Kollera sytuacji uczyniła ich czymś więcej niż dwoma oficerami na wspólnej wojnie. Porucznik czuł, jakby znał pilota od lat.

– Gdyby brał, powiedziałbym, że nie pamiętam. Raji jest świetnym miejscem, czasem je wykorzystywaliśmy – powiedział Wieteska. – Ale po cichu. Jamróz nigdy nie kazał przeszukiwać helikopterów, zresztą nie ma takiej procedury. Nawet jeśli coś podejrzewał, nie donosił na kolegów. My z kolei staraliśmy się nie przeciągać struny. Swój w Raji oszczędziłby nam kupę roboty, ale nikt nawet nie myślał, żeby spróbować wciągnąć Jamroza do spółki. To charakterny gość. I nie pytaj mnie o kolejne nazwiska. Nadal się nie lubimy.

Żart? Koller doszedł do wniosku, że nie.

Johny zniżył nieco pułap. Pagórki i góry, kamienie i piach przemykały pod nimi coraz bliżej, zlewając się w coś na kształt impresji na temat Afganistanu. Impresji pełnej wyblakłych kolorów: brązu i szarości.

– Ten proces. Co to znaczy? Dla mnie, dokładnie. Degradację, wyrzucenie z wojska… więzienie?

– Wiele jeszcze może się wydarzyć. To zależy.

– Nie pogrywaj ze mną.

– Kilka lat więzienia. Może kilkanaście.

– Kilkanaście lat?!

– Ciebie wystawili w pierwszej kolejności. Mają kozła ofiarnego i nie odpuszczą.

– Ja pierdolę – wyszeptał cicho Wieteska.

Koller zamilkł. Nie umiał wczuć się w przeżycia Johny’ego. Nie zamierzał udawać, że jest inaczej. Zbliżył głowę do szyby i – gdy maszyna wchodziła płynnie w kolejną pętlę – spojrzał w dół. Środkiem drogi mknęły Rosomaki. Wozy wyglądały majestatycznie i groźnie, światło wschodzącego

słońca nadawało ich pancerzom ciepłą barwę, wzbijany kurz wzmagał dynamikę. Widok był budujący. Chciani tu czy nie, władali tym terenem niepodzielnie.

Szlak wił się niczym wąż, w oddali majaczyło gniazdo Raji, konwój zbliżał się szybko do celu. Pusta droga, pusta przestrzeń. Żadnych przeszkód.

Koller przycisnął twarz do zimnej szyby bulaja i wytężył wzrok. Jego uwagę przykuło coś, co znajdowało się nie dalej niż dwieście metrów od transporterów. Na poboczu. Skała? Budowla? Porzucony samochód?

Sto metrów.

Człowiek. Siedzący wędrowny starzec.

– Johny! – krzyknął Koller. – Wywołaj ich. Każ im się zatrzymać!

Wieteska aż podskoczył w fotelu.

– Jezu! Co się stało?

– Szczerbinka!

Pięćdziesiąt metrów.

4

Ścicki jechał w pierwszym wozie, zmęczony i przysypiający. Na ekranie przed nim przewijała się wciąż ta sama szarość wiodącego przez góry szlaku. Szlaku, który znał doskonale i pokonywał setki razy. Wstające słońce nie pobudziło go, przeciwnie; dojmująco przypominało o nieprzespanej nocy.

Podporucznik nie zamierzał jechać na kolejną, czwartą turę.

Wojna zaczynała go męczyć, a przede wszystkim nudzić.

Ostatnie wydarzenia były tego najlepszym dowodem. Powinien odczuwać stres, może podniecenie albo strach – w końcu trzydziestu żołnierzy rozpłynęło się niczym mgła w porannym słońcu. Zdziwił się, ale go to nie ruszyło, nie licząc momentu wjazdu do wsi, kiedy był pewien, że zaraz spadnie na nich deszcz pocisków. Nie spadł, a jemu wszystko zaczęło wisieć tak jak zawsze.

Wniosek był jeden: wypalenie.

Czas wracać do domu.

Z tyłu słyszał niewyraźny głos celowniczego. Kapral nucił cicho, fałszując podle. Melodia z równym powodzeniem mogła udawać „Pierwszą brygadę”, co któryś z ostatnich przebojów. Pozostali żołnierze z drużyny spali.

Kierowca też był już wyraźnie w innym świecie. Na jakiekolwiek próby kontaktu odpowiadał z dużym opóźnieniem, co znaczyło, że drogę obserwuje prawdopodobnie wzrokiem lunatyka.

Ścicki wcisnął się mocniej w róg między fotelem dowódcy i ścianą Rosomaka. Był zimny, ale dość wygodny. Podporucznik przymknął oczy. Prawie zasypiał, pod powiekami pojawiały mu się obrazy Podkarpacia i pól, po których jeździł na nartach. Marzenia o małej szkółce dla dzieci, nic wielkiego, dość, by mieć satysfakcję. W sam raz, żeby starczyło zarobionych na misji pieniędzy. Potem się zobaczy. Może jakaś mała jadłodajnia albo wyciąg narciarski z dotacji unijnych. Żona mówiła mu, że wielu sąsiadów tak robi.

Z półsnu wyrwał go wrzask radia:

– Rosomaki, zatrzymać się! – krzyczał kapitan Jan „Johny” Wieteska. – Szczerbinka!

Ścicki otrzeźwiał w ułamku sekundy.

Szczerbinka.

Punkt, zwykle człowiek, siedzący przy drodze. Starzec albo pasterz, jakich wielu. Na pierwszy rzut oka nie sposób było powiedzieć, kto jest szczerbinką, a kto po prostu sika, odpoczywa w czasie marszu albo zapatrzył się w góry.

Szczerbinka pełniła dokładnie taką funkcję, na jaką wskazywała nazwa. Swoim położeniem wskazywała, gdzie znajduje się umieszczony pod drogą ładunek wybuchowy. Ukryty gdzieś w górach terrorysta z dużej odległości nie umiał określić dokładnej lokalizacji pułapki, nie na bezkresnych pustkowiach Afganistanu. Chyba że miał szczerbinkę; wtedy dokładnie widział, kiedy dżip albo wóz bojowy ISAF znajdzie się nad zaimprowizowaną miną. Ludzie byli dobrymi szczerbinkami. Wzbudzali mniej podejrzeń niż góra kamieni i byli bardziej widoczni.

W półmroku poranka, pośrodku pustki, starzec nie miał czego szukać przy drodze wiodącej do bazy. Koller dostrzegł to natychmiast.

Ścicki także zareagował momentalnie.

Ale nie on prowadził.

Kierowca był potwornie zmęczony. Nie nacisnął hamulca od razu. Mrugnął raz i drugi, a potem dopiero kopnął w pedał. Wóz zarył oponami w żwirze. Prowadzący popełnił jeszcze jeden błąd. Nie odbił w bok. Pozwolił, żeby do samego końca Rosomak znajdował się na drodze.

Na ekranie pokazującym obraz z umieszczonej na zewnątrz wozu kamery Ścicki dostrzegł starca. Niski, zgarbiony, z laską w ręku, w długim, połatanym na plecach płaszczu. Jego sylwetka zniknęła w lewym dolnym rogu monitora.

5

Koller ujrzał wylatującą w górę fontannę piachu, kamieni i ognia. Paskudny, pękaty fajerwerk o ciemnym, oleistym obrysie; dopiero sekundę później poprzez huk silnika dobiegł go głuchy, ciężki grzmot, odbijający się echem od gór.

6

Rzężenie dogorywającego silnika niosło się po bezdrożach południowego Ghazni. Pośrodku kolumny zdobycznych samochodów stał poobijany Humvee. Słupem gęstego, białego dymu z silnika dawał wyraźnie znać, że konwój, nawet jeśli ruszy dalej, z pewnością nie uczyni tego w pełnym składzie.

Ludzie Safeza, Rashid i kilku bojowników o zastygłych, ponurych twarzach, obserwowali parującą maskę. Nogi jednego z towarzyszy wystawały spod samochodu. Nieco dalej, na poboczu, kolejnych dwóch opiekowało się rannymi.

Silnik umilkł, w miejscu jego jęku rozległo się kilka głuchych uderzeń i przekleństwo. Mechanik wynurzył się spod pojazdu i ocierając czarną od brudu twarz, odrzucił klucz francuski w krzaki.

– Nic z tego nie będzie – powiedział. – Nie pojedzie.

– Napraw go – poprosił spokojnie Safez. – Od tego zależy życie rannych.

Mężczyzna zaklął i z wściekłością kopnął w piaszczystą wydmę. Uczynił to w sposób świadczący, że jego złość nie jest skierowana przeciw dowódcy.

– Nie mogę, szefie – powiedział, rozkładając ręce. – To nie poluzowana śrubka albo zerwany przewód. To dziury! Po kulach! Nawet gdybym miał części, naprawa zajęłaby kilka dni. Samochód nie przejedzie ani metra więcej, szefie. Po prostu nie. – Na jego obliczu wykwitł grymas bezsilnego rozczarowania. Była to szeroka twarz pasterskich plemion Afganistanu, pełna blizn po ospie albo niefortunnym wybuchu ładunku szkoleniowego. – Żadnymi sztuczkami nie zdołam przywrócić go do użytku i nie chodzi nawet o to, że nie znam się na tych wozach. Wrak potrafię rozpoznać, szefie. A rannych… możemy zabrać do drugiego.

– Nie ma miejsca – stwierdził Safez, odwracając się. Rozmowę uznał za zakończoną. – Obmyj się, dochodzi południe.

Ludzie zaczęli się schodzić, zdejmować karabiny z ramion i chusty z twarzy. Dotąd krążyli po okolicy, ubezpieczając postój lub po prostu zabijając czas. Południową modlitwę odmawiali razem.

Wojownicy rozlali do mis wodę z manierek, gotowi do wymaganych przez Koran ablucji poprzedzających Salat. Ich ruchy były powolne, spokojne. Na moment stawali się innymi ludźmi – jak gdyby bitwa i rajd bezdrożami stanowiły część życia kogoś innego. Nawet cel na kilka minut przygasał, przesłonięty potęgą doznania. Obcowania z Bogiem.

Cel.

Dom. Ich czas i ich miejsce, choć ledwie na kilka godzin.

Samochody stały leniwie pośrodku bezdroża. Dwa zdobyczne Humvee, w tym jeden już bezużyteczny, oraz MDS. Allach sprawił, że ten ostał się niemal nienaruszony. Allach i właściwe dowodzenie Safeza.

Ahmed potoczył spojrzeniem po twarzach żołnierzy. Byli gotowi wychwalać Najwyższego.

– Myślcie o rannych – powiedział. – Po modlitwie będą musieli zostać tutaj.

Miny, z jakimi przywitali polecenie, mówiły same za siebie, ale żaden z doświadczonych bojowników nie odważył się zaoponować. Mogli spró-

bować upchnąć najsłabszych do samochodów, a sami maszerować z tyłu. Do celu nie było daleko. Safez wiedział, że o tym myślą. Potwór, którym przywódca jawił się w ich wyobraźni, powstrzymywał ich przed wyrażeniem sprzeciwu.

Klęknęli, zwróceni twarzami na zachód. W stronę Mekki.

– *Allahu Akbar! Allahu Akbar! Allahu Akbar!* – padło ze wszystkich gardeł. Z powagą, godnością, w sposób daleki od przerysowanych, przerażających krzyków samobójcy szahida.

Allahu Akbar.

Bóg jest wielki.

Safez skłonił głowę razem ze wszystkimi. Suche od gorącego wiatru usta zaczęły szeptać.

Dla nich tylko w tym jednym nie był potworem. Potworem tworzonym przez Ahmeda w ciągu wielu lat, gdy pielęgnował wspomnienia dzieciństwa w piekle i wściekłość na oszustwa, którymi mamiono przywódców jego narodu. Oszukiwano ich niczym małe dzieci – choć nawet on, jedno z nich, dostrzegał płytkość banalnych kłamstw powtarzanych przed kamerami przez polityków wszystkich państw aspirujących do miana mocarstw, prawdziwych czy wyobrażonych. Pamiętał pogardę żywioną do ludzi, którzy mieli wieść ich ku wolności, a oddawali ją za miskę zupy, tłumacząc, że tylko na tyle na razie ich stać. I nienawiść do fałszywych przyjaciół, jedną ręką klepiących Palestyńczyków po ramieniu, a drugą popychających ich tam, gdzie pod płaszczykiem reprezentowania interesów wygnanego narodu sami zyskiwali najwięcej.

– *Hajja Alal-Falaah! Hajja Alal-Falaah!*

Śpieszcie do sukcesu.

Ahmed pielęgnował potwora, wypuszczał go na zewnątrz, by zyskać szacunek głupców, którym imponowała jedynie brutalność i siła, a strach równał się w ich oczach respektowi. Takich ludzi nigdy nie brakowało; do nich nie warto było mówić rozsądnie.

Safez pilnował jednak, by potwór nie zerwał się z łańcucha.

– *Hajja ala Chajril-amal! Hajja ala Chajril-amal!*

Śpieszcie do dobrych uczynków.

Tak naprawdę nie potrzebował rannych, a ta okazja pozbycia się ich była równie dobra jak każda inna. Prosty rachunek mówił, że nie mógł pozwolić sobie na najmniejsze ryzyko – jeśli chciał dokonać tego, co zamierzał. Ahmed był doskonały z rachunków. Uczył się ich pilnie, pomny sukcesów swoich przodków.

Mimo talentu nie osiągnął poziomu wiele wyższego od przeciętnego zachodniego licealisty. Nie miał szans – zaczął naukę zbyt późno. Brakło również nauczycieli, którzy mogliby mu przekazać wiedzę. Uśmiechano się do niego, mówiono, że jest zdolny. Że może uda mu się pomóc, wykorzystać jakoś ten dar. Nigdy nic nie zrobiono.

Dzieciom jego narodu należały się reportaże w „National Geographic". Nie edukacja.

– *Ihdinas Siraat al-Mustaqim*.

Prowadź nas drogą prostą.

Safez pomyślał o znajdującym się tuż obok białym. Kazał nazywać siebie Hashim – imieniem, które przyjął razem z wiarą w Allacha. Niczym Muhammad Ali odmawiający reagowania na imię Cassiusa Claya, uparcie ignorował wszystkich, którzy zwracali się do niego inaczej niż nowym, islamskim mianem.

Safezowi podobna schizofrenia wydawała się zabawna. Chłopięca zabawa w inicjację i zmienianie imion, jak gdyby te – nie czyny i myśli – miały jakikolwiek wpływ na to, kim jest człowiek. Jego własne imię, „Ahmed", nadali mu obcy ludzie. Imię banalne, typowe. Nijakie. Nie ono jednak miało znaczenie, bowiem silny człowiek był czymś znacznie więcej niż tylko jednym słowem. Przywiązanie do nazw zostawiał słabym.

Hashim. Zdrajca własnego narodu w pięciu pierwszych latach życia dostał więcej niż kiedykolwiek cały obóz, w którym Ahmed się narodził, a jego matka umarła.

Pomyślał o ideach. Silnych, wyrazistych hasłach, które jednoczyły ludzi – z Kałasznikowami w dłoniach – pod wspólnym sztandarem.

Dobrze znał tych, którzy je głosili. Za dobrze, by im wierzyć. Widział w swoim życiu zbyt wiele, żeby dostrzegać w słowach liderów coś więcej niż toczącą ich umysły chorobę władzy. Ahmed nigdy nie chciał władzy.

Hashim był niezbędny. Ważniejszy niż on sam, i Safez doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Mimo to gardził nim, tak samo jak wszystkimi, którzy pragnęli, by mówiono, co mają robić. Safez wiedział, co do niego należy. Nie potrzebował do tego – jak modlący się wokół bojownicy – uśmiechu na przysłanym przez bin Ladena nagraniu.

– *Sami Allahu Liman Hamida*.

Bóg słucha każdego, kto Go wychwala.

Gdy ludzie zakończyli modlitwę, mieli odmienione twarze. Było w tym rytuale coś z medytacji, co pozwalało oderwać się od problemów i trosk.

Kiedy pozwijali przybory modlitewne i sięgnęli po broń, Safez rozkazał Rashidowi spalić dżipa, a rannym ofiarować manierkę wody i pozostawić ich na poboczu.

– Jeśli nie możemy ofiarować im życia, ofiarujmy śmierć – powiedział Rashid. – Ludzie tak myślą.

Ahmed przeanalizował te słowa. Rashid, tchórz, choć był z nimi od początku, zawsze mówił w imieniu reszty. Czemu tchórza wybrali na swój głos?

– Śpieszymy się, oni nie – odparł Safez. – Bóg zabierze ich, gdy zechce. Nie odbierajmy im czasu – powiedział, próbując złagodzić okrucieństwo wyroku – który mogą poświęcić na pojednanie się z Najwyższym.

Nikt nie protestował.

Bojownicy zalali Humvee benzyną z zapasowych baków i zaprószyli ogień. Nad bezdrożem rozniósł się czarny, gęsty dym. Safez odszedł w stronę MDS-a.

Wewnątrz pojazdu panował przyjemny chłód. Główny system reaktora ułamkiem mocy napędzał również klimatyzację. Na podłodze wciąż pozostały plamy krwi amerykańskich informatyków.

– Ruszamy – powiedział do siedzącego przy jednym ze stanowisk Hashima.

Starsi z Al-Kaidy nazywali tego człowieka „Skarbem”. To on powiedział zaufanym wiernym o istnieniu systemu. On, pomny rekomendacji Safeza, namówił Amerykanów do wybrania właśnie Raji na miejsce operacji,

on ukrył w schowkach MDS-a broń dla bojowników Ahmeda i dał im ją, gdy przyszedł właściwy moment.

Wreszcie – doprowadził do skoku. Tyle możliwości w rękach jednego człowieka.

– Znam Nancy Sanchez – powiedział Hashim z wyrzutem. – Powinna zginąć. Będzie nas ścigać.

– To nic – odparł Safez. – Nie wie, w jakiej epoce się znajduje, nie zna naszych planów, a my nie wrócimy już do Ghazni. Z Afganistanu niewiele zdoła zdziałać.

Ahmed nie wierzył, że Hashim naprawdę boi się amerykańskiej kapitan. Wiedział jednak, że dla ludzi jak on istotne są symbole, do których odwołują się we własnej historii.

– Czemu jej nie zabiliście?

Zdradzona i martwa Nancy Sanchez rysowałaby się lepiej we wspomnieniach dawnego geniusza z Pentagonu niż po prostu zdradzona. Błąkająca się gdzieś w przeszłości.

– Żaden plan nie udaje się w stu procentach. Nie muszę ci tego tłumaczyć, Holden – odparł Safez. Użył chrześcijańskiego imienia Hashima, by nieco go utemperować. Geniusz czy nie, był zaprzańcem, zdrajcą. – Dostaliśmy znacznie więcej, niż powinniśmy prosić.

7

Raji do czegoś się szykowało.

Nienaturalne poruszenie na terenie gniazda Koller dostrzegł jeszcze z helikoptera. W obrębie posterunku ludzie poruszali się jak w ukropie, biegali to w jedną, to w drugą stronę, niejasne było jednak, czy zamierzają Raji opuścić, czy wręcz przeciwnie, przysposabiają bazę do obrony.

W dole powoli jechały Rosomaki, sprawny z przodu, a drugi z tyłu, na holu. Wóz, który wjechał na minę, odrobinę trawersował, zostawiając za sobą wyraźne bruzdy na drodze. Transporter był osmalony i wyglądał, jakby trafiła go rakieta, nie improwizowany ładunek wybuchowy. Stracił przednie lewe koło; kamera i zewnętrzne, nieopancerzone elementy po prostu zniknęły, zdmuchnięte siłą wybuchu.

Wieteska przyziemił i Koller wyskoczył z helikoptera, nim jeszcze śmigła zwolniły bieg. Zdawał obie sprawę, że Rosomaki widziano z wież, a wieść o ataku rozniosła się, więc nie dziwił go widok czekającej na lądowisku grupy żołnierzy, którzy czujnie wpatrywali się w dowódcę. Chcieli z miny porucznika wywnioskować, czy dzisiejszą kolację jeść będą w ciszy, wspominając któregoś z kolegów.

Galaś i Balszkowski przywitali go ze szczególnie bladymi twarzami. Obaj mieli oczy jak spodki; Koller żywił nadzieję, że jest to bardziej wina uszkodzonego wozu niż czegoś, co wydarzyło się pod jego nieobecność.

– Spokojnie – powiedział. – Wszyscy cali. Najedli się tylko strachu. Ładunek nie był dość skumulowany, by przebić pancerz.

Napięcie wyraźnie zelżało. Żołnierze odetchnęli z ulgą. Część poszła raźnym krokiem w stronę bramy witać nadjeżdżających kolegów i na własne oczy przekonać się, czy to, co mówi porucznik, jest prawdą.

Porucznik starał się nie okazywać, jak bardzo jest wdzięczny opatrzności za to, że nikt nie zginął. Karski widziałby to pewnie inaczej: nieautoryzowany patrol, uszkodzony wóz bojowy, niepotrzebne ryzyko. Znając pułkownika, oznaczało to pomieszaną z przerażeniem furię, pełną jąkania się reprymendę i dużo odniesień do tego, jak winien zachowywać się sowiecki, tfu, polski oficer.

Pieprzyć Karskiego.

– Balszkowski!

Sierżant wyprężył się, aż zachrzęścił napięty materiał munduru.

– Słucham?

Koller dostrzegł, że wszyscy wokół zrobili się nagle jakby bardziej przepisowi, formalni. To nie wróżyło nic dobrego.

– Są jakieś wieści, w które nie może mnie wprowadzić operator radiostacji?

– Melduję, że nie, panie poruczniku! – odparł sierżant.

– Dobrze. Zajmij się uszkodzonym wozem i sprowadź lekarza, żeby obejrzał załogę. Na wszelki wypadek.

Balszkowski strzelił obcasami i odbiegł w stronę bramy. Koller spojrzał na Galasia.

– W zamkniętym pomieszczeniu, panie poruczniku, jeśli można – powiedział kapral.

Koller uniósł pytająco brew. Kątem oka dostrzegł, że obok stanął Wojtyński.

– Co, znowu tajemnica?

– Melduję posłusznie, że tak jest. Opowiem.

Koller odwrócił się.

Wieteska właśnie wchodził do kwatery przydzielonej pilotom. Nie sam. Towarzyszyło mu dwóch operatorów Wojtyńskiego. Kapitan nie stawiał oporu, nie odmówił sobie jednak komentarza; w kilku prostych, żołnierskich słowach dał do zrozumienia, co sądzi o używaniu podobnych eufemizmów. W jego przypadku „kwatera” była niczym innym jak aresztem. Podczas jej przydzielania Koller wyraził stanowczą prośbę, by kapitan nie opuszczał jej bez pozwolenia. Gwarantem spełnienia tego warunku było owych dwóch operatorów GROM-u, którzy mieli za zadanie spacerować korytarzem między pokojami lotników.

Wojtyński i Koller ruszyli za Galasiem do budynku radiostacji.

Wyprawa do wioski oficjalnie nie miała miejsca. Dlatego Koller zdecydował się przez ten czas nie nawiązywać kontaktu z Raji. Grupa wypadowa operowała tylko na urządzeniach krótkiego zasięgu.

– Dużo się działo – powiedział kapral, gdy znaleźli się w pomieszczeniu i zamknęli za sobą drzwi.

– Szkoda czasu, kapralu – stwierdził Drab. – Do rzeczy.

Galaś oparł ręce na głowie. Wyglądał na zmartwionego. Twarz błyszczała od potu, oczy szukały inspiracji w podłodze.

– Zaczęła się kolejna ofensywa. Tylko w czasie waszej nieobecności w rejonie Ghazni zgłoszono siedemnaście kontaktów bojowych. – Wskazał na ekrany za sobą. W zupełnym chaosie rozkwitały na nich przekazy wywiadowcze, raporty o stratach i ogłoszenia dla całego kontyngentu. Można było odnieść wrażenie, że wyprawa do wioski zajęła Kollerowi kilka tygodni. – Dowództwo kazało wzmóc czujność. Istnieje ryzyko, że ktoś przechwytuje naszą korespondencję. Mamy straty.

– Duże? – spytał Koller.

Czuł, że ofensywa nie jest przypadkowa. Wszystko dziwnie precyzyjnie zbiegało się w czasie.

Stop.

Paranoja.

Ostrzegano go przed tym. Największe zastrzeżenia, zarówno Amerykanów, jak i SWW, dotyczyły jego osobistego zaangażowania w sprawę. Znał Safeza, co było atutem, ale i największą wadą. Mówiono mu, że jeśli straci z oczu pełny obraz i zafiksuje się na osobie Ahmeda Szaha, stanie się bezużyteczny. Paranoja na punkcie wroga. Czym innym mogło być doszukiwanie się celowego działania jednej osoby w każdym wydarzeniu toczącej się wojny?

– Te straty. Czy są duże? – powtórzył pytanie. Starał się skupić na tym, co mówił kapral.

– My mamy na razie tylko rannych. Jedenastu Amerykanów nie żyje.

– Jak?

– Ajdiki, poza tym ataki na oślep na bazy. RPG w środku nocy, kilka ładunków na samolotach modelarskich. Nic wyrafinowanego, ale rozmach niespotykany.

– Co na to Karski?

– Jest przerażony. Zabronił patrolom opuszczać bazy.

– Wszystkim?

– Wszystkim.

Wojtyński klepnął się w udo. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Na jego twarzy pojawiał się na zmianę wyraz gniewu i niezrozumienia.

– W ten sposób oddajemy szuszwolom całe Ghazni – powiedział. – Przy ich organizacji i znajomości terenu nie zostawią przy życiu nikogo, kto sprzyja Sojuszowi. Wrócimy tylko po to, żeby znaleźć trupy naszych ludzi. Nikt nie zaufa nam ponownie.

– Ale nie ponosimy strat, za które ktoś mógłby obwiniać pana pułkownika – skwitował Koller z sarkazmem w głosie. – A… nasza sprawa?

– Polecenie Karskiego jest jasne: pozostać w bazie, czekać na przybycie sojuszników. To dla nich szykujemy miejsce, stąd ten ruch – wyjaśnił Galaś. – Talibowie zaatakowali na styku amerykańskiej zmiany. W ISAF panu-

je chaos, ale sprawa Raji jest traktowana priorytetowo. Za cztery, pięć godzin powinna być u nas jednostka wsparcia. Takie są wytyczne.

„Styk amerykańskiej zmiany" – Koller przestał mieć wątpliwości. Tego rodzaju planowanie było wręcz wizytówką Safeza.

– A my? – spytał.

– Pułkownik chciał rozmawiać z panem albo Ścickim, ale powiedziałem, że sprawdzacie zejścia przy skałach. Szczęśliwy nie był, ale chyba to kupił.

– Dobrze – pochwalił Koller. – Jedziemy dalej. Jest oficjalny rozkaz dotyczący zniknięcia Jamroza?

– Polecenie bezpośrednie: zabezpieczyć teren. Niczego nie ruszać. Czekać na dalsze rozkazy albo przybycie sojuszników. W drugim przypadku: być całkowicie posłusznym rozkazom sprzymierzeńca.

– O kurwa – powiedział Wojtyński. Koller nie znał go zbyt dobrze, ale miał wrażenie, że w ciągu ostatnich kilkunastu godzin porucznik wykorzystał roczny limit okazywania emocji. Nie dziwił się. Natłok wydarzeń i kompetencje Karskiego zupełnie do siebie nie pasowały.

Choć podzielał frustrację Wojtyńskiego, postanowił zachować spokój.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Melduję posłusznie, że nie, panie poruczniku.

– Dziękuję, kapralu. Możecie odejść.

Galaś zasalutował i zniknął za drzwiami. Porucznik zapatrzył się w ekrany. W trakcie rozmowy ukazało się na nich kilka kolejnych komunikatów. Wzmożone środki ostrożności, rozkaz zmiany rozkładów godzinowych i tras patroli, wstrzymanie lotów helikopterów transportowych o niskim priorytecie… I tak dalej.

– Pieprzony Karski – powiedział Koller. Ryzykował: mimo wszystko Wojtyński mógł okazać się formalistą i przekazać treść rozmowy dalej. Ale zaczynał mieć to gdzieś. – Zrezygnował ze wszystkich zdobyczy i oddał w cudze ręce los własnych żołnierzy. Wydaje mu się, że jest sprytny. Każdy Polak, który straci tu teraz życie, zginie w wyniku wykonywania rozkazu sojusznika. Karski się wybroni od odpowiedzialności. To samo z Jamrozem.

– Nie wiadomo, czy on i jego ludzie jeszcze żyją. Nie ma na to dowodów.

– Zniknęli kilkadziesiąt godzin temu – powiedział Koller. Opadł na fotel. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest znużony. – Dopóki nie znajdziemy zwłok albo przynajmniej sprzętu, nie możemy ich po prostu porzucić.

Wojtyński długo milczał, wpatrując się brudną szybę baraku.

– Co możemy zrobić? – spytał. – Mamy ofensywę nieprzyjaciela, zniknięcie Jamroza i Amerykanów razem z systemem za miliardy, a do tego jeszcze ten pieprzony handel opium.

Koller kiwnął głową. Podobnie jak Wojtyński odczuwał potrzebę ułożenia spraw wedle jakiejś klarownej hierarchii. I podjęcia działań dających choć cień szansy na uniknięcie katastrofy.

– Jeśli przyjdą Amerykanie, nasi ludzie są straceni – powiedział. Mówiąc „ludzie”, miał na myśli przede wszystkim Leszka Jamroza. – Ich interesuje tylko maszyna. Nie kiwną palcem, żeby ocalić Polaków. Jeśli poświęcenie naszych obniży ryzyko misji, a tak pewnie będzie, nawet nie pomyślą poważnie o ratowaniu czegokolwiek poza MDS-em.

– Jesteśmy jeszcze my.

– Właśnie.

W głosie Kollera musiało brzmieć coś szczególnego, bo Wojtyński spojrzał na niego z nagłym zainteresowaniem.

– W czasie, który nam został, nie zdziałamy wiele.

Koller odwrócił się. Ponownie zerknął na monitory.

Na dwóch z nich widniały mapy. Zaznaczone na nich punkty, w których żołnierze Sojuszu zginęli albo odnieśli rany, niemal w stu procentach pokrywały się z przygotowanym przez SWW i CIA planem miejsc, w których proceder handlu opium przybrał najbardziej okazałe rozmiary.

Koller oderwał wzrok od ekranów.

– Jesteś oficerem GROM-u – powiedział. – Dla was nie ma rzeczy niemożliwych, prawda?

– Owszem. Ale nawet my potrzebujemy planu, żeby działać efektywnie.

– A jeśli powiem, że mam już plan?

– Dobry?

– Karski postawiłby mnie za niego przed sądem polowym.

– Zamieniam się w słuch.

8

Kwatery, w których ulokowano lub – jak kto wolał – zamknięto ludzi z klucza Wieteski, okazały się najlepszym, co Raji mogło zaoferować. Były to jedno- lub dwuosobowe pomieszczenia, gdzie dotąd sypiali oficerowie i podoficerowie Jamroza – siedem, osiem metrów kwadratowych na osobę. Żadnych ozdób, jedynie półki z książkami i drobiazgami na ścianach, szafy na ubrania, jakiś stolik z krzesłem. Warunki na pozór spartańskie, ale w porównaniu z dużymi bazami, jak Ghazni czy Bagram, było tu znacznie więcej miejsca. Tam żołnierze, zwłaszcza podoficerowie, skoszarowani byli niekiedy po pięciu lub sześciu, innym razem sypiali w namiotach, co – zwłaszcza zimą – bywało kłopotliwe mimo ogrzewania. Tutaj bonus stanowiła prywatność. Rzecz niespotykana w miejscu, gdzie człowiekowi oferowano jedynie łóżko, byle twarde, żeby odpoczął kręgosłup.

Jan „Johny” Wieteska żegnał się z życiem, które znał. Gdyby był religijny, modliłby się i czekał, co przyniesie los. Nigdy jednak nie odczuwał potrzeby kontaktu z Bogiem i odwoływania się do jego arbitrażu, więc po prostu kręcił się po pokoju i odbijał od ściany do ściany, przeklinając pod nosem. Walczyły w nim dwie siły.

Jedna mówiła, że nie zasłużył na taki los. Że na świecie musi być jakaś sprawiedliwość, choćby elementarna, która nie pozwoli zrealizować zapowiedzi Kollera. Istnieje przecież jeszcze logika, a któż uwierzy w brednie – polski pilot śmigłowca, bez doświadczenia w „Afganie”, w kilka miesięcy montuje międzynarodową szajkę przerzutową, która prowadzi handel na europejską skalę?

Druga z sił kazała zamknąć oczy. Wziąć głęboki oddech i pogodzić się z losem. Jakkolwiek zdecydują generałowie i szefowie sztabów, bogowie tej misji, tak się stanie. Walka z huraganem połamie kapitanowi, niewielkiemu, nieważnemu trybikowi ogromnej machiny, tylko więcej kości. Nie będzie pierwszym i na pewno nie ostatnim.

Przecież nie pozostawał bez winy.

Był jak w transie; możliwe, że pukanie usłyszał dopiero po kilkudziesięciu sekundach.

Otworzył drzwi i ujrzał Wojtyńskiego i Kollera. Obaj mieli tak marsowe miny, że kapitan z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– Pan, panie poruczniku – zwrócił się do Kollera – wygląda żywcem jak Długoszowski w przeddzień zamachu majowego. – Udał, że podkręca wyimaginowanego wąsa. – Będziemy się strzelać na jakimś moście?

Koller rozchmurzył się nieco.

– Perspektywa więzienia nie wystarczy, żeby zepsuć ci humor?

Wieteska wskazał gestem, by weszli do środka.

– Jak na razie humor psują mi jedynie twoje wizyty. Planowałem właśnie podkop – powiedział tonem pogawędki przy herbacie. Kopniakiem zrzucił z łóżka pogniecione prześcieradło poprzedniego mieszkańca pokoju, by zrobić miejsce do siedzenia. – Mam już plastikową łyżeczkę. Co się dzieje?

– Trwa ofensywa talibów – poinformował Wojtyński, siadając. – Karski zabronił jakiejkolwiek inicjatywy i wydał polecenie pozostania w bazie.

– Przekonałeś mnie. Zostaję. – Johny przewrócił oczami, po czym usiadł na krześle.

Koller stał. Postanowił nie zwracać uwagi na wygłupy pilota. Być może kiedyś się do nich przyzwyczai i przestaną mu przeszkadzać. Teraz musiał przede wszystkim trzymać emocje na wodzy.

– Jeśli twoja żona miała rację – powiedział – to Jamróz i nasi są w przeszłości, razem z tym całym urządzeniem.

– MDS-em. Tak. Plus ukochana mojego dobrego kumpla, o ile mi wiadomo, ale nie wiem, co ciebie mogłoby to obchodzić.

Koller zamknął oczy. Odetchnął głęboko, a potem spojrzał uważnie na Wojtyńskiego. Porucznik nieznacznie skinął głową. Cierpliwości, zdawał się mówić.

– Johny – powiedział Koller – co byś zrobił, gdyby wszystkie teczki twoje i twoich ludzi zgubiły się przy okazji katalogowania archiwów?

– W najbliższą niedzielę wrzuciłbym całą kasę z opium na tacę – odparł pilot. Zawahał się. – Tę, której nie przepiłem. Czyli w sumie niecałą. Nawet

nie połowę, ale mniejsza o to.

– Coś jeszcze?

– Niewiele, bo nie spodziewam się, żeby dokonanie podobnego cudu leżało w zasięgu jakiegokolwiek człowieka.

– Zdarzają się niesamowite zbiegi okoliczności – powiedział Drab. – Lubisz hazard?

– Nie, latam na śmigłowcach bojowych i handluję opium, bo bycie bibliotekarzem wydawało mi się zbyt ryzykowne.

– Co powiesz na wszystko albo nic?

Wieteska rozsiadł się wygodnie i założył nogę na nogę.

– Ty, Koller, niczym mnie nie zdziwisz, ale po GROM-ie, panie poruczniku, spodziewałem się więcej. Odpowiedź brzmi tak, jak brzmiała. Nie. Nie będę donosił. Nie zostawię też swoich ludzi na lodzie.

– Tym lepiej. Potrzebujemy wszystkich śmigłowców.

Wieteska po raz pierwszy wydawał się zainteresowany tematem rozmowy. Z jego twarzy zniknęła niechęć, a pojawiła się ciekawość.

– Co?

– Jesteście uzbrojeni bojowo?

– Tak… – Wieteska jakby ważył słowa. Przyglądał się czujnie obu oficerom. – Sidewindery, magazynki do działek pełne amunicji. Wszystko. Nawet skarpetki na zmianę. Przypominam, że jeszcze dzisiaj… Nie, wczoraj rano ochranialiśmy amerykański konwój.

– Propozycja nie dotyczy donoszenia, Johny. Raczej starego dobrego Dzikiego Zachodu. Twój styl.

– Lubię, jak ktoś zauważa mój styl. Co jest do wygrania?

– Jeśli się uda, spalę swoje papiery. – Koller doszedł do wniosku, że może coś jednak w tym pokoju załatwi. – Obaj z Drabem zaświadczymy, że twój klucz śmigłowców nie mógł brać udziału w handlu opium. Ja osobiście skorzystam ze znajomości i pozycji w SWW, żeby usunęli to, co zostało w Warszawie.

– Od kiedy jesteś szychą w SWW, Koller? – zapytał uprzejmie Wieteska. Na razie nie kupował opowieści. – Wujek generał? Dziadek bezpieczniak ma kumpli ze starej gwardii?

Koller pokręcił głową, zrobił dwa kroki w stronę łóżka i poczęstował się cukierkiem z leżącej na poduszce paczki.

– Rzecz w tym, że nie jestem – powiedział. – Nie mam w tej chwili żadnych realnych wpływów. Kwaskowe. Dobre, tylko chyba długo leżały.

– Skupmy się na temacie. Skoro nie… – zaczął Wieteska.

– Ale będę miał. Jeśli nam się powiedzie, zmarnuję swój cenny czas na uratowanie twojej wkurzającej dupy od paki. Podobnie jak dup twojej uroczej bandy śmiercionośnych żmij, które najwyraźniej wsadzono do helikopterów tylko dlatego, żeby nie robiły zamieszania na ziemi.

To brzmiało zbyt dobrze.

– Czy on jest pijany? – zapytał Wojtyńskiego pilot.

– Nie.

– Narkotyki? Nadmiar rozrzedzonego powietrza?

– Nie.

– To co mu się stało?

– My potrzebujemy ciebie, ty potrzebujesz nas. *Deal*.

– Proste jak śmierć.

Obaj oficerowie jak na komendę skinęli głowami. Kapitan trafił w sedno, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wieteska odetchnął.

– Czego chcecie w zamian?

Koller ponownie spojrzał na Wojtyńskiego. I znów dojrzał w jego oczach zachętę.

– Nie tylko łamiemy rozkaz Karskiego, ale wszelkie regulaminy i wytyczne ISAF w Afganistanie. Jeśli się nie uda, w najlepszym wypadku będziemy razem siedzieć na ławie oskarżonych – wtedy zatęsknisz za wyrokiem za opium. W najgorszym twoja żona zobaczy nasze głowy w porannych wiadomościach. Bez ciał.

Brzmiało naprawdę dobrze. Johny wyciągnął dłoń do Kollera.

– Gdzie podpisać?

– Czy to oznacza „tak”?

– Nigdy nie zawiódłbym zaufania Karskiego, mojego mentora – stwierdził Wieteska smutno. – Idziemy pogadać z moimi chłopakami?

Wstali.

– Ach, Koller – rzucił Johny, gdy opuszczali pomieszczenie. – Nie myśl, że nagle zostaliśmy kumplami.

9

Rosomak z oznaczeniami plutonu porucznika Leszka Jamroza stał pośrodku wsi. Otoczony przypominającymi lepianki chatami wóz stygł po długiej podróży jednym z kamiennych, wyboistych szlaków, które szumnie nazywano tutaj drogami. Pancerz nosił ślady po pociskach, choć niewprawne oko by ich nie dostrzegło. Przypominały raczej zadrapania na karoserii samochodu po podróży wysypanym żwirem szlakiem. Działko leżało, opuszczone smutno, a tylny właz wozu był uchylony.

Wokół tłoczyły się dzieci. Od kilkuletnich brzdąców po udających powagę dwunasto- i trzynastolatków. Z ciekawością gładziły stal pojazdu, ostukiwały opony. Niektóre próbowały nawet wąchać pancerz albo, gdy nikt nie widział, rzucić w niego kamieniem, by zobaczyć, co się stanie.

Dorośli, jakkolwiek równie zainteresowani, okazywali ciekawość ze znacznie większą powściągliwością. Siedzieli pod chatami i palili fajki, chodzili po narzędzia albo wodę, ale jakoś tak się zawsze zdarzało, że trasa wiodła wokół Rosomaka.

Kobiet nigdzie nie było widać.

Okolica, choć biedna, na pierwszy rzut oka prezentowała się lepiej niż rzeczywistość znana z Ghazni początku XXI wieku. Domy były ubogie, ale w gruncie rzeczy przypominały polską wieś sprzed stulecia, tyle że w bliskowschodnim wydaniu. Schludne, zadbane obejścia, typowe dla ludzi, którzy żyli powoli: wypasali zwierzęta, obradowali, swatali córki z chłopcami z sąsiednich wsi.

Biedni czy nie, Jamróz stanął wobec konieczności szukania u nich pomocy.

Minęła doba od masakry w Raji. Żołnierze nie mieli prowiantu, kończyło się paliwo. Byli wyczerpani jazdą, brakowało map, a opatrunki na zmianę dla rannego już od dłuższego czasu robili jedynie z własnych mundurów.

To ostatnie, biorąc pod uwagę, że kończyły się środki odkażające, zaczynało być niebezpieczne.

Mimo wszystko nie to było najważniejsze.

Skończyła się woda.

Gdy wjechali do wsi, ta dawno była już na nogach. Mieszkańcy wylegli na zewnątrz i z niepokojem obserwowali dziwną maszynę, która zawitała w ich progi. Nancy uczono w Akademii o zachowaniu tubylców rozmaitych tropikalnych wysp podczas pierwszego kontaktu z Europejczykami, zwykle Hiszpanami. Epizody te traktowano jako uniwersalny wzorzec. Wykładowca, weteran wojen w Wietnamie i Korei, podkreślał niezmienność ludzkiej natury w obliczu nieznanego. Dominowały dwa czynniki: strach i ostrożność. Niewiele kultur było agresywnych bez wyraźnej prowokacji.

Te, którym bliżej było do czasów pierwotnych niż nowoczesności, zwykle szczególnie starannie pielęgnowały cnotę gościnności. W żadnym wypadku nie należało popełniać prostego błędu i traktować takiego zachowania jako dowodu zaufania. Była to raczej prosta wymiana uprzejmości, rodzaj umowy: „Dam ci strawę i wodę, ty mi prezenty, a potem rozejdziemy się w pokoju”.

Przy tym wszystkim tubylcy byli pamiętliwi. Uczynioną raz krzywdę potrafili chować w sercach przez pokolenia.

Nancy postanowiła zaryzykować.

Nie mogła wyjść i zacząć przytulać zgromadzonych wokół transportera dzieci. W Afganistanie pozycja kobiety była niska i mężczyźni taki gest poczytaliby za słabość całego oddziału – przynajmniej w czasach interwencji NATO. Zamiast tego namówiła do działania tłumacza, Antosza Skrawińskiego, dwudziestosześcioletniego żołnierza, który sprawiał wrażenie zadurzonego w niej niemal od pierwszego wejrzenia. Nancy postrzegała go jako człowieka otwartego, co wywnioskowała, widząc jego przyklejoną do ekranu twarz i zafascynowane nową rzeczywistością spojrzenie, odkąd tylko zbliżyli się do wioski.

Co zaskakujące, mimo iż mieszkańcy słabo mówili po pasztuńsku i wyglądało na to, że nikt Polaka nie rozumie, plan się powiódł. Afgańczycy okazali się pomocni. Opatrzyli rannego, napoili i nakarmili pozostałych.

Niestety, ani próby zadawania pytań w języku Pasztunów, ani nawet rozrysowywania na piasku kolejnych dat i robienia pytających min nie przyniosły odpowiedzi, który jest rok. Żaden z członków załogi transportera nie dysponował wiedzą, która pozwoliłaby ocenić datę na podstawie stanu chat i narzędzi, którymi posługiwała się ludność. Równie dobrze mogli być w XVII wieku, co w 2005 roku.

Mimo nieporozumień dyskusja była żywa. Nancy i Jamróz prowadzili ją w chacie mułły, gdzie zaproszono ich z pewnym wahaniem. Podano herbatę i wymieniono kilka uprzejmości – głównie za pomocą gestów. Uczucia ociepliły się, gdy przywódca społeczności odkrył, że potrafią się zachować w sposób godny muzułmanina.

Pilnowali małych rzeczy, wystrzegali się niewielkich – pozornie – błędów. Nie zwracać pięt w stronę gospodarza ani – broń Boże – Mekki. Grzech, który w dziewiętnastym wieku przyniósł śmierć wielu nieświadomym brytyjskim oficerom. Niekiedy z rąk własnych ludzi.

Nancy z zainteresowaniem obserwowała zachowanie tubylców. Była spostrzegawcza, co wymieniano jako jedną z głównych zalet podczas wyboru dowódcy MDS Unit. Amerykanka zauważyła, jak niewiele różnili się ci ludzie od Afgańczyków, z którymi miała do czynienia w 2007 roku. Choć sytuacja nie była tożsama. Zmiana nastąpiła w jedną stronę, pomyślała. W jakimkolwiek okresie się znajdowali, ich doświadczenie nie straciło na aktualności. To druga strona zupełnie nic o nich nie wiedziała.

Jednym, co mocno ją zaskoczyło, była otwartość mułły na obecność kobiety. Rzecz w społeczeństwie, które znali – zdominowanym przez talibów – niespotykana. Duchowny porozmawiał z nimi chwilę na migi, a potem zostawił ich samych, prawdopodobnie by pogadać ze swoimi. Pozostali Polacy byli na zewnątrz i wiele wskazywało na to, że po przeżyciach ostatnich kilkunastu godzin czują się jak w raju.

– Doceniam, że dba pan o ludzi – powiedziała Nancy po chwili ciszy. Nie było lepszego momentu, by podjąć gryzący ją wątek. – Szanuję chłodną głowę i sposób, w jaki dowodził pan w czasie walki.

– Straciłem dwie drużyny żołnierzy. Prawie na pewno nie żyją – odparł Jamróz.

– Nie miał pan na to wpływu.

– Czyżby? I proszę mi wierzyć, to „prawie” martwi mnie najbardziej.

Siedzieli po turecku przy niewielkim stoliku na czymś, co przypominało dywan. Wpadające przez wąskie, podłużne okna światło wydawało się wisieć w gęstym od pyłu pomieszczeniu.

Nancy nie chciała kontynuować tego wątku. Zdawała sobie sprawę, że porucznik nieprędko pozbędzie się wyrzutów sumienia.

– Mam rozkazy, poruczniku. MDS jest ich centralnym punktem. Nie możemy po prostu z niego zrezygnować. Jego odzyskanie jest naszym głównym i właściwie jedynym celem.

Jamróz słuchał z uwagą. Nancy doceniała to – wiedziała, że w gruncie rzeczy myślał o odbytej walce i stratach. Możliwe, że był dobrym aktorem.

– Zdaje sobie pani sprawę, że czas gra na naszą niekorzyść? – spytał.

– Zgoda. Nie widzę jednak innej opcji.

– Proszę się rozejrzeć. Oto jedyna opcja. Żołnierze żyją, nie uczestniczymy w walce. Nikt nas nie ściga. To sukces. Nawet jeśli wrócimy do Raji, tak jak pani chce, nie mamy szans odbić ani nawet zniszczyć MDS-a. Chyba że w pani kalkulacji dwa pozostałe granaty przeciwpiechotne zdołają załatwić sprawę.

– Jesteśmy w innej epoce. Jedyną szansą na jej opuszczenie jest system – powtórzyła cierpliwie.

– Staram się pani wytłumaczyć, że najprawdopodobniej nie zdołamy jej opuścić. – Jamróz podniósł głos. Dziwnie szybko stracił panowanie nad sobą. Jednak ostatnie wydarzenia odcisnęły na nim znacznie silniejsze piętno, niż pokazywał to na zewnątrz. – Trzeba się z tym pogodzić, tak będzie łatwiej.

– Nie. Nie będzie.

– Może pani przełożeni wyślą misję ratunkową – dodał Jamróz złośliwie.

Nancy zignorowała zaczepkę.

– Jeśli nie będzie żadnej szansy na odbicie MDS-a i powrót w nasze czasy – powiedziała tonem nauczyciela wykładającego pierwszakom podstawy rachunków – naszym pierwszym obowiązkiem będzie zniszczenie

całego sprzętu, jaki posiadamy, na czele z pańskim wozem bojowym i wszystkim, co elektroniczne. My sami będziemy musieli zniknąć, by nikomu nie przyszło do głowy, ile wiemy i w jaki sposób można nas wykorzystać. Im szybciej przyjmie to pan do wiadomości, tym lepiej.

Porucznik spojrzał na nią uważnie, jakby chcąc odczytać prawdziwe intencje stojące za ostatnim stwierdzeniem.

– Pani chce nas zabić?

Nancy pokręciła głową i wyjrzała przez okno. Bezkres gór ciągnął się po horyzont. Afganistan był piękny. Pomyślała o tym, jak wielkiego pecha miał ten kraj. Zdawało się, zupełnie niezasłużonego. Kolejne inwazje wrogów, dla których ziemia i ludzie nie mieli znaczenia. Wojny, przegrywane wprawdzie przez najeźdźców, ale nieoznaczające zwycięstwa Afgańczyków, tylko kolejne groby, biedę i zapomnienie.

Tak wybrała historia.

– System w ogóle nie powinien mieć opcji podróży w czasie – powiedziała, a Jamróz usłyszał w jej głosie coś na kształt usprawiedliwienia. – Nie jesteśmy w stanie ocenić wpływu jednostki na historię, ale nie wolno nam go lekceważyć. Właśnie dlatego pierwszym zadaniem jest odzyskanie MDS-a, a drugim powstrzymanie ewentualnych ingerencji w historię. W tym naszych własnych. Jeden niewłaściwie wykonany ruch z naszą technologią i w dwa tysiące pierwszym roku to Afganistan zajmie Stany Zjednoczone, nie odwrotnie.

– Wie pani? Czy zgaduje?

– Tego nikt nie wie. Możliwe, że samoistne procesy historii są tak silne, że zdetonowanie bomby atomowej pod Borodino w perspektywie dziejowej nic by nie zmieniło. A może jest jak z efektem motyla i wystarczyłoby przesunąć jeden pyłek, w dowolnym miejscu, zupełnie daleko od sztabu Kutuzowa czy Napoleona, i jedno kichnięcie odwróciłoby bieg zdarzeń na zawsze. Nie mamy badań ani specjalistów w tej materii. Jedynie przekonanie o potrzebie ostrożności.

Jamróz zastanawiał się nad czymś chwilę; dopił herbatę, siorbiąc przy tym lekko, i odstawił naczynie na stolik.

– Proszę mi opowiedzieć więcej. O wydarzeniach, do których miało dojść – poprosił. – Którym zapobiegliście.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Zmienia pan temat.

– Wręcz przeciwnie. Szukam tylko bardziej subtelnych rozwiązań.

– Nie bardzo widzę związek.

– Pani ma znacznie większą wiedzę ode mnie. Odnośnie do tego, jak działa system, i o tym, co dotąd się stało. Wyrównajmy szanse. Poza tym chce pani czy nie, schemat się powtarza. Z tą różnicą, że tym razem najwyraźniej nikt nie powstrzymał spisku.

Spisek. Nancy myślała o tym wielokrotnie, odkąd odzyskała przytomność, i popadała w coraz większą frustrację. Możliwe, że już przegrali. Spisek się powiódł, a oni nie wiedzieli, kto za nim stał ani jakie miał cele.

Pokręciła głową.

– Mało na ten temat wiem. Tylko tyle, ile uznano, że powinnam wiedzieć. Jednym z głównych konstruktorów MDS-a był Rick Holden. Pracował wtedy w małym prywatnym laboratorium zajmującym się czasem i przestrzenią. W odróżnieniu od innych laboratorium odniosło sukces, tyle że niezgodny z wyznaczonymi celami. Efektem pobocznym eksperymentów było wytworzenie pola siłowego, mogącego na dodatek ulegać zakrzywieniu. Pole okazało się całkowicie nieprzebijalne, odporne na uszkodzenia mechaniczne, co oczywiście od razu zainteresowało Pentagon. Pierwsza prezentacja MDS-a odbyła się pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Nie poszła zbyt dobrze, pole okazało się niestabilne. Technologia nie była tak zaawansowana jak dziś i niektóre elementy wtedy istniały tylko w teorii. Nie skorzystano więc z wynalazku. Sytuacja zmieniła się w dwa tysiące drugim roku. Wtedy było jasne, że operacja w Afganistanie będzie wymagała stałej obecności USA, a lokalne struktury nie zapewnią żołnierzom bezpieczeństwa. Na dodatek postęp cyfryzacji przerósł niektóre z założeń pierwotnego projektu. Sprawił, że zapewnienie mobilności systemu poprzez umieszczenie go na ciężarówce, nie lotniskowcu, stało się realne. Laboratorium dostało pierwszy grant.

– Holden grał główne skrzypce?

– Do tego czasu zdołał zgromadzić wokół siebie niewielką grupę naukowców, w tym wojskowych. To tylko pomogło przeforsować finansowanie badań. Ale był liderem, zdecydowanie. Projekt został dokończony, Pentagon zamówił dwa prototypowe systemy. Dysponowały tarczą z pola siłowego, ale miały również możliwość dokonywania krótkich skoków czasowych w celu korygowania błędów popełnionych na polu walki. To zresztą podobno wzbudziło protesty Holdena, lecz Pentagon był zachwycony, więc funkcjonalność utrzymano. Tu następuje luka w mojej wiedzy. Proszę mnie nie pytać, w jaki sposób Pentagon podjął decyzję o testowaniu jednego z systemów w Polsce i w jaki sposób generał Dreszer dowiedział się o możliwościach MDS-a…

Jamróz uniósł dłoń.

– Przepraszam – powiedział. – Dreszer? Mój były dowódca?

– Tak. Twórca pańskiego batalionu – potwierdziła Nancy. – Generał zorganizował świetnie uzbrojony, jak na wasze warunki oczywiście, oddział, który polskim politykom reklamował jako idealną wizytówkę waszych wojsk. Coś, co wzbudzi szacunek sprzymierzeńców z NATO. Tak naprawdę pracował jednak nad koncepcją ingerencji w przeszłość. Druga wojna to dla was duża trauma.

– Nie ma w Polsce żołnierza, który nie chciałby zmienić jej przebiegu. – Głos porucznika brzmiał głucho. Jamróz trawił zasłyszane informacje, odnajdując co chwila kolejny element pasujący do układanki. – Zostaliśmy, jak to się u was mówi, *fucked* na wszystkie możliwe sposoby i przez wszystkich. Z sojusznikami na czele.

– To była podobno idée fixe generała. Wszystko dopięto na ostatni guzik. On niemal oszukał dwie armie, w tym najsilniejszą na świecie. Wasz batalion nigdy nie miał lecieć do Afganistanu. Jego przeznaczeniem był pierwszy września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Mieliście walczyć z Niemcami.

– Co się stało, że do tego nie doszło?

Nancy pomyślała, że to jest właśnie fragment, którego na pewno nie chce podawać do publicznej wiadomości.

– Major Grobicki, oficer wyznaczony na dowódcę batalionu, odkrył spisek i dał do zrozumienia Dreszerowi, że do niego nie dopuści. Dreszer nie miał wyjścia, odwołał swoich ludzi, którzy mieli dopilnować prawidłowego przebiegu skoku w przeszłość, i zaniechał wpuszczenia do systemu oprogramowania umożliwiającego przejęcie kontroli. Jerzy odszedł z wojska, a batalion, zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem, ruszył na misję.

Nancy przełknęła ślinę, wypowiadając imię Grobickiego. Jej głos drżał. Robiła wszystko, by zepchnąć w niepamięć obawę, że nie zobaczy już ani Dżaziego, ani syna. Wściekłość wybuchała w niej falami. Miała ochotę dorwać tego, kto był za to odpowiedzialny, i strzelić mu prosto w twarz. Uczucie tym straszniejsze, że skierowane w pustkę. Przeciwnik był anonimem pozbawionym konkretnej fizjonomii.

Na razie.

– To wszystko? – zapytał Jamróz, przyglądając się wykwitłym na twarzy rozmówczyni rumieńcom.

– Mniej więcej – odparła nieco spokojniej. – Może tylko jeszcze jedno. Wiem, że Holden przeprowadził kalkulację, z której wynikało, że reaktor zasilający system jest w stanie wytworzyć moc umożliwiającą skok czasowy odległy o siedemdziesiąt lat.

– No, to jakiś konkret – powiedział Jamróz – który może oznaczać, że znajdujemy się nie wcześniej niż w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku. Dobrze rozumiem?

– Powiedzmy, że z marginesem błędu kilkunastu lat – odparła.

– Przy odrobinie szczęścia dożyjemy do własnych narodzin.

Nancy po raz kolejny zignorowała sarkastyczny ton porucznika.

Do pomieszczenia szybkim krokiem wszedł mułła. Za nim w drzwiach stanął sierżant Bońkowski, kierowca Rosomaka. Podobnie jak większość Polaków wciąż był w szoku po tym, co zaszło w Raji. Wszyscy byli. Jamróz próbował żołnierzom wyjaśnić sytuację, słowami odrobinę prostszymi i z pewnością mniej parlamentarnymi niż Nancy, ale nie przyjęli tego zbyt dobrze. Jedynie Antosz, tłumacz, zdawał się niemal nieporuszony.

– Wojsko na horyzoncie – powiedział sierżant. Szary górski pył, który osiadł na jego włosach, nadał mu wygląd siwego, starego człowieka. – Jadą

w naszą stronę.

Jamróz podniósł się i uprzejmie podał dłoń kapitan Sanchez. Amerykanka wstała sama.

Porucznik odwrócił się.

– Dużo? – spytał, już w drzwiach.

Nancy dostrzegła, że stara się zachować spokój. Nie szło mu najgorzej, ukryte zdenerwowanie zdawało się tylko dodawać mu wigoru. Ten człowiek czuł się lepiej w sytuacjach, które wymagały działania, nie teoretycznych dyskusji.

– Kilka ciężarówek – powiedział sierżant. – Kilkudziesięciu ludzi.

– Każ zabrać rannego do wozu…

– Już to zrobiłem.

– Dobrze. – Porucznik odwrócił się w stronę Amerykanki. – Jakieś pomysły?

– Możemy spróbować odjechać.

– Możemy spróbować – przyznał Jamróz. – Tylko jak daleko? Niedługo wóz trzeba będzie pchać.

– Ma pan inne propozycje?

Chwilę później stali u wylotu drogi prowadzącej do wioski. Wiła się ona w dół nieregularną spiralą, która pozwalała ujrzeć potężny tuman kurzu, wznoszony przez samochody. Sądząc po jego wielkości – mogło być ich co najmniej pięć.

Za ich plecami żołnierze pośpiesznie pomagali rannemu wsiąść do Rosomaka. Miejscowi obserwowali w milczeniu gorączkową krzątaninę swych gości, jak gdyby zaklęci w posągi. Dzielili się dotąd wodą i pożywieniem – jak kazał zwyczaj – teraz zaś po prostu patrzyli na przybyszów, nie wykonując najmniejszego ruchu. Nancy z ulgą zaobserwowała, że przynajmniej nie byli agresywni. Prawdopodobnie nadjeżdżających bali się bardziej niż ich.

– Kto zdołałby dokonać ingerencji w system? – spytał Jamróz, ruszając w stronę wozu.

Najwyraźniej uznawał, że rozwikłanie zagadki MDS-a jest równie ważne, jak zbliżający się ludzie. Zresztą tożsamość tych ostatnich miała się

ujawnić lada moment.

– Na tym polega kłopot – odparła Nancy, podążając jego śladem. – Nikt.

– Nikt?

– Holden osobiście usunął moduł odpowiedzialny za podróż w czasie. Tylko on dysponuje wiedzą, która umożliwiłaby przywrócenie tej funkcji.

– Więc są dwie opcje. Albo sprawcą jest Holden, albo nie rozmontowaliście całego spisku.

Nancy pokręciła głową.

Jamróz uchylił właz i aż cofnął się z obrzydzeniem. Wnętrze transportera cuchnęło jak lazaret. Po walce nikt nie zatroszczył się o zmycie krwi, która w upalnej temperaturze spotęgowanej przez ciasnotę wnętrza szybko zaczęła wydzielać wdzierający się do nozdrzy odór. Na podłodze walały się plecaki, zużyte opatrunki, dziesiątki łusek i jakieś bliżej nieokreślone rzeczy osobiste.

Powinienem kazać tu posprzątać, pomyślał Jamróz. Ten bajzel nie wpływa zbyt dobrze na morale.

– Nie ma najmniejszego powodu, żeby wątpić w lojalność Holdena – powiedziała Nancy, gdy zamykali się w środku. Najmniejszym grymasem nie dała po sobie poznać, co sądzi o zapachowych atrakcjach oferowanych przez transporter. – Już raz ją udowodnił. On, obok Grobickiego, pomógł udaremnić zamiary Dreszera. Gdyby chciał zdradzić, miał dziesiątki okazji, żeby zrobić to wcześniej.

Jamróz zdawał się nie słuchać. Z oczami przyklejonymi do peryskopu przepatrywał przedpole. Napięcie w wozie wyczuwalnie wzrosło. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że niebezpieczeństwo – bo tylko tak można było zakwalifikować gości zbliżających się do wioski pięcioma lub sześcioma pojazdami – staje się coraz bardziej realne i bliskie.

Cienie pierwszych sylwetek zaczęły wyłaniać się zza zakrętu drogi.

Nancy drgnęła.

– Boże, jaka ja jestem głupia – wyszeptała.

Jamróz oderwał na chwilę wzrok od przyrządów.

– Pani wybaczy, ale teraz chyba pora zaszczycić uwagą naszych gości.

Amerykanka zdawała się go nie słyszeć.

– Jego brat! Holden zrobi wszystko, żeby go odzyskać.

– Nie rozumiem.

– To musi być klucz – powiedziała Nancy. Poczuła, że po raz pierwszy od dwóch dni jest wreszcie czegoś pewna. – Zabiliśmy Holdenowi brata.

Jamrozowi zabrakło jednak czasu na dopytywanie o szczegóły. Naprawdę miał ważniejsze rzeczy na głowie.

– Panie poruczniku! – zawołał Bońkowski. – Nieprzyjaciel w wiosce.

10

Jedna rutynowa misja w środkowym Afganistanie, jeden źle wycelowany pocisk samonaprowadzający. I jeden zabity amerykański żołnierz w wyniku błędu dowództwa US Army. Tak zwany *friendly fire*. Ostrzał własnych ludzi. Jedna żałoba i pragnienie zemsty, które znalazło ukojenie w pięknych i prostych zasadach Koranu oraz dającym moc radykalizmie tych, którzy interpretowali go na swój sposób.

Tyle dzieliło Safeza od szansy na zrealizowanie marzenia, a Holdena, załamanego po stracie brata, od zmiany lojalności. I wiary.

– Szef laboratorium o mało mnie nie wykończył – powiedział naukowiec. Ostrożnymi, łagodnymi ruchami korygował tor jazdy. Nie wymagało to wielkiej uwagi, droga była prosta, a zawieszenie MDS-a wytrzymałe. – To ścierwo miało się za lepszego od innych. Facet brylował przed generałami, prezentował swoje wielkie pomysły, chociaż to ja pilnowałem, żeby nie rozniosły w drobny mak wszystkiego w promieniu kilkunastu kilometrów. – Samochód podskoczył na wyboju, Holden ugryzł się w język, zaklął, ale kontynuował. – Łaskawie przedstawiał mnie potem jako współtwórcę. – Jego głos niósł ze sobą rozżalenie, obudzone przez wspomnienia. – Z całym swoim paternalizmem, jak małpę, którą wytresował, nie naukowca. No i ciągle gadał, jak ten jego robaczany naród cierpiał, niezasłużenie. Rzygać się chciało… Słuchasz mnie?

Safez ziewnął. Starał się kontrolować małe, ludzkie odruchy, nie pozwalać sobie na rozluźnienie w towarzystwie ludzi, których łudziły podobne pozory. Ale, koniec końców, był tylko człowiekiem.

– Przejdziesz do rzeczy? – spytał znudzony.

– A co to niby jest? – warknął Amerykanin. – Akurat ty powinieneś rozumieć, co mam na myśli.

– Czemu?

– Nienawidzisz ich dłużej i bardziej ode mnie – powiedział z mocą. – A może i masz do tego lepsze prawo.

– Nieprawda – odparł Ahmed powoli.

– Słucham?

– Nienawidzę Żydów nie za to, że są Żydami.

– Oczywiście, że nie. Za cechy, które się wiążą z żydostwem.

Ahmed miał ochotę splunąć. Głupi, głupi człowiek. Ten sam typ kretyna, który podkładając bombę, wierzy w zapewnienia mułły, że jest wtedy niewidzialny. W jakiś sposób fascynowało go, że potężny analityczny umysł szedł w parze z tak wielką życiową naiwnością. Rozumiał, że ból straty łatwo zamienia się w radykalizm, nie pojmował jednak do końca, czemu Amerykanin tak łatwo dał się wtłoczyć akurat w nienawiść do narodu wybranego. Owszem, pracowano nad nim. Bardzo długo. Zaczęto od bezmyślności amerykańskiej armii, tego, jak nie dba o własnych ludzi w imię osiągania celów. Potem rozmawiano o tym, komu właściwie służy? Mówiono o Izraelu i Żydach, którzy rządzą Ameryką i wykorzystują ją do własnych celów, nie dbając o ilość trumien z amerykańskimi chłopcami. Holden sam wpadł im w ręce, ale jego żądzę zemsty i toczącą ducha nienawiść trzeba było zamienić w coś więcej ponad chęć rewanżu za śmierć brata.

Ktoś wykonał z naukowcem kawał dobrej roboty. W normalnych warunkach Safez nie ryzykowałby najmniejszego ruchu mogącego zasiać wątpliwości w głowie Holdena. Byli jednak już za daleko, by się cofnąć, poza tym czuł się zmęczony tą bzdurną gadaniną.

– Taka nienawiść to głupstwo – powiedział.

Holden uśmiechnął się pod nosem. Safeza należało się bać, tak uważał, ale nie miał zbyt wielkiej nadziei na to, że okaże się on godnym dyskutantem. Był tylko brutalnym dzikusem. Mordercą i indywidualistą, przez to ostatnie jeszcze bardziej skutecznym. Miał może własną filozofię, ale na ile sensowna mogła ona być?

– Więc co jest godne twej nienawiści? – spytał naukowiec, starając się ukryć drwinę.

– Ich naród przeżył straszne rzeczy i mało mnie obchodzi, czy stchórzyli, czy okazali się odważni, czy była w tym ich wina, czy nie. Nie zasłużyli na to. – Safez był śmiertelnie poważny. – Nikt nie zasłużył.

– Współczujesz im – powiedział Amerykanin niemal z obrzydzeniem.

– Nienawidzę ich i wszystkiego, co ze sobą niosą – zaprzeczył Safez. – Za to, że krzywda, której doświadczyli, nie otworzyła im oczu, ale je zamknęła. Zamiast rozbudzić wrażliwość, sprawiła, że ich skóra stwardniała. Nienawidzę ich za sposób traktowania historii jako usprawiedliwienia siebie i swoich czynów. Tego, żeby mogli w sposób, którego sami doznali, traktować Palestynę. Mój naród niczemu nie zawinił, ale to nigdy ich nie obchodziło. Stali się katami, jak ci, którzy niegdyś ich prześladowali. Niestety, inteligentniejszymi. I zawsze będą mieli jedno hasło: „Holokaust”, by zakrzykiwać słowa każdego, kto wytknie im zbrodniczość.

Holden wytarł spocone dłonie o spodnie i znów oparł je na kierownicy. Nie odpowiedział. Z argumentów Safeza wybierał te, które trafiały do niego najlepiej, resztę traktował jako niewarte uwagi majaki dziwnego Palestyńczyka. Bał się go jako człowieka, ale znał własną wartość. Ta, wsparta wrodzoną arogancją, sprawiała, że pozwalał sobie na znacznie więcej niż inni. Tym razem nie miał jednak ochoty na kłótnie, musiał przemyśleć dalsze etapy planu.

Jechali więc w ciszy, którą przerwał dopiero Ahmed.

– Ile czasu będziesz potrzebował?

– Niedużo. Dwie, trzy godziny. Kłopot polega na czym innym.

– Słucham.

– MDS to w tej chwili najbardziej poszukiwane urządzenie na świecie. Przynajmniej w naszych czasach. Jest naszpikowane elektroniką i nawet ja nie zdołam go wyciszyć, kiedy wrócimy do dwa tysiące siódmego roku. Na jakiś czas będziemy wabikiem dla każdego amerykańskiego oddziału w promieniu kilkuset kilometrów od Zabulu.

– Jak długo?

– Dopóki nie zabierzemy narzędzi, których potrzebuję do pracy. I dopóki nie pokażę ci, co masz zrobić.

– Mnie?

– To nietrudne, wszystko przygotuję zawczasu. Z tym będzie najwięcej roboty. Gotowy system wykona większość czynności samodzielnie, będziesz go tylko kontrolował. MDS korzysta z uranu wzbogaconego na poziomie pierwszych bomb jądrowych. Jest dlatego mniej stabilny – kolejny pomysł szefa, który musiałem obchodzić dodatkowymi zabezpieczeniami. System tarczy potrzebował gwałtownych, potężnych skoków mocy. Osiągaliśmy to dzięki zbliżaniu do siebie mas uranu… – Odchrząknął i przerwał. Uznał, że nie ma sensu tłumaczyć fizyki atomowej neandertalczykowi z Kałasznikowem. – Dzięki inicjowaniu początkowej fazy rozpadu atomów, jak w bombie. To rodzaj kontrolowanej eksplozji. I tylko dlatego można go w nią przekształcić. Z normalnym reaktorem tego nie zrobisz.

– Będziesz przydatny na miejscu. Dlaczego nie cofasz się z nami?

– Taki był mój warunek. To nie jest proces odwracalny.

– Nagroda nie czeka cię za życia.

– Jeśli wam się uda, nie będę prawdopodobnie nawet o tym wiedział. Jest teoria, która mówi, że przy każdej alteracji przeszłości tworzy się nowy świat, na który mają wpływ jej skutki, zaś ten stary zostaje bez zmian. Ja w nią nie wierzę. Myślę, że moja świadomość przekształci się i dostosuje do nowych warunków. A ja będę szczęśliwy.

– Nie będziesz miał pojęcia, że coś się zmieniło.

– Nie.

– Bez tej wiedzy nie będziesz odczuwał żadnej radości. Może nawet się nie nawrócisz.

Holden wykonał kilka ruchów spiętymi od jazdy barkami.

– Bóg mnie znajdzie – powiedział. – A mój brat nie pojedzie na wojnę.

– Nie na tę – przyznał Safez.

– Nie pojedzie, jeśli nie będzie tych, których interesy miałby na niej reprezentować. A ty?

– *Dulce et decorum est pro patria mori* – stwierdził cicho Safez.

Nie miał po co wracać.

Za wzgórzami czekał Zabul. Drzewa migdałowców jeszcze nie wyrosły. Był tylko szary kurz, który wiele lat później miał zamienić się w czekającą w gotowości bazę wypadową bojowników Al-Kaidy. Tak się przynajmniej zdawało.

Horyzont zaczęła przesłaniać nadchodząca burza piaskowa. ■

V

MDS

1

Mi-24, przechylone do przodu, z nosami skierowanymi w dół niczym atakujące byki, osiągały maksimum prędkości przelotowej. Ziemia była daleko. Drogi, uprawy i wsie nie zlewały się ze sobą, a prędkość, mimo ponad stu pięćdziesięciu węzłów, nie była odczuwalna. Góry i doliny przesuwały się powoli, doskonale widoczne w promieniu wielu kilometrów.

– Ghazni sztab, Ghazni sztab. Klucz kapitana Wieteski, odezwijcie się. Tutaj Ghazni sztab, Wieteska, nawiążcie łączność.

Koller spojrzał na pieklące się radio i po raz kolejny poczuł niepokój. Ryzykowali wszystko: karierę, wolność, może nawet życie. Plan został zaakceptowany, ale Koller wiedział, że wyłącznie z braku lepszego. Żaden z nich jednak nie należał do ludzi lubiących biernie czekać, co przyniesie im los. Dlatego bez słowa protestu zdecydowali się na tę straceńczą wyprawę.

Wrócił do podziwiania krajobrazu. Po raz pierwszy widział, żeby kapitan latał tak wysoko. Osiemset metrów nie stanowiło wprawdzie żadnego przerażającego pułapu – Mi-24 bez problemu mógł wznieść się na tysiąc trzysta metrów siłą samego wirnika, a wykorzystując prędkość lotu poziomego, nawet i cztery tysiące. Z takiej wysokości nic by jednak nie zobaczyli.

Ludzie z afgańskiej wioski wskazali im bardzo ogólnie miejsce, w którym ich zdaniem „kwitły migdałowce”. Reszta należała do Polaków.

Lecieli więc. I szukali. Na oślep.

– Ghazni sztab, Ghazni sztab. Wieteska. Przekazuję bezpośrednie polecenie pułkownika Karskiego. Polecenie brzmi: wracać do bazy. Powtarzam,

dowództwo domaga się, by wasz klucz natychmiast wrócił do bazy.

Wieteska był skoncentrowany na pilotowaniu. Promienie zachodzącego słońca oślepiały go, utrudniając orientację, a on doskonale wiedział, że znajduje się na pułapie idealnym dla tak zwanych *heat-seeking missiles* czy Stingerów. Jego nerwów nie koił nawet fakt, że maszyny klucza dysponowały stworzonymi na podobne sytuacje narzędziami obrony. Śmigłowiec był obładowany systemami ostrzegawczymi i urządzeniami tworzącymi fałszywe ślady termiczne, a także miał stare, ale skuteczne flary, niewielkie magnezowe ładunki pirotechniczne o temperaturze spalania wyższej od pracującego silnika. Wyrzucone w trakcie lotu miały zmylić ustawione na poszukiwanie ciepła pociski.

Oczywiście absolutnego bezpieczeństwa nie mogło im zapewnić nic.

– Ghazni sztab, Ghazni sztab…

Kapitan nie spojrzał na konsolę, warknął tylko coś, co brzmiało jak przekleństwo. Dotknął palcem jednego z przycisków i radio wreszcie umilkło.

Ghazni nadawało na ogólnej częstotliwości, co oznaczało, że rozumiały ich wszystkie polskie jednostki, a słyszał każdy oddział NATO w prowincji. Nie pasowało to do dotychczasowej techniki ostrożnego wyciszania, którą stosował Karski, ale Wieteska doskonale zdawał sobie sprawę, że wobec półgodzinnego braku odzewu pułkownik raczej nie miał innego wyjścia. Z pewnością spłynął już do niego stos raportów, a udające heban tandetne biurko uginało się pod ich ciężarem.

Uszkodzony Rosomak, nieautoryzowane patrole. Wreszcie – zniknięcie trzech helikopterów, a razem z nimi lotników z nakazami aresztowania i siedmiu operatorów GROM-u. Suma wydarzeń mogąca przyprawić o ból głowy kogoś znacznie bardziej odpornego niż Karski.

Z pewnością klucz Wieteski przechwytywały radary Sojuszu. Gdyby dowództwo z Ghazni się postarało, znalazłoby na nich maszyny, choć pewnie musiałoby skorzystać z pomocy Amerykanów. Sami z siebie jankesi nie interesowali się nimi, nie w chaosie talibskiej ofensywy. Wroga wypatrywano na ziemi.

Koller siedział z tyłu, razem z gromowcami. Obserwował ich twarze, podobne do nieruchomych masek – twarze ludzi, którzy wbrew wszelkim regułom zostali poddani jego rozkazom.

Kolejny oddział. Kolejne wyzwanie.

2

Jeszcze nim wylecieli z gniazda, odbył rozmowę z Wojtyńskim. Stanęli na krańcu północnego urwiska Raji, gdzie dął wiatr, widać było przepastną pustkę, wypełnioną szarością nicość natury, którą był Afganistan, i gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać. To Drab chciał rozmawiać. Był doskonałym oficerem o trzeźwym osądzie; jeśli ktoś miał szansę odnaleźć się w chaosie prowizorki, to z pewnością on.

– Wieteska musi lecieć, bez dyskusji – powiedział. – Zresztą piloci nigdzie nie ruszą się bez niego.

Koller dostrzegł pewne uznanie w słowach oficera GROM-u. „Nie zostawiamy swoich” – ludzie Johny’ego, świadomie czy nie, postępowali wedle honorowych reguł sił specjalnych. Prawie wszyscy. Kuligowski nie poleciał – nie z własnej woli, ale przez wyciek paliwa ze zbiorników. Wieteska wynegocjował, by umowa dotyczyła i jego.

– Ale? – spytał porucznik.

– Ale któryś z nas musi zostać – dokończył Wojtyński. Nie przyszło mu to lekko. – Zacznie się burdel na kółkach. Nie możemy pozwolić, żeby odbył się bez naszego udziału. Wchodzimy na głęboką wodę. Nie mamy pewności, czy nawet w przypadku sukcesu będziemy mogli spełnić obietnicę daną Johny’emu. ISAF nie zapomni nam porzucenia posterunku w czasie największej ofensywy ostatnich kilkunastu miesięcy. Ktoś musi zwalczać ten handel pod waszą nieobecność, nawet jeśli jego najważniejsi gracze uciekli w przeszłość.

– I ktoś musi zwalczać Karskiego.

– To też – przyznał Wojtyński. – Może nawet bardziej niż cokolwiek innego. Musimy zaprezentować swoją wersję wydarzeń i mieć argumenty, żeby ją poprzeć. Twój pomysł jest raczej absurdalny, wiesz o tym.

– Nie mamy innego.

– Dlatego go poparłem. Tylko że sam z siebie się nie utrzyma, nawet jeśli przyniesiecie dowództwu głowę Safeza na talerzu.

Koller mruknął coś niezrozumiale. W zamyśleniu trącił czubkiem buta niewielki kamień, a potem obserwował, jak leci w dół urwiska.

– On musi gdzieś wrócić – powiedział. – Miał niewielu ludzi. Nawet jeśli zdołał znaleźć jakiś sposób, żeby odebrać Jamrozowi MDS, nie mógł nie ponieść przy tym strat. A i w takim przypadku nie ma żadnego zaplecza logistycznego. Skomplikowane, pogmatwane schematy działania, precyzyjne odmierzanie czasu i miejsca kolejnych działań to jego konik. Jest specjalistą od planowania, dlatego Al-Kaida postawiła na niego. Nie odebrałby sobie szans, licząc, że ocaleje dość jego ludzi, żeby wykonać zadanie.

– Może wcale ich nie odbiera? Może tych kilku ludzi wystarczy.

– Nie. Nie ze sprzętem, który mógł zdobyć na plutonie piechoty, i to po ciężkiej walce. Jeśli chce zrobić cokolwiek w przeszłości, zamieszać w niej, musi wzmocnić siły. Jeśli z kolei jest tylko pionkiem i ma przekazać maszynę swoim zwierzchnikom w naszych czasach, to też potrzebuje bezpiecznego miejsca. W obu wypadkach te sady są najbardziej prawdopodobnym miejscem, gdzie go znajdziemy.

– Ale nie pewnym.

– Nic nie jest pewne. A to jedyne, co mamy.

– I tu właśnie – Drab uśmiechnął się – nasza rozmowa zatacza pętlę. Coś jeszcze?

– Wiem, że mam trzy helikoptery bojowe, i nie chcę wyjść na lalusia – powiedział Koller, siląc się na uśmiech. – Ale nie dam sobie rady bez twoich ludzi. Może ja powinienem zostać.

Wojtyński zaśmiał się serdecznie, a wiatr poniósł dźwięk tego śmiechu, nie dając szansy echu. Tak długo nie spali. Ani Drab, ani Koller nie mieli pojęcia, ile ta przymusowa bezsenność trwała naprawdę, a jedynym horyzontem, który każdy z nich dostrzegał, była przyszłość kolejnych planów, zadań, może walk. Ciężkiej wojskowej harówki, która w nowoczesnych armiach XXI wieku kończyła się zwykle na czterech literkach: PTSD. Post-Traumatic Stress Disorder. Szok pourazowy.

Należało jednak wykonać pracę. Zagryźć zęby, nie pieścić się i robić swoje, choćby przyklejając taśmą opadające powieki.

– Nie i nie bawmy się dłużej w komedię – powiedział Wojtyński. – Kończy nam się czas. Obaj wiemy, jaka jest hierarchia zadań i gdzie który z nas się znajduje. Uprzejmość jest cenna, ale w innych warunkach. Nie będziemy się bić o medale. Skłaniam nisko głowę i grzecznie ustępuję w cień, tam moje miejsce. Dam ci ludzi. Wystarczą mi zasoby, które mam tutaj. Zresztą wszystko wskazuje na to, że siatkę rozbił za nas Safez.

– Byłem dowódcą piechoty, nie oddziałów specjalnych. Moje pojęcie o tym, jak dowodzi się ludźmi, których szkolenie kosztuje miliony złotych od głowy, nie wykracza ponad to, co wie przeciętny fan powieści sensacyjnych. Nawet jeśli zdołam ich poprowadzić, nie zaufają mi i nawet nie będę ich za to winił.

– Bez obaw. – Głos Draba był zupełnie spokojny. – Operatorów GROM-u uczy się przede wszystkim myśleć i reagować. Oraz współpracować, także z jednostkami z całego świata. Na to w większości idą pieniądze. Muskulatura i drogi sprzęt to rzeczy drugorzędne. Proszę być otwartym na rady podoficerów, mówić im, co zrobić, nie jak, i pamiętać, że to dla nich chleb powszedni. To powinno wystarczyć.

Uścisnęli sobie dłonie.

Wojtyński był zwolennikiem otwartości w kontaktach z podkomendnymi. Nie chciał ich do niczego zmuszać. Wyjaśnił im cel misji i ryzyko. Siedmiu z jedenastu zdecydowało się wziąć udział w operacji. Pozostali postanowili zostać z dowódcą. Nie bali się ryzyka, na które ważyła się reszta, po prostu rozkaz – nawet głupca, jak Karski – był dla nich najważniejszy.

Koller odchodził na lądowisko, gdy usłyszał głos Wojtyńskiego:

– Poruczniku. Niech pan nie da zabić moich ludzi.

Nie odpowiedział. Nawet się nie odwrócił.

Tego jednego nie mógł obiecać.

3

Śmigłowiec Wieteski prowadził, pozostałe dwa sunęły wachlarzem z tyłu. Była w nich powaga i moc, która kazała wierzyć w nieśmiertelność

znajdujących się na pokładach ludzi.

Trzy smoki, polujące nad górską pustynią.

Dźwięk wirujących śmigieł rezonował pod czaszką Kollera, a on cieszył się ogniem w żyłach i energią w umyśle, którymi napełniła go prosta świadomość nieodwracalnych, podjętych już decyzji. Nie ma odwrotu, pomyślał i poczuł ulgę. Koniec dylematów. Przeciwnik na wprost, karabin w dłoni i bezpośrednia konfrontacja.

Koniec gierek.

Koniec oglądania się na Karskiego.

Jakkolwiek zmienił się od czasów studiów, porucznik Jan Koller nadal w głębi duszy wierzył, że jego naturalnym środowiskiem nie jest plan, a improwizacja. Odkrywanie własnych zdolności przetrwania po rzuceniu się w zupełnie niesprzyjające warunki.

Zabulu nie dało się nazwać inaczej.

Lecieli i szukali. Na oślep, kierowani odciskiem tubylczego, brudnego palca na mapie. Wskazówkami mężczyzny, któremu bojownicy Safeza wymordowali bliskich, przyjaciół i sąsiadów z całej wsi, a który ostatni raz widział porządnie narysowany plan terenu pewnie trzydzieści lat temu, w szkole. A może nie widział nigdy.

To właśnie był styl Kollera. Najbardziej szokowało go, że Wojtyński, Wieteska i reszta tak łatwo dali się namówić na realizację planu będącego kwintesencją owego stylu.

W każdym z Mi-24 siedziało – oprócz pilotów, operatorów uzbrojenia i techników pokładowych – dwóch komandosów GROM-u. Dzięki temu każda maszyna była w pewnym sensie samowystarczalna i mogła zagrozić wrogowi, zostawiając na jego tyłach niewielką, ale śmiercionośną grupę desantową.

Wyjątek stanowił śmigłowiec Kollera i Wieteski. Brakowało technika pokładowego – takie rzeczy zdarzały się, choć nigdy oficjalnie. W zamian było trzech gromowców. Wszyscy o chłodnych, niemal znudzonych twarzach, jak gdyby wybierali się z dziewczyną na komedię romantyczną, nie do walki.

Powierzając mu swoich żołnierzy, Drab opowiedział Kollerowi kilka zdań o każdym z nich.

Ludzie „z Firmy”, jak mówili o sobie operatorzy GROM-u, nie używali prawdziwych imion ani nazwisk. Podczas służby w jednostce przybierali fikcyjne, najczęściej zaś posługiwali się pseudonimami. Niekiedy nawet żołnierze służący ze sobą wiele lat nie znali prawdziwych danych kolegów. Powodem było przede wszystkim bezpieczeństwo. Dochodził także etos cichociemnych – tradycja, którą starano się w jednostce podtrzymać.

Naprzeciwko Kollera siedział dowódca. Pseudonim „Jaszczur”. Sierżant. Człowiek o, jak powiedział Wojtyński, cierpliwości anioła. Zdaniem Draba nie dało się go zdenerwować. Rodzice Jaszczura nie żyli, rodzeństwa nie miał, i gdy dziadek zachorował na alzheimera, był jedyną osobą, która mogła się nim opiekować. Ponoć czasem po piwie opowiadał, że po trzech latach codziennego szczegółowego przedstawiania się tej samej, nieufnej osobie człowiek zmienia podejście, czym warto się wkurzać, a czym nie. Sierżant miał pełnić funkcję zastępcy Kollera, a zatem dowódcy żołnierzy GROM-u. Wszystko jednak w tych mknących nad wzniesieniami śmigłowcach było bardzo umowne, na czele z kolejnością w łańcuchu dowodzenia.

Drugi był „Kres”, czasem zwany „Ryśkiem”. Rysiek jak nikt znał się na broni. Brał udział w ruchu rekonstrukcyjnym z okresu drugiej wojny; koledzy uważali hobby za niepoważne. Kollerowi spodobała się ta cecha, zupełnie ludzka i przyziemna. Coś innego niż skoki ze spadochronem, nurkowanie z rekinami czy zapasy w stylu klasycznym z niedźwiedziami polarnymi. Zwyczajne, odrobinę szalone, a przy tym zupełnie niegroźne maniactwo, które wyróżniało Kresa z morza morderczych profesjonalistów, na pierwszy rzut oka bez osobowości.

Ostatni był „Krzyś” albo „Ogień”. Miał w domu stos medali z amatorskich zawodów brazylijskiego jujitsu i poza szczerym uśmiechem na szerokiej, ciemnej twarzy charakteryzował się typową dla zawodników sportów walki lekkością ruchów. Widoczną nawet mimo wiszącego na nim sprzętu.

Lecieli.

Nie ograniczała ich prędkość jednostek lądowych. Wyrabiali przelotowe dwieście siedemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Choć poruszali się zygzakiem, by pokryć jak największą przestrzeń, dawno już opuścili Ghazni. Od ponad pół godziny nie zobaczyli niczego poza paroma stadami zwierząt pędzonych nie wiadomo skąd i nie wiadomo gdzie. Dostrzegli też amerykański konwój, który, mimo obaw, nie wywołał ich przez radio. Amerykanie mieli swoje kłopoty, o czym świadczyły dwa wleczone na holu pokiereszowane Humvee.

Po kolejnych kwadransach nudy, pustki i milczącego radia, kiedy ogień w żyłach Kollera powoli gasł, a porucznik zaczynał już rozważać, czy nie pora przemyśleć tę akcję ponownie, coś zamajaczyło tuż pod linią horyzontu.

– Obóz przed nami – powiedział Wieteska. – Nieufortyfikowany. To żaden z naszych.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Koller, zbliżając twarz do szyby.

– Zaraz wlecimy nad sady migdałowców.

Kapitan skierował nos śmigłowca w dół.

4

Safez patrzył na trzy cienie w oddali, które zaczęły gwałtownie opadać.

Nie spodziewał się ich tak szybko. Wiedział, że nie są żadnym zagubionym patrolem.

Obóz, rozbity pośród suchych o tej porze roku drzew, ożył nagle jak wielkie, polane wrzątkiem mrowisko. Siedziba Safeza znajdowała się niemal dokładnie na środku wyżyny, otoczonej od północy i zachodu górskimi masywami o wąskich przełęczach, od wschodu pustką, a od południa korytem wyschniętej rzeki. Sady były w tym miejscu bardzo gęste, zaś namioty oddziału Ahmeda ucharakteryzowano na płaskie, pokryte ciemnymi płachtami szałasy wędrownego ludu Kuchi. Safez dopiero zaczął zbierać sprzęt, dotąd więc udało się uniknąć czujnych oczu satelitów.

Palestyńczyk spojrzał jeszcze raz na swoich ludzi. Byli szybcy i sprawni. Sięgali po broń i ukrywali bądź maskowali wszystko, czego uszkodzenie utrudniałoby wykonanie zadania. Gdzieś pojawił się pierwszy człowiek z RPG, rozstawiano karabiny maszynowe, ktoś inny biegł ostrzec ludzi przy samochodach.

Safez nie miał jednak złudzeń. Szybkość i sprawność nie zdadzą się na nic. Jego ludzie nie mieli broni zdolnej zestrzelić klucz śmigłowców bojowych. Równie dobrze mogliby zacząć kopać groby.

Odwrócił się i ruszył w stronę MDS-a.

5

Śmigłowce mknęły tuż przy ziemi.

Wieteska wiedział, że, paradoksalnie, talibowie nie mieli dostępu do sprzętu, którym w Afganistanie walczono z Armią Czerwoną dwadzieścia lat wcześniej: rakiet Strieła-2, brytyjskich Blowpipe'ów czy osławionych Stingerów. Znał jednak profil Safeza, Koller zdążył go przedstawić ze szczegółami. Kapitan wolał spodziewać się najgorszego, postępował więc tak, jakby atakował Pentagon, nie szereg porozstawianych w sadzie szałasów.

Leciał nisko i szybko.

Błąd popełniali zachodni eksperci, przypisując jedynie skuteczności Stingerów zwycięstwo mudżahedinów nad sowieckimi wojskami. Przynajmniej błąd częściowy. Skuteczność amerykańskich przenośnych wyrzutni rakietowych, zwłaszcza na początku, nie odbiegała zbytnio od używanych wcześniej zestawów Strieła-2 czy Blowpipe. W 1986 roku różnica zamykała się w zaledwie kilku procentach i na pięć wystrzelonych rakiet wciąż co najmniej cztery chybiały celu. Dopiero potem się to zmieniło. Co ważniejsze, Stinger zalazł Sowietom za skórę ilością – rakiet dostarczono tak wiele, że w przeciągu roku liczba ataków wzrosła czterokrotnie, a wraz z nią straty ZSRR.

Stinger miał jednak podstawową ułomność, wcale zresztą nieodbiegającą od wad innych broni tego typu. Był najbardziej skuteczny przeciwko celom poruszającym się na wysokości pomiędzy sto osiemdziesiąt a cztery tysiące metrów. Wszystko, co leciało niżej, sprawiało systemom naprowadzania wiele problemów.

Wieteska prowadził maszynę nie wyżej niż trzydzieści metrów nad ziemią, czym zresztą przyprawiał spoglądającego mu przez ramię Kollera o mdłości.

– Możesz się schować i zamknąć oczy – powiedział kapitan, odwracając się do rozmówcy. – Nie jesteś, zdaje się, specem od taktyki walki powietrznej, co? Czy może chcesz wydać jakiś rozkaz?

– Jestem otwarty na propozycje – odparł Koller.

Oparł się mocniej o ścianę w obawie, że pilot wykona gwałtowny manewr, po którym porucznikiem będzie rzucać po kabinie desantu jak piłeczką w maszynie lotto. Nie ufał Johny'emu ani trochę.

– Skuteczny zasięg mojego kochania – zaczął kapitan tonem barowej pogawędki o ulubionych samochodach – to siedem, osiem kilometrów. W troszeczkę bliższym dystansie zamierzam latać dookoła i kopać ich jak małego bezbronnego kotka, dopóki nie zostanie tam kupa popiołów. Potem ewentualnie wymasuję ich z bliska za pomocą działek. Tak kiedyś kowboje z Murmańska eksportowali rewolucję i uwalniali narody od jarzma imperializmu i kapitalizmu i tak zamierzam zrobić to dziś. Nie podoba się?

– Niezbyt.

– Co „niezbyt"?

– Musimy odzyskać MDS, rozumiesz? Bez MDS-a możemy nie wracać. Nie wspominając, że to jedyna szansa poznania losów Jamroza i ukochanej twojego kumpla.

Wieteska wydał z siebie warknięcie. Mogło oznaczać wszystko.

– Dobra, wtrącaj się. Byle szybko – powiedział w końcu.

– Jak szybko jesteśmy w stanie pokonać te siedem kilometrów?

– Na pełnej prędkości, w półtorej minuty.

– Zacznijcie strzelać po obrzeżach. Z dala od MDS-a. W tym czasie niech jeden z twoich pilotów obleci obóz dookoła i zrzuci chłopaków z GROM-u. Specjalsi zabezpieczą maszynę, a twój człowiek pomoże kierować ogniem, żebyśmy nie zepsuli tego, po co tu przylecieliśmy.

– Nie lubię, gdy mi rozkazują niżsi stopniem.

– Potraktuj to jako prośbę. Albo głos rozsądku, jak wolisz.

– Niech będzie prośba. – Johny włączył komunikator. – Halny, zawiej od północy, tak ze dwieście metrów od obozu.

– Po co? – odezwał się niewyraźny głos Wańkowskiego. – Tu mi bardzo dobrze.

Koller przysłuchiwał się tej wymianie zdań z rosnącym niepokojem. Zaraz mieli wejść w zasięg skutecznego ognia, a to oznaczało, że nie mają czasu do stracenia. Safez na pewno już o nich wiedział. A ci idioci urządzają sobie pogaduszki.

– Robisz za taksówkę. Chłopcy z GROM-u umówili się w obozie na herbatkę i ciasteczka.

– Przyjąłem. Patrz, gdzie strzelasz, Johny.

Prawy skrajny śmigłowiec wyrwał się z szyku i zwiększając ciąg, ruszył lekko na północ.

Chwilę później spod skrzydeł pozostałych Mi-24 oderwały się pierwsze niekierowane pociski rakietowe. Szare smugi pomknęły w stronę obozu.

6

Safez zachował zimną krew. Większość jego ludzi – choć byli doświadczeni w wielu walkach – nie. Nie miał im tego za złe. Widok nadlatujących śmigłowców bojowych mieli obowiązek wytrzymać, nie mógł jednak wymagać od nich, by znieśli wybuchy rakiet w samym środku obozu.

Ogień rozbłysnął nad namiotami i skrzyniami z amunicją jak ogromny fajerwerk. Opadł śliskimi, oleistymi płatkami niczym napalm na resztę obozowiska. Namioty zaczęły płonąć. W ogniu stanęły też beczki z częścią zmagazynowanego paliwa. Stal rozgrzała się momentalnie, pokrywająca je farba napęczniała, niczym owad wlatujący w płomień, a potem pojemniki jeden po drugim pękły z głośnym hukiem, rozlewając pożogę na większą część obozu.

Ludzie krzyczeli.

Niektórzy tarzali się w piachu, próbowali ugasić płomienie, a gdy to wreszcie się udawało, dostrzegali, że zniknęły także całe płaty skóry. Inni uciekali, chowali się za samochodami czy zakopywali w piasku.

I umierali.

Bezradni jak małe dzieci, wobec wroga, z którym nie zdążyli podjąć walki.

Bojownicy nie pytali o rozkazy; czekali na nadchodzącą śmierć z płonącymi nienawiścią oczami i wykrzywiającą usta wściekłością.

Ahmed nie patrzył na to; pobiegł w stronę MDS-a. W środku pochylony nad komputerem Holden zdawał się nie słyszeć szalejących na zewnątrz burzy i walki. Na ekranie przeskakiwały kolejne zakładki, linijki kodu znikały jedna za drugą.

Safez podbiegł do Amerykanina i szarpnięciem obrócił go do siebie.

– Zabierz nas stąd! – wrzasnął.

Holden podniósł wzrok i zamarł z otwartymi ustami. Palestyńczyk pomyślał, że to przez krzyk. Niemal nigdy nie podnosił głosu, a już zwłaszcza nie wrzeszczał. Opanowanie tylko ugruntowywało jego tajemniczą aurę wyzutego z uczuć przywódcy-potwora. Nie miał jednak racji.

Holdena przeraził widok.

Ahmed stał przed nim w podniszczonym mundurze z nadpalonymi włosami i efektownymi, choć niezbyt groźnymi, poparzeniami na twarzy. Wyglądał jak uosobienie anioła śmierci. Tym straszniejszy, że pozbawiony patosu.

– Obudź się! – krzyknął znowu Safez. – Zabierz nas stąd! Natychmiast. Słyszysz?

Holden zamrugał. Przez chwilę zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale zrezygnował. Być może dopiero teraz usłyszał szalejącą wokół strzelaninę. Odwrócił się w stronę klawiatury i zaczął uderzać w nią z mocą.

– Nic nie jest przygotowane – powiedział nerwowo. Wydarzenia ostatnich trzydziestu sekund odebrały mu większość arogancji i pewności siebie. – Nie miałem przenosić się z wami. Możemy tylko rozwinąć kopułę, nie przenosić się…

– Śmigłowce są tylko forpocztą – stwierdził Safez zimno. Odzyskał już panowanie nad sobą. – Wkrótce będzie ich więcej. Plan się zmienił.

Od początku starcia zastanawiał się, jak to możliwe, że NATO pojawiło się tak szybko. Wedle wszelkich wyliczeń wykrycie obozu i dotarcie do niego powinno zabrać sprzymierzonym więcej czasu. Spojrzał na Amerykanina. Ten człowiek nie mógł go teraz zawieść.

– Hashim, jeśli nie przeniesiesz się z nami, nikt nie wyjdzie stąd żywy – powiedział. Starał się mówić spokojniej. – Myśl o swoim bracie. Twoja matka może dostać drugi list o śmierci syna. Albo żadnego.

Holden spojrzał na niego uważnie, a potem wcisnął jeszcze jeden klawisz.

Rozległ się bzyczący dźwięk, powietrze zaczęło drżeć.

– Kopuła się rozwija – powiedział Holden. Zdjął palce z klawiatury. Miał zrezygnowany głos. – Miejmy nadzieję, że zdążymy.

7

Dwie pierwsze z kolejnej serii wystrzelonych rakiet dołączyły do szeregu eksplozji, które wyrastały na obrzeżach obozu Safeza. Ostatnia, lecąca nieco wyżej, eksplodowała wcześniej. Rozbłysła nad obozem w zupełnie nietypowy sposób.

Wybuchła półsferą, tylko w górę. Jak gdyby od dołu coś ją powstrzymało.

– Co to jest? – spytał Koller. – Wada fabryczna?

– Nie mam pojęcia. – Wieteska był skupiony i daleki od żartów. Porucznik wyczuł w jego głosie niepewność. – Raczej nie.

Wtedy je dostrzegli.

Pole siłowe MDS-a.

Zaczęło opadać mleczną poświatą na skąpany w ogniu obóz Safeza, powoli, nierównomiernie, niczym gęsty płyn ściekający po odwróconej do góry dnem misce. To w tę poświatę uderzyła ostatnia rakieta. Wieteska wystrzelił kolejną i tę także pochłonęła kopuła. Wybuchła na zewnątrz niej, nie czyniąc krzywdy niczemu, co znalazło się pod spodem.

– To jakieś gwiezdne wojny – szepnął Koller przez zaschnięte gardło.

Był przerażony.

Myśli galopowały. Wieteska, jego żona, Grobicki, czy ktokolwiek był autorem tej historii, nie kłamał. A jeśli prawdą była ta część, cała reszta, którą dotąd traktował jako jedną z wielu możliwości, mogła być faktem.

Safez zamierzał cofnąć się w czasie.

Miał pole siłowe, które za chwilę sprawi, że będzie nietykalny. A potem dokona skoku.

– Johny – powiedział Koller głucho. – Wiesz, co się dzieje, tak?

– Domyślam się – potwierdził Wieteska.

– Wiesz, co się zaraz stanie.

– Konkretnie, konkretnie, Koller! Jestem odrobinę zajęty.

– Nie mam prawa cię o to prosić – zaczął porucznik. – Ale jeśli oni uciekną, nasza umowa będzie gówno warta. Podobnie jak los Jamroza i każdego, kto był z nim. A może i w ogóle wszystkich, bo ten skurwiel na pewno narobi grubego syfu w przeszłości.

– Kurwa, do rzeczy!

No to jedziemy, pomyślał Koller.

– Jeśli nie możemy ich rozpirzyć…

Wiedział, że nie mogą. Byli bardzo blisko, znacznie bliżej niż początkowe siedem kilometrów, które wyznaczył Wieteska. Kapitan podleciał bliżej, skuszony brakiem oporu przeciwnika i chęcią użycia działek. Mimo to pułap, rzeźba terenu i związany z nimi kąt natarcia nie pozwalały efektywnie strzelać pod rozwijającą się kopułą.

– Jeśli nie możemy ich rozpirzyć… – dokończył Koller – musimy przenieść się z nimi.

Namysł zajął Johny’emu niespełna sekundę.

– Orły! – powiedział Wieteska do mikrofonu. – Lądujemy. Traktujcie środek obozu przeciwnika jak lotnisko. Uważać na kopułę, Bóg z wami i pełna moc.

Koller wstrzymał oddech. Spodziewał się sprzeciwu pilotów. Nawet tacy szaleńcy jak Halny i Polonus musieli zdawać sobie sprawę, że dowódca namawia ich do wyrafinowanej formy samobójstwa, nie podając nawet powodu.

Radio zatrzeszczało w dwóch krótkich komunikatach:

– Zero sześć, przyjąłem.

– Zero dwa, przyjąłem.

8

Rakiety przestały wybuchać. Dźwięk eksplozji w obozie zastąpił szum porywającego płomienie wiatru.

Safez z dostojeństwem zrzuconego z niebios demona wyszedł na zewnątrz MDS-a. Chciał obejrzeć straty, policzyć ludzi i sprzęt, na nowo

przekalkulować szanse oraz dostosować plan do nowej sytuacji.

Ahmed wiedział, że kopuła jest zbyt nisko, kolejne pociski do nich nie dolecą i są już bezpieczni.

Zszedł ze schodków, rozglądając się wokół.

Było źle.

Atak pozbawił go co najmniej połowy ludzi. W poczet strat wliczał też rannych, wiedział bowiem, że nie zniosą wielodniowej podróży przez pustynię i będą tylko ciężarem. Rozumiał przy tym, że pozostawienie tak wielu ludzi będzie potężnym ciosem dla morale pozostałych. Nawet strach przed gniewem dowódcy mógł nie wystarczyć, by zapewnić ich posłuszeństwo. Potrzebował absolutnej lojalności.

Zaczął analizować możliwości, kalkulować, ograniczać ryzyko. Będą musieli obrać inną drogę, spokojniejszą. Nie mogli ryzykować zbędnych potyczek w przeszłości. Przejrzał w głowie stare mapy. Mniejszy oddział miał szansę przecisnąć się którąś z górskich ścieżek. Ciężarówki powinny się zmieścić. Stały osłonięte zachodnią częścią zbocza i nie ucierpiały za bardzo. Będą musieli jechać ostrożnie. Z zadowoleniem stwierdził, że reszta planu nie ucierpiała. Oparł ją bardziej na zaskoczeniu i taktyce niż sile i zasobach. Wciąż mieli szansę.

Obrócił głowę na wschód.

Tam dostrzegł coś, co z początku zdało się majakiem.

Trzy sylwetki śmigłowców, mknące tuż nad ziemią, tuż ponad gałęziami drzew.

Były bardzo blisko.

Ocenił ich szybkość, a potem spojrzał na opadające pole siłowe.

– Rashid! – krzyknął, widząc najbardziej zaufanego ze swoich ludzi. – Rashid! Biegnij po RPG!

Sam cofnął się i wskoczył z powrotem po schodkach do MDS-a. Teraz naprawdę liczyły się sekundy.

– To musi być dokładnie moment, w którym wyruszyliśmy – powiedział.

– Nie ma szans na inny – odparł Holden. Siedział przed klawiaturą niczym pianista podczas koncertu, a pot ściekał mu z twarzy. – Zabrakło cza-

su na szczegółowe konfiguracje.

Safez kiwnął głową i wyszedł z powrotem na zewnątrz. Kopuła opadała i zdawało się, że lecące helikoptery nie mają szans przekraść się pod nią. Pędziły jednak z ogromną prędkością, blisko ziemi; wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu należało przyjąć, że dla lecących nimi pilotów nie ma rzeczy niemożliwych.

Rashid biegł już, ciężko, z dwoma granatnikami w rękach. Żołnierze Ahmeda doszli do siebie i wszyscy bez wyjątku stali, z otwartymi ustami przypatrując się pędzącym w ich stronę bestiom.

On sam czuł w żyłach lód, orzeźwiające, przyjemne zimno nadchodzącej walki, której uczył się całe życie.

Wróg był coraz bliżej. Tak blisko, że Safez z łatwością dostrzegł biało-czerwone szachownice na korpusach maszyn.

Nadlatywały diabelskie rydwany.

9

Koller czuł wypełniający go ogień. Adrenalina niemal tryskała mu uszami. Ręce drżały. Nienawidził bezczynności, chciał krzyczeć, skakać, walczyć. Nie mógł znieść myśli, że stery i życie ich wszystkich znajdowały się w cudzych rękach.

Kopuła opadła już niemal zupełnie. Między linią okalających obóz drzew a jej górną krawędzią zostało może dwanaście metrów.

Wiedział, że jeśli zaraz nie wlecą pod kopułę, rozsmarują się na niej jak muchy na szybie samochodu.

Tak nisko.

Nie mieli szans. Przegrali.

Choć zdawało się to szaleństwem, Wieteska obniżył lot. Koller dostrzegł, że pozostali piloci klucza uczynili to samo. Widział, jak helikoptery Halnego i Polonusa łamią podmuchem swojego impetu najwyższe gałęzie migdałowców. Jak ich kadłuby koszą niczym łany zboża najwyższe, cieniutkie pędy, które wystrzeliły zeszłej wiosny, by szukać słońca.

Kopuła niemal się zamknęła.

Johny spojrzał przed siebie. Nie miał pojęcia, czy zdołają się pod nią przecisnąć. Nikt nie mógł tego wiedzieć.

Została im sekunda, może dwie.

Wieteska pomyślał o Rozalce.

Zamknął oczy.

10

Rashid poczuł rosnący strach. Latające bestie niewiernych musiały rozbić się o tę wyrastającą nad nimi poświatę. A wraz z ich katastrofą spłoną wszystkie nadzieje.

Był tchórzem. Jeśli przeżyje, będzie opowiadał rodzinie i dzieciom o swej odwadze, najpierw musiał jednak ocaleć. To najważniejsze. Wersję wydarzeń ustali później.

Praca dla obcego wywiadu wymagała od Afgańczyka, a już zwłaszcza walczącego dla talibów, niemałej odwagi. Praca dla CIA oznaczała odwagę straceńczą. W tym sensie Rashid był odważny. Była to jednak decyzja wymuszona, decyzja tchórza, który na śmiałe czyny waży się jedynie w obawie przed kulą w plecy. Co gorsza, im dalej pędził przed siebie, im więcej rozpędu nabierał, tym mniej możliwa stawała się droga powrotna.

Kiedy ruszył do Czeczenii w dziewięćdziesiątym ósmym roku, był już dojrzałym mężczyzną. Miał żonę, która spodziewała się drugiego dziecka. Choć był biedny, nie żyło mu się źle i nie żałował, że od samego początku popierał talibów, wbrew woli ojca. Wojnę na Kaukazie traktował jako przygodę i szansę zarobienia dobrych pieniędzy. Czuł się znudzony zwykłym, ubogim życiem, nawet jeśli było ono lepsze od tego, które miała część sąsiadów. W dalekim górzystym kraju pieniędzy nie zarobił; w sumie nie osiągnął nic poza ich ukłonami i podziękowaniami. Czasem myśl ta wracała, podgryzając w nocy, przed snem. Nie stać go było nawet na pielgrzymkę do Mekki.

Nie uważał się za wojownika, lecz w kraju, gdzie o karabin łatwiej niż o ołówek, nie miał wielkiego wyboru. W sumie wojna nie była zła. Nie lubił walki, owszem, ale nie było jej wiele. Działania sprowadzały się do długich marszów, zabezpieczania dróg i przełęczy, palenia i plądrowania.

Kiedy po roku wracał do domu – przez Europę, bo bezpieczniej – na lotnisku w Wiedniu dwóch mężczyzn zaprosiło go do restauracji. Ludzie wokół spoglądali leniwie na rozkłady odlotów, a oni pokazali mu bardzo, bardzo dużo zdjęć. Bohaterem wszystkich był Rashid. I ludzie wokół. Martwi i okaleczeni. Sam się dziwił, jak udało się im podejść tak blisko. Jakość fotografii była zdumiewająca.

Afgańczyk zgodził się na współpracę. Obiecane sumy na szwajcarskim koncie stały się w zasadzie dodatkiem do decyzji, którą i tak należało podjąć. Konsekwencja była prosta: przechodząc na drugą stronę, nie mógł już wrócić. Wystarczył jeden kontrolowany przeciek z CIA, a on i cała jego rodzina skończyliby życie po okrutnych torturach. Gdy przystąpił do oddziału Safeza, bardziej z przypadku – nikt wtedy nie znał jeszcze prawdziwego potencjału Palestyńczyka – zagrożenie tylko się wzmogło.

W Iraku, kilka lat wcześniej, Rashid miał wielką nadzieję, że amerykańsko-polska ofensywa się powiedzie, Ahmed zginie, a on, jako jeden z nielicznych ocalałych, wróci do domu i budując wokół siebie legendę złamanego wojną weterana, wycofa się na boczny tor. Po kilku latach, gdy dałby się zapomnieć, wywiózłby po cichu najbliższą rodzinę i – nie narażając dalszej – zniknąłby. Za pieniądze z CIA zaczęliby nowe życie, w innym świecie. Spotkał go srogi zawód: choć zdradził Amerykanom miejsce przetrzymywania dwóch polskich jeńców, przeklęci jankesi nic nie zrobili.

Dzisiaj, trzy lata później był pewien, że opętanie Safeza nie zna granic. Ten człowiek mordował Afgańczyków setkami, bo handlowali, gdy nie mieli na chleb!

Rashid bardzo silnie odczuwał konieczność ucieczki z tego tonącego statku szaleńców, i to jak najszybciej. Wtedy CIA przycisnęło go znowu. Znaleźli go na targu w Kabulu, gdy na polecenie Ahmeda znajdował sprzedawców opium, kilka miesięcy przedtem, nim Palestyńczyk wprowadził w życie plan rozbicia siatki.

Rashidowi było wszystko jedno, czy zginie w walce z krzyżowcami, gdy będzie mordował własnych braci, czy zabije go CIA, czy Safez. Cóż to za różnica. Chwała ta sama. Czyli żadna.

Powiedział więc agentom wszystko, co wiedział.

„Safez będzie za kilka miesięcy w Ghazni. W związku z opium”.

Dwa zdania i tak wiele pieniędzy. Albo straszna śmierć.

Gdyby miał pojęcie o stopniu obłąkania Safeza, zaryzykowałby i uciekł od razu. Kiedy usłyszał zarys planu, miał wrażenie, że śni. Nie chodziło o opium.

Podróż w czasie! Zmiana historii! Zostanie bohaterem wydarzeń, o których świat arabski nawet się nie dowie!

Zastanawiał się, czy nie ratować się wcześniej, jeszcze w Raji. Za bardzo kochał żonę i dzieci, by je zostawić. Wspólny wyjazd nie wchodził w grę. Część rodziny miała własne życie w Afganistanie – dwóch najstarszych synów żony i swoje dzieci. Zresztą – nawet gdyby zabrał najbliższych, to Al-Kaida w odwecie wygubiłaby resztę klanu. Do tego nie mógł dopuścić. Nie, jedynym wyjściem była porażka Safeza i powrót Rashida do domu razem z niedobitkami.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, NATO umożliwi mu zrealizowanie planu. Niech jeden prześladowca umrze. Drugi o nim zapomni.

W tym celu te cholerne helikoptery nie mogły się rozbić. Musiały zniszczyć wielką pancerną puszkę z zaprzańcem w środku i zabić Safeza. Najlepiej co najmniej dwukrotnie, dla pewności…

11

Nie rozbili się, ku zdziwieniu Kollera i Wieteski, którzy – obaj – zdążyli już pojednać się z Bogiem.

Maszyny prześlizgnęły się między drzewami i krawędzią pola siłowego w manewrze, za którego sukces żaden z pilotów, mimo silnych skłonności do brawury, nie dałby złamanego grosza. Śmigła dzielił od opadającej kopuły mniej niż metr. Spody kadłuba ocalały dlatego, że na ich drodze nie stanął żaden z grubszych pni.

Wieteska zaśmiał się jak wariat.

I zaczął strzelać.

Kopuła za nimi wreszcie się zamknęła.

12

Rashid uśmiechnął się. Miał ochotę ze szczęścia podskoczyć w powietrze i dziękować Bogu. Allach wynagradzał dobrych ludzi!

Potyczka wkraczała jednak w drugą fazę, a jej zakończenie wciąż było nieodgadnione, wolał więc zaczekać z podziękowaniami i radością. Odrzucił RPG i pobiegł w dół zbocza, do samochodów. W stronę najbezpieczniejszego miejsca, jakie wypatrzył.

Zrobiło się ciemno.

Niebieskie niebo, niczym w klatkach źle poskładanego filmu, w przeciągu mrugnięcia okiem z błękitnego stało się czarne.

Nie czarne. Ciemnobrązowe.

Coś stało się z powietrzem, które zastąpił gęsty, chrzęszczący pył. Coś sprawiło, że nie było widać nic oprócz gęstej, brązowej, a może czerwonej mgły.

Rashid stanął w pół kroku. Zaczął się krztusić. Wypluł piach z ust, zasłonił oczy.

Cokolwiek miało się stać, zrozumiał, że przegrał.

13

Piaskowa burza opadła na obóz z siłą huraganu. Widoczność zanikła, pozostał dudniący, gęsty mrok. Pochłonął wszystko. Góry wokół, sady, namioty, żołnierzy, MDS. Nawet błysk działek Mi-24 masakrujących wszystko, co żywe. Ich terkot ledwo wznosił się ciężkim tonem ponad jęk wiatru.

Ahmed Szah Safez czuł moc burzy, gdy mimo chusty wdzierała się do nosa, ust i oczu. Wiedział, że gdzieś w ciemności resztki oddziału padają pod kulami, sprzęt zamienia się w złom, a misterny plan obraca w ułudę. Trzy bojowe śmigłowce znajdowały się w samym środku nieufortyfikowanego obozu.

Ahmeda Szaha Safeza niełatwo było jednak powstrzymać.

Podbiegł do miejsca, w którym Rashid – tchórz – porzucił RPG. Podniósł granatnik. Ukląkł.

Nie widział nic. Zupełnie nic.

Wycelował w miejsce, w którym kilka chwil wcześniej dostrzegł pierwszy helikopter. Polski Mi-24, wiszący nad namiotami.

14

Operator uzbrojenia Wieteski posyłał krótkie serie w zapadły nagle mrok. Dokładnie wykonywał rozkaz dowódcy, który brzmiał mniej więcej: „Nie pytaj gdzie, po prostu napierdalaj, gdzie pamiętasz”.

Sądząc po przytłumionych hukiem burzy odgłosach, to samo robili piloci pozostałych śmigłowców. Porozumiewali się przez radio, pozbawieni widoczności.

– Zero dwa, zero sześć! – nadawał Wieteska. – Satelita siadł, potwierdźcie.

– Zero sześć, potwierdzam.

– Zero dwa, to samo u mnie. Co robimy?

– Żadnych rakiet, tylko broń maszynowa – rozkazał kapitan. – I niech nikt się nie waży obrócić maszyny o więcej niż czterdzieści pięć stopni. Strzelajcie na pamięć. – Wieteska złapał oddech. Jego palce nieustannie skakały po przyciskach. – A tymczasem – dodał spokojniej – możemy sobie urządzić małego grilla.

Koller siedział z tyłu. Spoglądał na twarze powierzonych mu przez Wojtyńskiego ludzi. Kres, Jaszczur i Ogień nie dawali poznać po sobie strachu, ale widział, że nie czują się pewnie. Byli świetnie wyszkoleni, to od nich zależały zwykle losy starcia. Trening nie obejmował jednak siedzenia z bronią na kolanach, podczas gdy walczyli inni.

Porucznikowi bardzo nie spodobało się to, co działo się wokół. Pochłonięty pilotowaniem i dowodzeniem Wieteska nie miał czasu się nad tym zastanawiać, ale Kollera gryzła myśl o zrodzonej znikąd burzy. Nie miał wątpliwości, że odbyli skok w czasie. W sumie – dostał, czego chciał.

Prowadzenie walki na oślep nie wydawało mu się w tej sytuacji dobrym pomysłem. Podobnie jak trzymanie siedmiu żołnierzy jednej z najlepszych jednostek świata zamkniętych bezczynnie w kabinach desantu.

– Johny!

– Moment, szefie! – odparł Wieteska. – Bo mi się kolacja przypali.

– Powinniśmy się wycofać!

– Nie żartuj. Mamy tu świetną zabawę.

– Nie widzisz, do czego strzelasz.

– Oni też nie. – Tej wypowiedzi towarzyszyło już wyraźne parsknięcie śmiechem. – Z tą różnicą, że ja mam tu napędowe działko kalibru dwadzieścia pięć milimetrów i mieliśmy dość czasu, żeby przyjrzeć się, gdzie co jest.

– Jeśli przypadkiem zniszczysz MDS…

– Piechota chyba nie powinna odzywać się na pokładach helikopterów. Możemy ustalić taką zasadę? Od teraz. Nie peniaj, nie ruszymy go. Chłopaki wiedzą, gdzie stoi.

Rozmawiali podczas trwającej bez przerwy, dość jednostronnej wymiany ognia. Wisieli dwadzieścia metrów nad ziemią. Nawet jeśli jakieś kule trafiały w śmigłowce, ich pancerze zdawały się nie reagować na to silniej niż na podmuchy burzy.

Koller chciał oponować, ale w sukurs przyszedł mu jeden z bocznych klucza.

– Wodzu, zero dwa – zabrzmiało w radiu. – Mój technik na mnie krzyczy.

– Dlatego ja swojego nie biorę – zauważył Johny trzeźwo. – Co się dzieje, Halny?

– Mówi, że zarżniemy maszyny – odparł zero dwa. Były to dwie ostatnie cyfry oznaczeń śmigłowca Wańkowskiego. Używano ich dla wygody, gdy w okolicy nie było innych maszyn o podobnych numerach.

– Zero sześć – włączył się Polonus. – To samo mówi mój, ale on ten helikopter kocha mocniej niż swoją żonę i czyści go częściej niż wy zęby, więc nie wiem, czy mu wierzyć.

– Wiem – powiedział Wieteska. – Ale burza może potrwać nawet parę dni. Chcesz ich teraz zostawić?

– Mamy siedmiu specopsów – wtrącił Koller. – Zrzućmy chłopaków, niech zabezpieczą MDS. W tej pogodzie przewaga wyszkolenia zniweluje liczebność ekipy Safeza. – Spojrzał na Jaszczura. Jego ludzie wypięli się już z pasów i zakładali uprzęże lin. – Wy wzbijcie się nad chmurę i ubezpieczajcie ich, a potem…

Porucznik nie dokończył. Potężny podmuch od prawej strony wstrząsnął maszyną i zbił go z nóg. Nie leciał długo. Po kilkudziesięciu centymetrach

zatrzymała go przeciwległa ściana, w którą uderzył, na szczęście bokiem. Zawisł na niej na chwilę – śmigłowiec przechylił się co najmniej o trzydzieści stopni – a potem runął na podłogę. Tam jakimś cudem zdołał skulić się i ukryć głowę między kolanami. Słyszał huk, wrzask na pokładzie i wycie któregoś z systemów ostrzegawczych od strony kabiny pilota. Mi-24 prawie się obrócił, Wieteska zdołał jednak ustabilizować maszynę. Krzyczał i klął wniebogłosy, ale wyrównał lot i wyłączył sygnał alarmu.

Koller spróbował wstać. Miał mroczki przed oczami, więc zajęło mu to więcej czasu niż zwykle. Podnosząc się, zrozumiał, że większość załogi doświadczyła wybuchu jeszcze bardziej dotkliwie niż on. Przede wszystkim operatorzy. W momencie eksplozji Jaszczur stał i tłumaczył coś swoim ludziom, w chwilę później trzasnął tyłem czaszki o ściankę kadłuba helikoptera i nie wydając jęku, padł na podłogę. Teraz leżał nieprzytomny. Ogień poleciał do przodu, rozbijając nos, ale przynajmniej zachował świadomość. Zapiął się z powrotem w pasy i tamował krwotok. Kres, który jako jedyny z nich wszystkich zdołał chwycić się poręczy fotela, nie ucierpiał wcale. Teraz klęczał nad dowódcą, starając się ocenić jego stan i udzielić pierwszej pomocy.

– MDS… – szepnął Koller, a w jego głowie zakręciło się od tej świadomości bardziej niż od niedawnego wstrząsu.

– To nie MDS – powiedział Wieteska wściekle. – MDS jest przed nami. Fala nie uderzyłaby z boku.

Porucznik przestał rozumieć cokolwiek.

– To my? – spytał.

– Zamknij się na chwilę, Koller! – krzyknął Johny, po czym zaczął wywoływać pozostałe helikoptery. – Zero dwa, zero sześć. Potwierdźcie udział w walce.

– Zero sześć, potwierdzam – odezwało się niemal natychmiast radio.

Wieteska odczekał kilka sekund. Nic.

– Zero dwa, potwierdź – rzucił kapitan.

Znowu odpowiedziała mu cisza.

– Zero dwa, potwierdź udział w walce!

– Johny, co się dzieje? – w komunikacie zabrzmiał głos pilota helikoptera z oznaczeniem zero sześć, Polonusa.

– Straciliśmy helikopter Halnego – powiedział Johny cicho.

Koller widział, jak mięśnie szczęki pilota napięły się i zadrżały.

Odwrócił się w stronę gromowców. Zostało dwóch w helikopterze Polonusa i trzech tutaj.

Kres próbował ułożyć nadal nieprzytomnego Jaszczura na boku. Ogień siedział nieco dalej i bez specjalnego sukcesu wciąż tamował krwotok z nosa.

Wszystkie możliwe do podjęcia decyzje zawęziły się nagle do jednej.

– Johny, musimy odskoczyć – powiedział Koller, przywołując resztkę spokoju, jaki mu jeszcze pozostał. Liczył, że zdoła złagodzić wściekłość kapitana. – Jesteśmy ślepi. Nie mamy żadnych argumentów.

– Wiem – stwierdził zimno pilot. – Poczekaj. – Znów włączył komunikator. – Halny, żyjecie? Macie rannych? – Odczekał chwilę i dodał: – Zero sześć, wyleć nad chmurę i czekaj! Szykuję się do misji ratunkowej.

– Przyjąłem – odparł Polonus.

– Kim chcesz prowadzić tę misję ratunkową? GROM nam nie pomoże – podniósł głos Koller.

– Więc ty wyjdziesz. A jak nie, wyjdę ja. To jest mój człowiek i nie zostawię go.

– Ten wybuch prawie nas zdjął. Tam już nikogo nie ma.

– Powiedziałem. Nie zostawię Halnego, musimy po niego zejść – odparł Wieteska kategorycznie.

– Johny, masz jeszcze dwa helikoptery. Nie strać kolejnego.

– Nie martw się o to – odpowiedział kapitan.

– Nawet jeśli nas nie trafią, wiesz lepiej ode mnie, czym grozi lot w takich warunkach – próbował przekonywać Koller.

– Więc najpierw ich rozpieprzę.

Kapitan, mówiąc to, patrzył na przełączniki broni rakietowej. Rosło w nim napędzane wściekłością postanowienie.

– Nie bądź, kurwa, dzieckiem! – wrzasnął Koller. – Bez MDS-a nikt już nie wróci do domu. Nikt. Zabijesz nas wszystkich.

– Co?

– Jesteśmy w przeszłości.

– Co?

– Do reszty wyżarło ci mózg? Kopuła, Johny! Burza znikąd! Ochłoń i zacznij myśleć. Opowiedziałeś mi bajkę i jeśli naprawdę w nią wierzysz, widzisz chyba, że właśnie się spełnia!

W Wietesce coś pękło.

Pilot skurczył się, jego ramiona opadły, dłoń wróciła na wolant. Kapitan zrezygnował z walki, przynajmniej na razie. Koller nie wiedział, czy przypisać to sile wymienionych faktów, czy może odpowiedzialności za los kolejnych ludzi.

– Zero dwa, zero sześć, odskakujemy – powiedział Wieteska do radia. Nie dostrzegł nawet, że wymienił zestrzelony helikopter. – Kierunek: północ północny wschód.

Uniósł Mi-24. Piach wirował wokół nich przez kilkanaście sekund, jak gdyby znaleźli się gdzieś pośrodku tajfunu; potem zniknął. Wyrwali się ponad kurzawę burzy niczym z koszmarnego snu.

Otaczało ich błękitne niebo, po którym przepływały leniwie skrawki chmur, a przez bulaje helikoptera wpadał przyjemny blask słońca. Koller widział w dole oddalającą się brązową kurzawę.

– Jesteś cały, Johny? – spytał Koller. Głupie pytanie, które musiało być zadane. Chciał dać do zrozumienia, że kapitan nie jest sam ze swoją traumą.

– Tak – odparł tamten sztywnym, martwym głosem, który świadczył, że jest zupełnie przeciwnie. Johny nigdy nie był świadkiem śmierci przyjaciela. W lotnictwie nie zdarzało się to często. Wieteska nie miał przyjaciół spoza branży, w spisanym przez SWW życiorysie była i ta informacja. – Wiesz, kiedy możemy być? Jaka dzisiaj jest data?

– Miałem ci zadać to samo pytanie.

– Safez jest twoim kumplem, nie moim.

– Spytam go o to przy pierwszej okazji – odparł Koller. Spojrzał w stronę Jaszczura. Ten nie ocknął się jeszcze, ale Kres pracował nad nim wytrwale. – Możemy poczekać tutaj, aż skończy się burza?

– W powietrzu? Nie możemy. Nie wiadomo, ile jeszcze potrwa, a nie mam tyle paliwa. Będziemy potrzebowali rezerwy na walkę. Musimy przeczekać, aż się rozwieje.

– Gdzie?

– Spójrz na północny zachód. Stamtąd będziemy mieli dobry widok.

15

Ahmed biegł przez obóz w kierunku MDS-a. Kogokolwiek napotkał, stawiał na nogi, ocucał z pobitewnego szoku i wysyłał do roboty. Teraz decydowały sekundy. Jednym z pierwszych żołnierzy, na których się natknął, był Rashid.

Afgańczyk leżał za podziurawionymi beczkami z wodą, na wpół zakopany w piachu. Przypominał bardziej strusia z dziecięcej kreskówki niż żołnierza. Palestyńczyk ukląkł przy nim i szarpnął za ramię. Rashid miał zamknięte oczy i brudną, osmaloną twarz. Safez zaczął trząść bezwładnym ciałem, wreszcie, zirytowany stratą czasu, trzasnął bojownika na odlew w twarz.

Rashid otworzył oczy. Zaraz potem poderwał się na nogi w pełnej gotowości bojowej.

Safez uśmiechnął się w duchu. Jednak był fachowcem.

– Gdzie są pozostałe RPG? – spytał.

Bojownik miał minę tak tępą, że w zasadzie nie musiał się nawet odzywać.

– Nie… Nie wiem. Gdzieś… – wyjąkał. – Chyba gdzieś tam. – Wskazał w bliżej nieokreślonym kierunku.

Ahmed kiwnął głową. Świat od lat utwierdzał go w przekonaniu, że może liczyć tylko na siebie.

– Słuchaj mnie. – Oparł mu ręce na ramionach. – Słuchasz?

– Tt… tak.

– Obejdź obóz. Zbierz ludzi. Rannymi nie zawracaj sobie głowy. Każ im zebrać się przed samochodem Amerykanów, rozumiesz? Przed tym wielkim wozem, który im zabraliśmy w Raji. Słuchasz mnie?

– Tak – odparł Rashid, już trochę przytomniej.

– Powtórz.

– Obejść obóz. Zebrać ludzi. Tylko całych.

– Dobrze – stwierdził Ahmed. – Kiedy już to zrobisz, weź kogoś do pomocy. Pójdź w dół zbocza i poszukaj sprawnych ciężarówek albo samochodów. Były poza obozem, nie mogli uszkodzić wszystkich. Przyprowadź je.

– Dobrze – zapewnił bojownik.

– Biegnij. Mamy mało czasu.

Rashid ruszył naprzód, zdawało się, z autentyczną ochotą.

Ahmed pobiegł w stronę zestrzelonego helikoptera. Maszyna wyłoniła się nagle zza duszącej, czerwonej mgły burzy. Leżała na boku, o ziemię uderzyła jednak nosem – przód był jedną wielką, zakopaną w piachu miazgą. Kadłub, rozpruty tuż za kabiną przez głowicę granatnika, cicho owiewał wiatr.

Piach ugasił ogień i nie dopuścił do wybuchu amunicji.

Safez dostrzegł biało-czerwone szachownice – symbol pokonanego przeciwnika. Poczuł dumę – niełatwo zestrzelić Mi-24. Wyciągnął pistolet i odbezpieczył go. Dopiero potem wszedł do środka przez wyrwany właz desantu. O zwłokach nie dało się powiedzieć wiele. Były tam, tylko tyle. Mimo niewielkiej wysokości impet upadku zmiażdżył wszystko, aż do pomieszczenia desantu. Kabina przedstawiała przedziwną plątaninę części ludzkich ciał, oprzyrządowania, kabli i pogiętej stali. Pilot i operator uzbrojenia zostali dosłownie zmiażdżeni siłą uderzenia. Safez deptał po brunatnych, wypełnionych kurzem, lepkich plamach, które – jak wiedział – były krwią.

Palestyńczyk widział wiele sposobów, na jakie umierał człowiek. Rozpoznawał je z łatwością padlinożernego zwierzęcia. Śmierć lotników musiała być natychmiastowa i stosunkowo lekka.

Tylna część Mi-24 zachowała się lepiej. Ciała obu operatorów sił specjalnych wyglądały, jak gdyby ci pogrążeni byli we śnie. Tylko wypalona na wysokości wątroby dziura u jednego i sterczący z piersi drugiego metalowy fragment konstrukcji nie pozostawiały wątpliwości. Technik był rozcięty prawie na pół przez jedną z wręg.

Ahmed dla pewności wystrzelił po jednej kuli w głowy komandosów. Zabrał ich broń i zawiesił sobie na ramieniu. Obszukał zwłoki. Jeden z noktowizorów wciąż działał. Znalazł sporo drobiazgów, w które Zachód wyposażał swoje jednostki specjalne, dla niego nieosiągalnych.

Potem ruszył w stronę MDS-a.

Maszyna nosiła ślady ataku. Kilka przestrzelin wskazywało, że pociskom udało się przebić pancerz i dostać do środka.

Widok wnętrza potwierdził te przypuszczenia.

Sprzęt wydawał się niemal nienaruszony. Być może gdzieś utkwiła zabłąkana kula czy dwie, jednak wszystkie ekrany wyglądały na sprawne. Komputery dopancerzono podwójnie.

Safez nie zdążył się ucieszyć. Zobaczył coś, co spowodowało, że zadrżał. Jedno z krzeseł rozleciało się. Obok leżał Holden. Po stalowej nawierzchni podłogi rozlewały się ciemne strumyki krwi, wyszukując drogę między rowkami antypoślizgowymi.

Ahmed zauważył, że twarz Amerykanina zachowała naturalny kolor, co mogło oznaczać, że tętnica przetrwała i Hashim ma jeszcze czas. Niezbyt dużo – potężna rana, która niemal rozerwała udo, i brak chirurga kazały Ahmedowi sądzić, że śmierć naukowca nastąpi wkrótce.

Safez uklęknął, ściągnął kurtkę i odrzucił ją na bok: była zbyt zapiaszczona. Zdjął koszulę, porwał ją na szmaty i obwiązał nogę rannego na wysokości pachwiny. Krzyk, który naukowiec przy tym wydał, świadczył, że nie miał szczęścia stracić czucia.

Nadludzkim wysiłkiem woli Holden odsunął się. Drżał. Był przerażony. Kilka centymetrów pokonał z dzikością i bezrozumnością umierającego psa. Jak gdyby Palestyńczyk krzywdził go, nie pomagał.

– Boli – szepnął. – Nie dotykaj mnie. Błagam.

– Musisz pracować – odparł Ahmed, wstając. – Jesteś teraz najważniejszy. Zawsze byłeś, pamiętasz? Musisz mi pomóc.

– To niemożliwe, Safez – wydarło się ze ściśniętego gardła. To był zupełnie inny głos niż dawniej. Jak zza grobu. – Nie będziesz miał swojej bomby.

– Dopóki żyjesz, wszystko jest możliwe. Pomogę ci.

Holden spróbował zrobić ruch ręką. Drżała tak bardzo, że nie sposób było odczytać, co miał oznaczać.

– Nie… – powiedział niemal płaczliwie. – Nie dam rady. Proszę, zostaw mnie już. Nie dotykaj mnie, nie każ mi mówić.

Ahmed znów uklęknął przed nim. Dostrzegł, że Hashim wzdrygnął się: tak bardzo się bał. Jego samego? Bólu? Prawdopodobnie jednego i drugiego.

– To tylko twoje ciało. – Głos Palestyńczyka był równie cichy jak Holdena, ale nieporównywalnie silniejszy. O wiele bardziej wypełniony wiarą i determinacją. – Siła tkwi w duchu. Zapomnij o ciele, rozkazuj mu i pomóż mi. Ono cię posłucha.

– Umieram.

– Tak, ale jeszcze nie teraz. Na razie żyjesz.

– To precyzyjna operacja… – syknął Holden, gwałtownie wciągając powietrze. Zaraz potem zakrztusił się. – Khyh. Spójrz na moje ręce. – Nie był to kaszel, raczej jakaś nerwowa reakcja organizmu, coś na pograniczu panicznego jąkania się i płaczu. Ręce naukowca rzeczywiście trzęsły się tak, jak gdyby w nich skumulował się ból. – Nie wszystko, khyh, co nazywa się „atomowe”, jest bombą. To coś pomiędzy… reaktorem i bombą. Cały system… skonstruowano tak, żeby nie dopuścić do kontynuacji gwałtownego rozpadu atomów początkowej fazy.

– Co to znaczy?

– Nie wiem, Safez. Ja już nic nie wiem. Mój brat zginie. Przepraszam.

– Nie maż się. Nie jesteś już Amerykaninem, uciekłeś z kultury słabości. Bądź silny. I powiedz mi to, co powiedziałeś przed chwilą. Jednym zdaniem.

Hashim zebrał się w sobie i rzeczywiście, jedno zdanie powiedział niemal normalnie.

– Nie da się tego rozbroić przecięciem pojedynczego kabla.

– Więc naucz mnie. Wyjaśnij.

Holden uczynił ledwie dostrzegalny ruch głową. Jak gdyby chciał nią pokręcić.

– Sam uczyłem się tego dwadzieścia lat.

– Spróbuję.

– Zginiesz – powiedział Amerykanin tak prosto, jak gdyby spytano go o wynik banalnego równania. – Nie od wybuchu, to byłby sukces. Od promieniowania. Khyh. To brzydka śmierć.

Ahmed myślał intensywnie. Czy może wykorzystać promieniowanie? Nie. To zbyt mało precyzyjna broń. Z helikopterami Polaków na karku musiałby zdemontować reaktor z MDS-a i użyć go, co oznaczało, że promieniowanie wymordowałoby ich wszystkich na długo przed dotarciem do celu.

– Nie przeniosłem się w czasie na marne – powiedział zimno. – Spróbuję. Jeśli się nie uda, trudno. Twojego brata znów zabiją Amerykanie.

– Nie – szepnął cicho Holden.

– Nie ma innego wyjścia.

– Może… Może jest.

– Jakie?

– Zasobnik reaktora zapasowego…

– Mów dalej.

– Jest skonstruowany tak samo… – Znów rwane zdania, brzmiące raczej jak czytanie listy zakupów, gdzie każde słowo stanowiło osobny towar. – Jak główny, z równie mocno wzbogaconego uranu. Korzysta z tego samego systemu, ale…

Holden rozkaszlał się na dobre i była w tym charczącym odgłosie, w płynącej z rany krwi i blednącej twarzy resztka uciekających z ciała sił.

– Mów, mów do mnie!

– Stabilizuje system na wypadek, gdyby główny reaktor zawiódł. Wtedy jest szansa na niewielką tarczę… – Był to już niemal głos z zaświatów. – Albo krótki skok.

Oczy Amerykanina przymknęły się. Spróbował je otworzyć, ale sprawiało mu to zbyt wielką trudność.

– Nic nie widzę. Nie widzę cię…

– Hashim, ciii. Spokojnie. – Nikt, kto znał legendę Ahmeda Szaha Safeza, nie uwierzyłby w to, co działo się teraz we wnętrzu MDS-a. Bojownik

podtrzymywał głowę naukowca i przemawiał kojącym głosem. – Powoli. Mów do mnie, nie ma pośpiechu. To łatwiejsze? A co z systemem?

– Zapasowy…. Nie działa tak samo. W pewnym sensie jest poza nim. Korzysta tylko z systemu, nie ma oddzielnego przejścia. Pentagon nalegał, żeby obniżyć koszty…

– Zdołam go zdemontować?

– To… zupełnie proste.

– Jak duża to będzie moc?

– Kilotona… Raczej pół.

– To za mało.

– To wszystko. Daj mi umrzeć.

Ahmed kiwnął głową. Liczył się już z gorszymi możliwościami. Jeden z pierwotnych wariantów zakładał, że stracą MDS w czasie pierwszego skoku do Raji, w trakcie walk w bazie. Dlatego zaplanował pierwszy skok dokładnie do momentu, który dawałby mu szansę realizacji planu. Pół kilotony było lepsze niż nic.

– Dasz radę? – spytał.

– Ty dasz. Posłuchaj mnie.

Holden mówił długo, mimo że operacja była banalnie prosta. Naukowiec co chwila gubił wątek, wyrażał się niejasno, nieprecyzyjnie. Czasem przeczył sam sobie, a czasem po prostu majaczył.

W końcu jednak wyjaśnił, jak z zapasowego, stabilizującego reaktora MDS-a uczynić niewielką bombę atomową; rzecz absolutnie niemożliwą przy jakimkolwiek innym nuklearnym systemie stworzonym do wytwarzania energii.

Kiedy Safez skończył, Holden wciąż żył. Ahmed był zadowolony. Bomba mieściła się w neseserze i choć wymagała modyfikacji planu, wciąż dawała szansę sukcesu. Gdy spojrzał na zewnątrz, stwierdził, że jest też zadowolony z roboty Rashida. Bojownicy byli gotowi. Ze stu ludzi, którzy pierwotnie znajdowali się w obozie, przetrwało ledwie czterdziestu. To musiało wystarczyć.

– Safez – szepnął Holden, gdy Palestyńczyk wychodził – nie mam już siły. Zabij mnie.

Ahmed przyjrzał mu się bez współczucia, bez ciekawości, bez gniewu nawet, bez jakichkolwiek uczuć, na które – jak zdawało się Amerykaninowi – zasługiwał umierający człowiek. Umierający muzułmanin.

– Nie – odparł. – Nie bój się.

– Proszę. – Znów się rozkaszlał. Znów zaczął jąkać. – Proszę. Już nie mogę.

– Zerwij opatrunek, jeśli ci zależy. Kiedy stracisz więcej krwi, ból zelżeje.

– Nie mam odwagi… Daj mi chociaż broń.

– Bóg zabierze cię w swoim czasie.

Safez nasunął chustę na twarz i wyszedł w piach burzy. Ludzie czekali na niego. Zawarczały ciężarówki, nie sposób było ich jednak usłyszeć. Wszystkie dźwięki tłumił uderzający o szyby, wirujący kurz.

Ahmed wydał rozkaz.

Odjechali w mrok.

16

Burza zaczęła słabnąć dopiero po kilku godzinach. Wieteska, Koller i reszta spędzili ten czas w milczeniu. Siedzieli na skalnej półce i gapili się w dal. Wiatr wiał od strony szczytu, w którego połowie się znajdowali; tu widoczność była dobra. Góra wypłaszczała się na odcinku mniej więcej pięćdziesięciu metrów, co dla doświadczonych pilotów stanowiło aż nadto miejsca na lądowanie.

Gdy umilkły silniki, obaj oficerowie zrobili przegląd załóg i sprzętu. Więcej strat nie było, usiedli więc przy krawędzi, w zupełnie kuriozalnej próbie zapomnienia o napięciu racząc się herbatą i sucharami.

– Wirnikom nic się nie stało, silnikowi też. Chociaż chyba niewiele brakowało. Byliśmy tam ledwie kilka minut – powiedział Wieteska. Wcześniej odbył długą konferencję z technikiem Polonusa. – Ale awionika nie najlepiej zniosła piach. Filtry też są na granicy. Gdybyśmy zostali tam dłużej, nie wróciłaby więcej niż jedna maszyna.

Koller milczał taktownie. Zbyt dobrze wiedział, jakie to uczucie stracić ludzi. Pogaduszki i analizy popełnionych błędów nie były najlepszym le-

karstwem. Pomagał tylko czas, cisza, a czasem samotność.

Technik razem z oboma operatorami uzbrojenia doprowadzał śmigłowce do porządku.

Czarnoskóry pilot obserwował ich uważnie i monologował.

– Doceniam wasze zaangażowanie, ale błagam, bez gry wstępnej – mówił, starając się jednocześnie wypluć piach spomiędzy zębów. – Przeżyję bez wyczyszczonej szyby. Zajęlibyście się lepiej filtrem, jakoś polecę z paroma muchami na kokpicie. Fretczyk, ta maszyna jest dla ciebie za młoda… No nie, to akurat nieprawda, ale, na Boga, jeśli już musisz ją tak pieścić, stań chociaż tak, żebym cię nie widział. I nie patrz tak na mnie. Zachowujecie się, jakbym wam uwiódł córki. To jest śmigłowiec bojowy, do cholery! Służy do latania i walki, więc czasem musi się ubrudzić. Przykro mi.

Każdy odreagowywał na swój sposób.

Jaszczur odzyskał przytomność; najwyraźniej jej utrata nie wpłynęła na formę żołnierza. Wraz z pozostałymi gromowcami siedział z boku i jadł spóźnioną kolację. Wszyscy porozumiewali się półsłówkami.

– Lećmy – powiedział w końcu Wieteska.

– Chyba tak – przytaknął Koller. Nie miał najmniejszej ochoty, ale wiedział, że musi. Na razie ponieśli straty, a nie osiągnęli niczego.

Zagrały silniki, a potem obie maszyny podniosły się leniwie. Chwilę później po ich ociężałości nie było śladu. Mknęły niczym wściekłe szerszenie w stronę wyłaniającego się zza resztek burzy obozu Safeza.

– Spójrz – powiedział Koller. – Słońce znowu zachodzi.

Rzeczywiście, przed nimi rozpościerał się ten sam widok, który zobaczyli kilka godzin wcześniej. Gorąca, czerwona kula wtapiała się powoli w krawędź horyzontu.

– To już drugi raz dzisiaj – odparł Wieteska.

– Dzisiaj to chyba już nie dzisiaj. Przy podróżach w przeszłość to działa jakoś inaczej.

– Nie wiem, nie czytam science fiction.

– A co czytasz?

– Książki o lataniu.

– Nie nudzi cię to?

– Nie lubię być na ziemi. Wolę się od niej oderwać. – Johny włączył komunikator. – Zero sześć, odbij na zachód. Zrzucisz GROM, uderzysz od południa i wyłapiesz niedobitków. Ja lecę na wprost.

– Przyjąłem.

– Jakieś obiekcje, Koller?

– Wszystko dobrze.

Polecenie oznaczało, że Wieteska zamierza wyeliminować wszystkich pozostałych po pierwszym starciu, łącznie z uciekającymi. Koller wiedział, że tego, nie taktyki dotyczyło pytanie. Nie ruszało go to. Byli na wojnie. Nie żałował nikogo, kto mógł znaleźć się w obozie.

Widoczność wciąż nie była idealna, ale zza resztek piaskowej chmury zaczęły się wyłaniać coraz większe ciemniejsze plamy, pojazdy i namioty. Powoli ostrości nabierały ich załamane piaszczystymi zaspami zarysy.

Ludzi nigdzie nie było.

Z tej odległości nie zobaczyliby sylwetek, ale powinni widzieć przynajmniej jakiś ruch. Zniknęły też sady migdałowców.

– Powinni szykować się do walki – zauważył porucznik. – Nie mają gdzie się schować.

– Zaraz wszystkiego się dowiemy – odparł Wieteska. – Empirycznie.

Drugi śmigłowiec pojawił się z przodu, z prawej strony. Zakołował, obrócił się gwałtownie i zwolnił, niczym węszący pies tuż przed rzuceniem się w pogoń. Mi-24 miały w sobie coś zwierzęco drapieżnego. Koller widział je tyle razy i zawsze skojarzenie było to samo. Nie były ładne, były groźne.

Ktokolwiek czekał na nich w obozie, musiał poczuć grozę stukrotnie silniej.

– Johny. Zero sześć, gotów do ataku – odezwało się radio.

Wieteska włączył komunikator. Jego klucz nigdy nie trzymał się zbyt ściśle reguł łączności radiowej. Wywoływali się na wszystkie możliwe sposoby.

– Poczekaj – powiedział Koller. – Gdzie są ludzie?

– Powiedziałem ci, sprawdzimy…

– Lepiej przyjąć, że jesteśmy w czasach, w których nie uzupełnisz amunicji.

Johny spojrzał przed siebie. Byli coraz bliżej. Nie dość blisko, by mieć pewność, donośność uzbrojenia przekraczała zasięg ludzkiego wzroku, ale obóz w oddali był nieporuszony. Wydawał się pusty.

– Dobra – stwierdził. – Niech ci będzie. Zero sześć, zostań na pozycji – rzucił przez radio. – Zrobimy przelot.

Mi-24 w oddali zawisł w miejscu. Wyglądał jak wielki, drapieżny owad, który przygląda się ofierze. Niski pułap śmigłowca Polonusa powodował też, że pomalowane na ciemnozielono burty zniknęły we wzbijanym powietrzem z jego wirników szarym kurzu.

Wieteska obniżył lot i rozpędzając maszynę niemal do maksymalnej prędkości trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę, pomknął nad obóz Safeza.

– Jak nas zestrzelą, Koller – powiedział – pogniewam się.

Ujrzeli w dole szczątki skrajnych namiotów. Chwilę potem obraz ziemi zagęścił się, wypełniony chaotycznymi szczegółami. Resztkami pojazdów, namiotów, skrzynek z amunicją, zwłokami… Tak wyglądało dzieło śmigłowców bojowych.

Potem ujrzeli MDS.

Był to jedyny opancerzony wóz w obozie. Z wiedzionej furią masakry dokonanej przez trzy Mi-24 tylko on ostał się w całości. Z oddali Koller dostrzegł wielką czarną plamę, która osmalała bok pojazdu, i leżące niedaleko szczątki czegoś, co było prawdopodobnie beczkami z paliwem. Poza tym maszyna wyglądała na nieuszkodzoną.

Reszta była przeszłością. Skryte pod żółtobrązowym kamuflażem namioty spaliły się niemal do szczętu, a kawałki płacht przysypała potęga piaskowej burzy. O istnieniu sprzętu zmotoryzowanego świadczyło kilka czarnych, na wpół zakopanych przez żywioł wraków.

– Mało tego – powiedział Kres, przytykając głowę do bulaja.

– Boli cię jeszcze głowa? – spytał Jaszczur z ironią. – Nie trzymaliby transportu w środku obozu – zauważył trzeźwo.

Poczuli, że helikopter zaczyna powoli opadać.

– Aktywności brak – powiedział Johny. – Spróbujemy inaczej. Operator! Wybierz ze dwa namioty i poślij im kilka krótkich serii. Zamieszaj też trochę piach koło tego wielkiego pudła.

Trzasnęło działko. Pociski wzbiły kilka niewielkich fontann ognia. W obozie panował martwy bezruch.

– Nie rozumiem, czemu zostawili MDS – powiedział Wieteska. – Wszystkich nie wybiliśmy. Pomysły?

– Lądujemy. Niech Polonus nas osłania.

– Oho, ktoś sobie wyhodował jaja – zauważył kapitan cierpko. – Zgodnie z życzeniem. Zero sześć, dobre wieści!

– Zamieniam się w słuch.

– W tym filmie to nie Murzyn ginie pierwszy.

– Nie jesteś na czasie. Już od tego odeszli.

– Nieważne. Schodzimy, pilnuj nas.

Przyziemili pośrodku obozu, w pewnej odległości do MDS-a, na wypadek gdyby Safez postanowił zaminować perymetr.

Kiedy przemierzali dzielący ich od wozu dystans, opcja, że wybili wszystkich bojowników, wcale nie wydała się Kollerowi niemożliwa. Wszędzie leżały na wpół pogrzebane w piasku ludzkie zwłoki. Widział groteskowo wyłaniające się spod ziemi kończyny i twarze, jakby burza odsłoniła idealnie zachowane pradawne mumie, marzenie archeologów, a nie ślady potyczki sprzed kilku godzin.

Drugi helikopter zbliżył się tak bardzo, że dało się dostrzec odbijające światło hełmy załogi. Po linach zjeżdżali operatorzy GROM-u.

Przodem szli Jaszczur, Kres i Ogień, z typową dla jednostek specjalnych starannością przeszukując wzrokiem teren. Wypatrywali zasadzki, choć to, co widzieli, porażało martwotą i ciszą.

Stanęli przed MDS-em.

Pancerz pojazdu wyglądał, jak gdyby odkopano go pod Stalingradem, doskonale wpasowując się w ogólną atmosferę otoczenia. Drzwi były uchylone.

Jaszczur pokazał coś bezgłośnie swoim ludziom. Grupa bezszelestnie weszła do środka.

Koller ściskał mocno karabin szturmowy, rozglądając się nerwowo. Nie chciał się do tego przyznać, ale czuł się znacznie pewniej, mając operatorów w zasięgu wzroku. Wieteska, choć starał się zachować stosownie znudzoną minę, także zdradzał oznaki napięcia. W końcu w drzwiach MDS-a pojawił się Jaszczur z przewieszoną przez ramię bronią.

– Czysto – powiedział. – Będziecie chcieli tam zajrzeć.

W środku, w kałuży krwi, leżał martwy Holden.

17

Wieteska wezwał drugi z helikopterów, a operatorzy rozbiegli się po obozie i przeszukiwali namioty, choć Koller wiedział, że tracą czas. Oddział Safeza zniknął. Wszyscy, jak na komendę, omijali wrak zestrzelonego helikoptera – traumę chowania kolegów trzeba było zostawić na potem.

W końcu ludzie zebrali się w ciasnym pomieszczeniu MDS-a. Koller postawił tezę, że Holden współpracował z terrorystami. Mógł to zrobić dobrowolnie lub pod przymusem. Reszta przyjęła te wnioski w milczeniu; nikt tego człowieka nie znał i jego ewentualna zdrada ich nie obeszła. Niektórzy nawet odczuli ulgę – coś zaczęło się wreszcie wyjaśniać.

Jaszczur, Kres i Ogień stali oparci o ścianę. Obok nich zajęli miejsce dwaj pozostali operatorzy, Czujka i Brudny. Czujka miał urodę Afgańczyka i jakiś nieprzyjemny rys powierzchowności. Coś w oczach, co mówiło, że nie jest dobrym człowiekiem i być może tylko przypadek sprawił, że oprócz karabinu w dłoniach miał na sobie mundur i naszywkę z dzierżącym błyskawicę orłem na ramieniu. Bo tylko karabin zdawał się do jego charakteru przynależeć. Nim trafił do GROM-u, był oficerem policyjnych jednostek antyterrorystycznych.

Brudny odznaczał się wysokim wzrostem i szczerą twarzą, a na niej wielkim nosem, który nosił ślady wielokrotnych złamań. W czasie studiów był w czołówce polskich zapaśników. Lubił się bić, a nawyk pójścia po nogi w barowych potyczkach kilkakrotnie zaowocował nadzianiem się na wystawione kolano przeciwnika. Fama głosiła, że Brudny nie chciał operować nosa – złamania nie przeszkadzały w oddychaniu, a stanowiły, jak mówił, zdobycze wojenne. Był w pomieszczeniu najwyższy i wyglądał zde-

cydowanie najgroźniej. Miał najlepsze ze wszystkich przeszkolenie medyczne; dwa lata na WAM-ie. Niestety, nie zakończone powodzeniem. Twierdził, że „woli ludzi naprawiać, niż psuć", co gryzło się odrobinę z faktem, że mimo ofert z oddziałów medycznych przez cztery kolejne selekcje walczył o przydział do jednostki specjalnej. Był inteligentnym człowiekiem, który zawsze miał własne zdanie, ale zwykle zachowywał je dla siebie.

Koller, Wieteska i drugi z pilotów Mi-24, Maciej „Polonus" Ugawe, siedzieli przy podziurawionym kulami stole. Musieli podjąć decyzję.

– Panowie – zaczął Koller w ciszy – czas goni. Wszyscy jesteście wprowadzeni w sytuację. Wszyscy też wiecie, że sposób, w jaki działamy, w najmniejszym detalu nie przypomina regulaminów Wojska Polskiego.

Kilka osób odruchowo kiwnęło głowami. Polonus wyszczerzył się, jak gdyby brak organizacji oznaczał dla niego świąteczny prezent.

Porucznik kontynuował:

– Wszyscy jesteśmy tu z różnych powodów, ale z własnej woli. Dlatego osobiście optuję za tym, żebyśmy podjęli decyzję demokratycznie. Następnie, równie demokratycznie, wyznaczyli dowódcę na czas trwania jej realizacji. Jego naturalnie będziemy słuchać zupełnie niedemokratycznie. Ktoś się nie zgadza?

Rozejrzał się po otaczających go twarzach. Nikt nie potwierdzał, nikt nie mruczał z uznaniem, ale to brak sprzeciwu oznaczał zgodę. Wiedział, że ma teraz ich pełną uwagę.

– Część z nas – podjął po chwili – zrzekła się prawa do zabierania głosu we własnym imieniu. Wszyscy wiedzą, o kogo chodzi – powiedział.

Wiedzieli. W naradzie nie brali udziału obaj operatorzy uzbrojenia i technik pokładowy Polonusa. Stwierdzili, że po tym, co Wieteska i Ugawe zrobili z ich kochanymi maszynami, latając w czasie burzy piaskowej, nie zamierzają tracić czasu na pierdoły. Przyjmą decyzje podjęte przez ich pilotów, a tymczasem sprzęt sam o siebie nie zadba.

– Kto chce pójść w ich ślady, niech zrobi to teraz. Jesteśmy mimo wszystko wojskiem – podkreślił. – Rezygnacja oznacza, że przyjmujecie postanowienie ogółu. Wasze głosy na nikogo nie przechodzą.

Ogień i Czujka kiwnęli głowami w stronę Jaszczura. To samo zrobił Brudny. Kres nie skorzystał z tego prawa. GROM opierał się na pracy zespołowej, ale w przeciwieństwie do regularnego wojska zostawiał odrobinę miejsca na indywidualizm. Dobrze, pomyślał Koller. On, Polonus, Wieteska, Jaszczur i Kres. Zostało pięciu, co wykluczało pata.

– Do rzeczy. Ktoś chce zabrać głos?

Jaszczur uniósł dłoń.

– Wracajmy do domu – powiedział. – Maszyna odzyskana, a o to tak naprawdę tu chodziło. Lotnictwo uratowało tyłki. – Wskazał na pilotów, co Wieteska przyjął z ironicznym uśmieszkiem. – Przeciwnik ma nad nami kilka godzin przewagi. Nie znamy jego celu, więc tym bardziej kierunku, w którym się udał, co praktycznie wyklucza szansę przechwycenia. Nie znamy czasu, w którym jesteśmy, a nikt z nas nie umie operować tym… – przerwał, szukając słowa – wehikułem. Nie ma żadnej pewności, że jeśli działa teraz, będzie działał potem. Powinniśmy skoncentrować się na uruchomieniu go i powrocie do naszych czasów. To najlepsze wyjście.

– Chętnie – rzucił Ugawe jakby od niechcenia. – Ale z tego, co mi wiadomo, parę rzeczy wypadło nam po drodze z tornistra. Cały pluton Jamroza z Rosomakami i od cholery małych, upiaszczonych afgańców, którzy pewnie aż się palą, żeby zmieniać przeszłość. Nie wiem, nie znam się, zarobiony jestem, ale jak na mój gust, to jako część zadania powinniśmy potraktować posprzątanie po sobie.

– Poza tym – wtrącił Wieteska – nie możemy zostawić Jamroza i tej Sanchez.

– Rozumiem emocjonalne podejście do sprawy – tym razem odezwał się Brudny. Zrzekł się prawa do głosowania, ale mówić mógł. – Tylko że nie ma żadnego logicznego uzasadnienia. MDS znaleźliśmy w rękach Safeza. Ktokolwiek miał go wcześniej, prawdopodobnie został już wyłączony z gry.

– Więc czemu ludzie Safeza nie mieli żadnego zdobycznego sprzętu?

– Rosomaki pewnie zniszczyli, a broni ręcznej szuszwoli przecież nie sprawdzaliśmy. Chyba że ktoś ją wypatrzył w piachu. To trzeźwy osąd, wiecie o tym.

– Po drugie – dorzucił Jaszczur – jaka jest gwarancja, że jesteśmy w tych samych czasach, w które przeniósł się wcześniej? Rozumiem szukanie igły w stogu siana, ale nie mamy nawet pojęcia, czy to właściwy stóg.

Wieteska uśmiechnął się chytrze.

– Ja tam się nie znam, ale myślę tak: skok w czasie to nie bułka z masłem. Wymaga planowania, programowania i tak dalej. Nasz atak ich zaskoczył, zgadzamy się? Mieli mało czasu, skorzystali pewnie z tego samego programu, co za pierwszym razem. To po pierwsze primo. Po drugie primo, jest jeszcze mieszanie w przeszłości. To, że zostawiamy tu pojebanego szuszwola, to fakt, nie przypuszczenie. Nie wspominając o kupie technologii, choćby i uszkodzonej. Więc jak teraz wrócimy do naszych czasów, to się, kurwa, możemy ze śmiechu nie pozbierać, bo nasze kobitki jak jedna będą w burkach zapierdalalać, a zamiast księdza po kolędzie będziemy mieli muezina zwołującego wiernych na modlitwę pięć razy dziennie. I alkoholu nie będzie – zakończył, jak gdyby ten właśnie argument miał świadczyć dobitnie, że do takiego świata nie warto wracać.

Koller uśmiechnął się w duchu. Chciał innymi słowy powiedzieć to samo. Co więcej, wiedział, że w ustach kapitana część racji brzmi bardziej wiarygodnie niż w jego własnych. Pilot nie miał z zaginionymi nic wspólnego.

Porucznik nie zabierał na razie głosu. Dla niego najważniejszy był Jamróz, MDS Amerykanie mogli sobie wsadzić. Chciał jednak znać zdanie pozostałych.

– To ma raczej niewielkie znaczenie – wtrącił Kres. – Jeśli jesteśmy w dalekiej przeszłości i cokolwiek tu zostawimy, w najlepszym wypadku stanie się artefaktem. Facet z łukiem może się nauczyć obsługiwać karabin, ale go nie zbuduje. Nasza broń ręczna nie zmieni losów świata. Jest jej za mało, podobnie jak amunicji.

– A technologia Rosomaków?

Polonus zastukał palcami w stół. Siedział rozparty na metalowym krzesełku. Mogliby być z Johnym braćmi, pomyślał Koller.

– Technologia Rosomaków prędzej, ale tym bym się zbytnio nie martwił. Żyjemy w erze cyfrowej, to całkowita rewolucja. Większość naszego

sprzętu dla człowieka sprzed ery rozwoju zaawansowanych programów kosmicznych, czyli co najmniej przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, to zabawki ufoludków. Pominę, że duża część sprzętu jest zależna od źródeł zewnętrznych. Bez dostępu do satelity, serwisowania i tak dalej za pół roku będzie bezużyteczny. Albo już jest. Nada się najwyżej na chlebak z ciekawym wzorkiem. Jeśli jesteśmy później… mimo naszej polskiej dumy – nie mamy światu znowu tak wiele do zaoferowania. Jeśli wcześniej… – Kres rozłożył ręce.

– Nie będą w stanie go skopiować? – spytał znów Ugawe. Wyraźnie interesował go ten wątek.

– Do rewolucji technologicznej potrzeba znacznie więcej od tego, co tubylcy mogą na nas zdobyć. Ponadto przemawia za tym miejsce. Afganistan nigdy nie był na poziomie zaawansowania, który pozwoliłby przyswoić te technologie.

– Jeszcze jedno pytanie i zamykam mordę – obiecał Polonus.

– Słucham.

– Znasz się na tym?

– Mam przygotowanie informatyczne. Będę próbował przenieść nas z powrotem do domu.

Mulat wykonał przy ustach gest zamykanego zamka, po czym wyrzucił wyimaginowany klucz za siebie.

– Głosujemy? – spytał Jaszczur.

– Chwila – powiedział Wieteska. – Zostaje jeszcze Safez i jego śmiercionośna brygada.

– Są nieliczni i osłabieni – stwierdził sierżant. – Jedyną technologią, jaką mają, jest kilka ciężarówek, kałasze i może wyrzutnie RPG. Poza tym… w jaki sposób mogą zmienić przeszłość w Afganistanie? Nie jestem historykiem, ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ważyły się tu losy świata.

– Może ma ze sobą jakiegoś śmiertelnego wirusa, który wymorduje ludzkość czy coś w tym rodzaju? – zapytał Wieteska.

– Gdyby Al-Kaida dysponowała takim wirusem, wykorzystałaby go już dawno. W erze globalizacji taka broń jest znacznie groźniejsza niż w cza-

sach, gdy w dwa dni pokonywało się odległość, którą my robimy co weekend między domem a supermarketem.

– Więc po co w ogóle przenosił się w przeszłość?

– Za pierwszym razem chciał zdobyć MDS-a.

– To jasne. – Koller pierwszy raz widział Wieteskę poirytowanego. – A za drugim?

Jaszczur wzruszył ramionami. Dla niego było to oczywiste.

– Za drugim razem zmusiliśmy go my. Poza tym wciąż pozostaje inny wątek: nie zdołamy go znaleźć po omacku. Zostawmy to Amerykanom. To ich zabawka. Nie ma tu niczego, co możemy zrobić, a oni nie zrobiliby lepiej. Wiedzą więcej. Głosujmy.

Koller policzył w myślach głosy. Powinno być dobrze.

– Optuję za wywoływaniem Jamroza do czasu uruchomienia urządzenia – kontynuował sierżant. – Jeśli się nie odezwą, wracajmy do domu. Nic tu nie naprawimy. Możemy tylko popsuć. Dowodzić powinien Koller, tak jak dotąd. Wie najwięcej.

– Powinniśmy zostać. – Upór Wieteski nikogo nie zaskoczył. – Nikogo, a już zwłaszcza Amerykanów, nie obejdą losy Polaków, jeżeli my o nich nie zadbamy. Jeśli chodzi o dowództwo, zgadzam się.

– Co mogliśmy zrobić, zostało zrobione. – Kres poparł Jaszczura. – Z ludźmi Jamroza byli Amerykanie. Wrócą po swoich. Zadanie nie zawsze da się wykonać w stu procentach, a jak na mój gust, i tak powinniśmy być zadowoleni. Do lidera też nie zgłaszam zastrzeżeń. Poruczniku?

– Safez to za duże zagrożenie – powiedział wreszcie Koller, po raz pierwszy zabierając pełny głos w dyskusji. – Znam go i wiem, jak działa. Nawet jeśli trafił tu przez przypadek, jest niebezpieczny. Zostańmy. Amerykanie mają pewnie garaż pełen zapasowych wehikułów. Nie oglądajmy się na nich.

– Trzy do dwóch – podsumował Wieteska. – Zostajemy.

– Chwila! – obruszył się Polonus. – Jestem czarny, wiem. Ale mówić jeszcze umiem.

– Sam powiedziałeś, że zostawiliśmy tu kupę technologii.

– Tak, Johny. Ale jeśli ona nie ma znaczenia, a ja wierzę temu wielkiemu kolesiowi… – powiedział to z szyderczym uśmiechem. Sam był pół głowy wyższy od Kresa. – To wybacz, ale ja się wypisuję. – Koller poczuł rosnący ucisk w gardle, Ugawe mówił dalej. – To polowanie nie wiadomo gdzie i nie wiadomo kiedy brzmi jak ekstrazabawa, ale obaj wiemy, że nie latamy tymi helikopterami sami. Groźni i źli mają rację. Zostawmy to Amerykanom. Oni to spieprzyli.

I koniec, ot tak, pomyślał Koller. W pięć minut przegrał Jamroza, Safeza i wszystko, po co w ogóle ruszał w przeszłość. Zostawiono mu dowództwo, ale teraz – gdy ustalono plan – niczego to nie oznaczało.

– Kres? – spytał, starając się nadać swojemu głosowi zwyczajne brzmienie. Niezbyt udanie. – Ile czasu zajmie ci zorientowanie się w oprogramowaniu?

– Bez obaw, niekrótko. Jeśli Jamróz tam jest, zdołacie go wywołać.

Pod warunkiem że jest w zasięgu radia i akurat prowadzą nasłuch, pomyślał Koller. Z Raji do Zabulu kawał drogi.

– Pomoże mi ktoś zabrać tego tu? – poprosił operator, schylając się nad Holdenem. – Chudy, ale byk. O kurwa!

Kres aż odskoczył.

Zza jego pleców Koller dostrzegł, że Amerykanin, blady, pokrwawiony i wyglądający jak trup, właśnie otworzył oczy.

18

Wojska wkraczały do wioski powoli, prawie dostojnie, w stylu, który kojarzył się z elegancją dawnych, dziewiętnastowiecznych bitew, gdy barwnie umundurowane czworoboki zajmowały pozycje pod ogniem armat w rytm wybijanej przez doboszy muzyki.

Była to jednak armia znacznie bardziej współczesna. Niemal współcześnie dowodzona.

Przeciwnik nie zaatakował od razu. Ostrożnie i inteligentnie zajmował pozycje. W kilkadziesiąt sekund od chwili, gdy ujrzeli pierwszych żołnierzy na skraju wioski, Nancy i Jamróz mieli przeciwnika za sobą, nad sobą i po bokach, najczęściej w martwym polu rażenia działka czy kaemu.

Polacy i Amerykanka nie mieli wątpliwości, że nawet jeśli dowódcy wkraczającego między zabudowania oddziału nie widzieli wcześniej Rosomaka, znają się na wojnie.

W pociętym blasku przebijającego zza gór słońca mogli przyjrzeć się odzieniu ludzi, którzy obserwowali ich wóz bojowy zza muszek karabinów. Były to te same mundury, które widzieli w Raji. Jamróz stwierdził rzecz, która teraz już wydawała się zupełnie oczywista.

– To nie są Niemcy.

Nancy zwróciła na to uwagę, choć nie znała się na szczegółach uzbrojenia i odzieżowych niuansach drugiej wojny lepiej niż widzowie filmów w rodzaju „Złota dla zuchwałych”. Teraz różnice były widoczne na pierwszy rzut oka.

Hełmy rzeczywiście wykonano według wzoru, który na dziesięciolecia utrwalił się w zbiorowej świadomości jako należący do zalewających Europę żołnierzy Hitlera, płaszcze również. Jednakże lufy karabinów, które w nich skierowano, należały do słynnej brytyjskiej konstrukcji Lee Enfield no.4. Światło igrało również na białych pasach, niekiedy na przytroczonych doń szablach o pozłacanych, inkrustowanych kunsztownie gardach.

Ponad wszystko wyróżniały się szczegóły wykończenia, drobne motywy, niuanse, które dostrzec dało się jedynie w bezruchu. Nie była to tylko różnica między filmowym wyobrażeniem a szarością historii. Kompilacja uzbrojenia i umundurowania wzmocniona została odmiennością kultury, co dostrzegali teraz nie tylko w ciemnych od słońca twarzach żołnierzy.

To była nie tylko inna armia, ale inna, nieeuropejska cywilizacja.

Zapatrzony w ekran Jamróz usłyszał głos Bońkowskiego:

– Panie poruczniku, mają Panzerfausty. Wyglądają na jakieś cięższe. – Panzerfaust i Panzerschreck należały do konstrukcji, które rozpoznawał nie tylko każdy żołnierz, ale nawet dziecko, o ile rodzice kupili mu komputer i chociaż jedną grę. – Jeden na pierwszej i co najmniej ze dwóch po bokach.

– Ilu dokładnie, Bońkowski?

– Nie mam pojęcia, panie poruczniku. Przemknęli mi tylko.

Jamróz odwrócił się w stronę kapitan Sanchez.

– Nadal chce pani spróbować odjechać?

Potrząsnęła głową.

– A pan? Nadal chce pan walczyć?

– To stara technologia. Poza tym mamy jeszcze kilka pocisków do działka.

Nancy przechyliła głowę. Gdyby wzrok zabijał, Jamroza właśnie by chowali.

– Okłamał mnie pan. W Raji.

– Nie do końca. W momencie, w którym rozmawialiśmy, w działku nie było amunicji. Czy mogłem kazać ją wymienić? Tak. Mamy zapas w magazynach pod wieżą, a system automatycznego ładowania odrobinę ucierpiał. Czy był na to czas? Nie.

– Jak gruby pancerz ma wasz wóz?

Polak bezwolnie pogładził ścianę pojazdu.

– Zdarzyło się już, że Rosomaki wytrzymywały trafienie z RPG – powiedział w lekkim zamyśleniu. – Z Panzerfausta z tej odległości pewnie też wytrzyma. No i jeśli odpowiemy ogniem, nie będą tak celni…

W wozie cuchnęło krwią i śmiercią, załoga ledwo trzymała się na nogach, a ich dowódca snuł właśnie plany zwycięskiej kampanii. Nancy słuchała zszokowana. Polacy, pomyślała.

– Nie można cofać się w przeszłość i strzelać do wszystkiego, co popadnie. To nie jest nawet nieodpowiedzialne. To zwyczajnie głupie.

– Nie mam paliwa, żeby odskoczyć. Wybrano za nas. Wieżyczka! Weź na…

– Nie! – zaprzeczyła Nancy z gwałtownością raczej furii niż kobiety.

– Tak.

– Popieprzyło was! Nie będziemy do nikogo strzelać!

– Więc oni będą strzelać do nas. A my sobie gadamy jak dwie pensjonarki.

Żołnierze przyglądali im się skonfundowani. Sympatie były wyraźnie podzielone. Po masakrze w Raji nie mieli ochoty na kolejną walkę. Ci, którzy popierali porucznika, robili to z obawy przed niewolą. Nikt jednak nie zamierzał się odzywać i wchodzić w drogę wściekłej Amerykance. Jeszcze

gdy w wiosce było spokojnie, robili zakłady o jej miejsce pochodzenia. W typowaniach prowadził Teksas, tuż przed piekielnymi otchłaniami.

– Raji było nieporozumieniem i ani my, ani oni nie jesteśmy winni.

– Naprawdę….

– A czy ktoś do nas strzela? – przerwała mu Nancy zimno.

– To kwestia…

– Panie poruczniku! – Operator działka aż krzyknął z wrażenia. W ciasnych ścianach Rosomaka nie był to miły dźwięk. – Ktoś idzie w naszą stronę!

– Oddział? – spytał Jamróz.

– Nie, panie poruczniku. Jeden człowiek. Tylko jeden.

Wszyscy natychmiast przesunęli się w stronę ekranów.

Zmierzający ku nim mężczyzna nie nosił charakterystycznego, dziwnego munduru. Był wysoki, barczysty i wyraźnie brzuchaty. Poruszał się jednak zwinnie, niczym stary lis. Jego twarz okalały bujne bokobrody, a pod nosem rysował się siwy wąs, który dodawał mu dostojności.

Nie okazywał nawet cienia lęku. Szedł spokojnie: w ten sposób wprost na lufy armat i karabinów maszynowych potrafił maszerować jeden tylko naród na świecie.

Gdy jego przedstawiciel się odezwał, język nie zaskoczył ani Nancy, ani Jamroza.

19

Pod zamkniętymi powiekami widział brata, którego ściskał na pożegnanie. Timothy, mały, niemądry – *silly*, jak mówiła matka – myślał, że biegając po pustyni z karabinem razem z dziećmi imigrantów i białej biedoty, służy ojczyźnie.

Amerykańska flaga, którą co roku, czwartego lipca, wywieszali przed domem razem z Timothym…

Bracia. Bracia w nowej wierze, z którymi postanowił zemścić się na Ameryce. Za Timothy’ego.

Holden… Hashim?

Gdzieś w mieszance adrenaliny i opium Rick Holden odkrywał świat, którego istnienia nie podejrzewał. W tym mglistym, puszystym, miękkim i szeleszczącym cicho świecie przeszłość mieszała się z przyszłością, prawda z kłamstwem, to, co się stało, z tym, co się mogło stać. Holden był w nim bardzo wieloma osobami. Muzułmaninem, dobrym Amerykaninem, dzieckiem, starcem, naukowcem. Urzędnikiem, futbolistą.

W tym świecie Holden nie wiedział, kim jest.

– Obudź się! – usłyszał, gdzieś prawie z zaświatów. – Jesteś bohaterem!

20

– Jesteś bohaterem, Holden! – powiedział Koller, a mężczyźni wokół kiwali głowami. – Wykonałeś zadanie.

Amerykanin poczuł nieoczekiwany przypływ sił. Nie miał czucia w mięśniach, ale umysł, choć przytłumiony, zdawał się sprawny.

– Gdzie jestem? Co się stało? – Próbował poszukać w pamięci ostatnich godzin.

Koller nie pozwolił na to. Uklęknął przy nim i poklepał po ramieniu.

– MEDEVAC w drodze. Oddychaj, nie myśl. Patrz na mnie.

– …kim jestem? – spytał Holden.

– Pamiętasz? – powiedział porucznik. – Brałeś udział w misji, zinfiltrowałeś grupę terrorystyczną Ahmeda Szaha Safeza.

– …jedź bezpiecznie, Tim – szepnął naukowiec, odpływając w majaki. – Masz wrócić żywy. Nie będę karmił twojego psa w nieskończoność…

– Ahmed Szah. Udało ci się go powstrzymać, Holden!

– Pomagałem im…

– Tak, oni w to wierzyli.

– Nie… Ja naprawdę…

– Naprawdę byłeś cały czas wierny Ameryce – stwierdził kategorycznie Koller. Starał się włożyć w swą angielszczyznę maksimum wiarygodności.

Holden zacisnął zęby.

– Zdychaj, psie – warknął po arabsku. – *Allahu*…

Nie dokończył. Znów stracił przytomność.

– Kurwa mać – syknął Koller i uderzył pięścią w obudowę komputera, tuż za głową Amerykanina. Usiadł na podłodze. Otarł przedramieniem pot z twarzy i westchnął głośno. Zaczynał mieć dosyć. Spojrzał na Brudnego.

– Dużo tego jeszcze macie?

Gromowiec skrzyżował ręce na piersiach.

– Kilka zastrzyków – powiedział, kręcąc głową. – Ale nawet przy niewielkich dawkach niedługo siądzie mu serducho.

– A ty, Maciek? – Koller spojrzał na Polonusa.

– O mnie się nie martw – odparł pilot. – Mojego towaru starczyłoby, żeby upalić pół Afganu.

„Będzie w kosmosie” – powiedział Ugawe, kiedy przyniósł ze swojego Mi-24 paczkę opium. Koller zauważył wtedy, że Wojtyński jeszcze w Raji, po aresztowaniu Wieteski, kazał przeszukać helikoptery. Mulat wzruszył ramionami i stwierdził: „Z całym szacunkiem dla gromowców, ale gówno się znają na śmigłowcach”.

Narkotyk miał się okazać kluczem. Przy ilości adrenaliny, której potrzebowali, torturowanie Holdena nie wchodziło w grę. Brudny oznajmił im to od razu. Powiedział, że mogliby oderżnąć Amerykaninowi drugą nogę tępą łyżeczką, a ten pewnie by się przy tym uśmiechał. W tej sytuacji zastanawiali się, czy jest sens przywracać go do świata żywych.

Ugawe ochoczo potwierdził.

– Przecież większość życia musiał służyć swoim. To nadal w nim siedzi. Dorzucimy facetowi trochę szprycy i się odnajdzie.

Polonus mylił się. Holden doskonale wiedział, wobec kogo jest lojalny.

– Bez sensu – powiedział Jaszczur. – Dajmy mu zdechnąć i wracajmy do domu.

– Spróbujmy jeszcze raz – powiedział Wieteska.

– Ciągle pieprzy o Timothym… – mruknął Koller, bardziej do siebie niż kogokolwiek innego.

– Marnujemy adrenalinę – stwierdził sierżant. – Po powrocie ktoś będzie musiał wytłumaczyć, skąd w jego ciele wzięło się opium. Ładujemy się w coraz większe gówno, zamiast zacząć myśleć, jak przedstawić to dowództwu.

– W dupie masz naszych, co? – spytał Wieteska, wstając z krzesła. – Po co w ogóle się zgadzałeś jechać? Medalu nie dadzą, dopiero teraz ci powiedzieli?

– Nie mam w dupie – stwierdził Jaszczur, szerzej rozstawiając nogi. – Rozmawialiśmy o tym. Gdyby była szansa ich ratować, pierwszy bym został. Bez takich tekstów, dobrze? Ja ani żaden z moich chłopaków nie jesteśmy tu, żeby ratować własny tyłek przed paką, bo zachciało nam się dorobić do emerytury.

– Moment, moment! – Polonus stanął za Wieteską. Oczy zwęziły mu się nieprzyjemnie. – Zaraz się okaże, że powinniśmy dziękować GROM-owi, bo łaskawie przeleciał się w naszych helikopterach i zjechał na linie na pustą plażę. Co byśmy bez was zrobili!

– Nasi przyjaciele też zginęli – włączył się Brudny. Jego głos pobrzmiewał nienaturalnym spokojem. – Zaraz prze…

Koller zerwał się na nogi.

– Spróbujmy inaczej – powiedział beztroskim tonem, tak niepasującym do atmosfery, że momentalnie przykuł uwagę wszystkich.

– Co? – wyrwało się z kilku gardeł.

– Ciągle gadamy o nim. Że jest bohaterem albo że wykonał zadanie. Próbujemy łapać się czegoś, czego nigdy nie miał w głowie. Dlatego się orientuje.

– Więc co? Pomalujesz twarz i przedstawisz się jako Osama bin Laden?

– Nic nie mówi o bin Ladenie – zauważył Koller. – Facet umiera, ewidentnie o tym wie. Ciągle pieprzy o Timothym. Tylko jego ma w głowie.

– Nie wiemy, kto to jest.

– Nie szkodzi. Timothy jest kimś, na kim mu zależy.

– Prawda – powiedział Polonus.

Jaszczur i Wieteska niechętnie skinęli głowami.

– Powiedzmy mu, że go uratował.

21

Timothy żył. Nic poza tym nie miało znaczenia. Ocalał, wrócił. Znów pracuje w biurze, pewnie niedługo ożeni się z Jasmine. Będą jeździli na wa-

kacje do Oregonu, a zimy spędzali w górach. Matka nie zacznie pić, wezmą ją ze sobą. Będą mieli gromadkę dzieci, telewizor i kominek. A na kominku zdjęcia całej rodziny, także Ricka, w złotych, pozbawionych gustu oprawach. Będą je oglądać tylko na święta, gdy wezmą się do wieszania kolorowych ozdób, ale to nic. Nie muszą wiedzieć, komu zawdzięczają szczęście, to nieważne. Ważne, że on przeżyje.

Jedno słowo.

Klucz.

Timothy.

– Mogę już umrzeć – powiedział Holden. Ogarnął go spokój. – Dziękuję.

– Holden, wróć do nas – poprosił Koller. – To jeszcze nie wszystko. Musisz nam opowiedzieć, co planuje Safez. On chce to cofnąć, odebrać Timothy'ego na nowo.

Naukowiec otworzył szerzej oczy. Zdawało się, że pojmuje więcej niż dotychczas.

– Na granicy Palestyny stoją gotowe do walki wojska Transjordanii – powiedział, łapiąc uciekające fragmenty wiedzy.

Koller spojrzał na Brudnego. Ten pokręcił głową. Obaj wiedzieli, że nie mogą spytać o datę, to zburzyłoby legendę.

– Co z nimi? – spytał porucznik. – Co z tymi Jordańczykami?

– To najsilniejsza, jedyna zorganizowana siła w tej chwili na Bliskim Wschodzie.

– Tak?

– Im nie wolno atakować Żydów. Król im zabronił. Tam są brytyjscy oficerowie, którym królowa zabroniła… Ale jeśli zostaną zaatakowani pierwsi…

Koller poczuł w głowie zupełny mętlik.

– Kto? Kto ich zaatakuje?

– Hagana. Operuje niedaleko. To organizacja bojowa… żydowska. *False flag operation*. Atak pod przykrywką Hagany może doprowadzić do włączenia się Jordańczyków do wojny. Wtedy oni uderzą na Izrael i państwo nigdy nie powstanie.

– To jest plan Safeza? – spytał Wieteska, wychodząc na moment z roli. Był wyraźnie rozczarowany. – Zmusić jakąś armię do ataku na powstający Izrael?

– Nie… Jego tam nie będzie.

– Gdzie? Gdzie będzie?

– Nie udało się przekształcić reaktora w bombę. Ale przekształciliśmy zapasowy… – Holden zawahał się. – My?

– Taki był plan – wtrącił szybko Koller. Rozpaczliwie starał się nadążać za narracją naukowca. – Co dalej?

– Jedzie do Tel Awiwu. Tam jest cały rząd przyszłego Izraela…. Nie. Prawie cały. I nie tylko…

Amerykanin przymknął oczy, jego mięśnie karku zaczęły się wyraźnie rozluźniać. Porucznik wyrwał Brudnemu butelkę z ręki i wylał jej zawartość na szyję naukowca. Ten wzdrygnął się, ale na powrót zaczął mówić.

– Tuż przed wyjściem Brytyjczyków z Palestyny… Żydzi ogłoszą deklarację niepodległości Izraela. Safez nie chce do tego dopuścić. Dzień wcześniej, w trakcie obrad nad ogłoszeniem… tekstu, odpali bombę. W Palestynie jest sześćset tysięcy Żydów, z czego dwieście w Tel Awiwie. Jeśli mu się uda, utrąci nie tylko głowę, ale i korpus bestii… – Holden złapał Kollera mocno za rękę. Jego głos nabrał mocy i żarliwości. – Nie pozwól mu jechać! Proszę, nie pozwól mu się zaciągnąć!

Kres siedział przy komputerze i stukał w klawiaturę, próbując rozeznać się w systemie MDS-a.

– Jak duża jest bomba? – spytał porucznik.

– Pół kilotony…

– Ma lokalizator?

– Satelitarny… – jęknął Holden.

Porucznik zmełł przekleństwo w ustach.

– Co jeszcze musimy wiedzieć?

– Bateria… To był system stabilizujący. Bez niego właściwy reaktor MDS-a ulegnie degradacji.

– Jak szybko?

– Miesiąc, dwa. Nie wiem.

– Wybuchnie?

– Nie. System zapobiegnie też promieniowaniu… Ale stanie się nieprecyzyjny. A potem przestanie działać… – Naukowiec charknął. – Nic mnie to nie obchodzi, że Timmy wolałby, żeby pochować go na cmentarzu wojskowym, mamo. Szanowałem jego wolę, kiedy poszedł do wojska! Ameryka dała mu mundur, w który sama strzelała. Ja dam mu trumnę! Ja…

Holden znowu odpłynął. Koller próbował wyciągnąć z niego coś jeszcze, ale usłyszał tylko kolejne majaki i przekleństwa. Spojrzał na stojącego obok Kresa.

– Da się jakoś namierzyć lokalizator bez użycia satelity? – spytał. – W końcu jest tam jakiś nadajnik.

– Nie będzie łatwo. Zakładam, że ma bardzo mocno wyizolowany sygnał, właśnie dlatego, żeby nie znalazł go ktoś przypadkowy.

– Zero szans?

– Szanse są, ale nie liczcie na cuda. Góra kilkaset metrów zasięgu. I raczej nie odezwie się, dopóki nie uruchomią systemu.

– Co za różnica?

– Samej baterii nie zdołam złapać, to wyższa szkoła jazdy. Ale skoro bateria nie jest bombą z założenia, pewnie Safez będzie imitował inicjację skoku. Do tego użyje w miarę normalnego komputera. Z wi-fi, GPS-em i całym gównem, które w głuchym na sygnały cyfrowe świecie wyniuchamy z daleka.

– To już coś.

– Pół kilotony. Niewiele – powiedział Wieteska zupełnie trzeźwo. Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni. – W czterdziestym piątym na Hiroszimę zrzucono piętnaście kiloton. Mając ledwie kilka procent tej mocy, Safez nie zdoła zniszczyć całego miasta.

– Najważniejszy jest rząd – powiedział Kres. – Bez niego straty w cywilach będą drugorzędne.

– Ale jaką będzie miał pewność, że zdoła go wyeliminować? Ten ładunek rozpieprzy wszystko w promieniu stu, może dwustu metrów, ale nie dalej.

– Musi podejść blisko.

– Wtedy lokalizator zacznie pikać, a my go capniemy – ucieszył się Ugawe.

– Nie otwieraj jeszcze szampana. Muszą najpierw uruchomić komputer. Wątpię, żeby włączali go wcześniej i grali w pasjansa. Będziemy mieli prawdopodobnie kilka minut od ustalenia lokalizacji bomby do momentu eksplozji.

Koller spojrzał na Jaszczura, potem na Kresa, Polonusa, na Czujkę, Brudnego i siłą rozpędu na Wieteskę.

– Ktoś nadal chce wracać do domu? – spytał.

Patrzyli przed siebie, a potem po prostu, kolejno, jakby się umówili, kiwnęli głowami. Byli żołnierzami. Świadomość, że prawdopodobnie wróciliby do zupełnie innego świata, wzmacniała poczucie obowiązku. Nikt nie wiwatował i nie bawił się w górnolotne przemówienia.

Padło kilka przekleństw, a potem zabrali się do roboty.

22

Natychmiast po dyskusji część grupy pojechała w góry. Ugawe na pokładzie Mi-24, Czujka i Brudny w MDS-ie.

Kilka godzin przeczesywali wzniesienia i przełęcze. Szukali kryjówki. Znaleźli ją dopiero, gdy Ugawe zawisł nad zupełnie płaskim załomem zbocza i nadał przez radio:

– Ukryte lepiej niż wdzięk Karskiego.

– Co takiego? – spytał Czujka. Z ziemi nie widzieli nic poza typowym afgańskim krajobrazem. Surowy beż piachu i skał.

– Jaskinia, panowie.

Dopiero, gdy załoga MDS-a podjechała bliżej, Czujka i Brudny dostrzegli, że pomiędzy dwoma zachodzącymi na siebie fragmentami skał znajduje się grota.

W środku ukryli urządzenie.

– Do dwudziestego pierwszego wieku wymyślą całą masę sprzętu, który pozwoli ją odnaleźć – zauważył Brudny.

– Ale czy cokolwiek z tego zostanie użyte przed dwa tysiące siódmym rokiem?

– Nie, raczej nie – przyznał gromowiec.

Gdy pojazd znajdował się już głęboko na dnie jaskini, grupa wsiadła do śmigłowca. Ugawe wzniósł się ponad góry.

– Powiedzcie „pa, pa” naszym czasom – powiedział pilot.

Trzy rakiety, jedna za drugą, uderzyły w skały po lewej, prawej i kilkaset metrów ponad wejściem do jaskini.

Lawina, którą wywołały, była potężna.

23

Ustalili wreszcie, w jakich czasach się znaleźli. MDS miał tylko dwa programy, w tym jeden powrotny, do 2007 roku. Drugi zawierał odpowiedź na pytanie, które zadawali sobie od kilku godzin.

Technika pokładowego Halnego i operatorów Gromu pochowali obok śmigłowca; rozbity helikopter służył za płytę nagrobną. Wańkowskiego i operatora uzbrojenia nie pogrzebali: nie zdołali znaleźć szczątków nadających się do pochówku. Koller zauważył, że Wietesce trzęsły się ręce, gdy oglądał rozbitą maszynę i brudne plamy, które pozostały po jego ludziach.

Po pogrzebie odmówili modlitwę. Wszyscy razem: wierzący i niewierzący.

Potem przenieśli ocalałą amunicję do pozostałych maszyn.

– Dokąd teraz? – spytał Jaszczur, gdy odchodzili w stronę śmigłowców.

– Safez ma niecały miesiąc, żeby pokonać cztery tysiące kilometrów – rzucił cicho Koller. – Musimy się tam znaleźć jak najszybciej. Skoro on rozdziela siły, my też powinniśmy.

– Jak?

– Wieteska poleci na pogranicze. – Spojrzał na stojącego wciąż przy helikopterze kapitana. – Tam się rozstaniemy. Helikoptery zostaną i nie dopuszczą do powodzenia prowokacji wojsk Transjordanii. My przedrzemy się do Tel Awiwu, po Safeza.

– Brzmi prosto.

Koller prychnął.

– Tak. Tak brzmi.

Za nimi, kilkadziesiąt metrów dalej, Johny przeżegnał się i po raz ostatni oparł rękę o kadłub Mi-24 w miejscu, w którym wydrapali nazwiska poległych. Nie zapisali dat narodzin, jedynie dzień śmierci.

16 kwietnia 1948. ■

VI

KRÓL MOHAMMAD ZAHER SZAH

1

Afganistan, maj 1948

John Atwood był mężczyzną po sześćdziesiątce, bez strachu w oczach i o raźnym chodzie, którym – jak tylko jeden naród na świecie, jego naród – maszerował wprost na lufy dział i karabinów.

– Brytyjczyk, lotnik, nieodrodny syn Kiplinga – przedstawił się Nancy i Jamrozowi, stojąc dokładnie na wprost Rosomaka. – Z braku lepszej alternatywy, imperialista.

Pełnił funkcję oficjalnego doradcy wojskowego i ambasadora w jednej osobie na dworze króla Afganistanu.

– Jaśnie oświeconego Mohammada Zahera Szaha, który miłościwie panuje nad tym urokliwym pustkowiem, wierząc uparcie, że zamieni je kiedyś w zielone winnice Szampanii. Kiedy patrole znalazły tylu białych na pobojowisku w Raji – dodał zaraz – natychmiast mianowano mnie tymczasowym dowódcą królewskiej gwardii.

Owa gwardia nosiła mundury niemieckiego wzoru. Atwood wyjaśnił zaraz, że wybrano ten krój, nim jeszcze się tu zjawił, i nie należy doszukiwać się w owym fakcie jego osobistej porażki.

Nancy i Jamróz przedstawili się jako para alianckich wywiadowców. Specjalny oddział o ściśle tajnej misji, który wracał z ZSRR i zgubił drogę. Szczegóły musieli utajnić.

Anglik przyjął to ze znacznie mniejszym zdziwieniem, niż się spodziewali.

– Amerykanie zrównali z ziemią dwa miasta. Dwiema bombami – powiedział w zamyśleniu. – Nic już nie będzie takie samo. I nic mnie nie za-

skoczy. No – dodał po chwili. – Ale dama w stopniu kapitana? To utrudni rozprawę.

– Rozprawę? – spytał Jamróz. – O czym pan mówi?

– Trzeba jakoś wyjaśnić pobojowisko, które znaleźliśmy niedaleko. Poproszono mnie, bym przekazał wam oficjalne zaproszenie do Kabulu.

– A jeśli z niego nie skorzystamy? – rzuciła Nancy.

Atwood rozłożył ręce.

– Niestety, na wypadek odmowy dostałem instrukcję, by oddać dowództwo w ręce afgańskiego oficera.

2

Zapewniono im ropę do Rosomaka i należny konwój. Gdy tylko okazało się, że nie będzie przeciw niemu walczył, Atwood zachwycił się wozem. Wypytywał o szczegóły, chciał oglądać wnętrze, posunął się nawet do zagwarantowania własną reputacją uczciwości załogi przed Afgańczykami, byleby tylko mógł razem z nimi jechać w środku.

Pani kapitan i porucznik zgodnie uznali, że rozsądniej będzie, jeśli trójka oficerów odbędzie podróż dżipem.

– By uspokoić Afgańczyków – wyjaśnili.

Jamróz wydał rozkaz, by natychmiast po dojechaniu na miejsce żołnierze rozmontowali elektronikę Rosomaka. Maszyna miała przypominać zwykły, odrobinę lepiej wykonany czołg, na pewno nie dzieło technologii XXI wieku. Bądź co bądź, wyłączony ekran dla człowieka nieświadomego technologii wyglądał jak zwykła ciemna tablica.

– Celem nadal pozostaje MDS – szepnęła Nancy, kiedy szli w stronę dżipa.

– Zaraz po uratowaniu tyłków przed ukamienowaniem – sprostował Polak.

Anglik miał zwyczaj wygłaszania przemów, czasem nazbyt szczegółowych, łatwo więc uzyskali podstawowe informacje. Afganistan, czterdziesty ósmy rok. Zadupie. Ich rozmówca Nancy traktował z galanterią, a do Jamroza zwracał się z powagą.

– Przepraszam, że mój kraj porzucił pańską ojczyznę – powiedział, gdy roztoczył już historyczną wizję znaczących dla powszechnych dziejów wydarzeń w Afganistanie w trakcie drugiej wojny i zaraz po niej. Nie było tego dużo. – Nie tak powinno zachowywać się imperium.

Jamróz był zupełnie zaskoczony.

– Dziękuję… – wydukał. – Zwykle wszyscy wmawiali… wmawiają nam, że mamy niepodległy rząd.

– *God save the king*, za te brednie wstyd mi nawet bardziej. Jeśli o mnie chodzi, to jestem człowiekiem, który nie sprzedaje honoru za uśmiech Sowietów. Zrobiliśmy piękną rzecz – stwierdził, spoglądając w zamyśleniu na jadącego za nimi Rosomaka. – Rzuciliśmy na szalę całą potęgę i straciliśmy ją, by powstrzymać najstraszniejszego złoczyńcę w dziejach. Niedotrzymanie gwarancji i zdrada najwierniejszego sojusznika rzuca się cieniem na nasz honor.

Anglik przybył na królewski dwór w trzydziestym siódmym roku, razem z brytyjskimi samolotami. Miał szkolić afgańskich lotników, w miarę możliwości neutralizując przy okazji wpływy Trzeciej Rzeszy w jednym z największych państw Azji Środkowej. Brytyjczyk chętnie podkreślał własną rolę w utrzymaniu neutralności rządzącej dynastii Barakzai podczas drugiej wojny światowej.

Był mitomanem. To nie ulegało wątpliwości.

– Kiedy staniemy przed królem? – spytała Nancy, gdy zza przełęczy gór Hindukuszu ukazała się wreszcie równina, na której leżał Kabul.

– Prawdziwej władzy w Afganistanie nie sprawuje król.

Tego wieczoru Atwood zapewnił im gościnę we własnych apartamentach. W jednym z największych pałaców stolicy.

3

Pałace były dwa. Dwa gniazda intryg.

Pierwszy nosił nazwę Darul Aman. Potężny neoklasycystyczny budynek o ogromnych, pełnych zielonych labiryntów ogrodach. Siedziba premiera-regenta, w której Atwood rezydował za zgodą szefa rządu.

Drugi, bardziej oddalony od miasta, reprezentacyjny budynek nazywano Tapa-e-Tajbeg – „Pałacem Wielkiej Korony”. Wznosił się na szczycie uformowanego w tarasową formę wzniesienia i służył rodzinie królewskiej jako miejsce odpoczynku i polowań. Zbudował go tuż po pierwszej wojnie światowej wielki reformator Afganistanu i główny autor niepodległości państwa, Amanullah Khan. Ten sam władca zbudował Darul Aman – przeznaczony na siedzibę parlamentu, który nigdy nie powstał. Symbol demokratycznych zmian, do których w kraju nie doszło.

Wybuchła rebelia, Amanullah Khan stracił władzę, a w kraju zapanował chaos.

Zaczęła się walka o tron.

W ciągu roku Kabul dorobił się trzech władców. Ostatnim był ojciec Mohammada Zahera Szaha, jednak nawet on rządził tylko trzy lata. Obecny, trwający od trzydziestego trzeciego roku, okres był z pewnością stabilny. Nie oznaczał natomiast królewskiej władzy. W roku czterdziestym ósmym Zaher Szah, teraz trzydziestokilkuletni mężczyzna, pozostawał marionetką. Oddał rządy w ręce swoich wujów, których – jednego po drugim – mianował premierami-regentami.

Król mieszkał więc w Tapa-e-Tajbeg, prawdziwa władza zaś znajdowała się w murach Darul Aman, w rękach Szaha Mahmuda Khana.

Przed nim Nancy i Jamróz musieli wytłumaczyć udział polsko-amerykańskiego oddziału w masakrze w Raji.

Nim to nastąpiło, Kabul nauczył ich cierpliwości.

4

Oczekiwanie na oficjalną wizytę u premiera-regenta przedłużało się w nieskończoność. Szef rządu albo przebywał poza miastem, albo był zajęty „szczególnie istotnymi kwestiami o kluczowym znaczeniu dla ważnych spraw państwa”, jak – w tłumaczeniu Atwooda – twierdzili jego doradcy.

Rosomak znajdował się w zamknięciu, pilnowany na szczęście przez polskich żołnierzy, którzy mieli do niego dostęp w ciągu dnia. Nocami teren patrolowała gwardia. Poza tym szeregowcy i podoficerowie mieli do dyspo-

zycji tylko własne kwatery i niewielki dziedziniec przed nimi. Dalej czekały straże.

Nancy i Jamrozowi swobodę poruszania się pozostawiono jedynie w obrębie apartamentów Atwooda – Anglik poręczył za nich – i, ewentualnie, w granicach kilku ulic miasta. Pod eskortą zbrojnej straży.

Nie mogąc mieć wpływu na datę „procesu", wrócili do sprawy MDS-a. Choć świadomość, że choćby doszli do najgenialniejszych konkluzji, nadal nie będą mogli wprowadzić ich w życie, wywoływała wściekłość obojga.

Atwood poinformował ich, że w ruinach Raji nie pozostał nikt żywy. Nie znaleziono również urządzenia, które pasowało do zapewnionego przez Nancy opisu, a oddział jeńców zniknął. Trop urywał się.

Pozostało im tylko zabijanie czasu i okazjonalne koktajle u gospodarza.

5

Kilkakrotnie anonsowano przybycie premiera-regenta i chęć wysłuchania zagranicznych gości. Za każdym razem w ostatniej chwili wizytę odwoływano.

– Jesteśmy jak dzieci we mgle – powiedział Jamróz, ocierając twarz z potu.

Kazano im czekać blisko dwie godziny w pozbawionych klimatyzacji – co oczywiste – pomieszczeniach, nim wreszcie ktoś się pofatygował i ze smutną miną pokręcił głową.

– Możemy dalej szukać kontaktu z Amerykanami – podjęła Nancy.

– Nie słuchałaś Atwooda?

Anglik powiedział im, że „Amerykanów nie ma i długo jeszcze nie będzie w Afganistanie, naturalnej sferze wpływów imperium. Przez długie lata Londyn prowadził politykę zagraniczną kraju. USA miały tam poselstwo czy dwa, ale zbyt dawno, by warto było o tym pamiętać. Ambasada powinna być w Teheranie, ale i to nic pewnego".

– Nie mamy powodu, żeby mu nie ufać – przyznała Nancy.

– Nie mogliście najechać jakiegoś cywilizowanego kraju? Za mało zasobów naturalnych?

– Daj mi spokój – jęknęła Amerykanka. Pamiętasz, jak się mówi „woda”?

W przeszłości irytowały proste rzeczy. Na przykład brak plastikowych butelek na wodę. Szklane były zbyt ciężkie, a metalowe nagrzewały się momentalnie. Nancy zaś odmówiła noszenia ze sobą skórzanego bukłaka jako „całkowicie pozbawionego gustu”. Wolała cierpieć pragnienie.

– Mamy do wyboru: ścigać porywaczy MDS-a w nadziei, że ze wszystkich kierunków świata przypadkowo wybierzemy właściwy, albo szukać kontaktu z USA. Przy czym w drugim przypadku będziemy mogli powiedzieć najwyżej coś w rodzaju: zgubiliśmy wehikuł czasu, nie wiemy, kto go ma, gdzie jest i co chce z nim zrobić, ale musicie nam pomóc.

– Więc co proponujesz? – warknęła Nancy. Była na krawędzi wybuchu. Jamróz od dawna spodziewał się, że lada moment pęknie i zdzieli kogoś w łeb. Miał nadzieję, że będzie wtedy daleko. – Tracimy czas, czekając, aż facet w fartuchu łaskawie pozwoli nam się wytłumaczyć z tego, że nas zaatakowano, a z każdą chwilą MDS może znajdować się coraz dalej. Wiem tyle samo co ty! – Hamulce pękły, teraz krzyczała. Jamróz błagał w myślach o pomoc swojego patrona. Strażnicy spoglądali zszokowani. – Mam myśleć jednocześnie o chronieniu technologii Rosomaka przed wpadnięciem w niepowołane ręce, ratowaniu naszych tyłków, znalezieniu MDS-a i o czym jeszcze, co? Zaproponuj coś, do cholery, zamiast ciągle się czepiać!

Jamróz przełknął ślinę.

– Mam jedną propozycję.

– Jaką?

– Niestety, czasochłonną. Wykorzystajmy stowarzyszenie alkoholików na dyspensie.

– Przyjaciół Atwooda? Żaden z nich nie mówi po angielsku.

– Za to mówią w językach Rilkego i Dumasa – stwierdził Jamróz, zdobywając się na poetycki ton.

– Nie znam niemieckiego.

– Ale mówisz po francusku.

– Błagam cię, nie masz nawet pojęcia, jak bardzo bredzisz.

Ambicję Whitmana, by córka znała język dyplomacji, dało się nazwać – w najlepszym wypadku – niepowodzeniem.

– Dobrze więc. Coś rozumiesz, tak? Cokolwiek.

– Cokolwiek.

– Więc gromadźmy informacje, do cholery. Nie znam żadnego z tych języków, wiesz, jak mówię po angielsku, ale będę słuchał każdego zdania tych zapijaczonych skurwysynów, bo inaczej nigdy nie wykombinujemy, gdzie szukać MDS-a.

– Historyczne procesy…

– Otóż to. Ten, kto go porwał, chce zmienić historię, tak? A my nawet jej nie znamy. Trzeba się doinformować.

Kolejne wieczory spędzali więc w towarzystwie Atwooda, na półoficjalnych koktajlach. Z tych bankietów, oprócz powtarzających się w kółko anegdot i popisów erudycji gospodarza, wynosili wiadomości o historycznych przemianach na Bliskim Wschodzie. Zdobytą wiedzę analizowali rankami i popołudniami.

W trakcie spacerów ulicami Kabulu.

6

U szczytu dziennej wędrówki słońce rozgrzewało bezlitośnie piaszczyste place, blade mury zabudowań i brukowane ulice Kabulu, przeganiając z ulic tak przechodniów, kupców czy policjantów, jak i zbłąkane psy.

Odbierało chęć do życia.

Na ogół przywracały ją pojedyncze podmuchy wiatru z gór Hindukuszu, które majaczyły na horyzoncie. Ostatnio powietrze było martwe. Pełne siedmiotysięczników pasmo o białych kłach, które wrzynały się w niebo, wyglądało jak fatamorgana, drgająca w oparach żaru.

W tym okresie upały nie zdarzały się w mieście często – rok 1948 nadrabiał z nawiązką kilka poprzednich lat. Kobiety i dzieci pozostały w domach, poukrywane przed gorącem. Mężczyźni spędzali popołudnia leniwie, schowani pod wielkimi płachtami i czymś na kształt szałasów, które wznoszono nad tarasami i wejściami do budynków. Nawet pośród fontann i ogro-

dów, tak licznych w mieście, rzadko szukano schronienia w południowej porze.

„Gwardia” szybko znienawidziła obowiązek towarzyszenia gościom z zagranicy. Żołnierze zwykle z ponurymi minami wlekli się z tyłu. Tak było i tym razem. Nancy i Jamróz mogli swobodnie rozmawiać.

– Afganistan nic teraz nie znaczy i długo jeszcze tak zostanie – powiedział porucznik. – Poza tym władca tutaj, jego wuj czy kto tam zawiaduje tym bałaganem, jest zbyt prozachodni – kontynuował. – Nie związałby się z radykalną grupą. A mówiłaś, że Mohammad Zaher będzie rządził jeszcze dwadzieścia pięć lat.

Łączyli własną wiedzę z historii i współczesności z tym, czego dowiadywali się na miejscu.

– A potem przyjdzie republika – przyznała Nancy, spoglądając na towary wystawione na ulicznym straganie. Naszyjniki z paciorków i cienkie chusty. – Iran też raczej nie wchodzi w grę. W końcu w dwudziestym pierwszym wieku to „ich” kraj. Nie mają czego zmieniać w jego historii.

Środkiem ulicy jechały zaprzężone w muły wozy, mijane przez nowe, zachodnie autobusy. Stukot zwierzęcych podków mieszał się z warkotem samochodowych silników. Budynki wzniesione na zachodnią modłę stały ściana w ścianę z domami z gliny. Wreszcie ludzie: odziani w marynarki i tweedowe spodnie albo thobe mężczyźni, kobiety – choć rzadziej widywane na ulicy – w burkach albo bombkowych sukienkach i typowych dla dam z Zachodu koronkowych kapeluszach.

Te dwa światy żyły bardziej obok siebie niż ze sobą. Stanowiły naoczny dowód postępujących w kraju, prozachodnich zmian.

Jamróz odtrącił kupca, który zapewniał, że są przyjaciółmi, a dla przyjaciół wszystko za półdarmo. Tłumaczowi także nie udzielono właściwego oficerom przywileju opuszczania pałacu, ale tak banalne podstawy języka oficerowie zaczęli łapać dość szybko. Zwłaszcza że bez przerwy zwiedzali jedną, najbliższą dzielnicę.

– Zostaje Pakistan – stwierdził porucznik. – Tam trwa wojna o Kaszmir, o ile dobrze zrozumiałem tego faceta z wąsem w stylu Adolfa.

– Wojenka. – Kobieta machnęła ręką z lekceważeniem. – Poza tym nie bardzo wyobrażam sobie, dlaczego talibom miałoby zależeć na tym, by Pakistan zdobył Kaszmir.

– Może chcą przejąć władzę w Pakistanie? To młody kraj. No i dochodzi rebelia Beludżystanu.

Sytuacja na Bliskim Wschodzie w pierwszej połowie 1948 roku nie ułatwiała im zadania. Wszędzie coś się działo i najczęściej były to zmiany zupełnie przełomowe.

– Jest w tym wszystkim jeden kłopot – powiedziała wreszcie Nancy.

– Jaki?

Skręcili w jedną z bocznych alejek. Tu stary świat uderzał mocniej. Ulica była pozbawiona bruku, domy zaniedbane i małe, a mieszkańcy zdawali się znacznie mniej postępowi i różnorodni. Strażnicy zbliżyli się.

– Jak bardzo Holden by nie oszalał, najważniejszy był brat. Co tydzień chodził na jego grób. Wierzę, że zgodziłby się na wszystko, żeby ratować młodszego z Holdenów, ale tylko pod warunkiem, że byłby do tego przekonany.

– I?

– W jaki sposób wpływ na rebelię pakistańskiej prowincji albo nawet na wojnę w niej mógłby zapewnić, że w dwa tysiące pierwszym roku Amerykanie nie wkroczą do Afganistanu?

– Więc chodzi o zmiany w Afganistanie. Zataczamy koło.

Znów nie doszli do żadnych rezultatów.

7

O rezultacie „procesu” dowiedzieli się pewnego dnia od Atwooda. Nie doszło do audiencji, nie zobaczyli szefa rządu nawet z daleka.

Anglik zaczął snuć opowieść o cudach logicznej i krasomówczej ekwilibrystyki, których musiał dokonać. Bronił ich – wedle własnej relacji – niczym lew. Zaświadczył, że osobiście zbadał pobojowisko i przemawia ono na korzyść przybyszów. Powiedział szefowi rządu, że zwłoki Polaków znaleziono głównie w centrum bazy, fatalnym miejscu na zorganizowanie zasadzki. Liczba poległych również wskazywała wyraźnie, że to oni padli

ofiarami ataku z zaskoczenia. Co innego „pomarańczowe mundury”, jak Atwood nazwał jeńców. Rozmieszczenie tych poległych ewidentnie wskazywało na spójne, celowe działanie oraz dowodzącą inicjatywy i przewagi skuteczność.

Nancy i Jamróz słuchali tego w jego apartamencie z otwartymi ustami. Bynajmniej nie z powodu panującego w opowieści napięcia, ale przez głuchą wściekłość, która rosła w nich na myśl o godzinach straconych w korytarzu przed kancelarią premiera.

Kapitan Sanchez próbowała ukryć emocje, popijając koktajl owocowy, choć Jamróz widział, że jej ręce lekko drżą.

– Na koniec wreszcie dowiodłem, że owa strzelanina musiała być zwykłym przypadkiem, a alianci, poręczyłem za was własną głową, są Afganistanowi życzliwi. Tym bardziej więc i wy jesteście. Logiczne, prawda?

– Skąd ten zaszczyt? – spytał szybko Jamróz. Zwykle to nie on zagadywał Anglika, ale tym razem nawet nie liczył na pomoc ze strony towarzyszki. Wiedział, że jeśli Nancy teraz się odezwie, stracą jedynego sojusznika w Kabulu. – Czym zasłużyliśmy na podobne zaufanie?

– Słyszeliście, co powiedział Keitel do tego paryskiego pudla, Tassigny’ego, gdy Niemcy kapitulowali?

Polak pokręcił grzecznie głową. W duchu przeklinał. Zaczynała się kolejna śmiertelnie nudna anegdota.

– Powiedział, że Francja powinna się podpisać po stronie zwycięzców i pokonanych. Tassigny groził samobójstwem, jeśli nie dadzą mu postawić parafki. I tylko dlatego ta upadła nacja ma dzisiaj własną strefę okupacyjną. Sam osobiście podałbym mu odbezpieczony rewolwer… Dążę do tego, że prawdziwych zwycięzców tej wojny nie jest wielu, ale na pewno powinni należeć do nich Polacy, Anglicy i może, pani wybaczy – kiwnął lekko głową w stronę Nancy – Amerykanie. Musimy trzymać się razem. Pomagać sobie. Polityka to tanie gierki i konsensusy. Jeśli o mnie chodzi, Włosi i Francuzi są równie winni mordowania Żydów jak Niemcy.

Nancy zamarła ze szklanką w połowie drogi do ust.

Następnego ranka Nancy wyciągnęła Jamroza na spacer niemal siłą. Dochodził koniec kwietnia, upał się wzmagał.

– Myliliśmy się – powiedziała Nancy.

– Co do czego?

– Wszystkiego. To nie Afganistan, Pakistan, nawet Iran. Nic blisko. Nie porwano MDS-a, żeby zmieniać historię tych państw.

– Skąd to wiesz?

– W pewnym sensie od Atwooda. Skierował mnie na właściwe tory.

– Słuchaj, nie mam na to siły…

– Zrozum – wyjaśniła energicznie. – To jest gra konsensusów.

– Jakich konsensusów, do cholery?

Nancy uśmiechnęła się. Jamróz był dobrym żołnierzem, ale miał nikłe pojęcie o polityce. Rodzina Whitmanów, po tylu latach blisko szczytów władzy, miała ją we krwi. Bez tych umiejętności i legionu ustosunkowanych wujków, którzy doradzali prezydentom, dowództwo MDS Unit przydzielono by komuś innemu.

– Tego, w co uwierzy Holden, z tym, na co zgodzą się oni.

– Oni, bo rozumiem, że mówisz o talibach, są jedną wielką bandą popaprańców – zaprotestował porucznik, omijając leżącego na ziemi żebraka, który nie dawał znaku życia. – Ich powinno się analizować przy pomocy wiwisekcji, nie logiki.

– Nieprawda. Żadną organizacją nie da się rządzić, mając samych fanatyków, od góry do dołu. Liderzy Al-Kaidy doskonale wiedzą, jaki wpływ miała na nich historia. Ona stworzyła ich jako ludzi i organizację jako całość. Nie obchodzi ich dobro narodu ani tej ziemi. Sowiecka interwencja sprawiła, że powstali, a resztki afgańskiej państwowości legły w gruzach. Z kolei nasza pomoc w latach osiemdziesiątych dała liderom grupy narzędzia potrzebne do zajęcia kraju po wycofaniu Sowietów.

– I co z tego wynika?

– Nie odważą się mieszać w historii tutaj, bo bardzo łatwo mogliby niechcący doprowadzić do własnego końca.

– Więc po co w ogóle się przenosili?

– Bo dostrzegli szansę.

– Na co?

– Żeby zwiększyć swoje atuty. Zniszczyć największego sojusznika wroga. To, co mają za amerykański lotniskowiec w ich strefie wpływów. Nie zaburzając jednocześnie ciągu przyczynowo-skutkowego, który doprowadził do narodzenia ich organizacji.

– Izrael – powiedział wreszcie Jamróz. Aż zatrzymał się z wrażenia.

– Tak! Wracamy do Holdena. Levinsky, jego współpracownik, był Żydem. Musieli mieć spięcia. Al-Kaida mogła to wykorzystać, żeby przekonać go do planu. „Amerykanie pojechali do Afganistanu tylko z powodu Izreala" i tak dalej. Jak świat światem, banda kretynów obwinia o wszystko Żydów. Nośne i proste.

Jamróz aż gwizdnął.

– Nieźle. Jak ich zatrzymamy?

Rozmowę przerwał głos strażnika za nimi. Nie rozumieli, co mówi, ale po tylu razach wiedzieli doskonale, o co chodzi.

„Dalej nie wolno iść".

Wyznaczono tylko niewielką strefę w centrum miasta, w której pozwalano poruszać się Nancy i Jamrozowi. Zawrócili posłusznie.

– Widzisz to, co ja? – spytała Nancy, stając w miejscu.

Porucznik rozejrzał się, przetarł oczy, zerknął na kapitan Sanchez i zrobił głupią minę.

– Co tu widzieć? Pejzaż ten sam od tygodni.

– Pomyśl.

Z miejsca, w którym stali, rozciągał się widok na dwa pałace. Pierwszy był Darul Aman – gdzie znajdowały się apartamenty Atwooda. Nieco dalej stał Tapa-e-Tajbeg – „Pałac Wielkiej Korony". Wznosił się na szczycie uformowanego w tarasową formę wzniesienia.

Siedziba króla.

9

– Szah Mahmud nie pozwoli wam ot tak spotkać się z królem – powiedział Atwood tego samego wieczoru.

Upał zelżał odrobinę. Siedzieli w marmurowej altanie, w ogrodzie Darul Aman. Anglik rozparł się na jednym z doskonale imitujących brytyjski styl krzeseł ogrodowych z kutego żelaza. Miejsce naprzeciwko zajmowała Nancy.

Jamróz tym razem zniknął gdzieś nad pełnym rybek stawem. Wolał zostawić sprawę Nancy ze względu na lepszą angielszczyznę i słabość Anglika do blondynek.

Atwood, mimo iż miał na sobie idealnie wyprasowany mundur RAF-u, wyglądał na starszego pana na emeryturze. Dopiero teraz Nancy dostrzegła przetarcia materiału tu i ówdzie. Choć skrupulatnie maskowane, zdradzały, że Brytyjczyk już lata temu musiał wypaść poza oficjalną strukturę Królewskich Sił Powietrznych.

– Czemu? – spytała.

Przed nią stała szklanka wody z miętą, Atwood raczył się brandy.

– Nie powie mi pani, o co chodzi?

– O to, co zawsze. Szczegóły, proszę mi wybaczyć, są tajemnicą mojego rządu.

Anglik nie dał poznać po sobie, że ubódł go brak zaufania.

– Premier jest człowiekiem niezwykle ustosunkowanym, przy czym szalenie skutecznym. Jesteśmy w kraju, w którym, żeby władać, trzeba okazać siłę, by zyskać szacunek i elastyczność, by pogodzić różne ludy i klany. To stara kultura, pełna wyrafinowanych gier. Kilku silnorękich nie wystarczy, żeby zaprowadzić w Afganistanie porządek.

– A król? Jaki jest?

Atwood zamyślił się.

– Moja droga, Zaher Szah to nie jest zły człowiek. Tylko udręczony – powiedział wreszcie. Odrobinę plątał mu się język. – Mohammad nie zdobył należytego wykształcenia. No bo i czego się można spodziewać po francuskich szkołach? Zaherowi nie wpojono hartu ducha, a sama pani przyzna, że potrzeba młodzieńca silnego charakteru, by nie wzruszył nim widok śmierci własnego ojca.

– Był tego świadkiem?

– Nadera zastrzelono w czasie oficjalnej wizytacji w jednej ze szkół. Zrobił to któryś z uczniów i Mohammad trzymał ojca na rękach, kiedy ten się wykrwawiał. Może dlatego nie garnie się do władzy i tak łatwo oddaje ją wujom? Ale dzieckiem nie jest już dobre kilkanaście lat, a dżentelmenowi nie wypada sprowadzać życia do uganiania się za spódniczkami. To niepoważne.

– Koteria Szaha Mahmuda jest silna?

– Pani mnie nie słucha. Szalenie. Ponieważ król nawet nie chce mieć własnej. Premier nigdy nie przeciwstawi mu się wprost, ale ma na niego wielki wpływ przez otoczenie – nie zrezygnuje z tego. I dlatego właśnie, przez te, hm, komplikacje, spotkanie pani i pani towarzysza z władcą nie będzie możliwe.

– Nie pojmuję – zdziwiła się Nancy. – Jeśli dobrze rozumiem, powiedział pan właśnie, że Szah Mahmud rządzi za zgodą Mohammada.

– Oczywiście, jakżeby inaczej. Może nawet szczerze go kocha, moja droga. Tylko że to człowiek władzy, sprawuje funkcję premiera dopiero dwa lata i wciąż jest bardzo nieufny. A wasz sprzęt, wasza historia, nawet uszczuplona o moją dyskrecję, budzi jego niepokój. Jaki moglibyście mieć wpływ na króla? Kto wie. Będzie więc was tu trzymał, dopóki nie upewni się, że nie stanowicie zagrożenia. To może potrwać.

Nancy zatkało.

– Moment, podobno premier nie obwinia nas za Raji. Dalej jesteśmy więźniami?

– Moja droga, uwierz mi, każdy „więzień” w tym mieście oddałby duszę swoją i swoich dzieci, żeby tylko pozwolono mu na luksusy, które są waszym udziałem.

– A nasz wóz?

– Jest w obrębie pałacu, a wasi podwładni spędzają przy nim całe dnie. Nie dają go dotknąć nawet mnie – stwierdził Atwood z wyrzutem. – Nie macie więc czego się bać. Chyba że chodzę tam po nocach i kradnę śrubki, nie wiem.

– Dobrze, spytam wprost. Czy możemy opuścić Kabul i Afganistan?

– Nie teraz.

– Czy możemy spotkać się z królem?

– Zrobię, co mogę, ale to potrwa.

– A kontakt z Ameryką?

– Nie chcę być monotonny w swoich odpowiedziach…

– Co więc możemy?

– Czekać. – Atwood rozłożył ręce. – Bardzo chciałbym wam pomóc, ale sam jestem tu gościem.

– Wszystkie wpływy Anglii tylko na to się zdają? „Czekać”? – spytała gniewnie.

Anglik wstał, chrupnęły stawy. Wziął szklankę i oparł się o jedną z kolumn altany.

– Całe życie byłem imperialistą – powiedział, jakby uleciała z niego siła. Zwilżył usta w brandy. – Teraz, moja droga, pora pogodzić się z tym, że czas wpływów Zachodu na Afganistan dobiega końca. Zresztą, między nami mówiąc, czy ten ostatni podryg był taki szczęśliwy?

Spojrzał na Nancy przeciągle i, nie doczekawszy się komentarza, kontynuował:

– Kiedyś nieśliśmy im cywilizację. Naukę, kulturę. Jak ten pałac. Najlepsze wzorce. Nasi architekci. – W zamyśleniu powiódł palcem po obwódce szklanki. – Zawsze tak myślałem. Ale teraz, moja droga… Sam nie wiem. Czy to, że ludzie tu noszą szyte na zachodnią modłę marynarki, grają w piłkę i hokeja na trawie, czyni ich dżentelmenami? Wszystko to przecież sprowadza się do czego innego: niemieckie mundury dla gwardii, brytyjska i czeska broń, angielskie i sowieckie samoloty… O to chodzi tak naprawdę. Uczymy ich tylko zabijać się nawzajem. Na tyle dobrze, by nam płacili, i na tyle źle, by nie mieli z nami szans, gdybyśmy kiedyś zechcieli dać im klapsa. Moja droga. – Wpadł w ton lekko emfatyczny, był pijany. – Nie nazwałbym tego oświeceniem.

Zatoczył się lekko i ruszył w stronę pałacu.

– Zachód nic tu już nie znaczy – powiedział na odchodne. – Odpowiadam tylko za wojskowe parady. Nic nie mogę dla was zrobić.

Nancy kiwnęła smutno głową.

Nie zamierzała poddać się tak łatwo.

10

Zaczęli od dotarcia do Rosomaka. Wóz trzymano „w bezpiecznym miejscu”, gdzie ani oficerowie, ani szeregowcy nie mieli do niego stałego dostępu. Afgańscy gospodarze nie widzieli jednak nic złego w tym, żeby Jamróz zabrał z niego kilka rzeczy.

W tym mocną lornetkę.

Następne dni spędzili w ogrodzie Darul Aman. Nadchodzące upały pomogły to uzasadnić. Nie interesował ich jednak płynący od fontann i stawów chłód, ale widok nieodległej posiadłości króla. A także zwyczaje monarchy.

Potem zrobili to, do czego przyzwyczaili już wszystkich.

Poszli na spacer.

11

Przydzielono im tych samych strażników, co zawsze. Dwóch mężczyzn o nieruchomych twarzach, ledwie widocznych spod hełmów niemieckiej piechoty. Gwardziści byli wyraźnie zmęczeni. Spoglądali na Amerykankę i Polaka z niechęcią – w ten upał, niemal w samo południe, wycieczka do miasta musiała być w ich oczach szaleństwem.

Ale to szaleństwo podzielał Mohammad Zaher Szah.

Król Afganistanu dokładnie tę samą godzinę wybierał na przechadzki. Lubił jadać regularnie i opuszczał pałac, by najpóźniej o drugiej zjeść obiad. Taka była oficjalna wersja. Nie wymagało geniusza zorientowanie się, że decydują względy bezpieczeństwa. W porze upałów miasto było niemal puste, a wtedy każdy potencjalny zamachowiec stawał się widoczny jak na dłoni.

Dziś Zaher zamierzał odwiedzić pomnik wzniesiony ku czci jego zamordowanego ojca.

Robił tak ósmego dnia każdego miesiąca.

Spacer Nancy i Jamróz zaczęli od głównej ulicy, tą samą trasą, co zwykle. Starali się rozmawiać, by uśpić czujność strażników. Samochodów widzieli niewiele, przechodniów jeszcze mniej. Kurz wzbijał się spod kół wo-

zów niczym na pustyni. Nieliczne konie i muły ze spuszczonymi głowami wlekły za sobą wyładowane ciężarami wozy.

Przyśpieszyli lekko kroku.

– Jeśli któryś zostanie z tobą, odwołujemy akcję – powiedział porucznik, kątem oka spoglądając na odbite w szybie sylwetki gwardzistów za nimi. – Powtórzymy plan innym razem.

– Nie chcesz mnie narażać? – Amerykanka parsknęła śmiechem. – Typowo polska rycerskość?

Jamróz nie odpowiedział.

Aleja zaczęła się zwężać. Coraz częściej mijali wąskie przejścia w boczne uliczki, w cieniu przemykały sylwetki ludzi.

– Całujemy kobiety w dłonie na przywitanie i otwieramy im drzwi. Nic nie poradzę, taki kraj.

– To słodkie. – Słowa niosły w sobie pewną dozę rozbawienia. – Plan zostaje, jaki był. Dość czasu zmarnowaliśmy. Atwood jest zbyt leniwy, żeby liczyć na to, że znowu uda nam się go pozbyć. A ja jestem za stara, żeby marnować cenne lata na słuchanie w kółko jego opowieści.

Budynki z nowych, europejskich zaczęły się zmieniać w coraz starsze, bardziej tradycyjne i mniej zadbane. Wejść w uliczki było jeszcze więcej. Na wprost grupka kupców dyskutowała nad czymś krzykliwie i zawzięcie. Widząc obcokrajowców, kilka postaci oderwało się od rozmawiających i podążyło w ich stronę.

– Jest pani w szczycie formy, moja droga – Jamróz zdobył się na oficjalny ton, imitując akcent Brytyjczyka. Zrobił to tak dobrze, że jeden ze strażników aż odruchowo obejrzał się za siebie.

– *Salam alejkum!* – odezwał się pierwszy kupiec, rozkładając dłonie. Dodał po pasztuńsku kilka nieznanych im słów, które z pewnością były zapewnieniem o wysokiej jakości oferowanego towaru.

– Teraz? – spytał Polak.

– Teraz – szepnęła Nancy. – Powodzenia.

Jamróz ruszył w stronę kupca z szerokim uśmiechem. Ku zdziwieniu Afgańczyka również rozłożył ręce w powitalnym geście i zaczął wydzierać się wniebogłosy.

– Jolu, zdejmij kapelusz. Będziemy uprawiać miłość fhhhancuską! – powiedział po polsku, tuląc kupca w uścisku. Tamten spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami, nic nie rozumiejąc, ale porucznik już wydostał się z jego objęć i ruszył do następnego. – Obywatel w skórzanej czapce proszony o przejście na zebrę! Na szklanki nie podajemy. Może być pięćdziesiątka albo pół litra. Co by tam jeszcze… – mruknął do siebie. – O, wiem. Tu jest kiosk RUCH-u, ja tu mięso mam!

Przeskakiwał od handlarza do handlarza, wykrzykując kolejne cytaty w ojczystej mowie. Nikt nie reagował agresywnie. Przechodnie raczej wskazywali go palcami i co chwila wybuchali salwami śmiechu.

Gwardziści oparli się na karabinach, zupełnie ogłupiali. Nancy pokazała na słońce, a potem zakręciła palcem wokół skroni. Żołnierze rozluźnili się. Po chwili rechotali równie chętnie jak wszyscy.

Jamróz złapał jednego ze zdezorientowanych przechodniów i mrucząc coś pod nosem, porwał go do walca.

– To poniżające! – krzyknął do Nancy po angielsku. Przesuwał się ze zdezorientowanym mężczyzną w ramionach w stronę stojących pod ścianami ludzi. Ci rozstępowali się, klaszcząc wesoło.

– Nie rób zdjęć i nikomu tego nie opowiadaj. Zwłaszcza na pogrzebie, gdyby się nie udało.

Strażnicy rechotali z uciechy, a ich dłonie same składały się do braw. Jeden miał łzy w oczach i mówił coś do drugiego, trzymając się jego ramienia.

Jamróz podryfował ze swoim partnerem do skraju alei, zatoczył piruet, potem drugi. Wyrecytował fragment jakiegoś wiersza, zanucił kilka taktów „Nad pięknym modrym Dunajem”…

A potem zniknął.

Śmiechy trwały jeszcze chwilę. Ludzie spoglądali na siebie, chichotali. Wskazywali na porzuconego przechodnia, który stał pośrodku ulicy, sztywny jak dębowy pień i wyraźnie zawstydzony.

Rozbrojony humorem sytuacji gwardzista otarł łzy z oczu i spojrzał na kolegę. Tamten spytał o coś. Obaj spoważnieli nagle, rozejrzeli się jesz-

cze raz. Nic. Skierowali ogłupiały wzrok na Nancy. Amerykanka wzruszyła ramionami.

Przekleństwo łatwo poznać w każdym języku.

Żołnierze runęli w tłum. W uliczkę, przy której zniknął Jamróz.

12

Porucznik przewracał stragany i roztrącał przechodniów. Biegł. Przeskakiwał nad wystającymi progami domów, uchylał się przed tkaninami, które zwisały z kramów.

Ktoś krzyczał za nim, ktoś rzucił nawet kamieniem.

Wdech, wdech, wdech. Wydech. Wdech, wdech, wdech. Wydech.

Od dawna już nie biegał podczas porannej zaprawy. Lenistwo odpłacało krótkim oddechem i buchającym żarem w mięśniach. Zaciskał zęby i nie oglądał się za siebie.

Był ciekaw, czy będą go łapać.

Czy od razu zastrzelą.

13

Gdy tylko afgańscy gwardziści zniknęli jej z oczu, Nancy natychmiast skręciła w jedną z zacienionych uliczek. Zupełnie przeciwną do tej, którą wybrał Jamróz.

Czasu nie miała wiele.

Wyjęła z kieszeni kartkę. Szła, trzymając ją w dłoniach. Słowa rozmywały się od potu.

Nancy patrzyła na nie, odwracała wzrok i wymawiała na głos, starając się zachować akcent.

Powtarzała. Wciąż i wciąż.

14

Pomnik Mohammada Nadera Szaha błyszczał w słońcu. Masywna marmurowa baza o kształcie sześcianu zdobnymi, złotymi literami głosiła przewagi i zasługi zmarłego władcy. Wieńcząca podstawę strzelista kolumna wskazywała niebo. Nie wykonano jej w tradycji perskiej, choć ta wydawa-

łaby się najbardziej naturalna. Syn władcy rozkazał wznieść ją na modłę grecką.

Mohammad Zaher Szah tęsknił za Zachodem. Po zobaczeniu skarbów Luwru, zamków Loary i Langwedocji, muzeów Reims i Lyonu niełatwo było mu się odnaleźć w Afganistanie. Starał się uczynić Kabul tym wszystkim, co widział w młodości, nie miał jednak wątpliwości, że jedyne, co osiągnął, stanowiło nędzną namiastkę tamtej rzeczywistości. Babki z piasku w miejsce wielkich twierdz.

Wskazał na jednego z gwardzistów. Ten zasalutował i ruszył do stóp pomnika. Złożył tam zdobioną bogato, kamienną lampę. Oznaczała tyle, co w Europie kwiaty. Król skłonił głowę i wyszeptał modlitwę, ledwo poruszając wargami.

Nie lubił tego obowiązku.

Otaczały go łuki triumfalne, które upamiętniały dawne zwycięstwa, drzewa dogorywające w słońcu i miasto, próbujące się skryć przed upałem. A także kilkunastu żołnierzy. Wujowie króla zadbali o to, by po śmierci Nadera Szaha nie ostała się żadna zorganizowana opozycja, ale lepiej było nie ryzykować.

Zaher Szah westchnął. Nie lubił upałów. Odpowiadał mu europejski klimat. Nie tylko klimat, życie. Król odwiedzał grób ósmego dnia każdego miesiąca, jeśli był akurat w kraju. Ludzie wiedzieli o tym, podobało im się to. Ósmego listopada trzydziestego trzeciego roku dokonano mordu na Naderze Szahu.

Zaher składał kamienne lampy u stóp pomnika przez blisko piętnaście lat. Robił to dla poddanych, obrazu, jaki budował w ich oczach. Wiedział, że potrzebują symboli, wujowie tak mówili. Sam wolałby siedzieć w pałacu, tam było chłodniej.

Król uniósł głowę. Dał znak obstawie, by szykowali się do odejścia. W oddali kierowca polerował z kurzu karoserię jego limuzyny. Biały kabriolet Packard Super Eight Phaeton lśnił w słońcu. Wóz przypominał odrobinę bardziej elegancką wersję wyścigowych roadsterów o wysokiej masce, czterech parach świateł i osadzonych po bokach, przed drzwiami kierowcy, kołach zapasowych.

Odrobina Zachodu na górskim pustkowiu.

Zaher ruszył w stronę auta. Szofer wskoczył do środka i uruchomił silnik.

– Wasza Wysokość, proszę się odsunąć – usłyszał władca.

Żołnierz stanął tuż przed nim, zasłaniając go własną piersią. To samo zrobiło kolejnych dwóch po bokach. Władca miał zapytać, o co, do diabła, chodzi, ale nie zdążył.

– Stać! – wrzasnął drugi z gwardzistów.

Okrzyk, wsparty odgłosem repetowanego karabinu, sprawił, że serce króla zatrzymało się, za to dłonie, wbite głęboko w kieszenie, zadrżały.

Umysł eksplodował wspomnieniami.

Tłum chłopców w jego wieku, z wiernopoddańczym uśmiechem oddających cześć monarsze. On sam, młody, dziewiętnastoletni Zaher, u boku przyjmującego hołdy ojca. Spokój. Bratanie się z narodem, które Nader tak lubił. Rozmowy ze swoimi dziećmi – tak ich nazywał. Te same żarty, te samy pytania i frazesy wygłaszane po tysiąckroć. Dłoń jednego z uczniów wędruje za plecy, jak do ukłonu, uśmiech zamienia się w grymas. Strzał. Po prostu, bez słów. Bez powodu. Ludzie się kłębią, padają na ziemię, żołnierze głupieją. Kolejny strzał. Ojciec patrzy na syna, wyciąga rękę. Strzał.

– Stać, bo strzelam!

Kolejny krzyk strażnika otrzeźwił Zahera. Król otrząsnął się i drżącą ręką odsunął gwardzistę, który stał najbliżej.

Ujrzał kobietę, która szła w jego kierunku z uniesionymi wysoko rękami. Mówiła coś. Nie wyglądała groźnie, nie miała broni, zbliżała się jednak zupełnie pustym placem, wprost do nich.

Blondynka, Europejka. Piękna kobieta.

Wspomnienie śmierci odeszło. Wróciły francuskie dwory i zamki.

– Opuśćcie broń – rozkazał król.

Tak bardzo piękna.

15

Była pewna, że ją zastrzelą.

Sama by tak zrobiła. Nikt nie zbliżyłby się równie łatwo do prezydenta Stanów Zjednoczonych. W takich przypadkach najpierw otwierano ogień, a dopiero po obszukaniu zwłok formułowano pytania.

Gdy żaden strzał nie padł, Nancy stwierdziła, że to, czego bała się najbardziej, nadal jest przed nią. Pomyślała o ukrytej w kieszeni karteczce, nad którą pracowała kilka ostatnich dni, wysilając pamięć.

Nie mogła po nią sięgnąć.

Nie była głupia.

Część strażników opuściła broń, dwóch jednak wciąż miało ją na muszce. Jeden z pozostałych podszedł do niej i złapał za ramię, brutalnością nadrabiając niedawny strach. Zwróciła uwagę, że jej nie przeszukano. Uznała to za nielogiczne, dopiero co wzięli ją za zagrożenie, najwyraźniej jednak rozkaz króla sprawił, że zapomnieli o ostrożności.

Wreszcie stanęła przed jego obliczem.

To był jej moment. Spojrzała w ciemne oczy władcy.

Spoglądała w nie już wcześniej, w 2006 roku. Wtedy należały do starca, dziś były oczyma człowieka w sile wieku. Znała go pod tytułem „Baba", ojciec narodu, choć miał go otrzymać za ponad pięćdziesiąt lat.

Te same oczy, te same niuanse twarzy, która zmieniła się przecież tak bardzo. Tak bardzo taki sam. Tak bardzo inny. Nancy zaschło w gardle.

Widziałam w telewizji jego pogrzeb, pomyślała.

– *Je suis un officière de service de renseignement d'armée américain* – powiedziała w końcu, odrobinę za szybko. Wiedziała, że mówi z silnym akcentem, nie miała pojęcia, czy formułuje zdania poprawnie, ale to była jej jedyna szansa. Nie była nawet do końca pewna, czy *service de renseignement* na pewno oznacza służbę wywiadu, czy może zwyczajny bełkot. W kilka zdań włożyła wysiłek wszystkich lat, podczas których ojciec bezskutecznie próbował uczynić z niej poliglotkę. – *J'ai des informations crucial pour la future de moyen-Orient et j'ai un besoin de votre aider, votre majesté.*

„Posiadam kluczowe informacje dla przyszłości Bliskiego Wschodu. Potrzebuję pańskiej pomocy, Wasza Wysokość".

Francuski. Jedyny obcy język, jaki znał Mohammad Zaher Szah.

Król uśmiechnął się z zainteresowaniem. Gestem dłoni rozkazał, by strażnicy się odsunęli.

– *Je t'ecoute, ma chére* – powiedział, podając Amerykance dłoń, wzorem dżentelmenów z Zachodu.

Nancy szukała w pamięci reszty wywodu, który miał przekonać Zahera Szaha do tego, że trzeba im pomóc. Formułowała go kilka nocy, starając się, by słowa nie tylko były zrozumiałe, ale niosły treść, która trafi do serca króla. Uczyni go sojusznikiem.

Dlatego Nancy nie od razu zrozumiała rzecz tak zupełnie oczywistą.

16

– Nie zrozumieliśmy najbardziej podstawowej rzeczy – powiedziała Nancy do Jamroza, gdy zobaczyli się później tego samego wieczoru, tuż przed kolacją z Atwoodem. – To chyba ja… byłam naiwna.

Porucznikowi nie zrobiono krzywdy, z tej prostej przyczyny, że gwardziści nie zdołali go dogonić. W Afganistanie połowy XX wieku posadę w elitarnej jednostce pałacowych strażników dostawali zwykle dobrze urodzeni albo ustosunkowani. Lojalni, nie najlepsi. Polak bez trudu zgubił ich, pospacerował półtorej godziny po mieście, a kiedy zgłodniał, z uśmiechem na twarzy i niepewnością w sercu zjawił się pod bramą Darul Aman.

Teraz siedział na ciężkim, rzeźbionym w drewnie krześle i cierpliwie słuchał Nancy. Burczenie w brzuchu zdradzało, że posiłku z Anglikiem wyczekuje znacznie chętniej niż zwykle.

– On nie jest dobrym władcą, otoczonym przez złych doradców. – Nancy uśmiechnęła się gorzko. – Może stanie się nim za pół wieku. Albo nie. Naprawdę nie mam pojęcia, bo nawet po naszej interwencji chyba był tylko maskotką. Okazywaliśmy mu szacunek, w końcu to powracający z wygnania król, ale więcej nie pamiętam.

– Kim jest teraz? – spytał Jamróz.

– To bawidamek, który ma wszystko gdzieś. Nie obchodzi go historia, bo nie obchodzi go polityka. Nie obchodzi go nic poza własnym pałacem. Prędzej wywołałabym jego reakcję, wskakując mu do łóżka, niż opowiadając o śmierci, która czeka tysiące ludzi. Wiesz, co mi powiedział?

– Co?

– Że to wzruszające, co mówię, i że jeśli zechcę, to zabierze mnie ze sobą w podróż do Ameryki. W przyszłym roku.

– Wspomniałaś o wehikule czasu?

– Nie skończyłam nawet wstępu, zanim mi przerwał. Gadał o kolacjach, o Beethovenie i Picassie. Recytował mi „Cmentarz morski" Valéry'ego…

– Ach, ci mężczyźni – rzucił Jamróz i puścił do niej oko.

Nancy usiadła ciężko na krześle. Schowała twarz w dłoniach.

– Jak wy to mówicie? „Kiurfa maz" – powiedziała, a Jamrozowi naprawdę zachciało się śmiać. – Przestań – dodała rozdrażniona, widząc jego minę.

– Widziałem dzisiaj ciekawy mecz.

Poczuła prawdziwą złość.

– Jesteś w szoku czy coś?

– Nie wydaje mi się – stwierdził Jamróz, poważniejąc. – Przechodziłem obok boisk uniwersytetu, tam widziałem, jak grali. Wiesz, co jest zabawne?

– Że przez resztę życia będziemy jeść kebab?

– Nie, że dzięki naszej wycieczce uświadomiłem sobie, że ktoś ordynarnie i po chamsku robi z nas idiotów. A my jeszcze chodzimy za rączkę, kłaniamy się uprzejmie i dziękujemy.

– Jaśniej, Les – poprosiła. Złość odeszła nagle, pozostało znużenie. – Miałam wystarczająco kiepski dzień.

– Tu, gdzie zdaniem naszego dobroczyńcy Johna Atwooda nie ma żadnych Amerykanów, widziałem dziś mecz baseballu. ■

VII

ZIEMIA OBIECANA

1

Na pograniczu zapadła noc.

Ciemność sucha pustynnym wiatrem i ciężka gorącem, które znikało powoli. A także regularna siatką ogni, które na tym cichym odludziu oświetlały stanowiska wojsk króla Transjordanii.

Obóz wyglądał w nocy jak wielki, świetlisty potwór drzemiący na ciemnej pustyni. Nieruchomy, ale groźny.

Wietesce ogniska na granicy Brytyjskiego Mandatu Palestyny przypominały któryś z wielkich festiwali rockowych, na których bywał w młodości. Setki namiotów sprawiało wrażenie, jak gdyby czekały na rozpoczęcie pierwszego koncertu. Zasadniczą różnicą pomiędzy obozem Jordańczyków a Przystankiem Woodstock był przede wszystkim porządek. W równych rzędach białych płacht i lśniących iskrami pochodniach na pierwszy rzut oka dało się zauważyć rękę brytyjskich oficerów. Najlepiej wyszkolonymi wojskami arabskimi na Bliskim Wschodzie zarządzano z żelazną dyscypliną. Legion Arabski stanowił jedyną siłę, która dysponowała tym wszystkim, co winna mieć prawdziwa armia: czołgami, ciężarówkami, logistyką, wyszkoleniem i doświadczonymi dowódcami. Drugim, co rzucało się w oczy, były umocnienia: stanowiska karabinów maszynowych skryte za workami z piachem, punkty kontrolne i widoczne wyraźnie nawet przez noktowizor patrole.

Wieteska obserwował obóz i rosło w nim przekonanie, że udział tych wojsk rzeczywiście mógłby zadecydować o losach nadchodzącej wojny.

Kapitan stłumił ziewnięcie.

– Bez zmian – powiedział przez radio. Był bardzo wysoko, panowała noc, nie rozpoznawał szczegółów na ziemi. – Dziś dla odmiany zaatakowali od północy. Chyba zrobili jakiś rodzaj bomby benzynowej, widzę sporo ognia.

W odbiorniku zabrzmiał głos Polonusa:

– Jakieś ruchy?

Maciek został w kryjówce, kilka kilometrów od obozu. Nie chcieli „męczyć" maszyn, patrolowali teren już drugi tydzień i zdążyli nauczyć się cierpliwości. Latali nocami, na zmianę. Grupa Safeza nie odważyła się atakować w dzień. Była zbyt nieliczna.

W nocy atakowała jednak regularnie, i to z różnych kierunków oraz o różnych porach. Najczęściej stosowano bezładny ostrzał transjordańskich pozycji, w nadziei na sprowokowanie pościgu. Kiedy indziej skrytobójczo mordowano strażnika albo dwóch, a następnie porzucano zwłoki pod obozem. Rzucano Jordańczykom wyzwanie prosto w twarz.

Z początku Wieteska i Polonus próbowali zlikwidować źródło zagrożenia, czyli uderzyć bezpośrednio na atakujących. Okazało się to bardzo trudne. Terroryści operowali nocą, świetnie się ukrywali, a ich maskowanie i znajomość terenu były wręcz perfekcyjne. Po każdej akcji dzielili się na kilka odrębnych, jedno-, dwuosobowych oddziałów. Udało się rozbić dwa lub trzy z nich, mało to jednak znaczyło.

Polaków szybko odarto ze złudzeń. Bardziej prawdopodobny niż pokonanie ludzi Safeza był wariant, który mówił, że wkrótce będą musieli zatrzymać całą potęgę Legionu Arabskiego.

– Nie, cichutko – powiedział Johny, wyrywając się z zamyślenia. – Wydaje mi się, że Jordańczycy nie mają strat, ale niżej nie zejdę. Nie chcę się rzucać w oczy. Kurczę…

– Co tam, szefuniu? – Głos Mulata był odrobinę zniekształcony. – Znowu sprzęt nie słucha?

– Cicho, baranie. Jeszcze cię usłyszy. Coś mi w tych szuszwolach nie pasuje. Albo im brakuje pomysłów, albo zaczynają się poddawać.

– Piaszczuchy? Żartujesz chyba.

– Są coraz bardziej nieudolni. Nie mieli szans nawet podejść pod obóz, nie mówiąc o sprowokowaniu armii do ataku. A czas ucieka.

– Może próbują nowych metod. Wracasz?

Wieteska przejrzał raz jeszcze perymetr i wzniósł się wyżej. Nie podobał mu się odgłos, który wydawał silnik, kiedy zwiększał moc. Brzmiał w nim jakiś fałsz i kapitan dałby głowę, że główny wirnik przeskoczył obrót albo dwa.

– Wracam, Maciek. Nigdy nie atakują więcej niż raz jednej nocy. Zróbcie nam coś do żarcia.

– Schabowy, ziemniaczki, kiszona kapusta i kompocik?

– Nie zaszkodziłoby. Na razie starczy fasola z puszki, byle nie zimna.

– Przyjąłem. Podgrzejemy.

Radio zamilkło, Johny przetarł oczy i skierował śmigłowiec w stronę wzgórz, gdzie stacjonowały helikoptery. I puszki z fasolą, które znaleźli w wymordowanej przez jakąś bojówkę arabskiej wiosce.

Ster reagował z wyraźnym opóźnieniem; Wietesce niezbyt się to podobało, podobnie jak przygasające co chwilę ekrany czy rozmaite systemy ostrzegające o niesprawności komponentów, które wyłączyli, wymontowali albo pospinali na krótko.

Mi-24 był w fatalnym stanie, ale latał.

Na razie.

Lądowisko oświetlało sześć pochodni, które załoga pozostała na miejscu rozpalała na krótko po informacji o powrocie. Blasku było dość, by nie rozbić maszyny, i wystarczająco mało, żeby przez kilka minut nie zwrócić niczyjej uwagi. Johny widział światło z daleka. Poruszał się niemal na pamięć, ale zachowywał ostrożność. Nocą taka rutyna mogła być zgubna.

Helikopter siadł ciężko, śmigła wirnika zaczęły zwalniać. Wieteska wyłączył silnik, elektronikę, zrzucił hełm i rękawice, po czym razem z operatorem uzbrojenia ruszył w stronę jaskini, gdzie jedli, spędzali długie, nudne godziny bezczynności i spali. A przynajmniej próbowali. Kapitan wciąż się nie zaaklimatyzował. Nie miał kłopotu z odwróceniem trybu dobowej aktywności – uwielbiał pracować nocą, a spać za dnia. Problem polegał na tym, że słońce prażyło tak niemiłosiernie, że prawie nie udawało się za-

paść w głębszy sen. Nawet w jaskini, teoretycznie chłodniejszej, temperatura spadała o ledwie stopień lub dwa. Jeden Ugawe nie miał najmniejszego problemu z odpoczynkiem. Spał jak dziecko w każdych okolicznościach, niezależnie od pogody i hałasu.

Johny podszedł do ogniska. Cienie igrały na skalnych ścianach wokół. Polonus na wpół leżał na grubej warstwie koców, oparty głową o wojskowy plecak. Kiwnął głową dowódcy i podał mu otwartą puszkę.

– Lepsza taka kolacja niż żadna – stwierdził kapitan. – Ale jeśli Rozalka zrobi mi kiedyś jeszcze fasolkę, słowo honoru, zażądam rozwodu.

– Jasne. Całujesz ją po rękach, jak ci posmaruje chleb masłem.

– Bo to fajna dziewczyna.

– Ano – westchnął Maciek. Temat rodziny, odległej o tysiące kilometrów i dziesiątki lat, nie należał do najszczęśliwszych. – Widziałeś coś ciekawego?

Wieteska zastanowił się.

Widział.

Zobaczył arabskie konwoje, które napadały na ufortyfikowane wioski Żydów, a gdy brakło sił, wszędzie, gdzie miały choćby najmniejszą szansę powodzenia. Zwykle na kryjówki kobiet i dzieci. Na transporty żywności i wody. Widział ludzi, jak w oblężonych zamkach, którzy głodowali na środku pustyni niemal tak jak kilka lat wcześniej, w niemieckich obozach.

Zobaczył głowy powywieszane na płotach tych „zamków”. Wypalone, pełne ciał pustkowia, pozostałość akcji izraelskich bojówek, dla których wrogiem był każdy, kto zajmował kawałek ziemi – bo o nią toczyła się wojna. Widział egzekucje, których każdy dokonywał na każdym, w imię zemsty, choć ofiarami najczęściej byli ludzie zupełnie przypadkowi. Dostrzegł uchodźców. Palestyńczyków, którzy bali się każdego, kto miał broń, i chodzili od miejsca do miejsca, rozbijając nowe obozy, zupełnie nieświadomi, że życie ich i ich dzieci będzie tak wyglądać już zawsze.

Widział bandytów, którzy, korzystając z okazji, mordowali kogo popadnie.

Johny obserwował świat, w którym nikt nie miał racji. Obie strony stawały się coraz bardziej okrutne i bezwzględne; obie konsekwentnie oskarżały o zbrodnie tę drugą. Polski żołnierz z XXI wieku nic z tego wszystkiego nie rozumiał, może poza widocznym na pierwszy rzut oka faktem, że Izraelczycy są lepiej uzbrojeni i zorganizowani. Co oznaczało, że Palestyńczyków czeka porażka. I jeszcze więcej cierpienia.

– Nie – powiedział wreszcie kapitan. – Nic.

– No i zajebiście – stwierdził Ugawe. – Idę spać. Zostajesz?

– Spróbuję złapać Kollera – potwierdził Wieteska. – Zabiłbym za prysznic.

Ugawe przewrócił oczami i odszedł poza zasięg światła ogniska. Johny dokończył kolację. Mimo paskudnego, ciągle jednakowego smaku fasoli wylizał puszkę. Potem wrócił do helikoptera i włączył radio.

– Kopciuszek szuka księcia – powiedział tonem narratora bajki. – Kopciuszek szuka księcia. Może być na jedną noc, byle nie w dresie.

2

Budynek, w którym Zgromadzenie Narodowe prowadziło rozmowy na temat przyjęcia Deklaracji Niepodległości Izraela, zapisał się w historii przede wszystkim dzięki ogłoszeniu w nim dwa dni później wspomnianego dokumentu. Zdjęcia utrwaliły główną salę, przywodzącą na myśl sądowe rozprawy, kwadratowe mury i płaski dach oraz wąskie okienka, przez które ledwo dało się zajrzeć do środka. Wszystko to zresztą w innych warunkach zupełnie niewarte byłoby wzmianki.

W historii zapisały się także inne rzeczy.

Dziwna wojna-niewojna, w której, dopóki Palestyny strzegli Anglicy, państwa ościenne udawały, że nie uczestniczą. Przez Syrię przeciekały kolejne grupki wojsk arabskich, mające zmienić chwiejną równowagę sił w konflikcie między rosnącą populacją Żydów i Palestyńczyków. Zapisało się oblężenie Jerozolimy i utworzenie wspólnego sztabu wojsk arabskich. Rezolucje ONZ, mediacje i kolejne spory na arenie międzynarodowej. Niezgoda muzułmanów, ambicje króla Transjordanii i wzajemne oskarżenia o nielojalność.

W pamięci zostali ludzie, tacy jak Dawid Ben Gurion, sześćdziesięciodwuletni mężczyzna, noszący okulary w okrągłych oprawkach, o wysokim czole, rzedniejącej, siwej czuprynie i poczciwej twarzy. Autor niepodległości Izraela, pierwszy i trzeci jego premier. Na razie przewodniczący Komitetu Wykonawczego Agencji Żydowskiej i gorliwy zwolennik niepodległości.

Dawid Ben Gurion przemawiał teraz do Zgromadzenia Narodowego. Na jego twarzy malował się grymas zmęczenia i frustracji. Obrady trwały już siódmą godzinę.

– Rozumiem obawy, naprawdę. Tak jak rozumiem poszanowanie dla prawa międzynarodowego, które brzmi w słowach wielu z was. – Ben Gurion otarł chustą pot z twarzy. – Rozważcie wszystko raz jeszcze. Znajdujemy się w przededniu wyjścia wojsk brytyjskich z Palestyny. Istnienie państwa Izrael to fakt, a naszym obowiązkiem powinno być zapewnienie temu faktowi ram prawnych.

W pomieszczeniu było tylko dziesięciu członków Zgromadzenia. Dwóch nie zdołało się wydostać na czas z oblężonej Jerozolimy. Ostatni przebywał w Stanach Zjednoczonych. Oprócz obradujących na sali znajdowali się jeszcze tylko dwaj stenotypiści. Strażnicy zostali na dole.

Wydarzenie, mimo ogromnej rangi, miało w sobie coś nieformalnego, co przywodziło na myśl knowania spiskowców. Istnienie Izraela było faktem czy nie – państwo nie miało konstytucji, rządu, uznania; niczego poza narodem. I determinacją.

– Zgodziliśmy się na propozycje ONZ! – Dawid Remez aż podniósł się z krzesła. – Wasze postulaty to całkowite pogwałcenie tej rezolucji, całkowite! Przyjęliśmy propozycję granic, które teraz chcemy, ot tak, zmienić! Optujący za tym rozwiązaniem nie zdają chyba sobie sprawy, ile reguł pragną pogwałcić. Jestem za wolnym Izraelem, ale w sposób cywilizowany, dający nam szansę. Nie za chaosem i zapominaniem o rozwiązaniach, na które wyraziliśmy zgodę.

Ben Gurion kiwnął głową, jakby przyjmując argument oponenta jako słuszny. Często to robił, by dusić emocje i kierować dyskusję na tory dotyczące spraw, nie ludzi i ambicji.

– Przyjęliśmy Rezolucję ONZ, ale Arabowie nie – powiedział. – Oni przygotowują się do wojny z nami. Jeśli mamy ich pokonać i zdobyć Zachodnią Galileę lub terytorium po obu stronach drogi do Jerozolimy, tereny te staną się częścią naszego państwa. Dlaczego mamy zobowiązywać się do przyjęcia granic, których Arabowie w żadnym wypadku nie przyjmują?

– Bo chcemy stworzyć państwo – odparł Remez. – Państwo, którego na papierze na razie nie ma, a to ten papier i jego uznanie przez społeczność międzynarodową będą decydowały, czy Deklaracja nie stanie się kilkutygodniowym epizodem, po którym zostaniemy zmieceni z powierzchni Ziemi siłą dziesiątek tysięcy żołnierzy państw arabskich.

Ben Gurion uniósł dłoń.

– Rozmawiałem na ten temat z naszymi dowódcami. Z Israelem Galilim. Doszliśmy do wspólnego wniosku, że należy przyjąć najgorszy możliwy scenariusz. Pełną inwazję wszystkich wojsk arabskich w sile około trzydziestu tysięcy ludzi.

– Nie odważą się na taką operację. To wywoła reakcję świata.

– Nie łudźmy się, że ktoś nam pomoże. Galili obawia się przewagi liczebnej, ale podkreśla, że mówimy w większości o wojskach zdemoralizowanych i pozbawionych oficerów. Większość dowództwa pochodziła dotąd z państw europejskich. Obecnym sztabom brakuje organizacji i zdolności do planowania na dużą skalę wspólnych operacji wojskowych. Nie mają tej samej wartości, co nasze, zaprawione w walkach bojówki. Obawiać możemy się tylko sił Transjordanii, ale ich oficerowie – w większości brytyjscy – nie zaatakują nas niesprowokowani. Poza tym, jeśli ogłosimy Deklarację, to my nadamy wojnie rytm. My zadecydujemy o początkowych fazach jej przebiegu, co może być kluczowe.

– To nadal trzydzieści tysięcy ludzi!

– Dlatego Gallili nie powiedział, że wygramy.

– Co więc powiedział?

– Ocenił prawdopodobieństwo zwycięstwa pół na pół.

Remez wyraźnie zbladł.

– Pół na pół? – Dotąd grzmiał, te słowa wypowiedział jednak niemal szeptem. – Albo zginiemy, albo wygramy. Rzut monetą. To mają być nasze

szanse?

– Od dwóch i pół tysiąca lat nie były tak duże – skwitował Dawid Ben Gurion.

Dyskusja stała się jeszcze bardziej zażarta.

W historii nie zapisali się ludzie, którzy siedzieli w budynku naprzeciwko i przy pomocy zaimprowizowanych podsłuchów śledzili przebieg obrad. Polacy z Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego.

Koller spojrzał na leżącego przy oknie Czujkę. Gromowiec obserwował perymetr przez wyposażoną w noktowizor lunetę karabinu wyborowego Heckler & Koch PSG1.

Pozostali znajdowali się w terenie.

Budynek, w którym obradowano, stał w centrum miasta. Koller doskonale zdawał sobie sprawę, że była to zaleta także dla Safeza. Im więcej Żydów – a tych w Tel Awiwie było najwięcej – zginęłoby w jego ataku, tym mniej mogłoby później próbować tworzyć Izrael. Koller z kolei w lokalizacji dostrzegał atut taktyczny: liczne zabudowania o grubych ścianach nie stanowiły wielkiej przeszkody dla półkilotonowego ładunku atomowego, ale mimo wszystko były jednak przeszkodą. Zrzucona na Hiroszimę bomba zabiła blisko pięćdziesiąt procent ludzi w obrębie około kilometra od epicentrum wybuchu. Little Boy miał jednak siłę piętnastu kiloton i eksplodował nad celem – co zwiększało pole rażenia. Safez nie mógł sobie pozwolić na pięćdziesięcioprocentową skuteczność. Musiał znaleźć się z ładunkiem maksymalnie kilkadziesiąt metrów od miejsca obrad.

Musiał to zrobić, nie wiedząc, że Polacy znają jego plan i czekają na miejscu.

Helikoptery pokonały cztery tysiące kilometrów w ledwie kilka dni, mimo kłopotów ze zdobyciem paliwa i funkcjonowaniem sprzętu. Ciężarówki nie mogły im dorównać.

Koller pracował z Jaszczurem bardzo długo, by najpierw ustalić miejsce obrad nad Deklaracją – żaden nie znał historii dość dobrze, by po prostu je pamiętać – a potem zabezpieczyć teren. Znajdowali się w erze bardzo prostej elektroniki, którą jednak Kres potrafił wykorzystać tak, by stworzyć coś w rodzaju prymitywnego, opartego na czujkach ruchu monitoringu tere-

nu. W centrum, zwłaszcza przy ruchliwej alei Rothschilda, niewiele było miejsc niezamieszkałych. Wybrali kilkanaście piwnic oraz małych magazynów i zainstalowali w nich czujniki, dzięki którym śledzili aktywność w tych rejonach. Sami musieli starannie się maskować – Tel Awiw szykował się do wojny. Obcy przyjeżdżający do miasta wzbudzali sporo podejrzeń, a ani Koller, ani gromowcy nie wyglądali na Żydów i nie mówili po hebrajsku.

Przez wiele dni gapili się w ekran urządzenia namierzającego zapasową baterię reaktora. Monitor pozostawał nieruchomy. Safez albo zachowywał maksymalną ostrożność, albo – w przeciwieństwie do Polaków – nie umiał wykorzystać lokalnych źródeł energii i bał się rozładować zasilania.

Gromowcy okazali się najcierpliwszymi ludźmi na świecie. Dzień w dzień, zachowując przy tym maksymalną ostrożność, przemierzali ulice w poszukiwaniu kogoś z grupy Safeza. Cierpliwość zaczął trenować też Koller. On, jako jedyny, znał rysopis terrorysty, brał więc udział w każdym patrolu.

Musieli oduczyć się wielu rzeczy, które na co dzień były ich drugą naturą. Nie wszyscy operatorzy sił specjalnych składali się z samych mięśni czy obijali głowami o futryny drzwi, ale wszyscy mieli pewne nawyki, zdradzające, że nie są ludźmi, którym wchodzi się w drogę. Kupili więc luźne, lokalne ubrania, by dało się bez trudu ukryć pod nimi broń, i nie chodzili w grupach większych niż dwóch ludzi. Liczyli na szczęście. W nieco ponaddwustutysięcznym mieście uznali, że warto spróbować.

Teraz, na kilka godzin przed podjęciem kluczowej decyzji dla historii Izraela, czekali. Świadomi tego, że Safez mógł nie pokonać tych czterech tysięcy kilometrów, przenieść wszystkie siły na pogranicze transjordańskie lub po prostu polec w przypadkowej strzelaninie.

Zdawali sobie sprawę, że jeśli jest inaczej, znajdują się w strefie rażenia bomby atomowej. Dobrowolnie.

– Koller, grupa Bravo – odezwało się radio. Dotąd starali się oszczędzać krótkofalówki, teraz sprawna komunikacja była najważniejsza. – Sprzęt Kresa zanotował jakiś ruch w sektorze A-3.

– Coś większego? – spytał porucznik. Znad ramienia Czujki obserwował budynek obrad.

– Na oko po prostu szczury, jak zwykle. Ale szuszwole też potrafią być cichutcy. Sprawdzimy.

– Przyjąłem. Dawajcie znać.

Koller podszedł do okna. Widział cienie obradujących na zasłoniętych oknach. Jedni unosili gniewnie ręce, inni siedzieli nieruchomo, ktoś przechadzał się po pomieszczeniu.

Porucznik zastanowił się, czy powstrzymanie się od nawiązania kontaktu z władzami przyszłego Izraela było dobrym pomysłem. Na pierwszy rzut oka wydawało się to najbardziej oczywistym rozwiązaniem. Pogadać z Ben Gurionem, zmienić miejsce obrad, zabrać ludzi, usunąć Safezowi sprzed nosa cel, zamiast po prostu stawać mu na drodze.

Problem polegał na tym, że Izrael nie istniał. Nie miał struktur władzy, dopiero o nich myślano. A choć organizacja bojówek była imponująca, w żadnym wypadku nie była formalna. Polacy mogli spróbować wtargnąć w sam środek tego bałaganu. Nie potrafili jednak wpaść na mający szanse powodzenia pomysł, jak sześciu nieznających języka ludzi zdoła dotrzeć do zakonspirowanych żydowskich przywódców, a potem wytłumaczyć im, że rozmawiają z żołnierzami z przyszłości, którzy przyjechali, bo jeden facet z bombą atomową chce wysadzić w powietrze początki państwa Izrael.

Koller łamał sobie nad tym głowę, odkąd się tu znalazł. Własny pomysł czekania na terrorystów uważał za upiornie głupi. Niestety, lepszego nie miał.

– Kopciuszek szuka księcia – odezwało się radio głosem Wieteski. – Kopciuszek szuka księcia. Może być na jedną noc, byle nie w dresie.

– Znowu się wygłupiasz? – odparł wreszcie Koller. Zaczynało mu brakować humoru pilota. – Wiesz, ilu jest Izraelczyków polskiego pochodzenia? Mogą cię zrozumieć.

– Chyba że mają zdolności paranormalne. Powodzenia, fal mojego radia nie przechwycą. I nie, jakoś dziś mi się nie chce wygłupiać.

Nikomu się nie chce, pomyślał Koller.

– Jakieś zmiany? – spytał.

– Dzień jak co dzień.

– Macie paliwo?

– Mamo, mówiłem ci, że latamy na naftę. – W głosie kapitana dało się wyczuć znudzenie powtarzającymi się codziennie pytaniami.

– Naftę też trzeba skądś wziąć.

– Niełatwo o takie ilości. Ze smarowaniem jest prościej. – Lepkość olejów, których używali do helikopterów, była bardzo zbliżona do tych, które wykorzystywano w samolotach śmigłowych. A tych tuż po wojnie było pod dostatkiem, tyle Koller pamiętał. Johny opowiadał o podobnych detalach w nieskończoność. – Radzimy sobie. Ale to wszystko tak naprawdę mało znaczy…

– Słuchaj…

– Cisza. Teraz ja mówię.

Koller westchnął.

– Dawaj.

– Początek pamiętasz?

– „Mam dwa nieserwisowane od miesiąca helikoptery” – podsunął Koller.

– A, właśnie. No więc mam dwa nieserwisowane od miesiąca helikoptery, z których każdy lata co drugi dzień. Nad fatalnym terenem. Połowa elektroniki leży, awionika działa chyba tylko dlatego, że technik Polonusa co dzień rano i wieczorem się modli, a na dodatek mam już końcówkę dwutlenku węgla …

– Czego?

– Ja pierdolę… Skleroza, Jasiu?

– Mówiłeś o jakichś butlach.

– Tak. Dwutlenek węgla, w butli. Mi-24 wykorzystuje go do zapłonu. Nieważne. Chodzi o to, że bez oleju i paliwa helikopter nie poleci na pewno. Ale jeśli będziesz miał tylko paliwo i olej, wcale nie znaczy, że na pewno nie spadnie. Nie chcesz wiedzieć, w jaki sposób czyścimy filtry.

– Wytrzymajcie. On musi zaatakować niedługo, inaczej może nie atakować wcale.

– Jasne, powtórzę to mojemu helikopterowi. Przekazać mu coś jeszcze? Może całusa?

– Nie marudź, Johny – powiedział Koller.

Nie wiedział, co innego może poradzić. Tym się głównie zajmowali: narzekaniem, przekleństwami, zabawami w słowne przepychanki. Próbowali jakoś przetrwać, nie zwariować.

Nie myśleć.

– Koller – powiedział Wieteska głosem, który sugerował, że właśnie odchyla się w fotelu i patrzy w gwiazdy – możemy pogadać? Poważnie?

– Dawaj.

– Tęsknisz za czymś? – Radio zaszumiało. Głos po drugiej stronie stał się nagle bardzo poważny. Można było mieć wrażenie, że do rozmowy włączył się ktoś inny. – Masz tam coś, w domu?

Porucznik przez chwilę bawił się nieświadomie mikrofonem radia.

– Jesteś tam? – spytał Johny po kilkunastu sekundach.

– Tak, jestem – odparł Koller ciężko. – Tęsknię za dwoma rzeczami. Za moim psem, to wilczak czechosłowacki i pewnie rozpieprzył już całe mieszkanie rodziców. I za odgłosem, jaki wydaje pękający lód, kiedy wrzuca się go do rumu z colą. Słyszysz ciche „krr” i widzisz, jak na zupełnie przejrzystej kostce pojawia się siatka pęknięć. Dajcie mi to, a pojadę na każdą wojnę świata.

– Wiesz, że dobrego rumu nie pije się ani z lodem, ani z colą?

– Na szczęście piję gówniany.

W głośniku zabrzmiało parsknięcie. Trwało tylko chwilę, nie podążył za nim śmiech.

– I nic? Nic więcej?

– Johny, oni wzięli mnie do tego zadania, bo wiedzieli, że będę dobrze przygotowany i zdeterminowany. A wiedzieli dlatego, że nie mam nic innego. Tylko psa i rum z lodem. Dlatego nikogo nie namawiałem i odstawiłem szopkę z demokracją w MDS-ie. Wy macie znacznie więcej do stracenia.

– Desperado z ciebie – stwierdził Wieteska.

– Nieudacznik, Johny.

– Masz przygotowanie, co? Nie daj Boże pewnie jeszcze studia? Ogarniasz tę siatkę politycznych gierek, jak z opium, tak?

Pilot od tygodni nie wspominał o sprawie handlu narkotykami. Tutaj nie wydawało się to ważne.

– O co właściwie pytasz?

– Kto ma właściwie rację, co?

– Jak to kto? – zadrwił Koller. – My. Jak zawsze.

– Serio. Nie mówię o nas i Safezie. Mówię o… nie wiem… historii? O wszystkim dookoła, co widzieliśmy i co się dzieje. Myślałem, że Afganistan to gówno, z handlem, gierkami i gównianą polityką, ale to piaskownica w porównaniu, że tak powiem, z obecnym realem. W szkole nie uczą, że jak nikt nie ma przewagi, wszyscy tracą rozum. Kurwa, czy ja jestem naiwny?

– Może, ale to akurat dobrze.

– Dzięki za wyczerpującą odpowiedź.

Koller zamyślił się. Nie uświadamiał sobie dotąd, że jego los związany był z losem Safeza znacznie mocniej, niż miałby kiedykolwiek ochotę się przyznać. Wątpliwości, z którymi zdradził się Wieteska, nie dręczyły go nie dlatego, że był bezrefleksyjny czy nadmiernie oddany sprawie. Po prostu Ahmed Szah Safez przesłaniał mu obraz.

Stało się dokładnie to, przed czym Kollera przestrzegano. Oficerowie Służby Wywiadu Wojskowego i CIA mylili się tylko co do jednego; nie powodowała nim chęć zemsty, w każdym razie nie przede wszystkim. Gdzieś na dnie umysłu porucznika mieszała się ona z podziwem wobec skuteczności Palestyńczyka. Ten pozbawiony wojskowej edukacji człowiek przewyższał inteligencją i zdolnościami ludzi, którzy całe lata spędzili w najlepszych akademiach militarnych świata. Łączył je z brutalnością i szaleńczą motywacją, a te zdawały się wykluczać chłodny umysł.

Dla Kollera pościg za Safezem przestał być zemstą czy nawet obowiązkiem.

Stał się grą, narkotyczną w swej naturze.

I dopiero kapitan Polskich Sił Powietrznych Jan Wieteska sprawił, że Koller zaczął się zastanawiać, ile racji może być w motywach przeciwnika.

Nim odezwał się ponownie, wysnuł niewesoły wniosek, że z dwójki „twardziel z Zachodu” i „terrorysta” ten drugi walczył o coś, co – przynajmniej w jego własnym pojęciu – było prawdziwą ideą.

– Jeśli wrzucisz do celi dwóch ludzi – zaczął powoli Koller – i dasz im tyle jedzenia, by przeżył tylko jeden, postawisz ich przed dylematem. Kategorie dobra i zła staną się mniej oczywiste. Ci ludzie zaczną walczyć, ale wtedy zwycięzca stanie – mimo wszystko – bliżej strony, która jest zła. Jeśli jeden zagłodzi się na śmierć, by drugi mógł przeżyć, wtedy sprawa jest oczywista – on będzie dobry.

– No, powiedzmy.

– A teraz wyobraź sobie, że tych dwóch ludzi to dwa narody. Żaden nie może zagłodzić siebie, bo żaden nie odpowiada tylko za siebie, ma w rękach los setek tysięcy. Nie wolno mu się poddać, bo wtedy jego słabość doprowadzi do największego zła. Będą więc walczyć i któryś zwycięży. Tylko że wtedy nie ma podziału na dobrych i złych. Jest wyłącznie konieczność.

Konieczność. Ładnie to wywiodłem. Ciekawe, jakiego słowa używa Safez, pomyślał Koller.

– Nie mogą się po prostu dogadać?

– Nie, bo każda ze stron ma poczucie, że na porozumieniu straci. Tej ziemi, jak sądzą, jest za mało. Każda czuje się dość silna, żeby spróbować walki, i wydaje jej się, że to dla niej najlepsze rozwiązanie. Tak było i tak musi zostać.

– Z nikim nie sympatyzujesz?

– To bez znaczenia, Johny. Historia już zadecydowała, mamy tylko zapobiec zmianom. Dylematy rozwiązano za nas dziesiątki lat temu.

– Dziś.

– Jesteśmy gośćmi w Palestynie czterdziestego ósmego roku. Zdrowiej mieć taką percepcję świata.

– Mnie to nie wystarczy. Oni w końcu ruszą, zaczną się napieprzać, a wtedy… Jak mam ich zatrzymać dwoma helikopterami z popsutą elektroniką?

– Nie wiem.

– Ja tak nie umiem, muszę w coś wierzyć. Jak coś robię, muszę wiedzieć, po co. Historia i jej wyroki mało mnie obchodzą. Mało mnie obchodzi jej niezmienność po tym, jak nas potraktowała.

– To znaczy?

– Chodzi… Przecież wiesz. – Niemal dało się słyszeć chrzęst zaciskanych w eterze zębów. – Połowa mojej rodziny zginęła w pierwszym tygodniu wojny. Pradziadek, który się ostał, bo go nie było wtedy w domu, dwa lata później dostał kulę w łeb, bo ktoś doniósł, że wozi Żydom chleb. Że większość tych Żydów była takimi samymi Żydami, jak i Polakami, że gdyby nie zasrany Hitler, w życiu nie opuściliby Polski, choćby Izrael powstał na kopalniach złota, bo tu był ich dom. A ja oglądam w telewizji jakieś głupie filmy, w których nic tylko biegamy za Żydami z cegłami. A pieprzeni prezydenci państw, które przez pół wojny nie zrobiły nic, zapluwają się, gadając o polskich obozach koncentracyjnych. Dobra, nie każdy był w porządku. Dobra, były wśród nas ścierwa. Tak przed wojną, jak i po…

Johny zamilkł na moment.

– Ale?

– Ale to jest też nasza trauma, do cholery. Każdy Polak, który zginął w czasie tej cholernej wojny, to nasza trauma. Każdy polski Żyd, którego w niej zabili, to też jest nasza trauma, bo nie wiem, kim był najpierw: Żydem czy Polakiem, ale chodzi o to, że Polakiem też był, rozumiesz? Nie spadł do Łodzi czy Warszawy z kosmosu. Był częścią naszego kraju, naszym bratem. Nikt tego, kurwa, nie pamięta.

– Ja pamiętam. Co chcesz powiedzieć?

– Nie wiem. – Wietesce zaczynał łamać się głos. – Że cała historia to jedno wielkie gówno. Że moja czy twoja pamięć jest nic niewarta. Że może prawda jest nic niewarta. I że ja mam żonę, która przeżyła chyba to samo, co ja. Chociaż według jej relacji, to prawdopodobnie w tej wersji historii, w której jesteśmy, ona nie żyje od dziewięciu lat. Jeśli jakimś cudem wrócę do domu, w nasz czas, będziemy chyba mieli wspólny pokój w wariatkowie… – Westchnął głośno. – A jeśli nie… Co to zmieni, co? Ja jestem żołnierzem polskiego wojska. Polsce przysięgałem wierność. A jakie to ma znaczenie? Czy Izrael powstanie, czy nie, nadal będziemy an-

tysemitami. Nasza prawda nadal będzie mniej warta od prawdy tępych filmów. A może nasza obecność tu to też jest historia, nasz los i odgórny plan? Może tak naprawdę niczego nie kontrolujemy, po prostu…

I znów kapitanowi zabrakło słów.

– Tak?

– Koller. Po prostu powiedz, co mam robić. Wydaj mi rozkaz.

Koller rozejrzał się. W oddali, przez okno, widział cień sylwetki Dawida Ben Guriona, który znów przemawiał do zebranych. Poznawał ją po charakterystycznej czuprynie, która zaczynała się dopiero w połowie czaszki. Noc była gorąca, ale nie upalna, wiał wiatr. I nic, zupełnie nic nie wskazywało na przełomowość chwili, na doniosłość tego, co miało się zaraz zdarzyć.

Albo nie.

– Nie wiem, Johny. Nie mam stopnia, który dawałby prawo ci rozkazywać, nie jesteśmy w czasie, który by mi na to pozwolił, a na tej pierdolonej pustyni nie ma polskiego wojska. Jesteśmy tylko ja, ty i jakiś niepojęty bezsens pojęć.

– A jeśli spytam o radę, nie o rozkaz?

I znów cisza. Tym razem Koller próbował znaleźć słowa.

– Mówiłem ci, kim był mój ojciec? – spytał.

– Nie pamiętam.

Koller uśmiechnął się do siebie.

– Poetą. Niezbyt dobrym. Powtarzał, że ma w sercu wrażliwość i piękno, brakuje mu tylko talentu – słów, żeby je wyrazić. Matka uwierzyła, mówiła, że tym zdobył jej serce. Tłumaczyła nawet jego wiersze na tatarski. Moim zdaniem po prostu był nierobem, zawsze tak myślałem.

– Opublikował coś?

– Coś. Nic, czego ty czy ja nie napisalibyśmy po flaszce albo dwóch. Publikowali go głównie znajomi redaktorzy, zwykle za darmo. Chociaż sam nie miał talentu, bardzo doceniał twórczość innych. Pakował mi ją do głowy, choć nie wiem, czy dzisiaj pamiętam więcej niż przeciętny licealista. Mój ojciec uważał, że warto szukać dobrych zdań, choćby cudzych. Bo jedno dobre zdanie wyraża więcej niż tysiąc zwykłych słów.

– Czemu mi o tym mówisz?

– Bo to wszystko, co mogę ci dać. Czyjeś słowa.

– Jakie słowa?

– Bądź odważny, gdy rozum zawodzi.

Wieteska nie zdążył odpowiedzieć. Rozmowę przerwał odgłos serii oddanej z karabinu maszynowego. Odległy huk, który dotąd kojarzył się z „fire testem”, próbą broni przed wyjazdem z bazy.

W transmisję włączył się Jaszczur.

– Grupa Bravo, mamy rannego. Koller, zaczęło się.

Mówił głosem, którym rozmawia się pod ogniem. W sposób wyraźnie dający znać o trzymanych na wodzy emocjach.

– Gdzie? – spytał natychmiast porucznik.

– Budynek naprzeciwko głównego wejścia. Pierwsze piętro. Nie widzimy ich jeszcze.

Transmisję przerwały kolejne strzały.

Koller spojrzał na Czujkę. Gromowiec stał w gotowości, z karabinem w dłoni.

– To może być zmyłka – powiedział porucznik.

– Może tak być – zgodził się żołnierz.

Nadajnik śledzący zapasową baterię reaktora zaczął cicho pikać.

Koller wyjął z kieszeni plastikową butelkę wody, którą uzupełniał już setki razy. Wylał kilka kropli na dłoń i zwilżył kark. Stara, wojskowa metoda, która miała sprawić, że wzrok szybciej przyzwyczajał się do ciemności. Porucznik przeładował broń i ruszył w stronę drzwi. Dopiero wtedy, słysząc rytm własnych kroków, tak energiczny, poczuł, że się uśmiecha.

Zaczęło się. Wreszcie.

3

Cichy obóz Jordańczyków błyszczał w oddali setkami słabych, spokojnych świateł pochodni.

Widok ten uspokajał Rashida, przypominając mu jego wioskę w górach. Sprzed wielu lat, gdy jako chłopiec wracał ze stadem z gór. Ten blask zawsze mówił mu, że jest w domu.

Życie dawniej było prostsze.

Bojownicy czekali na znak. Ich twarze nawet przez kamuflaż zdradzały napięcie. Karabiny w dłoniach niektórych drżały. Strach czy podniecenie, Rashid wiedział, że nie ma to wielkiego znaczenia. Kiedy zacznie się walka, każdą z tych emocji będzie dało się zamienić w szał.

Kiedy się zacznie.

Jeśli się zacznie.

W oddali transjordańskie patrole wysłane przez brytyjskich oficerów pokonywały cierpliwie wyznaczone szlaki, czujnie wypatrując śladów – jak wierzyli – żydowskiej partyzantki, Hagany. Ogień z niewielkiej benzynowej bomby dawno już dogaszono, strat pośród Jordańczyków nie było. Ot, kolejna noc na pograniczu.

Szalony Safez, pomyślał Rashid.

Afgańczyk nie był szczególnie refleksyjny. Znał siebie dość dobrze, by wiedzieć, że przez większość życia kierowały nim na zmianę strach i chęć zysku. Nie idea, nienawiść ani nawet miłość, tylko pieniądze albo lęk.

Na łupy nie mógł już liczyć. Bać się Safeza, który zginie niedługo w wybuchu bomby atomowej, prawdopodobnie też nie było warto.

Rashid zadał sobie pytanie, czy nienawidzi Żydów.

Nie wiedział.

Możliwe. Nigdy żadnego nie spotkał, żaden nie uczynił mu krzywdy, a choć mówiono niekiedy, że za Szatanem-Ameryką stoją Żydzi, była to nienawiść w bardzo ogólnym wymiarze.

Czy wystarczająco silna, by oddawać za nią życie?

Rashid spojrzał w górę. Niczego nie zobaczył, ale wiedział, że tam są. Obserwował diabelskie rydwany przez prawie całe swoje życie i potrafił wyczuć je z daleka. Od tygodni kryli się przed nimi po każdym ataku.

Polacy tu byli. A skoro byli, szansa na powrót do domu, pieniądze i bezpieczeństwo wciąż istniała.

– Co robimy? – spytał jeden z bojowników, barczysty mężczyzna o gęstej brodzie, pełnej powpinanych w nią srebrnych ozdób. – Już czas.

Nigdy nie atakowali więcej niż raz jednej nocy, a zaraz po uderzeniu dzielili się na grupy i znikali z oczu aż do rana.

Rashid nie był złym dowódcą. Spojrzał w noc.

Jak trudno byłoby się skontaktować z Polakami, pomyślał.

Pokręcił głową. Safez miał najważniejszy element wehikułu czasu. Tak powiedział, gdy się rozstawali. On rozdawał karty. Wszystko, co dawało nadzieję powrotu, wkrótce eksploduje, zabierając ze sobą większość rządu Izraela.

Nie było żadnego powrotu.

Wtedy Rashid zrozumiał, że jakąkolwiek decyzję podejmie teraz, po raz pierwszy od wielu, wielu lat będzie ona podyktowana nie tym, czego pragnie czy czego się boi, ale w co wierzy.

4

Thomas Smith miał typowe nazwisko i typowe imię, a także – w gruncie rzeczy – raczej typową biografię. Żołnierz od osiemnastego roku życia, wysłany przez matkę do armii wyłącznie dlatego, że uznała go za najmniej zdolne z sześciorga dzieci. Najpierw podoficer w Indiach, potem oficer w Afryce, ranny w obu bitwach pod El Alamein. Teraz dowódca Legionu Arabskiego, najlepiej zorganizowanych wojsk Królestwa Transjordanii na pograniczu. Brytyjczyk w obcej armii. Wpływy imperium były w Królestwie tak duże, że nikogo to nie dziwiło. Oprócz niego w legionie znajdowało się jeszcze czterdziestu siedmiu oficerów z Albionu.

Smith był dumny ze stopnia, do którego doszedł – generała brygady, oraz podobieństw własnej kariery do kariery Arthura Wellesleya, szerzej znanego jako książę Wellington, pogromca Napoleona. Wellesleya także wysłała do wojska matka, z identycznego powodu – braku wiary w zdolności syna. „Wielki kunktator” również służył w Indiach.

W głębi duszy Smith czuł, że na tym analogie się kończą. Na nudnym arabskim pustkowiu nie doczeka się swojego Waterloo. W najlepszym wypadku każe rozstrzelać w samoobronie kilku Żydów, którzy tak uparcie nękali jego ludzi.

Smith zjadł kolację w kantynie, pośmiał się z weteranami trzeciego regimentu – *good lads* – i wracał właśnie do namiotu. Cieszył się, że nie musi go z nikim dzielić. Cudze nawyki bywały irytujące.

Zasalutował strażnikom – niżsi stopniem to cenili – i odsłonił płachtę. Przed snem zamierzał jeszcze napisać kilka listów, zwłaszcza do żony. Sięgnął więc po zapałki i zapaliwszy pierwszą, odkręcił klosz lampy naftowej.

Wtedy nastąpiła eksplozja.

Namiot niemal uniósł się w powietrze, a łóżko w stylu kolonialnym poszło w drzazgi, podobnie jak podnóżek i drewniana balia. Płonące fragmenty papieru uleciały w powietrze, przewróciła się szabla paradna i pękła szyba w starym zegarze, Bóg jeden wie po co targanym przez tyle frontów.

Ale Thomas Smith przeżył.

Podniósł się z ziemi i otrzepał mundur. Ktoś, kto nie znał Smitha, powiedziałby, że nic się nie stało. Nie dostrzegłby wściekłości, która rozbłysła w oczach.

– Dowódca warty! – wrzasnął zachrypniętym głosem. – Do mnie!

W namiocie znajdowało się już trzech żołnierzy, którzy wbiegli przed chwilą, by udzielić generałowi pomocy, widząc jednak jego rosnącą furię, nie odważyli się nawet spytać, czy wszystko w porządku.

Na zewnątrz rozległy się długie serie, których odgłos nie był znany żadnemu z weteranów licznych teatrów ostatniej wojny, choć na ogół na słuch zdolni byli podać rodzaj broni, odległość i przybliżony czas ostatniej konserwacji. Po chwili do kanonady włączyły się charakterystyczne trzaski Stenów i ciężkie burczenie Browningów.

Do środka wpadł oficer dowodzący strażą. Roztrącił stojących przy wejściu mężczyzn.

– Ataki w wielu punktach, panie generale! Wróg w polu widzenia. Partyzantka.

– Gówno, nie partyzantka. Hagana – warknął Smith. – Poderwać ludzi! Dziś kończymy ten cyrk.

– Sir?

– Podzielić się na grupy. Wyeliminować napastników, uciekających ścigać i rozbić. Zająć każde ufortyfikowane osiedle, które napotkacie na dro-

dze. No, nie gapić się tak! Nie będę dłużej tracił ludzi. Jazda!

Oficerowie i żołnierze wybiegli z namiotu. Do karabinowej kanonady dołączyły wybuchy kolejnych improwizowanych bomb. Smith ruszył powoli na zewnątrz. Odgłosy eksplozji zupełnie go nie poruszyły. W porównaniu z El Alamein były niczym więcej niż szczebiotem świerszczy. Miał dosyć. Dosyć bezczynności, inspirowanych polityką rozkazów, za które płacili jego chłopcy, wahań.

Będzie miał własne Waterloo.

5

Budynek, w którym odbywały się obrady Zgromadzenia, z trzech stron otaczały zwykłe, dwupiętrowe domy mieszkalne o nieciekawych kwadratowych bryłach. Pierwsze dwa zajmowali zwykli żydowscy mieszkańcy Tel Awiwu. Kolejny, z boku, należał do brytyjskiego kancelisty, który ponad miesiąc wcześniej wyjechał z Brytyjskiego Mandatu Palestyny razem z ogromną liczbą pozostałych urzędników imperium.

To tam Koller zorganizował siedzibę oddziału. Miejsce było idealne. Żołnierze króla od czasu do czasu zaglądali na posesję, nigdy jednak nie wchodzili do środka, zadowalając się sprawdzeniem stanu zamków w drzwiach.

Odwrotnie działo się z aleją Rothschilda, szeroką arterią składającą się z chodnika biegnącego wzdłuż zabudowań, jezdni, dwóch szpalerów drzew, drugiego pasa jezdni i kolejnego chodnika. Ulica była starannie patrolowana przez liczne grupy żołnierzy.

Wkrótce miała zamienić się w pole bitwy.

Koller biegł, próbując dotrzymać kroku Czujce.

Adrenalina skoczyła gwałtownie. Świat zawęził się do prostych wyborów, planów, które tworzyły się natychmiast.

Żadnych rozważań, żadnych dywagacji.

Lewa, prawa, stukot butów i powiew gorącego nocnego wiatru.

Przecięli aleję w poprzek.

Błysk, huk – jak gdyby odległy. Okno, budynek naprzeciwko.

Świst. Kule tuż nad głową.

Czujka runął na ziemię, przy pniu drzewa.

Drzewo. Koller przeturlał się – bruk chodnika werżnął się w plecy – i oparł o pień.

Strzały. AK-47. Ogień ciągły.

Beton trotuaru prysnął w kilku miejscach jednocześnie, jak po uderzeniu kilofem.

Porucznik wysunął głowę. Strzelec.

Żadnych błysków. Skąd celuje?

Ruch w górze i w dole alei. Mundury. Ruch po prawej stronie. Czujka.

Gromowiec wychylił się w przyklęku, z okiem przy celowniku broni.

– Stój! – szepnął Koller.

Brak reakcji.

Myśli tak samo jak ja, zrozumiał Koller.

Operator GROM-u był skoncentrowany na zadaniu: zlokalizować zagrożenie i zlikwidować je. Dwa pewne, pojedyncze strzały. Żadnych krzyków, żadnego brzęku tłuczonej szyby.

Kolejna seria z AK-47 nie załomotała o chodnik.

Czujka odwrócił się do Kollera i puścił oko. Chwilę później grymas na jego twarzy zamarł.

Terkot, ogłuszający terkot, jak gdyby ktoś wsypał wiadro kamieni do pralki.

Przykrył ich ogień brytyjskiego patrolu.

6

Safez wstukiwał kolejne polecenia w programie zabezpieczającym. Zielone robaczki komend przeskakiwały po ciemnym ekranie, domagając się dalszych potwierdzeń i kodów.

Bojownik, który stał w oknie, przerwał ogień i sięgnął po kolejny magazynek. Nie zdążył nawet oprzeć dłoni o zasobnik. Odskoczył nagle, przewracając się przez lewe ramię. W huku kanonady Ahmed nawet nie wyłowił dźwięku tego konkretnego strzału.

Rozprysk krwi padł na jego twarz i pulpit sterowniczy. Palestyńczyk zaklął – pomylił się w jednym z kodów. Przetarł klawiaturę skrajem rękawa

i wrócił do pracy. Program poinformował o błędnej komendzie i zażądał powtórzenia pełnej sekwencji od początku.

Kilkadziesiąt cennych sekund zniknęło bezpowrotnie.

Safez miał do dyspozycji ośmiu ludzi. W mieście grupa powinna być mniej liczna – mogła rzucać się w oczy, zapewniała jednak większe bezpieczeństwo podczas pokonywania pogrążonych w wojnie bezdroży.

Teraz jeden bojownik został wyeliminowany, dwóch zajmowało stanowiska przy drzwiach. Reszta walczyła w terenie. Jeden Allach raczył wiedzieć, ilu z nich jeszcze żyło.

Ahmed znał odgłos karabinów, które strzelały z ulicy. To były polskie Beryle i niemieckie MP-5.

Jednostki specjalne.

Nie wziął Polaków pod uwagę – punkt dla przeciwnika. Nie przejął się tym. Rozważanie rzeczy, na które nie miał wpływu, uczyniłoby go tylko mniej efektywnym. Skoncentrował się na programie.

Zapasowej baterii reaktora nie przewidziano jako ładunku wybuchowego. Żeby doprowadzić do eksplozji, należało obejść zabezpieczenia, a następnie zasymulować kompletną procedurę przygotowania i wykonania skoku w warunkach awarii podstawowego źródła energii. Dopiero wtedy nagły wzrost mocy miał doprowadzić do wybuchu.

Operacja wymagała czasu. Palestyńczyk go nie miał. Zdawał sobie sprawę, że jego ludzie nie są tak dobrze wyszkoleni jak przeciwnicy. Liczył na przewagę taktyczną. Jednostki specjalne zwykle egzekwowały ustalony wcześniej szczegółowy plan, teraz zostały zmuszone do improwizacji. To dawało szansę.

Musieli tylko wytrzymać.

Potrzebował kilku minut.

Ranny żołnierz wykrzykiwał modlitwy do Allacha, pozostali dwaj spoglądali na drzwi w napięciu. Żaden nie zajął miejsca przy oknie.

– Do roboty – warknął na nich Ahmed. – Tu na nic się nie przydacie.

Bojownicy spojrzeli na siebie; wyższy kiwnął głową. Podbiegł do leżącego na podłodze i zabrał mu pozostałe przy pasie magazynki.

Zniknęli za drzwiami bez słowa. W przypominającym burzę hałasie, kurzu i ciemności.

Ahmed wstukiwał komendy.

7

Pierwszy dostał Ogień.

To on szedł na przedzie, przeglądając perymetr – dziedziniec zamknięty z trzech stron kilkupiętrowymi budynkami o wyraźnych wgłębieniach, małych podwórcach na rogach i z szeregiem parterowych szop o płaskich, nieregularnych dachach z czwartej. Chwilę później padł na ziemię, wypluwając krew. Miał strzaskaną kość obojczyka: nic nie poczuł. Po prostu stracił przytomność.

Mimo noktowizorów i zwyczajowej ostrożności ludzie Jaszczura nie dostrzegli ukrytego na dachu niższych zabudowań przeciwnika. Rutyna. Ogień za to zapłacił.

Regularne, gwiaździste rozbłyski zdradzały pozycję strzelca. W studni dziedzińca każdy wystrzał rezonował kilkunastokrotnym echem.

Znajdowali się na tyłach stojącego przy alei Rothschilda budynku. Nigdy nie przemieszczali się główną ulicą; nie chcieli rzucać się w oczy Brytyjczykom. Przypuszczali, że Safez uczyni podobnie.

Mieli rację, tyle że ludzie Ahmeda zajęli pozycje wyjątkowo szybko. Nie tylko GROM znał się na robocie.

Jaszczur kazał żołnierzom rozbiec się pod mury zabudowań. Gdy znaleźli schronienie, wymienili kilka sygnałów. Po sekundzie Kres i Brudny jednocześnie wychylili się zza osłon; cztery kule i uderzenie serca później strzelec zleciał z dachu martwy.

Wtedy odezwały się karabiny z pierwszego piętra i parteru.

– Kres! – krzyknął Jaszczur. Ich pozycja była obrońcom doskonale znana, o czym świadczył sypiący się na głowy tynk. Nie warto było dłużej bawić się w utrzymywanie ciszy. – Daj mi trochę dymu! Brudny, ogień na okna!

Dwa granaty dymne zastukotały o dziedziniec, eksplodowały i przestrzeń wokół spowiła gęsta mgła. Do kanonady AK-47 dołączyły cichsze

odgłosy wystrzałów z MP-5.

Pojedynek toczył się między dwoma oddziałami o najwyższych kompetencjach. Po stronie Polaków stały miliony przeznaczone na szkolenia i wymiana doświadczeń z najlepszymi jednostkami świata, po stronie terrorystów był ogrom bojowego doświadczenia i przewaga pozycji.

I jedni, i drudzy, Jaszczur zauważył to ze zdziwieniem, oszczędzali amunicję. Nikt nie walił na oślep, byle w dobrą stronę. Mimo dymu kierowano ogień celnie, w miejsca, gdzie mógł znaleźć się przeciwnik.

Tego ostatniego sierżant doświadczył, gdy skulony biegł do Ognia. Przeciwnik strzelał do rannego i jedna z serii świsnęła dowódcy GROM-u obok ucha.

Jaszczur przykląkł, rozsunął zakrwawioną kamizelkę. Zbadał puls; żołnierz odzyskał przytomność i zaczął pluć krwią, drżąc na całym ciele. Żył, ale Jaszczur ocenił jego stan jako bardzo ciężki. Złapał go za kołnierz kamizelki i zaczął ciągnąć w stronę załomu ściany.

– Święta Mario, Matko Boska– szeptał do siebie. – Módl się za nami… kurwa mać.

O chodnik, obok biodra rannego, rykoszetowały kule. W tym jednym miejscu Afgańczycy strzelali gęsto, nie żałując amunicji. Jaszczur dobrze wiedział, że w końcu któraś z kul, pewnie niejedna, trafi w cel.

Dotarł do załomu, gdzie puścił rannego, i niemal runął do tyłu. Przyklęknął. Był znacznie bardziej zdyszany, niż się spodziewał. Adrenalina i ciężkie, gorące powietrze. Popatrzył po twarzach swoich ludzi.

Było ich trzech, plus ranny Ogień.

Nie zostawiamy swoich, brzmiała maksyma większości jednostek specjalnych świata.

Tylko trzech.

– Wchodzimy do środka, zanim nas zmiotą – powiedział sierżant przez ściśnięte gardło. – Jeśli mają granaty, rozpieprzą nas, kiedy rozwieje się zasłona.

Brudny i Kres nie poruszyli się.

– No, jazda! – sierżant podniósł głos. – Wrócimy po niego!

Jeden po drugim zerwali się na nogi i przemknęli przez zasłonę dymną w kierunku budynku, który przylegał do alei Rothschilda.

Po Safeza.

Na terrorystów natrafili przy wejściu, niemal wpadli na nich twarzą w twarz, wybiegając wprost z dymu.

Kres zdjął pierwszego. Afgańczyk miał na sobie ciężką kamizelkę kuloodporną, która jakimś cudem wytrzymała strzał z bliskiej odległości. Niewiele mu to dało. Dwa pociski w klatkę piersiową połamały żebra, kolejny, w głowę, rozerwał płat czołowy i skroniowy mózgu. Terrorysta opadł bezwładnie plecami na towarzysza.

Tamten zachował zimną krew. Chwycił martwego przedramieniem za gardło, jak do duszenia, i zasłaniając się nim, zacisnął palec drugiej dłoni na spuście.

Trzydzieści pocisków kalibru siedem sześćdziesiąt dwa milimetra przeorało powietrze. Kres runął na bok, szukając schronienia za filarem, Jaszczur do tyłu. Tylko Brudny skoczył szczupakiem na ziemię, tuż pod AK-47, przetoczył się i gdy ostatnia kula opuszczała lufę, wstawał już w pozycji będącej połączeniem zapaśniczego obalenia za dwie nogi i rzutu amerykańskiego futbolisty. Gromowiec z impetem wpadł barkiem w biodra osłaniającego się poległym przeciwnika.

Wszyscy trzej runęli na ziemię.

Jaszczur i Kres ruszyli na pomoc. Nim dobiegli, Brudny wstał, poprawił zapięty na pasku karabin i wytarł zakrwawiony nóż o spodnie. Spojrzał na sierżanta, który bez słowa kiwnął głową.

Ruszyli dalej, na klatkę schodową.

Wdzierali się skokami, niemal stopień po stopniu. Osłaniając się nawzajem, szli ostrożnie, choć czas gonił. Wzrok za celownikiem, dłoń na ramieniu żołnierza z przodu.

Nie znali planów budynku, rozmieszczenia ani liczby przeciwników.

Szli w ciemno.

Zużyli cały zapas granatów, zarówno bojowych, jak i dymnych. Zabili kolejnych terrorystów, dwóch.

Pierwszego rozerwało, zanim zorientował się, co poleciało w jego stronę. Drugi nie dał się podejść. Najpierw odrzucił granat, a potem wyładował w stronę Polaków pierwszy magazynek i część drugiego. Wreszcie Kres trafił go w brzuch. Kolejnego granatu Afgańczyk już nie odrzucił.

Kres dostał lekki postrzał w ramię, rykoszet poszarpał mięsień czworogłowy prawej nogi Jaszczura, w kamizelce kuloodpornej Brudnego tkwiły dwie kule. Jedna złamała żebro i gromowiec szedł powoli, a jego twarz pokrywała się coraz głębszą bielą. Każdy oddech oznaczał spazm bólu, który wybuchał pod czaszką jak supernowa.

Mimo to wciąż parli naprzód.

Ogień został na dole, między załomem ścian.

Tam umarł.

8

Czujka poderwał się zza pnia.

Sześć cichych klekotów zamka, tyle samo niewiele głośniejszych strzałów. Trzy biegnące od wschodu sylwetki padły na ziemię. Mundury rozerwały się na piersiach w gwałtownych eksplozjach szkarłatu.

Zostali ci biegnący z zachodu.

Koller wstał.

Kolba przy ramieniu, głowa przechylona. Powietrze wypuszczone z płuc.

Śliska stal spustu, nacisk tuż za kością obojczyka. Jak gdyby dziecko kopało go w pierś.

Ból, gdzieś na twarzy. Rana? Nie, zaciśnięte zęby.

Dziecko przestaje kopać. Koniec magazynka.

Dwóch żołnierzy Jego Królewskiej Mości padło na ziemię. Dwa zmasakrowane jeszcze w locie trupy.

Czujka spojrzał na Kollera i kiwnął głową.

Metody odmienne, ale równie skuteczne.

Uciekający czas.

– Do drzwi! – krzyknął porucznik.

Ręka sama wyciągnęła następny magazynek z zasobnika, magazynek sam się wymienił, karabin się przeładował. Musiało tak być. Koller nie miał nad tym żadnej kontroli.

Krzyki: arabskie, pasztuńskie, polskie.

Chaos.

Eksplozje, które rezonują nie tylko w uszach. Wstrząsające powietrzem w płucach i ustach. Znów bieg. Lewa, prawa, perymetr czysty. Ciemność. Smród. Prochu, strachu i śmierci.

– Za mną – powiedział Czujka, poprawiając noktowizor.

Ruszyli w górę. Miękko na nogach, powoli, schody są śliskie od krwi. Lewa, prawa. Wyjścia na korytarz na klatce. Oba rozerwane granatami. Czysto.

Zwłoki.

To Brudny.

Wciąż miał otwarte oczy. Dłonie trzymał na piersi, wokół leżały bandaże.

Próbował opatrzyć rany, zrozumiał Koller. Było ich zbyt wiele. Większość znajdowała się w obrębie kamizelki kuloodpornej, ale kevlar nie wytrzymał potężnych ciosów kul z Kałasznikowa. Odłamki kamizelki błyszczały spod krwi. Niedoszły absolwent WAM-u umarł z rolką bandaży w ręku. Pasowało.

Koller dostrzegł ruch na szczycie schodów. Poderwał karabin. Powstrzymał go szept Czujki:

– Swoi!

– Pośpieszcie się – odpowiedział Jaszczur. – I ostrożnie, chyba mają jeszcze granaty.

Wdrapali się na górę. Jaszczur i Kres utrzymywali pozycję niemal dokładnie na wprost wejścia do długiego korytarza. Koller spróbował się wychylić.

Huk, jak młotkiem w głowę przez hełm. Piach w oczach. Nie, nie piach, drobinki betonu.

Porucznik przetarł oczy.

– Co się dzieje? – spytał. – Gdzie Safez?

– Tam – powiedział Jaszczur. Oddychał ciężko, świszcząco. Mówienie najwyraźniej przychodziło mu z trudem. – Musi tam być.

– Dlaczego nie atakujecie?

Sierżant spojrzał w dół.

Jedna wielka, krwawa miazga.

Krwawienie z rany na górnej części uda Jaszczur zatamował paskiem od kamizelki, a poszarpaną łydkę zakleił taśmą klejącą. Koller zorientował się, że dowódca GROM-u ciężar ciała opiera na sprawnej kończynie i na ścianie za plecami.

Jak on mógł iść? – pomyślał. To musiał być granat albo cała seria.

Kres wyglądał tylko nieco lepiej. Ręka na broni spływała krwią i lekko drżała. Uszkodzony nerw, widać od razu.

– Nie mam granatów – powiedział Jaszczur. – Zostało wam coś?

– Nie mieliśmy żadnych granatów – odparł Czujka. – Wszystko brał patrol.

Koller nic nie powiedział. Nie pamiętał rozkazów, które sam wydał.

– Bez granatów… – wysapał sierżant. – Ciężko. Oni chyba jeszcze mają. Ale pewnie też niewiele… Chyba oszczędzają.

– Trzeba się tam dostać – uciął porucznik. Szkoda czasu na czcze dywagacje. – Jest inna droga?

– Może dookoła budynku. Stąd na pewno nie. Możemy spróbować zejść i…

– Nie – przerwał mu Koller. – Na dole zbierają się Anglicy.

– …pomogą.

– Nie pomogą. Zabiliśmy kilku na dole.

Jaszczur pokiwał głową ze znużeniem. Żadnych pytań.

– No tak…

– Jest nas czterech – rozległ się głos Czujki. Rys drapieżności zdawał się wyostrzać na jego twarzy jeszcze bardziej niż zwykle. – Pobiegnijmy…

– Rozpieprzą nas.

– Jeśli odpalą bombę, i tak nas rozpieprzą.

Głos rozsądku.

9

Ahmed Szah Safez wstukał ostatnią z komend i zatwierdził naciśnięciem Enter. Program piknął cicho, pojawiła się kanciasta grafika niczym z filmów o zimnej wojnie, informująca o rozpoczęciu procedury.

Ahmed usiadł po turecku i wpatrzył się w ekran.

Przestał słyszeć wymianę ognia, nawoływania Anglików i jęki rannych. Pomyślał o matce. Nie wiadomo skąd nadeszło wspomnienie sprzed lat, z obozu dla uchodźców. Niemal zatarty w pamięci obraz.

Pośród siatek okalających teren znalazł wtedy różę – rzecz zupełnie niewiarygodna. Nie był to kwiat o prostej, grubej łodydze, tak typowy dla Europy; roślina wiła się jak pnącze między kolejnymi oczkami metalu, wspinając się w górę w poszukiwaniu słońca. Jej płatki były cienkie, niemal przezroczyste.

Ale była piękna.

Ahmed pomyślał, że zaniesie ją matce, ona otworzy oczy, uśmiechnie się do niego i powie „dziękuję”. I może to da jej siły do życia. Wyleczy. Może lekarz powie, że stał się cud, ona wstanie z łóżka, wróci do pracy, a wkrótce opuszczą obóz.

Safez uśmiechnął się na to wspomnienie.

Udało się.

Jego matka nie trafi do obozu dla uchodźców, nikt z Palestyńczyków nie zostanie w nich zamknięty. Matka nie umrze i nikt jej nie zgwałci. To nieważne, że wtedy on się nie narodzi. Będzie miała dobre życie. Narodu Palestyny nikt nie umęczy i nie wygna z jego ziem.

Rozmyślania te przerwał krzyk dobiegający z korytarza. Było ich dotąd wiele, ale dopiero ten w jakiś sposób wydał się wyraźny, przejmujący; może dlatego, że brzmiał w obcym języku.

Ahmed nie znał polskiego.

Nie wiedział więc, że wrzaski nadbiegających Polaków nadawały się wyłącznie do ocenzurowania.

10

Obóz wojsk transjordańskich wyglądał w nocy jak wielki, świetlisty potwór, który drzemie spokojnie na ciemnej pustyni. Groźny, ale nieruchomy.

Tak było zazwyczaj.

Teraz potwór najwyraźniej się rozgniewał. Z równomiernej, błyszczącej blaskiem pochodni elipsy zaczęły się rozlewać długie świecące macki, które sięgały wściekle na zachód.

Kolumny wojska.

Johny obserwował je z kokpitu Mi-24. W jakiś sposób widok kojarzył mu się z filmami w rodzaju „Trzynastego wojownika" albo „Władcy pierścieni". Z wysokości ponad półtora tysiąca metrów całość wyglądała niczym ostatnie poprawki przed finalnym ujęciem. Jeszcze kilka minut i będzie można trzasnąć klapsem, a Gondor i Mordor rzucą się na siebie w spektaklu pełnym blasku wystrzałów. Z tą różnicą, że orkowie nie mieli broni maszynowej i artylerii.

Kapitan kazał poderwać helikoptery po pierwszym wybuchu. Jego odgłos doszedł do nich, nim jeszcze Ugawe na dobre zapadł w sen. Żadna z bomb, którymi dywersyjny oddział Safeza nękał Jordańczyków, nie eksplodowała dotąd tak głośno.

– Wiesz, Maciek? – powiedział Johny, gdy wskakiwali do maszyn. – Przyszła mi do głowy jedna rzecz.

– Zawsze chętnie sobie pogadam przed bitwą. Dawaj.

– No więc myślałem, że ja tu nie pasuję: Polak, w przeszłości, na jakimś bliskowschodnim zadupiu. Bez sensu, sam powiedz.

– No tak. I co wymyśliłeś?

– Że skoro mam obok siebie czarnego z Gdyni, w sowieckim śmigłowcu, to może ze mną nie jest tak źle?

– Zawsze do usług. Zdążyłem się przyzwyczaić do myśli, że zawsze będziemy tu plażować – zauważył Polonus przez radio. Żartobliwy ton pilota nie był tak naturalny i beztroski jak zazwyczaj. Śmigłowiec Johny'ego leciał teraz wysoko, niewidoczny dla uczestników rozpoczynającej się bitwy. W dole widzieli błyski ognia z broni ręcznej. W szumie śmigieł, z tej wysokości, bezgłośne. Małe erupcje światła przesuwały się powoli, ale zauważalnie w stronę odległych żydowskich osiedli. Z powietrza prowokację dało

się dostrzec natychmiast. Chaos uciekającej Hagany był całkowicie pozorny. Podzielone na małe grupy oddziały cofały się we wzorowym wręcz szyku, nie dopuszczając do dłuższej utraty kontaktu z przeciwnikiem.

– Obniż pułap – zakomenderował Johny.

– Zobaczą nas. Mają tu chyba jakąś obronę przeciwlotniczą.

– Pewnie mają.

– Jak twoja awionika?

Kapitan spojrzał na tablicę przyrządów. Wysokościomierz i prędkościomierz trwały nieruchomo na zerach, podobnie jak większość pozostałych urządzeń. To, co cyfrowe, jeszcze działało, ale ekran zachowywał się dziwnie. Reagował z opóźnieniem, na dodatek niektóre ze wskazań były całkowicie niewiarygodne.

– Jaka awionika? – odparł Johny, siląc się na żart.

– Tak myślałem. Będziemy tak latać czy coś zrobimy? Pewnie już nas widzą i jakiś koleś w piżamie biegnie do działka.

– Zdejmiemy te kolumny.

– Nareszcie.

– Ostatnia wola?

– Zaklepuję tę najbardziej po wschodniej stronie. Mogę, mamo?

– Bierz.

Johny nałożył noktowizyjne gogle, poprawił się w fotelu; operator uzbrojenia odpalił pierwsze rakiety. Sunęły długą smugą, a potem eksplodowały kolorowym rozbłyskiem, piękne niczym noworoczne fajerwerki, w samym środku transjordańskiej kolumny. Pośród mroku wyglądało to niemal niegroźnie. Wieteska doskonale wiedział, że wywołał piekło.

Kapitan obniżył nieco pułap i przyśpieszył. Zaatakowana grupa pościgowa poruszała się teraz znacznie wolniej, ale zdołała zachować szyki i wciąż podążała naprzód, w stronę osiedli.

– Nie muszę chyba nic mówić, co? – spytał Wieteska.

Operator uzbrojenia mruknął coś niewyraźnie, a chwilę potem kolejna rakieta znalazła się w powietrzu.

Tym razem po pierwszym wybuchu pojawiły się kolejne. Musiało dojść do eksplozji paliwa lub amunicji w którymś z pojazdów, bo łańcuch rozrósł

się w cztery albo pięć różnych rozmiarów fajerwerków.

Johny przyjrzał się swojemu dziełu przez noktowizor. W środku zgrupowania ziała olbrzymia, oślepiająca plama. Po bokach przemieszczały się niewyraźne sylwetki uciekających ludzi. Małe iskierki wystrzałów z broni ręcznej sprawiały wrażenie, jak gdyby obraz lekko śnieżył.

Kilka kilometrów na wschód podobnego dzieła zniszczenia dokonywał Ugawe.

Wieteska zmienił kąt natarcia i dał pełną moc. Mi-24 ruszył z opuszczonym nosem w kierunku kolejnej ofiary. Dwie kolumny pozostawały nietknięte i nic nie wskazywało, żeby pogrom na flankach miał je zatrzymać.

Silnik helikoptera zaczął charczeć i przerywać. Maszyną rzuciło.

Tracili wysokość.

– W nic nie trafię – warknął operator uzbrojenia. – Szarpiesz jak na pierwszej godzinie prawa jazdy.

– Obiecuję poprawę – odparł Johny. Zmniejszył moc silnika, a potem powoli ją zwiększył. Liczył, że to tylko chwilowa usterka, może coś z filtrami. Lot ustabilizował się.

Pilot spojrzał w bok.

Choć nie dostrzegł helikoptera Polonusa, łatwo orientował się w jego pozycji po śladzie rakiet i pocisków i eksplozjach, które roznosiły transjordański pościg. Ugawe nie dbał o to, żeby się kryć.

Wieteska poczuł wstrząs – dwudziestopięciomilimetrowy, pięciolufowy potwór zawieszony pod kadłubem wypluł serię pocisków. Na dole się zakotłowało. Dotąd po każdej eksplozji rakiety światła rozchodziły się na boki – ludzie uciekali, a potem ścieśniały – wracali po rannych. Teraz już nikt nie pojawiał się w zasięgu ognia. Seria trwała, ofiar przybywało. Kolejne źródła blasku gasły. Ugawe ostrzeliwał drugą flankę.

Historia czy mord? Zdaniem Kollera – konieczność.

Nie myśleć, powtarzał sobie kapitan. Nie myśleć.

– Ostatnia rakieta – uprzedził operator. – Jakieś konkretne życzenia?

– Cudowne rozmnożenie.

– Pomyślimy. Zejdź niżej. Będzie skuteczniej.

– Przepraszam, kto właściwie dowodzi tym helikopterem?

– Proszę.

– Pańskie życzenie jest dla mnie rozkazem – stwierdził Wieteska. Odepchnął wolant od siebie.

Wtedy się zaczęło.

Nie była to kwestia wysokości, po prostu mieli pecha.

Od strony transjordańskiego obozu nadleciało kilka długich, jasnych smug. Artyleria przeciwlotnicza. Polonus znajdował się dalej, odskoczył sprawnie, po czym zrobił pętlę, unikając serii. Zatoczył koło i ponowił atak, jak gdyby w zemście za to, że ktoś ośmielił się do niego strzelać.

Helikopter Wieteski był odwrócony do przeciwnika ogonem. O ostrzale kapitan dowiedział się dopiero po pierwszym trafieniu, które wstrząsnęło maszyną. Śmigłowiec miał mocny pancerz, mimo to zachwiał się, a ekrany i kontrolki przygasły na sekundę. Johny zaklął i spróbował poderwać maszynę, gwałtownie zwiększając ciąg.

Silnik znów zaczął przerywać, tym razem wyraźniej. Helikopter opadł gwałtownie, jak gdyby zerwał się z jednej z utrzymujących go lin. Kilka kolejnych długich smug przeleciało nad nim, dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą się znajdował.

Następne trafienie zatrzęsło nim jeszcze mocniej.

– Co jest? – odezwał się w radiu Polonus. – Napiździają w ciebie jak w kaczkę, Johny.

Kapitan nie odpowiedział. Spróbował powtórzyć manewr, który już raz się udał. Zmniejszył gwałtownie ciąg, tracąc wysokość, a potem zwiększył go.

Coś znowu trzasnęło, a potem… zrobiło się ciszej.

– Johny? – spytał Ugawe. – Co ty wyprawiasz?

Wieteska słyszał tylko szum pędzącego powietrza. Poczuł się jak w szybowcu.

Silnik po prostu zgasł.

Zawył system ostrzegawczy. Część sprawnych jeszcze przyrządów wyłączyła się i sterowność gwałtownie spadła. Wieteska podciągnął nos Mi-24.

– Zero sześć, tu dowódca – powiedział, korygując pozycję. Czuł, że poci się obficie, ale głos miał spokojny. – Kontynuuj wykonywanie zadania. Mam awarię silnika. Lądуję autorotacyjnie.

– Przecież gówno widzisz.

– Wiem.

– Johny…

– I tak mi nie pomożesz. Zero sześć, kontynuuj wykonywanie zadania. A ty – powiedział do operatora uzbrojenia – strzelaj, póki możesz.

– Johny, nawet jeśli jakimś cudem się nie zabijesz, oni was tam na dole przecież…

Kapitan wyłączył radio.

Lądowanie na autorotacji było manewrem trudnym, zwłaszcza ciężkim śmigłowcem bojowym, ale każdy pilot helikoptera uczył się go jeszcze w trakcie szkolenia. W przypadku awarii silnika należało zmniejszyć kąt ustawienia łopat wirnika i podciągnąć nos maszyny do góry.

Część dotychczasowej prędkości wciąż jeszcze utrzymywała helikopter w powietrzu, a teraz – dodatkowo – energia jego opadania sprawiała, że powietrze kręciło wirnikiem, osłabiając tempo utraty wysokości. Instrukcja mówiła, by wykorzystać siły fizyki i uczynić opadanie jak najbardziej łagodnym.

Brzmiało łatwo, wykonanie było dużo trudniejsze.

Johny wiedział doskonale, że jest w stanie awaryjnie wylądować helikopterem. Trenował to setki razy. Nie obawiał się o tę część czekającego go zadania.

Co innego wypełniało jego umysł strachem.

Punkt przyziemienia.

Większości katastrof nie powodował brak umiejętności wykonania właściwego manewru, ale zły wybór miejsca. Śmigłowiec potrzebował zupełnie płaskiego terenu, z miejscem na wytrzymanie – czyli co najmniej kilkadziesiąt metrów sunięcia tuż nad ziemią i wytracania prędkości. Dokładnie tak jak lądujący samolot. Albo szybowiec.

Noktowizor nie oddawał ukształtowania terenu dość dokładnie. W zupełnych ciemnościach Wieteska nie miał szans znaleźć pewnego lądowiska.

11

Biegli naprzód jak rzymska kohorta.

Strzały, serie, ogień ciągły. Koniec kalkulacji i oszczędzania amunicji. Zero taktyki, planu, dowodzenia. Brakowało na to czasu.

Była tylko wściekłość.

Pierwszy z ubezpieczających korytarz terrorystów złożył się jak szmacianka lalka, w pozycji, która wykluczała normalną pracę kości i stawów; grad pocisków rozerwał go prawie na strzępy.

Drugi miał dość czasu, by zacisnąć palec na spuście AK-47. Karabin zaterkotał.

Człowiek, który trzymał kałasza, zatoczył się jak pijana baletnica. Nadal strzelał, ale teraz już nie w Polaków, tylko wokół siebie, po pokoju. Padł martwy na podłogę, ostatnie kule przecięły powietrze tuż nad podłogą, a potem magazynek skończył się i kanonada ustała.

Kres przyjął kilka kul na kamizelkę kuloodporną, podobnie Jaszczur – obaj byli z przodu i wciąż nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo są poranieni. Poruszali się bardziej siłą rozpędu niż własnych mięśni.

O zwycięstwie zadecydował element zaskoczenia i celność ognia, nabyta poprzez setki godzin nieustannych ćwiczeń prowadzonych w najrozmaitszych warunkach. Trening, który pozwolił sprowadzić pewne umiejętności do atawizmu. Strzelali.

Prowadzili ogień niemal na ślepo. Bojowy szał, który dodawał skrzydeł, połączony z intuicją sprawiał, że z reguły trafiali. Gdy w końcu wbiegli do pomieszczenia, poza Safezem nie było w nim już nikogo żywego.

Siedział w kącie, dlatego ominęły go kule.

Obok stała bomba.

Kiedy Polacy kończyli walkę z obstawą, Ahmed wstał i wyciągnął z zasobnika kamizelki dwa granaty. Lekkim kopnięciem odsunął od siebie walizkę.

W drzwiach zamajaczyły niewyraźne postacie. Palestyńczyk rzucił im granat wprost pod nogi, a potem skoczył szczupakiem w prawo. Nim upadł, zdążył zamachnąć się jeszcze raz. Granat dymny wylądował pośrodku pomieszczenia. Safez szybko przestał cokolwiek widzieć.

Znieruchomiał i sięgnął po oparty o ścianę karabin.

Jaszczur rzucił się na podłogę, własnym ciałem zasłaniając kolegów. Huk, który towarzyszył eksplozji, był przytłumiony, a jej siła prawie rozerwała gromowca na pół. Podmuch ściął z nóg wszystkich pozostałych.

Safez padł do tyłu, tuż obok neseseru, ale broni z ręki nie wypuścił. Znów miał szczęście: znajdował się w rogu pomieszczenia, gdzie siła wybuchu była najmniejsza. Pozbierał się szybko i wysunął lufę przed siebie.

Serie pruły powietrze poprzez dym, dzwoniły rykoszety, huczał odstrzeliwany od ścian tynk. Potężny, skumulowany hałas i błyski serii wypełniły pomieszczenie. Czterech ludzi w czasie krótszym niż pięć sekund wystrzeliło kilkadziesiąt kul; trafiła tylko jedna.Czasem tak bywa.

Kres dostał postrzał w krtań, tuż nad kamizelką. Padł na kolana, a potem na twarz.

Czujka sięgnął po nóż, Koller wyciągnął zza pasa Glocka.

Safez porwał walizkę i skoczył szczupakiem w środek okna. Szyba brzęknęła, w drzazgi poszły kawałki ościeżnicy. Porucznik usłyszał głuchy jęk. Podbiegł do okna, kaszląc od chmury oślepiającego gazu. Nie mogąc uchylić oczu nawet na tyle, by poprawnie wycelować, po prostu opróżnił pół magazynka.

Prosto w pusty chodnik.

Na pękniętej płycie leżał rozerwany na dwie części neseser.

O elewację załomotały kule z brytyjskich Stenów. Porucznik cofnął się i padł na ziemię. Ściana nad jego głową sypała się w proch. Poszukał wzrokiem Czujki, ale go nie dostrzegł. Przeczołgał się w stronę obu poległych. Zerwał z zakrwawionych szyj nieśmiertelniki, zebrał broń, a potem skulony wybiegł na korytarz. Miał nadzieję, że Anglicy nie zajęli jeszcze tylnego dziedzińca.

Wciąż krztusił się i kaszlał. Granatów dymnych nigdy nie używało się w zamkniętych przestrzeniach. W ich składzie chemicznym znajdowały się najczęściej substancje toksyczne – w niewielkich ilościach nieszkodliwe. Dłuższe wdychanie ich nie mogło skończyć się dobrze.

Na schodkach zderzył się z Czujką. Gromowiec trzymał w dłoniach połamaną walizkę.

– W życiu nie spudłowałem z tej odległości. Nawet w ciemno – powiedział. Wskazał na podziurawiony kulami ekran. – Zasłoniła go.

– Pewnie wolałby, żeby było odwrotnie – stwierdził porucznik.

Pobiegli na dół.

– Czemu to nie wybuchło?

– Musieli skonstruować system tak, żeby przerywał procedurę w razie jakiejkolwiek awarii – zauważył Koller. – Chodziło w końcu właśnie o to, żeby zapobiec przypadkowej eksplozji. Dziedziniec czysty?

– Na razie.

Pomknęli z neseserem pod pachą i bronią poległych przewieszoną przez ramiona. Zostawili tylko AK-47 ludzi Safeza. Formalnie rzecz biorąc, ten typ karabinu już istniał, choć na razie w fazie prototypu. Wyskoczyli przez okno na pierwszym piętrze, gdy na parter wchodzili już Anglicy z bronią gotową do strzału.

Noktowizor Czujki okazał się bezcenny. W dużej mierze dzięki niemu po półgodzinie wypełnionego napięciem kluczenia udało im się ominąć liczne patrole, przeczesujące teren w świetle latarek, i dotrzeć do zaimprowizowanej tuż obok budynku obrad kryjówki.

Zwinęli sprzęt, zniszczyli to, czego nie potrzebowali, a resztę rzeczy w pośpiechu zebrali. Musieli opuścić dom, zanim Brytyjczycy poszerzą pole poszukiwań.

Przez ten czas Koller zastanawiał się, czy zamieszanie i słyszalna z dużej odległości strzelanina nie zmieni wyniku głosowania parlamentu. Pamiętał, że zwyciężyła opcja głosująca za niepodległością.

Czujka ukląkł przy karabinie wyborowym i przejrzał szybko perymetr. Safez wciąż mógł czaić się w pobliżu, choć teraz bardziej powinien zajmować go tabun brytyjskich żołnierzy. Po krótkich oględzinach gromowiec zaczął składać broń.

Koller stanął przy oknie, wpatrując się w światła domu naprzeciwko. Dotarła do niego ponura refleksja, że tylko w tym pokoju nic się nie zmieniło. Jak przed kwadransem, on i Czujka byli w tych samych miejscach. Tyle że w tym czasie poległo trzech towarzyszy. Poczuł wściekłość i zajęło mu dobrą minutę, nim się uspokoił. Zadanie nie zostało wykonane do koń-

ca. Udało mu się przechwycić bombę – czyli usunąć główne zagrożenie – ale nie podejrzewał, by Safez odpuścił. Zbyt blisko się znajdował. I zbyt wiele wysiłku włożył w tę operację.

Koller wyostrzył wzrok.

Dawid Ben Gurion wyszedł właśnie na środek zgromadzenia. Powolnym ruchem wyjął z kieszeni grzebień i zaczesał do tyłu rzadką, siwą czuprynę. Koller nie mógł słyszeć, że tonem równie zmęczonym, co dumnym ogłosił, że wynikiem sześć do czterech Zgromadzenie Narodowe zadecydowało o ogłoszeniu proklamacji niepodległości Izraela. Miało się ono odbyć następnego dnia o 15.30.

W tym samym miejscu.

12

Brytyjczycy przez całą noc i ranek krążyli po okolicy jak wściekłe osy. Żołnierze i policjanci czujnie obserwowali każdego przechodnia na alei Rothschilda, nierzadko wyciągając kogoś z tłumu. Koller i Czujka opuścili kryjówkę niemal w ostatniej chwili. Wyskakując przez okno, słyszeli, jak otwierają się drzwi. Przemieścili się do lokacji awaryjnej, którą kilka dni wcześniej przygotowali ludzie Jaszczura. Tam usiłowali nawiązać kontakt z Wieteską.

– Johny, Johny, tu Koller, odezwij się – nadawał porucznik monotonnym głosem, bardziej by odgonić myśli niż z realną wiarą, że ktoś po drugiej stronie się odezwie. – Kopciuszek, książę czeka…

– Posłuchaj tego – przerwał mu w końcu Czujka, pogłaśniając radio.

Koller oderwał się od radiostacji.

– Walki na pograniczu – powiedział spiker z perfekcyjnym londyńskim akcentem, którego nie zagłuszyły nawet szumy w eterze. – Dziś w nocy doszło do wymiany ognia między znacznymi siłami wojskowymi na granicy Brytyjskiego Mandatu Palestyny i Królestwa Transjordanii. Dowództwo sił Jego Królewskiej Mości w Palestynie zaprzecza, jakoby jego oddziały uczestniczyły w starciach. Z niepotwierdzonych informacji wynika, że żołnierze Transjordanii przekroczyli granicę sprowokowani przez oddziały izraelskich bojówek. Dalsze szczegóły są nieznane. Przypominamy, że dziś,

to jest o północy czternastego maja, wygasa brytyjskie zwierzchnictwo nad Palestyną.

Głos spikera umilkł. Cisza wypełniła pomieszczenie.

– Co teraz? – spytał Czujka. – Mamy bombę, decyzji Izraelczyków Safez nie powstrzymał.

– Ale żyje.

– To tylko jeden facet.

– Chyba że jego ludziom udało się sprowokować Transjordanię.

– I?

– Wtedy piłka pozostaje w grze.

– Może – zauważył gromowiec. – Ale we dwóch i tak nie zatrzymamy całej armii.

Koller kiwnął głową. Tak bardzo przyzwyczaił się do wykonywania kolejnych zadań, że zupełnie opuściła go refleksja nad tym, co możliwe, a co nie. Wszystko to zmęczyło go śmiertelnie; przez głowę coraz uporczywiej przemykała myśl o powrocie do domu.

– W takim razie zostało tylko jedno – powiedział. – Nie, w sumie dwie rzeczy.

Czujka zawiesił karabin wyborowy na ramieniu.

– No?

– Musimy zniszczyć broń, do której nie ma amunicji. A potem upewnić się, że ogłoszą tę deklarację. I wracamy.

13

Thomas Smith oglądał dzieło zniszczenia dokonane przez jego ludzi. Z czterech kolumn pościgowych, które rzuciły się w nocy na przeciwnika, tylko jedna dotarła do celu. Jednak wściekłość arabskich żołnierzy legionu była tak wielka, że oficerowie po prostu nie zdołali jej zatrzymać.

Kibuc Kfar Ecjon stał w ogniu.

Niepalną resztę po prostu zniszczono. Wzniesione z gliny domy i zagrody ostrzelano, równając je z ziemią. Drzewa czereśni, oliwek i migdałowców, które ledwie odrosły od ziemi, rozjechały ciężkie dżipy i samochody transportowe.

Najbardziej jednak uderzał widok zwłok.

Arabski zagon wpadł do kibucu pełen żądzy mordu, zabijając każdego, kogo napotkał na drodze: mężczyzn, kobiety, dzieci, nawet zwierzęta. Wszystko, co żyło i na czym można było dać upust agresji.

Blisko sto sześćdziesiąt osób.

Smith nie patrzył na swoich żołnierzy; nie miał ochoty spoglądać na zadowolone twarze, które tylko udawały skruchę. Jeszcze niedawno Legion Arabski był elitarną formacją szkoloną przez Brytyjczyków, ostatnio jednak napływało do niego coraz więcej ochotników, którym pojęcie dyscypliny było zupełnie obce.

Zamiast tego generał zwrócił wzrok na oficerów.

– Panowie?

Pierwszy odezwał się John McMuddock, kapitan z Edynburga.

– Nie będzie łatwo wrócić do domu. Król nam tego nie wybaczy.

– Do domu daleko – rzucił Johnson, zgarbiony bristolczyk, którego trzy pokolenia przodków lądowały albo w armii, albo w więzieniach Somerset. – Powiedziało się A, trzeba powiedzieć B. Oni zaczęli.

Thomas Smith przemyślał te słowa. Straty, które zadał im przeciwnik, Bóg jeden wie jakim cudem, opóźniły możliwość przeprowadzenia skoordynowanej akcji wszystkimi siłami. Potrzebowali co najmniej dnia lub dwóch na przegrupowanie i reorganizację.

Porównał zabitych z Kfar Ecjon ze zwłokami tych, którzy zaatakowali legion w nocy. Ci ludzie nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Cóż, pomyślał. Powiedziało się A, trzeba powiedzieć B.

– Chłopi i baby z kibucu – powiedział na głos. – Kto nam uwierzy, że oni zaczęli wojnę?

Kilkaset metrów dalej, w piaskach pogranicza, leżał martwy Rashid.

14

John Atwood w niewiele rzeczy już wierzył.

Całe jego życie przypadło na okres, kiedy imperium chyliło się ku upadkowi. Urodził się w Indiach, jak Kipling, i to poezja brytyjskiego noblisty, zwłaszcza wiersz „If”, kształtowała jego wizję własnej przyszłości. Kiedyś.

W czasach, gdy słowo „imperializm” było czymś pozytywnym, czymś, co zapewniało pokój i cywilizację.

Atwood nie wierzył już w imperium. Tak jak nie wierzył w Zachód i nawet – choć to bolało najbardziej – w Kiplinga.

Tak wiele się zmieniło.

Bomby atomowe nie mogły powstrzymać Sowietów, tak jak nie pokonały Japonii. John nie był głupi, czytał statystyki. Wiedział, że zniszczenia Hiroszimy i Nagasaki nie różniły się wiele od efektów tradycyjnych nalotów dywanowych. Na Kiusiu, Honsiu czy Hokkaido nie było nietkniętego skupiska domów, a jednak Japończycy wciąż się trzymali. Owszem, straty w ludności cywilnej były ogromne, ale czy naród samurajów kiedykolwiek się tym przejmował?

Broń nuklearna działała na wyobraźnię, ale zdaniem oficera RAF-u to nie ona rzuciła na kolana potęgę Wschodu, lecz Stalin.

Pancerne dywizje dyktatora na kontynencie azjatyckim dosłownie rozjeżdżały kolejne armie pod sztandarem wschodzącego słońca. I jeśli był ktoś, kto nie obawiał się poświęcić setek tysięcy żołnierzy dla desantu na Wyspy, to właśnie Józef Stalin.

Bomba atomowa dała Japończykom pretekst, by uniknąć rzezi z rąk Armii Czerwonej, naznaczonej kołchozami oraz egzekucjami okupacji, i poddać się Ameryce. I by wytłumaczyć to ludziom.

A Europa? Kraje bałtyckie, Czechosłowacja, Węgry, Bałkany? Wszystko oddane komunistom.

Polska. W czasie wojny John kilka razy opuszczał Afganistan; wielokrotnie słyszał od starych przyjaciół z RAF-u, jak wielce zasłużyli się polscy piloci w bitwie o Anglię. Wiedział o Monte Cassino i o Szczurach Pustyni. O sześciuset tysiącach poległych na różnych frontach tej wojny, więcej niż Francuzów, Brytyjczyków czy Amerykanów. Słyszał o powstaniu, które z woli Stalina stało się hekatombą mieszkańców. A potem oddano mu ten kraj, wiernego sojusznika imperium.

Wszystko to prowadziło Brytyjczyka do prostych wniosków. Żyli w nowym świecie i należał on już nie do imperium ani nawet do Zachodu, ale do Sowietów. Robili wszak z nim, co chcieli.

Dlatego Atwood unikał radzieckiego ambasadora, na oficjalnych bankietach nie rozmawiał z nim, dobitnie wyrażał swoje opinie i często powtarzał, że nie sprzeda honoru za uśmiech Sowietów.

Mówił prawdę.

Wolał to robić za ich pieniądze.

Wóz pancerny, którym amerykańska kapitan wróciła z ZSRR, musiał być wart dla Moskwy fortunę. Dlatego kiedy Sanchez i Jamróz złożyli mu propozycję, był zachwycony.

15

Mohammad Zaher Szah stał na samym środku placu, na podwyższeniu, i podziwiał paradujące przed nim wojska. Jego wuj Szah Mahmud zajmował miejsce po prawej stronie króla i mocą swojej postaci przytłaczał go zupełnie. Nawet dziecko musiało zauważyć, kto jest prawdziwym władcą Afganistanu.

A jednak w postawie Mohammada Zahera Szaha było coś, co wskazywało, że zupełnie tego nie dostrzega. Obserwował swoich żołnierzy, salutował im, ewidentnie przekonany, że władza, majestat i siła, wszystkie oznaki poddaństwa i szacunku przeznaczone są dla niego.

– Ten człowiek jest zupełnie oderwany od rzeczywistości – zauważył Jamróz, przyglądając się władcy na ekranie dowódcy w wieżyczce Rosomaka.

– Mówiłam ci – zauważyła Nancy.

– Przez cały dzień będzie się tak gapił?

– Albo i dłużej.

– To po co czyściłem pancerz? – narzekał Antosz Skrawiński.

Rzeczywiście, przed paradą kazano im doprowadzić pojazd do porządku. Potem poproszono, by zdali broń. Afgańczycy i Atwood nie znali się może na technice, ale amunicję i uzbrojenie potrafili znaleźć bezbłędnie. Szczególnie na broni zależało Brytyjczykowi. Dopiero po wielu dyskusjach i szeregu argumentów Nancy zgodziła się na zarekwirowanie amunicji. Wóz za to przeszukano trzykrotnie.

– Trzeba było namalować na wieży gołą babkę – zauważył trzeźwo Jamróz. – Wtedy by się na bank obejrzał.

– Nie chcieli dać kredek – odparł Skrawiński.

Wóz ruszył powoli, przejechał kilka metrów do przodu i znów się zatrzymał. Stali w bocznej uliczce, razem z resztą pojazdów, czekając na swoją kolej w rozgrywającym się przed Zaherem pokazie.

– Pamiętasz drogę? – spytał Jamróz przez komunikator.

– Pi razy drzwi – odparł kierowca. – Znajdziemy.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Plan był – zdaniem każdego poza Jamrozem i Nancy – diabelnie głupi, ale poza zdawkowym „no, może by go jeszcze dopracować” obyło się bez większych sprzeciwów.

Szeregowi przebywali w Kabulu w znacznie gorszych warunkach niż dwójka oficerów – nie pozwalano im wychodzić na zewnątrz częściej niż raz na tydzień, a nawet wtedy mogli przejść się jedynie po ogrodach pałacu – i gotowi byli zrobić wszystko, żeby wreszcie opuścić kwatery.

Silnik zawarczał cicho i wóz potoczył się znowu do przodu.

– No, jedziemy – usłyszeli z komunikatora. – Teraz na poważnie.

– Pani kapitan? – spytał Jamróz. – Przydałoby się chyba pomachać królowi.

– Z radością – odparła Sanchez. – Ale to ty znasz drogę.

– I właśnie dlatego wychylimy się oboje.

– To będzie… urocze – podsumowała ironicznie.

– Jak nam zabiją obu oficerów, to dowodzenie przejmuję ja czy kierowca? – odezwał się Skrawiński, ale zaraz umilkł pod mrożącym spojrzeniem zapytanych.

Nancy przeszła z przedziału desantowego do przodu, po czym wychyliła się przez właz. W sąsiednim zajął miejsce Jamróz.

Skwar był niemiłosierny.

– Powinnaś pomachać – zauważył porucznik. – Co kultura, to kultura.

– Czuję się jak małpa w cyrku – warknęła Amerykanka. Nie chciało jej się żartować.

Zbliżali się do platformy, na której stał król. Parada, jak na zachodnie warunki, była zupełnie żałosna. Trochę dział, sporo ciężarówek, żołnierze

w ciężkich płaszczach mimo upału i ledwie kilka samolotów, które nieustannie zataczały pętle nad ulicą, by wydawało się, że oto cała powietrzna armada wznosi się nad Afganistanem.

Król rzeczywiście zwrócił uwagę na kapitan Sanchez. Skłonił się jej po dżentelmeńsku, a Jamróz miał wrażenie, że jego towarzyszka z trudem panuje nad mimiką. Od czasu spotkania w mieście dostała już cztery listy miłosne, każdy z innym wierszem.

– Przynajmniej jest wytrwały – stwierdził porucznik, kiedy władca zniknął wreszcie za nimi.

– Bardzo zabawne.

– Nie śmiem nie doceniać twojego zdecydowania, ale nie skorzystać z zaproszenia na wyścig słoni to zbrodnia.

W Kabulu odbywały się słynne na cały kraj wyścigi słoni. Wielkie zwierzęta biegały, poganiane wrzaskami siedzących na ich karkach woźniców, ku uciesze gawiedzi wymachując trąbami. Podobno Zaher pokazywał przy tej okazji światu swoje nowe kochanki.

– Sam się z nim umów – stwierdziła Nancy. – Długo to jeszcze potrwa?

– Jeszcze dwie uliczki. Pomachamy do dzieci, posuszymy ząbki, wkurzysz kilku radykalnych islamistów swoim nietradycyjnym wyglądem i już gubimy drogę.

Przejechali kolejne kilkaset metrów, a mieszkańcy Kabulu podziwiali ich z otwartymi ustami, choć pewnie bardziej niż widok dwudziestopierwszowiecznego Rosomaka dziwiła ich blondynka w oficerskim mundurze na szczycie wieżyczki.

Gdy kolumna się rozluźniła, skręcili w bok.

16

Siedzieli w korytarzu, czekając na kolację, podczas której gospodarzem był ich brytyjski przewodnik i – jak dotąd sądzili – dobroczyńca.

Przejrzenie gry Atwooda nie było w gruncie rzeczy trudne.

Brytyjczyka zdradziły drobne szczegóły: wygłaszane głośno przekonanie o upadku Zachodu, o końcu imperium, ukrywanie faktu obecności

w Kabulu grupy Amerykanów, a także nadmierne, dociekliwe zainteresowanie Rosomakiem.

– Mają tu na uniwersytecie amerykańskiego nauczyciela, nazywa się Robert Fluker – powiedział Jamróz, podsumowując swoją wyprawę po mieście w dniu ucieczki spod opieki afgańskiej gwardii.

Nancy, nadal przeżywająca porażkę swej misji u króla, otworzyła szerzej oczy.

– Amerykanin?

– Atwood zawsze mówił, żebyśmy poruszali się tylko w okolicach Darul Aman. Bał się. Amerykanów nie jest tu wielu, ale stanowią jedną z liczniejszych grup obcokrajowców. Te wszystkie koktajle u niego w apartamentach były tylko przykrywką, żebyśmy myśleli, że uczestniczymy w jakimś życiu. Pewnie z tego samego powodu zarządził, by wszyscy poniżej stopnia oficera zostali w kwaterach. W ten sposób odcinał nas od Skrawińskiego.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Flukera nie było, ale spotkałem jego współpracownika. Mówił trochę po angielsku. Wspaniałe doświadczenie! Wreszcie ktoś, kto ma silniejszy akcent ode mnie. Powiedział, że nie macie w Afganistanie ambasady, ale jest stałe poselstwo.

Sanchez zaklęła pod nosem.

– Jak mogłam być taka głupia? Jak mogłam tego nie wiedzieć?

– Ty chyba jesteś specem od MDS-a, nie od Afganistanu, co?

– Ale byłam tu w naszych czasach. Spotkałam Zahera Szaha, jeszcze zanim stał się takim dupkiem. – Zawahała się. – To znaczy potem.

– Ciekawostka numer dwa: odwiedziłem chłopaków. Starają się pilnować Rośka. Ktoś testował wytrzymałość pancerza. Tego prawie nie widać, ale zostały drobne ślady. Mamy kolejny plan do opracowania.

– Tu się zgadzam – westchnęła.

– Jak się dostać do poselstwa.

– I nie zostawić Rosomaka w łapach Atwooda – stwierdziła Nancy. Wreszcie jakieś realne zadanie. Nowoczesny wóz pancerny, zwłaszcza po rozszyfrowaniu tkwiącej w nim technologii, w rękach Sowietów mógłby

odmienić losy świata jeszcze mocniej niż niepowstanie Izraela. – Przynajmniej to nie powinno być takie trudne.

– Pardon?

– Złóżmy Johnowi ofertę.

Zrobili to jeszcze tego samego wieczoru. Zaoferowali, że uświetnią paradę na cześć Mohammada Zahera Szaha swoim pojazdem. Rosomak odznaczał się przecież wyraźnie, a król lubił przepych. Atwood wysuwał obiekcje, kręcił nosem, wymigiwał się przed puszczeniem Polaka i Amerykanki w sam środek miasta.

Dlatego zaproponowali, że po paradzie ruszą samotnie do Teheranu, gdzie znajdowała się najbliższa ambasada USA.

Rosomaka zaś zostawią pod opieką Brytyjczyka.

Atwood był zachwycony.

17

Kiedy tylko oderwali się od reszty kolumny, wszystko wskazywało na to, że nikt nie dostrzegł w tym niczego dziwnego. Reszta pojazdów dalej podążała wyznaczonym szlakiem, a orkiestra nadal grała. Nancy była pewna, że Zaher Szah wciąż uśmiecha się do tłumów.

Ludzie obracali głowy na ich widok, zdziwieni ogromnym, niezwykłym pojazdem, który przedziera się przez wąskie uliczki miasta. Obraz ten najwyraźniej szokował ich na tyle, że nikt nawet nie zdobył się na zwyczajowe przekleństwo, gdy przejeżdżali tuż przed szeregami wystawionych na straganach towarów.

Jamróz po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuł ulgę.

– No – powiedział i nawet zdołał się uśmiechnąć. – Nie mogło od razu tak być?

Nancy przytaknęła. Również zaczynała mieć nadzieję, że ich ucieczka zakończy się sukcesem.

– Jeszcze kawałek…

– Les, nie kończ tego zdania.

Wozem zatrzęsło, kierowca zahamował gwałtownie i dwadzieścia dwie tony stali i oprzyrządowania zatrzymało się w miejscu, prawie katapultując

stojących w wieżyczce oficerów.

Jamróz zaklął.

Na wprost zobaczyli tarasującą drogę wielką wojskową ciężarówkę. Była udekorowana z okazji parady, a dwóch pilnujących jej żołnierzy opierało się o skryty w cieniu murek tuż obok. Gawędzili cicho.

Na widok polskiego Rosomaka spojrzeli po sobie, ale nie ruszyli się z miejsca. Wyglądali raczej na znudzonych; poprawili tylko karabiny, by mieć je pod ręką.

– Nie ominę ich – odezwał się kierowca przez komunikator. – Mogę cofnąć i staranować to pudło, ale narobimy hałasu.

Byli bezbronni. Musieli oddać amunicję nawet do broni krótkiej.

– Cofnij… – zaczął Jamróz.

W słowo wszedł mu Skrawiński.

– Panie poruczniku, pójdę – powiedział. – Pogadam z nimi. Po co robić aferę?

Jamróz spojrzał na Nancy i szybko przetłumaczył propozycję. Amerykanka wzruszyła ramionami.

– Nie zaszkodzi spróbować – powiedziała.

– Dobra, idź i ich oczaruj. A ty – dowódca zwrócił się do kierowcy – cofnij mimo wszystko.

Skrawiński wyskoczył przez drzwi desantowe, a chwilę później wóz przejechał kilka metrów na wstecznym biegu, zatrzymując się z włączonym silnikiem dwadzieścia metrów od ciężarówki.

Sanchez patrzyła, jak młody Polak podchodzi do dwóch Afgańczyków, szczerzy zęby i zupełnie swobodnie zaczyna rozmowę. Gwardziści odpowiedzieli uśmiechem. Obie strony pomagały sobie gestami, by lepiej wyjaśnić, o co chodzi.

– Les.

– Tak?

Skrawiński skłonił się uprzejmie, jego rozmówcy zrobili to samo, po czym ruszył w stronę samochodu. Szło jak z płatka.

– Jak my właściwie przekonamy to poselstwo, że nie jesteśmy bandą wariatów?

Jamróz otworzył usta, ale nie zdążył odpowiedzieć. Z tyłu dobiegły ich krzyki. To nadciągał Atwood w wypełnionym żołnierzami dżipie.

Afgańczycy siedzieli już w wozie. Zapalili silnik. Wtedy zobaczyli pościg.

– Rozjedź ich! – wrzasnął Jamróz.

Rosomak ruszył gwałtownie.

Nim jednak uderzył w ciężarówkę, a ta obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, otwierając im drogę, jej pasażer uniósł karabin, oparł jego łoże o okno i wystrzelił.

Prosto w plecy Skrawińskiego.

18

Ely Eliott Palmer miał sześćdziesiąt jeden lat, z których trzydzieści pięć spędził w placówkach dyplomatycznych od Paryża, przez Vancouver, po Bejrut i Sydney, by wreszcie trafić do Kabulu.

Jedni powiedzieliby, że to nobilitacja – dotąd był najwyżej konsulem generalnym, tu powierzono mu opiekę nad poselstwem. Inni twierdziliby, że placówka jest karą – w końcu jakie znaczenie miał zacofany, udający rozwój kraik w porównaniu z Francją, Kanadą czy Australią?

Palmer lubił myśleć, że jest na emeryturze.

Rzeczywiście, stanowisko nie wymagało szczególnego zaangażowania i dawało mu dużo wolnego czasu na ulubione zajęcia, szczególnie czytanie. Pochodził z Providence, małej ojczyzny dwóch wielkich amerykańskich pisarzy, z których jeden – Lovecraft – zupełnie niedawno umarł, zaś drugi – McCarthy – niedawno się urodził. Na lekturze tego pierwszego Ely spędzał wolne popołudnia w ambasadzie.

Na królewską paradę wysłał zastępcę, tłumacząc się stanem zdrowia.

Lubił spędzać czas w biurze, zwłaszcza gdy było tam pusto. Jego ukochana małżonka, choć wspaniała kobieta, nie pozwalała mu się ostatnio na niczym skoncentrować. Tutaj, w budynku poselstwa, były oprócz niego tylko dwie osoby: żołnierz ochrony i sekretarka. Żadne z nich nie odważyłoby się przerwać mu lektury.

Palmer zagłębiał się więc w spokoju w lekturze „Widma nad Innsmouth”. Główny bohater opowiadania słyszał właśnie głosy zza drzwi, ktoś namawiał się, by wtargnąć do jego pokoju, gdy do świadomości szefa misji dyplomatycznej wdarł się odgłos niepomiernie bardziej gwałtowny i głośny.

Szczęk stali, wycie i krzyk strażnika sprzed budynku.

Ely zerwał się z krzesła i podszedł do okna, pewien, że chodzi o wypadek samochodowy. To, co zobaczył, sprawiło, że nabrał wątpliwości, czy aby nie ponosi go nazbyt rozbudzona wyobraźnia.

Brama poselstwa leżała na ziemi, zupełnie zdruzgotana. Przed budynkiem stał ogromny pojazd pancerny, z dwójką ludzi na wieżyczce. Tuż za ogrodzeniem zatrzymał się dżip pełen afgańskich gwardzistów pod dowództwem tego angielskiego bufona, Atwooda. Wszystkiemu zaś przyglądał się amerykański strażnik, niepewny, w kogo właściwie powinien celować.

Palmer rzucił książkę na biurko i zbiegł na dół.

Kiedy znalazł się przed głównym wejściem, nagłe uderzenie upału wraz z krzykami wszystkich dookoła sprawiły, że zakręciło mu się w głowie. Na razie niewiele zrozumiał z tego całego zamieszania.

Gwardia Afganistanu wchodziła na teren placówki.

– Proszę natychmiast się zatrzymać! – krzyknął. – John, zabraniam wam wstępu na teren poselstwa! Marthy! – Spojrzał na strażnika, który najwyraźniej poczuł się pewniej, mając przy sobie kogoś, kto będzie musiał dowodzić tym bałaganem. – Jeśli którykolwiek z nich przekroczy bramę, masz go zastrzelić.

– Tak jest, sir!

– Sir, jesteśmy wysłannikami wywiadu amerykańskiego! – krzyknęła stojąca na wieżyczce kobieta. Ely, oprócz dziwnego munduru, odnotował z zaskoczeniem południowy akcent. Teksas?

– Moment – odparł godnie. – Wami zajmę się później. Marthy! Ich też miej na oku!

Ruszył w stronę Atwooda. Od dawna marzył, żeby utrzeć mu nosa. Anglik wręcz gotował się z wściekłości.

– Palmer! Oszalałeś? To niebezpieczni przestępcy! Porwali eksperymentalny pojazd króla, nad którym pracowałem!

– John – stwierdził łagodnie Ely – jestem tu od trzech lat i nigdy dotąd nie widziałem, żebyś pracował nad czymś więcej niż butelka brandy.

– To nie jest zabawne!

– W tym kraju produkuje się znakomitą broń ręczną, niektóre podróbki naszych karabinów są lepsze od oryginałów. Ale nie wmawiaj mi proszę, że stworzyłeś ten… czołg? To obraża moją inteligencję.

– Na Boga! Przecież znasz mnie!

– I właśnie dlatego pozwolę sobie zachować daleko idący sceptycyzm.

– Złożę protest u premiera!

– A choćby i u króla – warknął Palmer.

Odwrócił się w stronę strażnika placówki. Miał tylko jednego człowieka do dyspozycji. Ktoś powinien pilnować bramy, z drugiej strony rozmowa sam na sam z ludźmi z pojazdu – ubranymi w wojskowe mundury, a więc zapewne niebezpiecznymi – też nie wydawała się najszczęśliwszym pomysłem.

Wreszcie uznał, że mimo swojej dwulicowości Atwood jest – koniec końców – Anglikiem i zwyczajnie nie będzie w stanie zmusić się do naruszenia eksterytorialności poselstwa. Amerykanin ruszył w stronę tego czegoś, co przypominało ogromny czołg na ośmiu kołach.

– Kim jesteście? – spytał, podnosząc głowę.

– Jestem oficerem armii USA – odparła kobieta, eksponując naszywkę z flagą Stanów Zjednoczonych na ramieniu. – Pozostali to żołnierze Wojska Polskiego.

Oryginalne, pomyślał Ely.

– Ilu was jest?

– Siedmioro, łącznie ze mną. Mamy rannego.

Siedmioro! Jak stary, zmęczony Marthy miałby poradzić sobie z nimi wszystkimi, mając w rękach karabin M1 Garand i osiem nabojów?

– Dobrze. Pójdzie pani ze mną – zadecydował. Pomyślał, że Polacy najwyżej wystrzelają się nawzajem z ludźmi Atwooda. – Rannym zaopiekuje się… panna Strantson, moja sekretarka.

– Proszę o pozwolenie uczestnictwa w spotkaniu porucznika Jamroza.

– Nie pani jest tutaj aby najwyższa stopniem?

– To oficer armii sojuszniczej. Załoga to jego ludzie.

– Niech będzie. Proszę zostawić broń.

– Nie jesteśmy uzbrojeni. Odebrano nam amunicję przed dopuszczeniem do parady.

– Ot i tyle, jeśli chodzi o bajeczki zapijaczonego Brytola.

– Przepraszam?

– Dobrze, chodźmy już.

Weszli w błogi cień budynku poselstwa.

19

Nancy była naprawdę podenerwowana, gdy Ely Palmer przyglądał się iPhone'owi.

– I… – zaczął przedstawiciel poselstwa. Manipulował przy urządzeniu, wyraźnie zafascynowany możliwością rozkazywaniu mu za pomocą dotyku. – Co to tak właściwie robi?

– To takie coś pomiędzy komputerem i telefonem, ale w sumie nadaje się co najwyżej do podrywania małolat – zaczął Jamróz, po czym zamilkł pod spojrzeniem Sanchez.

Na szczęście Palmer nie zwrócił na niego uwagi.

– W tym… mechanizmie znajdują się książki, dokumenty, filmy, nawet gry – wyjaśniła.

– Memex… Czytałem o tym. Czyste science fiction. Gry?

– Proszę spojrzeć.

Nancy podeszła do biurka i kilkoma szybkimi ruchami dłoni uruchomiła „Angry Birds".

– Trzeba przycisnąć, o tak. – Przesunęła palcem, naciągając katapultę z jednym z ptaków, a potem puściła. – Mniej więcej tak to wygląda.

Palmer spróbował samodzielnie i już za drugim razem poszło mu całkiem dobrze. Kątem oka Nancy dostrzegła leżący na biurku zbiór opowiadań Lovecrafta. Mieli szczęście, przynajmniej trafili na człowieka z wyobraźnią.

– I dorośli ludzie w to grają? – spytał wreszcie Ely, odkładając aparat.

– Czasem całymi dniami – wtrącił Jamróz.

– A myślałem, że będziemy się rozwijać, nie odwrotnie.

iPhone był czwartym urządzeniem, które zaprezentowali. Zaczęli od kalkulatora jako najprostszego, w nadziei, że wywoła najmniejszy szok. Potem pokazali odtwarzacz MP3 i możliwie najstarszy telefon komórkowy, jaki ktokolwiek z oddziału miał w posiadaniu, by wreszcie przejść do dania głównego.

Wszystko to dotąd ukrywali, na wszelki wypadek całkowicie rozładowane (poza kalkulatorem) i dopiero w trakcie parady naładowali baterie, korzystając z wejść w Rosomaku. W miarę prezentowania kolejnych „dowodów" odkrywali coraz więcej kart odnośnie do tego, w jaki sposób i po co się tu znaleźli. Była to historyjka oparta raczej na opowieści o awariach i złym skalibrowaniu systemu, a nie wywiedzeniu w pole całej United States Army przez faceta, który edukację zdobywał na pustyni i w obozach dla uchodźców.

– Kto rządzi teraz Ameryką?

– W dwa tysiące siódmym roku prezydentem jest George W. Bush, republikanin.

Palmer zamyślił się.

– Wasza historia jest absolutnie, zupełnie i całkowicie niewiarygodna – stwierdził. – Ale wszystko – zerknął na elektronikę na biurku – wskazuje na to, że prawdziwa. Czego właściwie ode mnie chcecie?

– Musimy jak najszybciej skontaktować się z Harrym Trumanem.

– Prezydentem? No tak, nie spodziewałem się, że mógłbym zmieniać dzieje osobiście.

– Dziś po południu zostanie ogłoszone powstanie państwa Izrael. Truman musi jak najszybciej uznać jego istnienie.

Tylko na tyle było ich stać. Najważniejszy był oczywiście Rosomak, uznali jednak, że muszą zrobić wszystko, co w ich mocy, by dopomóc w powstaniu Izraela. Nie znali szczegółowych planów, ale wiedzieli na pewno, że bez względu na to, co się wydarzy, błyskawiczne uznanie nie-

podległości żydowskiego państwa przez jedyną na świecie atomową potęgę ma odpowiedni potencjał, by wpłynąć na losy historii.

– Niezbyt to amerykańskie albo nawet polskie – zdziwił się Ely.

– Historię już raz prawdopodobnie zmieniono. – Nancy przekonywała się w myślach, że tylko częściowo mija się z prawdą. – Trzeba to naprawić. W dwudziestym pierwszym wieku mamy szczęście być największą, może jedyną prawdziwą superpotęgą. Odpowiedzialność spoczywa na nas.

Palmer usiadł na fotelu za biurkiem i zamyślił się. Sięgnął do szuflady, zajrzał do jakiegoś dokumentu, przewrócił kilka kartek, co zdawało się zupełnie niezwiązane ze sprawą, i dopiero potem się odezwał.

– Nie wiem, jak wyobrażalibyście to sobie w swoim świecie, ale tu nie ma szansy na bezpośrednie połączenie. W mieście jest raptem kilkaset telefonów, i to w zamkniętej sieci. Możemy spróbować nawiązać kontakt z Teheranem, tam jest ambasada, a oni wyślą depeszę. Najwyższa pilność i klauzula tajności. Jest tylko jeden kłopot.

– Jaki?

– Mnie przekonaliście, dobrze. Ale jak przekonacie Trumana?

20

Siedziba Żydowskiego Funduszu Narodowego opustoszała. W piątek o piętnastej, kilka godzin przed szabasem, większość pracowników wypuszczono do domu. Ostatni urzędnicy zbierali rzeczy i szykowali się do wyjścia. Interesanci zniknęli już dawno. Nikt nie chciał ryzykować, że w drodze do kibucu zastanie go zmrok.

Czas był niespokojny.

Żydzi obawiali się, że Holokaust, zbrodnia, do której dopiero co doszło w Europie, wkrótce będzie miał miejsce i tu. Nie zamierzali na to pozwolić. Zbroili się, walczyli, radykalizowali w swoich poglądach. Trudno było ich winić. Wieści o walkach odbijały się coraz szerszym echem, a w odległej o ledwie sześćdziesiąt kilometrów Jerozolimie trwała prawdziwa bitwa. Na domiar złego tej samej nocy doszło do walk w centrum Tel Awiwu. Ludzie mówili o tym bez przerwy.

Koller czuł się podle, słysząc komunikat ogłoszony przez administrację brytyjską. „Kolejny atak terrorystów”.

Lepiej nie dało się tego ująć.

Porucznik stał nieruchomo na kamiennej podłodze Funduszu, gdy Ze’ev Szerf z nabożeństwem składał tekst Deklaracji Niepodległości i pakował go do teczki. Czujka czekał przy wyjściu.

Żydowski Fundusz Narodowy robił wrażenie. Organizacja, z jaką Naród Wybrany przystępował do zdobycia – lub zdaniem jego liderów „odzyskania” – ziemi Izraela, budziła podziw. Już w 1901 roku Żydzi stworzyli instytucję, która zbierała pieniądze na wykup ziem i budowę osiedli w Ziemi Obiecanej.

Za te pieniądze zbudowano Tel Awiw.

Ze’ev Szerf, sekretarz komitetu odpowiedzialnego za stworzenie aparatu administracyjnego powstającego państwa, chętnie skorzystał z okazji poćwiczenia dawno nieużywanego języka. O wysiłkach swoich i wielu innych Żydów opowiedział Kollerowi w przedziwnej mieszance polskiego i rosyjskiego.

– Mnogo ich było w Czerniowcach, Polaków, panimajesz? – mówił sekretarz, ostrożnie rozszerzając ściany teczki, by żaden z rogów dokumentu się nie zagiął. – Ja to waszych, inogda bardziej… mnie nrawitsia?

– Lubił – podsunął Koller.

– O! Da, lubił. Bardziej lubił jak swoich. Dlatego po waszemu gawarju, niemnożko, ale o tak, ciut-ciut. Była dzieweczka taka nawet. – Machnął ręką. – Ale kiedy to było. To już zabyty.

– Zapomniane.

– Tak. Zapomniane. I dwóch was starczy? Tak mówił Dawid?

– Tak powiedział, z samego rana. – Koller kiwnął głową. – Żeby nie robić zamieszania.

Kłamał.

Nie rozmawiał w tym czasie z nikim poza ostatnim z żyjących gromowców i sprzedawcą owoców, który zachwalał okolice Lublina, dawnych rodzinnych stron.

Porucznik nie wyobrażał sobie, jak wiedza o istnieniu wehikułu czasu mogłaby wpłynąć na decyzję najważniejszych przywódców Izraela. Nie zamierzał tego sprawdzać.

Czujka stał przy drzwiach, wyglądając przez okno na zaparkowany przed budynkiem samochód.

– Ma pan kluczyki?

Szerf z roztargnieniem obmacał kieszenie marynarki i wygrzebał wreszcie parę kluczy, które położył na stoliku przed sobą. Koller wziął je do ręki i rzucił gromowcowi.

– Odpal silnik – powiedział. – A my – zwrócił się do Żyda – będziemy wychodzić powoli. Jest pan gotów?

– Naturalnie – stwierdził Ze’ev, prawie bez akcentu. Chwycił teczkę i oparł ją na piersi jak ukochany skarb. – Byłem dowódcą w Haganie. Proszę się o mnie nie strachać.

Ruszyli do drzwi.

Oba skrzydła rozerwał potężny podmuch.

Koller padł do tyłu i tylko absolutnym przypadkiem w trakcie lotu obrócił się na bok. Zarobił sporego guza nad uchem, ale nie uderzył przynajmniej potylicą o kamienną posadzkę.

Spróbował wstać. Z ramienia sterczała mu wielka drewniana drzazga. Zacisnął zęby i wyrwał ją. Rozejrzał się w poszukiwaniu Szerfa.

Ten podniósł się z podłogi, otrzepał jak gdyby nigdy nic i pogładził teczkę. Jej gruba, garbowana skóra zatrzymała kilka niewielkich odłamków, które najwyraźniej nie zaszkodziły tekstowi Deklaracji.

Ze’ev i Koller spojrzeli na siebie, a dopiero potem przez powstałą w drzwiach wyrwę.

W miejscu samochodu zostały tylko fragmenty podwozia i powyginane metalowe szczątki maski.

21

Wybiegli na ulicę. Koller spojrzał na zegarek. Minęła piętnasta dwadzieścia trzy. Ceremonia ogłoszenia Deklaracji miała rozpocząć się za siedem minut.

Bez tekstu nie było to możliwe.

– Pan rzuci wintowkę – powiedział Szerf.

– Słucham?

– To. – Wskazał na karabin. – Tu jest mnogo Anglików. Będą strielać.

Koller bez chwili namysłu wyjął magazynek, zdemontował zamek i sprężynę od Beryla, po czym odpiął broń z paska na piersi. Bezużyteczny szkielet wyrzucił w krzaki, resztę schował do kieszeni na udzie.

Wciąż miał Glocka, a Ze'evowi nie można było odmówić racji.

Żyd zachowywał się z opanowaniem godnym dowódcy partyzantki. Wyszedł na środek ulicy i uniósł dłoń.

– A teraz ułowimy autostopa – powiedział.

– Słucham?

– No, po waszemu to… złapiemy. Nie ma czasu.

Dyskusję przerwał pisk hamulców. A potem krzyk wydzierającego się kierowcy. Szerf zachował całkowity spokój, zniósł potok słów, z których większość z pewnością musiała być obelgami, po czym podszedł do okna i bardzo spokojnie zaczął coś kierowcy tłumaczyć. Tamten kręcił niedowierzająco głową, dopóki nie zobaczył wysuniętej z teczki Deklaracji Niepodległości. Jej strażnik uśmiechnął się do Kollera.

– No, wsiada! Czas ucieka.

Porucznik posłusznie spełnił rozkaz. To był duży, przestronny samochód, ale większość tylnej kanapy zajmowały skrzynki z owocami. Polak ledwo wcisnął się pomiędzy nie.

Ze'ev poganiał kierowcę, robił to jednak po hebrajsku, porucznik więc nawet nie próbował głębiej zrozumieć sensu rozmowy. Zamiast tego spoglądał czujnie na boki.

Jechali bardzo szybko. Spalone słońcem budynki i sunące leniwie samochody znikały za nimi, raz czy dwa przed maską uskoczył człowiek. Tel Awiw nie był gotowy na taki rajd i chyba tylko głośne modlitwy kierowcy sprawiły, że żadna z kilku – na pozór pewnych – kolizyjnych sytuacji nie skończyła się tragedią. Pasażerowie pędzącego pojazdu nawet nie zdawali sobie z tego dobrze sprawy, czuli tylko bujanie, które przyprawiało o mdłości.

Koller uświadomił sobie, że zrobili, całkowicie nieświadomie, rzecz bardzo inteligentną. Cokolwiek planował Safez, nawet on nie mógł przewidzieć, że w przypadku niepowodzenia z ajdikiem wezmą pierwszy lepszy samochód. Ahmed był geniuszem planowania, ale nie prorokiem.

Samochód zatrząsł się nagle. Hamowali.

– O kurwa – powiedział bez cienia akcentu Ze’ev Szerf, urodzony w Rumunii Żyd.

Na wprost nich, wymachując gniewnie ręką, stał brytyjski policjant.

Koller wysunął Glocka z kabury, przeładował i ukrył za plecami. Spojrzał na zegarek. Piętnasta dwadzieścia siedem.

Wóz powoli dotoczył się w stronę Anglika, po czym stanął.

– Za szybko, za szybko! – powiedział policjant. – Mało ludzi ginie w tym kraju, żeby jeszcze takie wyścigi urządzać?

Sięgnął po bloczek do wypisywania mandatów.

– Dokumenty poproszę.

– Nie ma – odparł kierowca łamanym angielskim. – Pożyczył. Samochód pożyczył.

– Nie macie dokumentów?

Koller musnął spust.

– Pan jest patriotą, sir? – spytał Ze’ev, pochylając się w stronę szyby.

– Naturalnie.

– Proszę sobie wyobrazić, że Blücher spóźnia się pod Waterloo o pół godziny.

Anglik rozejrzał się na boki.

– Jak znam pruską naturę, Blücher nigdy nie przekroczyłby prędkości. I nie wygląda mi to na Waterloo.

– A jest wręcz przeciwnie.

– Czy pan sobie ze mnie stroi żarty?

– Przysięgam, że nie.

Było coś w Ze’evie, jakieś poczucie posłannictwa i konieczności, któremu nawet Koller nie mógł nie dowierzać. Ten człowiek miał w sobie tak wielką moc, takie przekonanie, że Polaka wcale nie zdziwiło, gdy pół minu-

ty później szyba kierowcy zamknęła się, a oni ruszyli dalej – w równie szaleńczym tempie – w stronę alei Rothschilda.

Deklarację podpisywano w tym samym miejscu, w którym niedawno przegłosowano decyzję o ustanowieniu Izraela.

Samochód zatrzymał się wreszcie, Szerf wykrzyczał podziękowanie i wyskoczył jak na sprężynie. Porucznik wysiadł za nim.

Na schodach czekał Dawid Ben Gurion.

Ze'ev wydyszał coś po hebrajsku, unosząc w górę teczkę, po czym wskazał na Kollera. Ben Gurion przyjrzał mu się uważnie.

– Widzę pana pierwszy raz w życiu, prawda? – spytał po polsku.

– Tak jest, panie premierze – odparł Koller.

– Przepraszam?

– I raczej po raz ostatni. To długa historia, a wam się chyba śpieszy.

– Tak – odparł przyszły premier. – Rzeczywiście. Chodźmy – powiedział do Szerfa. Musiał być zamyślony, bowiem także ostatnie zdanie wypowiedział w języku, którego używał przez pierwsze dwadzieścia lat życia.

Koller stał w miejscu. Samochód odjechał, politycy zniknęli w budynku, a on, zupełnie nagle, został sam na środku alei. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi.

Była piętnasta pięćdziesiąt osiem.

22

Ely Eliott Palmer otarł pot z twarzy i usiadł na biurku. Wokół panował istny bałagan. Marthy, strażnik, klęczał przy obitej skórą sofie i opiekował się rannym polskim tłumaczem, podczas gdy Joanne, sekretarka, która wcześniej doglądała postrzelonego, rozmasowywała dłonie. Od stukania w telegraf bolały ją palce. Nie robiła tego od lat.

Polacy i amerykańska – jak sama twierdziła – kapitan w napięciu patrzyli na szefa poselstwa. Kręcili się po pokoju od pół godziny, najwyraźniej nie wiedząc, co z sobą zrobić. Zresztą nie bardzo mieli się czym zająć. Budynek misji był niewielki, dość zagracony i chyba nigdy dotąd nie przebywało w nim dziesięć osób jednocześnie.

– Co teraz? – spytała Nancy Sanchez.

Miała miłą, ładną buzię i z pewnością ponętną figurę, którą szpecił ten dziwny mundur. Palmer odnotował to mimochodem, dla niego była ledwie dzieckiem.

– Teraz możemy tylko czekać – powiedział.

Wstał i podszedł do okna. Ludzie Atwooda wciąż warowali przy bramie.

Telegraf w poselstwie działał na zasadzie sygnału radiowego, miał duży zasięg, ale był przestarzały i Bóg jeden raczył wiedzieć, czy ktoś w Teheranie prowadzi jeszcze nasłuch. A nawet jeśli, to czy trzymają wciąż księgi kodów.

Wiadomość, którą wysłali, nie zawierała żadnych przełomowych odkryć, nie nawiązywała do podróży w czasie i zdobytej w jej trakcie wiedzy. Nie mogła. Nim dotarłaby do prezydenta, z pewnością przeczytałoby ją co najmniej kilka osób. Brzmiała zupełnie prosto.

„Do rąk prezydenta USA, Harry’ego Trumana.

Któregokolwiek z głosów posłucha Pan dziś po południu, Marshalla czy Jacobsona, proszę zrobić to szybko. Od pierwszych godzin nadchodzącej wojny może zależeć sens Pańskiej decyzji”.

Dalej następowały uwagi Ely’ego Eliotta Palmera. Pierwsza, przeznaczona dla sekretarza stanu, kładła nacisk, by natychmiast doręczyć wiadomość głowie państwa; druga skierowana została do samego Trumana. Cokolwiek telegram miał znaczyć dla prezydenta, Palmer swoją dyplomatyczną karierą ręczył za wiarygodność swych słów.

– Skąd to właściwie wiedziałaś, co? – spytał Jamróz. – Skąd znałaś nazwisko Marshalla?

– Uczą nas na West Point historii, wiesz? – zauważyła Nancy. – Nie wszyscy Amerykanie to idioci.

– Nie burz mi wypracowywanego przez lata obrazu świata. – Porucznik spróbował się uśmiechnąć. – No dobrze, uczą, ale tak szczegółowo? Nikt nie podaje nazwisk doradców.

– George Marshall jest nie tylko doradcą Trumana. To sekretarz stanu. On pierwszy otrzyma ten list.

– Czemu więc nie piszemy bezpośrednio do niego, skoro doradzał Trumanowi?

– Pochodzę z bardzo starej, wojskowej rodziny. Marshall jest dalekim krewnym. Historia o uznaniu Izraela do dziś jest wspominana na koktajlach u mojego ojca.

– Nie odpowiadasz na pytanie.

– Marshall odradzał Trumanowi uznanie Izraela– powiedziała Nancy – bo z politycznego punktu widzenia nie było to dobrym wyborem. Państwa arabskie miały ropę i narażanie się im wtedy było jeszcze głupsze niż dziś. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę widmo konfliktu ze Związkiem Sowieckim.

– Jesteś pewna, że dorzucanie mu do koktajlu presji czasu to najlepszy pomysł?

23

Thomas Smith stał w rozbitym na pustyni namiocie i czytał dwie dostarczone mu przez podoficera depesze. Pierwsza pochodziła od króla Transjordanii i była pokłosiem nocnego ataku na obóz. Zawierała rozkaz wkroczenia Legionu Arabskiego na teren Palestyny i posuwania się w kierunku Jerozolimy. Miało się to stać dokładnie o północy, wraz z wygaśnięciem brytyjskiego mandatu nad terytorium.

Dalej znajdowały się szczegółowe instrukcje odnośnie do współpracy z wojskami pozostałych państw regionu, które także planowały zwalczać żydowskich osadników. Generał zaśmiał się pod nosem. Jak można mówić o współpracy, gdy sztab jest wspólny tylko z nazwy, a współpraca to jedynie świadomość, że będą walczyć przeciw tym samym ludziom na tej samej ziemi?

Abd Allah I zgodził się na sformowanie jednego frontu, ale po nocnym ataku na Legion Arabski robił wszystko, żeby współpracę uczynić możliwie najmniej formalną. Smith wcale mu się nie dziwił. Hagana nie dysponowała siłami zdolnymi zmasakrować dwie z czterech kolumn pościgu, a sojuszni-

cy z Ligi Państw Arabskich od dawna zarzucali władcy Transjordanii nadmierną ambicję.

Niektórzy z oficerów legionu głośno zastanawiali się, czy atak nie był dziełem sprzymierzeńców.

Smith nie był politykiem, ale wystarczająco długo przebywał na pełnym intryg Bliskim Wschodzie, by wiedzieć nie tylko, o co toczy się gra, ale także w jaki sposób. Szczegółowe instrukcje współpracy mogły być dowolnie szczegółowe, lecz skoro nie podjęto realnych kroków w celu synchronizacji działań, oznaczało to tylko jedno.

Abd Allah I zaczął prowadzić rozmowy również z Izraelczykami.

Podobny tok rozumowania uzasadniała druga wiadomość. Była czysto informacyjna. Zawierała się w ledwie dwóch zdaniach, z których pierwsze mówiło o proklamacji niepodległości Izraela, rzeczy – zważając na okoliczności – zupełnie łatwej do przewidzenia.

Na zewnątrz brytyjskie czołgi i ciężarówki formowały kolumnę. Wojsko przygotowywało się do wymarszu. Legion stracił kilka czołgów, sporo ciężarówek i wielu ludzi, ale trzon sił przetrwał. Teraz przynajmniej będą uczestniczyć w prawdziwych bitwach, zamiast ścigać partyzantów i mordować mieszkańców kibuców, pomyślał Anglik.

Interesujące było drugie ze zdań ostatniej wiadomości. Mówiło ono, że Harry Truman, prezydent Stanów Zjednoczonych, uznał istnienie nowego państwa po jedenastu minutach od ogłoszenia deklaracji.

24

– To jedyny sposób, w jaki możemy pomóc – powiedziała Nancy.

– A jeśli coś zepsujemy? – zaoponował Jamróz.

– Truman ponoć odpowiedział Marshallowi, że decyzje o swojej polityce będzie budował na gruncie sprawiedliwości, nie ropy. Myślisz, że czas to zmienić?

– Gdybyś wiedziała, co mówił mi jeden sprzedawca dywanów z Kabulu…

– Poza tym – stwierdziła Sanchez, ignorując wtręt – czy będzie to jedenaście minut, czy jedenaście dni, jednego nie zmieni. To polityk. Ilość wy-

borców arabskiego pochodzenia w Ameryce czterdziestego ósmego roku nie była duża.

– Nie muszę pytać o ilość Żydów, prawda?

– Nie musisz.

25

Porucznik Wojska Polskiego Jan Koller siedział na chodniku na alei Rothschilda i palił papierosa, którego wycyganił od przejeżdżającego obok handlarza. Tytoń zatykał płuca – nie licząc jednej czy dwóch ekskluzywnych i trudno dostępnych marek, o filtrach nikt jeszcze nie słyszał.

Ogień walki wygasł, z nim odpłynęła z krwi adrenalina, a wróciła zwykła świadomość codzienności.

Koller znów stracił żołnierzy, tym razem wszystkich, jakich miał. Nie znalazł Jamroza, po którego w pierwszej kolejności się tu wybrał, a Safez dalej znajdował się wśród żywych. Być może pozbawiony swojej bomby i ludzi, nie tak groźny, ale wciąż cały i zdrowy.

Koller znajdował się w przeszłości, nie mając pojęcia, jak wrócić do własnych czasów; gdy myślał zresztą, w jaki sposób mógłby wytłumaczyć SWW i CIA, co właściwie się stało, chęć powrotu malała. Było to podłe, depresyjne uczucie, które rosło gdzieś w żołądku, wciskając się do gardła ze słowami: „Po co?”.

– Pan jest Polakiem, prawda?

Koller zadarł głowę i aż drgnął. Naprzeciw stał ubrany w garnitur Dawid Ben Gurion. Nie czekając odpowiedzi, usiadł tuż obok. Wielki polityk w ogóle nie przejmował się tym, że niszczy ubranie. Siedział z podkulonymi nogami, niczym mały chłopiec.

– Tak – wydukał Koller.

– Powinienem panu podziękować. Ze’ev wszystko mi opowiedział.

– Nie ma za co dziękować.

– Stracił pan człowieka, prawda?

– Wielu ludzi.

– Ginęli, giną i będą ginąć codziennie jeszcze jakiś czas, oby jak najkrótszy.

Koller zamyślił się. Pytanie „po co?” krążyło uparcie, nie chcąc odlecieć, niczym sęp czyhający na padlinę.

– Mam do pana pytanie, mogę? – odezwał się w końcu.

– Naturalnie.

– Czy Polska była dla was taka zła, dla pana?

Ben Gurion uśmiechnął się.

– W Płońsku, gdzie mieszkałem jako dziecko, było nas mniej więcej tyle samo, Żydów i Polaków. Ale to my byliśmy lepiej zorganizowani i bycie Żydem było łatwiejsze, chociaż to nie są dziś popularne słowa. A carat nienawidził nas tak samo, jak i was. Polska nie była zła, to dobre miejsce, czy inaczej zostalibyśmy w nim tak długo? Tylko że myśmy marzyli o domu, o kraju, w którym sami będziemy gospodarzami. Każdy ma prawo do marzeń, a wszystko to, co się stało, cała ta tragedia, daje nam wreszcie szanse, żeby je zrealizować.

– A Polacy? Jacy byliśmy?

– Pan jest jednym z nich. Pan nie wie?

– Nie – odparł Koller. – Dużo słyszę, ale wiem mało.

– Ostatni raz naród Izraela rządził się sam po ucieczce z niewoli i prześladowaniach egipskich. Wielu z nas na siłę doszukuje się podobieństw. Nie ma ich. Znałem wspaniałych Polaków, wielu z nas znało takich i zna. Potwierdzi to panu wielu moich rodaków, niech pan się przejdzie ulicami i zapyta. Nie chodziliby po nich, gdyby było inaczej. Mój naród jest bardzo podzielony: ci, którzy nie zaznali wojny w Europie, chętnie gardzą tymi, którzy jej doświadczyli i nie podjęli walki. To bardzo łatwe uproszczenie. I zawsze niesprawiedliwe, oparte nie na wiedzy, a wyolbrzymianych historiach i powtarzanych w kółko bredniach. Nie powiem panu, że każdy z pańskich rodaków był coś wart, tak jak nie każdy z moich jest, ale pańska ojczyzna przez setki lat była wartościowym miejscem do życia, bardziej niż wiele innych krajów w Europie. Przede wszystkim dzięki ludziom. A jeśli już tak bardzo musimy generalizować, generalizujmy pozytywnie. Przynajmniej nikomu nie stanie się krzywda.

– Nie było szansy na prostą odpowiedź, prawda?

– To jest najprostsza, jaką mam. Teraz moja kolej. Dlaczego przyjechał pan tu walczyć?

– Przyjechałem tu kogoś zwalczać, ale to już chyba dokonane.

– Więc nie zostanie pan?

– Nie wiem. Izrael nie jest moją ojczyzną, zresztą to, co budują w Warszawie, również nie.

– Cóż, jesteśmy pana dłużnikami. Jest jakieś życzenie, które mogę spełnić?

– W rodzaju połowy królestwa i ręki księżniczki?

– Królestwa jeszcze nie ma, a księżniczki chyba będą musiały sięgnąć po broń. Coś… mniej klasycznego?

– Znajdzie się jedna rzecz. Może dwie.

26

Ten wieczór Koller spędził w Jaffie, co znaczyło „Piękna”; miasto rzeczywiście odznaczało się niepoślednią urodą. Spoglądał na statki w porcie i sączył rum z colą. Obok leżało radio, zakurzone, choć pełne technologii, do których świat długo jeszcze nie miał dorosnąć. Nieco dalej spoczywał neseser z zapasową baterią reaktora.

Kostki lodu pękały, radio szumiało.

Raz na pół godziny porucznik przysuwał je do siebie i nadawał krótki komunikat.

– Kapitan Wieteska, zgłoś się.

Nie powtarzał go zbyt uparcie. Po prostu nadawał, odstawiał urządzenie i wracał do picia. Stracił nadzieję.

O pierwszej właściciel zamknął lokal. Koller dopijał ostatniego drinka przy stoliku na zewnątrz. Poczuł zimny wiatr od morza. Dokładnie wtedy radio ożyło.

– Wieteska, melduję się ładnie. Co słychać?

Koller był już mocno pijany, więc gdy usłyszał głos kapitana, niemal spadł z krzesła. Zerwał się, przewracając stolik i radio. Gorączkowo złapał mikrofon.

– Johny?

– No, jakbym cię nie znał, tobym pomyślał, że tęskniłeś, Koller.

– Co się stało?

– Nic takiego. Helikopter mi nawalił, ale trudno mieć pretensje, dostał mocno. Jesteśmy w maszynie Polonusa, skurwiel wszystkich przeżyje.

Koller miał ochotę powiedzieć, że już przeżył, ale coś go powstrzymało. Przez chwilę miał ochotę być wesoły.

– Więc jak ci się udało? – spytał zamiast tego.

– Pomyślałem, że skoro Rozalka przeżyła pięć lat wojny i całe to przenoszenie w czasie, to głupio byłoby się dać tak zestrzelić. No, Maciek trochę pomógł.

– Nieważne. Grunt, że żyjecie.

– Piłeś coś?

– Tak jakby.

– Podaj adres, już u ciebie jesteśmy.

– Dobre.

– Wracamy do domu? – spytał Wieteska nieco poważniej.

– Pamiętasz, co powiedział Holden? Sprzęt może w ogóle już nie działać. A nawet jeśli, to nie ma żadnej pewności, że nie wyśle nas w erę dinozaurów.

– Wierzysz amerykańskim naukowcom? – zadrwił kapitan.

– A ty nie?

– Koller, mamy inne wyjście? Nie ma Polski, do której moglibyśmy wrócić. Może to głupota, ale nie mam ochoty patrzeć, jak w moim kraju dzieje się to wszystko, o czym opowiadał dziadek. Dziękuję bardzo, wolę dinozaury.

Koller uniósł szklankę i pociągnął ostatni, długi łyk. Lód stuknął mu o zęby.

– No to wracamy – powiedział. ■

VIII

TAM, GDZIE KWITNĄ MIGDAŁOWCE

1

Spotkali się pośrodku pustkowia.

Mi-24, który bardziej dryfował w powietrzu, niż latał, i pozbawiony amunicji KTO Rosomak. Nie doszło do uścisków i padania sobie w ramiona. Były tu dwie grupy ludzi, które spoglądały na siebie powściągliwie w świetle zachodzącego nad górami słońca. Członkowie obu dojrzeli w twarzach ludzi naprzeciwko ogrom zmian, które zaszły w ostatnim czasie. Nancy Sanchez niewiele miała w sobie z kobiety z nagrań kamer gniazda w Raji. Stała się bardziej zachowawcza, patrzyła czujniej, mniej ufnie. Nawet na ludzi, z którymi służyła przecież w sojuszniczym batalionie.

Leszek Jamróz jedynie w nieistotnych szczegółach pozostał człowiekiem, którym był współlokator Kollera w akademiku szkoły oficerskiej. Twarz znaczyło więcej zmarszczek wokół oczu i na czole, wyżłobionych przez problemy i nerwy. Na skroniach pojawiły się pierwsze siwe włosy.

Maciej Ugawe, Jan „Johny” Wieteska i pozostali lotnicy także nie przypominali już irytującej, pełnej energii grupy, którą ludzie z plutonu Jamroza zapamiętali z kilku wizyt w bazie. Nadal rzucali żartami, „bawili się”, ale było w ich zachowaniu mniej filmowych wzorców, a więcej eskapizmu od rzeczywistości wojny.

Koller nie umiał ocenić, na ile niedawne przeżycia znalazły odbicie w nim samym.

Zdawkowe przywitania miały charakter wymiany krótkich, urywanych zdań i długich chwil ciszy. Nikomu nie udało się znaleźć sposobu, jak spytać, co właściwie się stało. Zamiast tego zaczęli omawiać położenie na ma-

pie, strategię dalszego postępowania i wspólnego poruszania się w nieznanym, obcym terenie.

Potrzebowali czasu na zamontowanie zapasowej baterii do reaktora, skorygowanie programu powrotnego i wybór daty, w którą spróbują trafić. Oraz na ponowne zbudowanie wzajemnego zaufania.

Wiedzieli, że muszą działać szybko. Tłumacz Jamroza był ranny i jego stan się pogarszał, a degradacja reaktora postępowała już od ponad miesiąca.

– Jedna noc nas nie zbawi – stwierdził Koller, gdy dyskusja oficerów nie doprowadziła do konkretnych konkluzji. – O zmroku i tak nie wydobędziemy MDS-a. Ukryliśmy go w górach.

– Więc co robimy? – spytała Nancy.

– Może ognisko – zaproponował Ugawe. – Ja skombinuję kiełbaski, a Johny załatwi wódeczkę.

– Pytam poważnie – powiedziała Amerykanka. Nawet nie zaszczyciła pilota spojrzeniem. – Pan ma jakąkolwiek kontrolę nad swoimi oficerami? – zwróciła się do Kollera. Ton Nancy był twardy jak stal. Jamróz za jej plecami uśmiechnął się mimowolnie.

Koller podrapał się po brodzie. Przez ten czas urosła tak bardzo, że bez problemu mógłby się podawać za taliba. Nie miał ochoty na walkę.

– W sumie… – zaczął – ognisko nie jest złym pomysłem.

– To nie jest dobry moment na żarty…

– Wiem – przerwał jej. – Ale skoro nie możemy zrobić nic produktywnego, chociaż odpocznijmy. Teraz i tak niczego nie zwojujemy, powtarzam.

Nancy ustąpiła z najwyższą niechęcią.

Piechociarze pojechali do najbliższej wioski i w zamian za kilka drobiazgów kupili trochę żywności – naturalnie bez kiełbasek i alkoholu – oraz opał. Ogień nie był wielki, ale oferował przyjemne ciepło i jakiś rodzaj optymizmu. Ucztowali więc i świętowali powrót – nawet jeśli nie byli jeszcze pewni jego powodzenia – do przyszłości. Zdawali się sądzić, że wszystko musiało być tylko snem, bo jak inaczej mieli traktować wydarzenia ostatnich tygodni? Ich intuicyjne postrzeganie świata pozwalało zawiesić niewiarę na czas lektury książki albo oglądania filmu, ale nie znosić przez

resztę życia świadomość uczestnictwa w wymykającej się rozsądkowi przygodzie.

Postanowili zapomnieć. Nim to zrobili, wysłuchali opowieści: długich, niepełnych, pozbawionych właściwej struktury, rojących się od pytań i niejasności. Wyłaniały się one z pamięci opowiadających, nierzadko zaskoczonych kierunkiem, w którym wiodła ich treść.

Zaczęli Wieteska, Ugawe i Koller, bez przerwy sobie przerywając, a czasem wręcz kłócąc się co do właściwej wersji wydarzeń. Koncentrowali się na ciągach przyczyn i skutków, a najbardziej na głupich żartach. Tylko ilekroć któryś z kolegów wypadał z opowieści, milkli nagle. Patrzyli w ognisko i dopiero po dłuższej przerwie, niemal szeptem, podejmowali przerwany wątek.

– Dwa tygodnie przebijałem się w stronę pogranicza – powiedział Koller, gdy lotnicy zamilkli.

– My czekaliśmy. Latanie nad terenem będącym jednym wielkim wojennym bajzlem jakoś nie wyglądało najlepiej – dorzucił Wieteska. – Jeszcze by się komuś w głowie pomieszało od naszego widoku.

– Albo zwyczajnie by nas zestrzelili. Tak czy tak źle – wtrącił Ugawe świętoszkowatym tonem.

– Więc jak wracałeś? – spytał Jamróz.

Oba zespoły zajmowały miejsce po przeciwnych stronach ogniska. Ludzie trzymali się blisko tych, którym ufali najbardziej. Gdy słuchali nieznanych części historii, na jej narratorów spoglądali zza płomieni.

– Czymś pomiędzy marszem, autostopem a taksówką – odparł Koller.

Nie wspomniał, że ofiarowany przez Ben Guriona dżip popsuł się na amen ledwie po dwudziestu kilometrach. Był to cios. Koller liczył, że wyposażony w naprędce wyprodukowane dokumenty zdoła szybko pokonać dystans dzielący go od Wieteski. Tymczasem już niemal na początku podróży musiał improwizować.

Jechał na pakach ciężarówek wiozących żywność i broń do kibuców oraz na wozach, zaprzężonych w cierpiące od upału zwierzęta. Osły i konie przyzwyczajały się do wybuchów bardzo szybko, zupełnie jak w Afganista-

nie XXI wieku. Szły spokojnie, nie zważając na huk, czasem odległy, a czasem całkiem bliski, i na leżące przy drogach zwłoki.

Wojna toczyła się niespiesznym rytmem. Ludzie starali się przyzwyczaić do sytuacji. Nie zadawali pytań. Wskazywali w milczeniu na wolne miejsce i ruszali przed siebie. Koller przestał zwracać uwagę na widok dookoła, na płomienie, ruiny i trupy. Jego rola się skończyła, a świat, który oglądał, nie był jego światem.

Tylko gdy spoglądał wokół, odruchowo wypatrywał Safeza.

– Wreszcie ich znalazłem – dokończył.

– A potem – przejął narrację Wieteska – przylecieliśmy tutaj. Na kilkanaście razy, w tym dwa lądowania awaryjne.

– Konkretnie ja poleciałem – wtrącił Polonus. – Szefu swój helikopter zepsuł, a mama zabroniła mi pożyczać zabawki dzieciom, które nie dbają o własne. – Maciek zwrócił się do Nancy i pozostałych. – Dobrze, że jesteście. Bo wcześniej za operację powrotu miał odpowiadać ten tu. – Wskazał na swojego technika pokładowego.

– Nawet się nie przejął tak bardzo – dodał Johny. – Chociaż nie umie dzieciakowi komputera naprawić.

Bohater dialogu wzruszył ramionami.

– Dobra, dobra. Jakbyśmy zginęli, i tak nie miałby mnie kto opieprzyć. Małe ryzyko.

Koller widział, z jaką mieszaniną szoku i zniesmaczenia obserwował jego grupę oddział Jamroza.

Żołnierze z Raji przeszli znacznie więcej niż lotnicy. Stracili przyjaciół w masakrze, jakiej Wojsko Polskie nie doznało od czasu drugiej wojny. Nie wiedzieli, co i dlaczego się dzieje, a potem wylądowali na królewskim dworze, z którego, mimo pozorów komfortu, nie sposób było się uwolnić. Przez cały ten czas nie mieli nadziei na ratunek ani powrót do domu.

A jednak zachowali strukturę.

Dwoje oficerów, Nancy i Jamróz – choćby nie zgadzali się ze sobą – było ich liderami. Zawsze. Dbali o to, by konflikty między nimi były jak najmniej widoczne.

Oddział Kollera kojarzył się raczej z grupą najemników. Istniał jakiś plan i koniec końców słuchano dowódcy, ale nie dbano o pozory i nadmierny szacunek wobec przełożonych. Jeśli rozkaz się nie podobał, po prostu o tym mówiono.

Gdy Wietesce skończyły się złośliwe uwagi, a Ugawemu zabrakło żartów, przyszła kolej na opowieść zaginionych z gniazda w Raji, bardziej składną, mniej przerywaną. Ci żołnierze mieli w sobie dość dyscypliny, by milczeć, gdy mówił dowódca.

Bitwę po skoku w przeszłość Jamróz skwitował ledwie kilkoma zdaniami. Nie miał nastroju do snucia batalistycznych opowieści. Wiedział, że każdego ze swoich ludzi będzie musiał opłakać po powrocie do domu. I że to potrwa. Mówił głównie o dziwnych mundurach gwardii, o dworze królewskim, domysłach i przypuszczeniach oraz wnioskach, jakie wyciągali razem z Nancy, a wreszcie o działaniach, które postanowili podjąć.

Trwało to długo, noc zrobiła się zimna i nim nadszedł ostatni akt, wszyscy musieli przysunąć się do ogniska.

– Palmer wykorzystał swoje doświadczenie i wpływy, żeby umożliwić nam wyjazd z miasta – mówił Jamróz, pogryzając kawałek mięsa. – Interweniował nawet u sekretarza stanu.

– Jak „interweniował”? – wtrącił Ugawe. – Powiedział o was? Macie pojęcie, ile się namęczyliśmy, żeby ludzie myśleli, że jesteśmy kimś zupełnie normalnym, jak UFO albo duchy pustyni, a nie chłopcami z przyszłości?

– Nie, nie powiedział – odparł Jamróz, nie dając się sprowokować. – Postawił na szali karierę, żeby mu zaufali. A Marshall…

– Kto?

– Sekretarz stanu – wyjaśnił cierpliwie porucznik. – W końcu dał się przekonać. Chyba zaczął mu ufać po wydarzeniach w Izraelu. Okazało się, że mieliśmy rację. Wystosował oficjalną notę do rządu afgańskiego. Kazał wysłanych przez Palmera ludzi, znaczy nas, traktować jak kurierów, a przesyłkę jako pocztę dyplomatyczną. Ten nasz Anglik trochę się burzył, poparł go nawet ambasador ZSRR, ale wiele to nie dało. Zresztą rząd brytyjski cofnął Atwoodowi listy uwierzytelniające jeszcze przed naszym wyjazdem.

– Co zamierzaliście zrobić, zanim nawiązaliśmy kontakt?

– Na szczęście nie mieliśmy czasu pomyśleć – zauważył Jamróz. – Kapitan Sanchez – Nancy drgnęła wyraźnie na dźwięk swojego nazwiska, kierowca tłumaczył jej rozmowę, robił to jednak z opóźnieniem – nalegała, żebyśmy pocięli Rosomaka na żyletki, razem z elektroniką, i zakopali, a potem zajęli się wypasem owiec czy czymś podobnym. I prawdopodobnie to właśnie byśmy zrobili.

– Dobrze, że mieliście włączoną radiostację.

Jamróz uśmiechnął się. Nie chciał przyznać, że gdy po raz pierwszy usłyszał zgłoszenie Kollera, po prostu nie uwierzył. Zdążył dawno wyzbyć się nadziei, że ktoś będzie ich szukał.

– Owszem – powiedział po prostu. – Starałem się nie zaniedbywać niczego.

Koller skinął głową. Nie spodziewał się podziękowań. Może nadejdzie na nie pora.

– Co będzie z waszym tłumaczem? – spytał Koller. Przeszedł na angielski. Skrawiński leżał w Rosomaku.

– Przeżyje – odparł Jamróz. – Udało się go doprowadzić do stabilnego stanu, ale kiedy się przeniesiemy, musi wylądować w szpitalu.

– Rozmawiałem z Wieteską. Spróbujemy zabrać go śmigłowcem. Oszczędzimy kilka godzin.

– To na pewno dobry pomysł? – wtrąciła Nancy.

Opowieść o helikopterach, a zwłaszcza ich powrotnej drodze do Afganistanu, nie sprawiła, żeby Jamróz i Nancy chcieli powierzyć Mi-24 czyjekolwiek życie.

– Nie wątpię, że MDS jest priorytetem dla pani rodaków – powiedział Koller. – Ale choć ufam bezgranicznie ocenie porucznika Jamroza odnośnie do pani osoby, mam przeczucie, że w zamieszaniu, które nastąpi po naszym powrocie, MEDEVAC dla polskiego żołnierza będzie w oczach US Army najmniej istotny. Kapitan Wieteska zapewnił mnie, że helikopter został doprowadzony do porządku. Przy krótkim locie ryzyko jest niewielkie, w maszynie problemy pojawiały się tylko po długiej pracy silnika. – Przerwał. –

Ale Skrawiński nie jest moim człowiekiem i nie ja podejmuję decyzję. To tylko oferta.

Jamróz skinął głową.

– Nancy, wiesz, że on ma rację.

– Dobrze – zgodziła się Sanchez po chwili. – Kto będzie chronił MDS przez ten czas?

– To nie takie istotne. Waszym ludziom dotarcie do nas zajmie góra pół godziny. Przesuniemy się o kilka kilometrów w dół, żeby nie wylądować w samym środku obozowiska ludzi Safeza, w razie gdybyśmy przestrzelili z czasem. Kiedy Wieteska poleci, ja i grupa Rosomaka zostaniemy i wszystkiego przypilnujemy.

– Nie mamy amunicji – zauważył Jamróz. – Żadnej.

– My tak naprawdę też, nie licząc jednego magazynku do Beryla i mojej broni bocznej.

– A piloci?

– Helikoptery wszystko wystrzelały, a załoga nie dostała broni, nawet osobistej. Oddział GROM-u zostawił im zdaje się jeden MP-5 do ochrony obozowiska.

– Dwa karabiny i pistolet? Tyle co nic.

– To bez znaczenia, chodzi o ewentualny efekt psychologiczny. Zresztą nie będziemy czekać na odsiecz dłużej niż pół godziny. – Zwrócił się do Amerykanki. – Mam do pani prośbę.

– Słucham.

– Niech pani poleci śmigłowcem.

– Bardziej będę potrzebna przy MDS-ie – zaprotestowała Nancy.

– Znajdzie się pani przy nim bardzo szybko. Zależy mi, żeby piloci i załoga nie trafili od razu do polskiej bazy. Muszą mieć dobrą wymówkę, a pani może jej dostarczyć.

Sanchez zrobiła zdziwioną minę.

– Czemu nie mogą wrócić do swoich?

– To dzielni ludzie, ale narobili trochę bałaganu w naszych czasach. Zostaliby natychmiast aresztowani.

– Dlatego nie mają broni?

– Kiedy cała ta historia się zaczynała, nie wiedzieliśmy jeszcze, czy możemy im zaufać.

– Nie ochronię ich przed waszymi sądami wojskowymi.

– Nie proszę o to, tylko o kilka godzin, by skontaktować się z właściwymi ludźmi i udzielić wyjaśnień. Potrzebuję dobrego powodu ich nieobecności. W rodzaju serwisu na polecenie amerykańskiego oficera Sojuszu czy czegoś w tym stylu. Czegoś, co nie będzie potem świadczyło przeciwko nim.

W pierwszym odruchu Nancy zamierzała odmówić, Koller widział to aż nazbyt wyraźnie. Coś ją powstrzymało.

– Les – spytała – ręczysz za nich?

Jamróz spojrzał w twarz Kollerowi. Dokładnie tak samo jak wiele lat temu, po nieszczęśliwym pijackim wypadku na drodze.

– Tak, ręczę – powiedział.

– Okej. Zaczynajmy – stwierdziła Amerykanka stanowczo. – Z samego rana. Nie możemy sterczeć tu w nieskończoność. Kto wie co wymyśli Atwood.

– Kto?

– Nasz mały angielski zdrajca – odparła Nancy. – Jeszcze jedno pytanie. Co stało się z tym człowiekiem, o którym pan mówił? Sadezem?

– Safezem. Nie wiem. – Koller uniósł wzrok w kierunku gwiazd, jak gdyby tam szukał odpowiedzi. – Został sam. Rozsądek podpowiada, że nie jest już groźny, nawet jeśli wszystko udało mu się przeżyć.

Sam w to nie wierzył.

2

Od zawsze robił właśnie to.

Próbował przetrwać. Jedyne motto, jakiego się dorobił.

Ahmed Szah Safez nie wierzył w słabość ciała. Tak naprawdę nie wierzył już nawet w słabość umysłu. Wierzył, że przyczyną zaniechań jest brak determinacji. Zapewne nie zawsze zdoła biec, ale może wtedy maszerować; gdy braknie sił, by maszerować, może się czołgać. A gdy nie będzie wie-

dział, w którą stronę, ważne, żeby poruszał się naprzód. W ten sposób dokądś dojdzie.

Poniósł klęskę.

Niepowodzenia zdarzały się wcześniej. Przegrywała Palestyna, przegrywał i on. Po sześćdziesięciu latach klęsk kolejny krzyżyk w rubryce porażek niespecjalnie się wyróżniał.

Historia nabrała rozpędu. Izrael powstanie i Safez nie miał szans tego zatrzymać.

Żeby dostać się do Brytyjskiego Mandatu Palestyny z kilkudziesięcioosobowym oddziałem, pokonał cztery tysiące kilometrów. Przez chaos, puste wsie o pozbawionych dachów domach, góry i piach. Przez gorące wąwozy i wietrzne przełęcze o drogach niewiele szerszych od rozstawu osi ciężarówek, oświetlanych jedynie reflektorami pojazdów i blaskiem księżyca.

Teraz nie miał już planu.

Ale przeżył.

A skoro pokonał tę drogę raz, mógł zrobić to ponownie, sam.

3

Maszynę wydobywali z ukrycia dwa dni. Odnalezienie jej nie było trudne, odzyskanie – tak. Korzystali z mocy Rosomaka i ciężkich, stalowych lin holowniczych, często jednak musieli ręcznie odwalać nawet duże kawałki skał.

W końcu odrzucili ostatni kamień i ujrzeli MDS.

Wóz był nietknięty.

– Zapraszam do środka. – Nancy zwróciła się do technika pokładowego Polonusa, jednocześnie zabierając z rąk Kollera teczkę z baterią do reaktora.

– Może byśmy go tak najpierw wyprowadzili? – spytał Jamróz. – Nie chciałbym obudzić się w dwa tysiące siódmym roku jako skamielina.

– Możecie wyprowadzać wóz z nami w środku. Reaktor wystarczająco długo przeleżał bez zasilania.

Po chwili potężny pojazd wytaczał się powoli za Rosomakiem na naprężonych stalowych linach, a ludzie Jamroza usuwali mniejsze kamienie, które stały na drodze.

– Byłem raz na Teneryfie, z żoną – stwierdził Ugawe, obserwując wysiłki piechoty. On, Wieteska i reszta lotników nie mieli tu wiele do roboty. – Totalnie jak „Jurassic Park”.

– Tylu turystów? – spytał Wieteska od niechcenia.

– Nie, klimaty podobne. Te wszystkie skały i morze, od razu wyobrażasz sobie dinozaury.

– I?

– I nic, lubię dinozaury. Ciekawe, czy Spielberg to dobrze oddał. Czytałem gdzieś, że te małe, welociraptory, tak naprawdę miały pióra. Myślisz, że faktycznie może nas tam przenieść?

– Pewnie nie – zauważył Koller. Brał udział w rozmowie tylko półświadomie. Sam zastanawiał się, czy jeśli reaktor jest uszkodzony, nie usmaży ich promieniowanie. Kapitan Sanchez zapewne żywiła podobne podejrzenia i dlatego było jej tak śpieszno. – Chyba nie ma dość mocy.

– Nawet najmniejszej szansy?

– Prędzej trafimy na nas samych, tyle że parę lat wcześniej.

– Szkoda. Wolałbym dinozaury.

4

Nancy niemal wbiegła do środka, starając się opanować podniecenie. Technik pokładowy wszedł ostrożnie za nią. Wiedziała, że nie będzie miała z Polaka wiele pożytku. Choćby był specjalistą od komputerów, nauczenie się specyficznych programów systemu zajęłoby mu tygodnie. Nie chciała jednak pozbawiać się dodatkowej szansy. W ich sytuacji każda pomoc mogła okazać się bezcenna.

Drżącymi dłońmi wyjęła zapasową baterię z obwiązanego sznurkami, połamanego neseseru. Pancerne drzwi pomieszczenia, w którym znajdował się reaktor, były uchylone. Ci szaleńcy nie zadbali nawet o to, żeby go zabezpieczyć, pomyślała.

– Wydaje się… – wyjąkała zaskoczona, gdy umieściła niewielkie pudełeczko o obłych kształtach w przeznaczonym dla niego miejscu – że może zadziałać.

Wszystkie lampki systemów zapaliły się zgodnie z instrukcją.

– Przepraszam? – spytał Polak, który kręcił się za jej plecami, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć.

– Jest w znacznie lepszym stanie, niż powinien być – stwierdziła. – Prawdopodobnie przez temperaturę i wilgotność panujące w jaskini.

– Czyli wszystko okej?

– Oczywiście, że nie – powiedziała. – Reaktor leżał ponad miesiąc bez zasilania. Nie chcę nawet zgadywać, jakie panuje tu promieniowanie, ale…

Wstrzymała oddech.

Przez ostatni miesiąc robiła wszystko, żeby zapomnieć.

Musiała postąpić w ten sposób, inaczej rozpacz by ją pożarła i uczyniła nieefektywną. A przecież jej los – jakkolwiek podły się wydawał – nie był najważniejszy. Liczyły się rozkazy i obowiązek. Oraz to, żeby Jonathan Whitman mógł być dumny z córki, nawet jeśli nigdy nie miałby się dowiedzieć, co tak naprawdę zrobiła.

Teraz będzie mogła mu opowiedzieć.

Dotąd próbowała wymazać z pamięci Nancy Sanchez, Nancy Whitman, nawet myśl o Nancy Grobickiej, która kiedyś, jeszcze niedawno, wydawała się taka przyjemna. Przed snem myślała o misji, po przebudzeniu o potencjalnych skutkach niepowodzenia. Zawsze przedtem musiała odgonić powracającą falę obrazów, emocji i wspomnień. Zniszczyć ją. Powoli usuwała z głowy całą rodzinę, przyjaciół i bliskich.

Dziecko.

Boże, pomyślała. Przez ten miesiąc zabijałam w sobie wspomnienie własnego dziecka.

– …wydaje mi się, że może zadziałać – dokończyła.

Widziała zdziwienie w oczach słuchającego jej żołnierza. Nic dziwnego, pomyślała. Po jej twarzy ciekły łzy.

Będzie mogła zapamiętać swoje życie na nowo.

5

Ahmed podążał za Polakiem. Jedynym, który przeżył i musiał wiedzieć, gdzie jest MDS. Odzyskanie maszyny – ostatnia szansa na odwrócenie porażki. Palestyńczyk szedł za Kollerem aż do pogranicza. Czujnie, w dystansie, zarazem nie tracąc celu z oczu. Safezowi łatwiej było się ukryć. Nie zdradzała go twarz ani język.

A potem ujrzał diabelski rydwan. Odlatywał. Nie było wątpliwości dokąd.

Przegrał. Ale Ahmed Szah Safez nie wierzył w słabość ciała ani umysłu. Musiał dostać się do Afganistanu, choć wiedział, że nie zdoła zrobić tego tak szybko.

Koller nawiązywał kontakt z Jamrozem i Nancy, a Safez jechał przez pustynię.

Nancy i Jamróz zapewniali sobie bezpieczeństwo od knowań Atwooda, a Safez znajdował w Bagdadzie niemieckiego lotnika, który zmierzał do Teheranu, a potem Meszhedu. Zabił dwóch kupców, by mu zapłacić. Zachowanie niegodne muzułmanina. Ale konieczne.

Jamróz i Koller spotkali się na pustyni, a Safez dopiero wyruszał w podróż.

Miał do Ghazni blisko tysiąc kilometrów.

Polacy wydobywali maszynę spomiędzy skał, a on był już blisko, coraz bliżej. Allach jeden wiedział, ile go to kosztowało.

Oni korygowali program powrotny, a on musiał znaleźć dokładną lokalizację MDS-a.

Miał bardzo małą szansę, by dotrzeć do niego na czas.

Mimo tego wykorzystał ją.

6

Przenieśli maszynę kilka kilometrów od pola walki z ludźmi Safeza, w miejsce, z którego byli niewidoczni z ewentualnego obozu terrorystów, zaraz za linię sadu migdałowców. Nie odważyli się na dokonanie skoku w górach w obawie, że obudzą się pod skalną lawiną.

Sprzęt ustawili w zasięgu pola siłowego.

Potem czekali. Kolejne kilka dni Nancy i technicy pokładowi próbowali znaleźć linijkę kodu odpowiedzialną za powrót do 2007 roku.

Wystawiali przez ten czas warty, ale żołnierze byli już zmęczeni. Przestało im się chcieć. Nikt nie dostrzegł ruchu daleko poza krańcem obozu, między skałami.

Kiedy program udało się wreszcie opanować, wspólnie ustalono datę powrotu: dokładnie trzy tygodnie po wyruszeniu w przeszłość. Dość krótko, by nieobecność dało się wytłumaczyć, wystarczająco długo, by w razie błędu wywołanego uszkodzeniami systemu reaktora nie uścisnąć dłoni swoim alter ego.

Nie czekali dłużej, niż to konieczne.

– Chryste, czemu ostatni papieros musi być sianem bez filtra? – powiedział Wieteska, przypatrując się Nancy wpisującej szereg komend, które miały wysłać ich do domu.

– Szkoda, że nie mam amunicji w helikopterze. Ciekawe, czy ustrzeliłbym tyranozaura – dodał Ugawe.

– A gdzie wielki czerwony przycisk i cyfrowy zegar? – spytał Jamróz.

– Poszukaj obok peleryny Supermana – odparła Nancy i nacisnęła Enter.

Wszyscy się uśmiechali. Strach ich opuścił.

Nie było wielkiego czerwonego przycisku ani odliczania, tylko mleczna kopuła, która rozlała się nad nimi.

A chwilę później ujrzeli kwitnące bielą migdałowce.

7

Jamróz zobaczył, jak Koller podchodzi do drzwi i spogląda przed siebie. Wciąż nie mógł przyzwyczaić się do widoku przyjaciela z dawnych lat. Są rzeczy na niebie i ziemi… – pomyślał.

Wiedział, że czeka ich kilka dni rozmów okraszonych kilkunastoma flaszkami wódki.

– Migdałowce! – powiedział Koller, dziwnie podekscytowany. – Kwitną.

Rzeczywiście. Nawet z daleka widzieli, że drzewa wypuściły już pierwsze białe płatki. Widok był tak błogi, że aż nie chciało się wierzyć, że może

to być Afganistan XXI wieku.

– Wiecie, co to oznacza?

– Że dinusiów nie będzie? – zapytał Ugawe.

Jamróz podejrzewał, że Polonus znalazł gdzieś ukryty alkohol. Nie mógł uwierzyć, że ktoś zachowuje się w ten sposób na trzeźwo.

– Raczej nie – odparł Koller. – Mimo to będzie zabawa. Migdałowce kwitną na wiosnę. Przestrzeliliśmy.

Jamróz przełknął ślinę i ruszył w stronę Nancy. Oby nie wstecz, pomyślał. Znał siebie dość dobrze, by wiedzieć, że rozmowa dowódcy oddziału w Raji z dowódcą oddziału w Raji po powrocie z przeszłości nie może skończyć się niczym dobrym.

– Zostałeś ogrodnikiem? – Wieteska zgasił papierosa i podszedł do Kollera.

– To element wiedzy operacyjnej – powiedział zapytany. – W Afganistanie panuje tradycja, że wojnę odracza się, dopóki nie zakwitną.

– Jest dobrze – powiedziała Nancy, odrywając wzrok od komputera. Nie mogła być świadoma wyrażanych po polsku obiekcji. – Różnica to raptem kilka dni w stosunku do zamierzeń. I jesteśmy później, zgodnie z planem, Les.

– Jesteś pewna? Te drzewa nie powinny kwitnąć.

– Chwilowe ocieplenie. Nie kwitną w pełni – stwierdziła, obracając się na krześle. – Czasem się zdarza.

– Możliwe, że maszyna źle wskazuje datę? – spytał Jamróz. Chciał mieć pewność.

– Datę może tak, ale wiadomości z naszego i waszego sztabu nie. – Sanchez wskazała na ekran. Roił się od pulsujących różnokolorowych ikonek, informujących o korespondencji rozmaitych priorytetów. – Szukali nas.

– Jest coś… od naszego dowódcy? – spytał Koller, odwracając się od drzwi.

Amerykanka kliknęła kilka razy, wpisała hasło, a potem przesunęła kółkiem myszki w dół ekranu.

– Tak, czternaście. W komunikatach ogólnych. Do całego ISAF na terenie prowincji.

– Przeczytaj pierwszą i kilka ostatnich – poprosił Jamróz.

– Okej. Pierwsza: Do wszystkich, bla, bla, bla, dowództwo w osobie bla, bla, bla, prosi o zwrócenie szczególnej uwagi na helikoptery bojowe Mi-24 o polskich oznaczeniach i numerach bla, bla, które w trakcie wykonywania rutynowej misji transportowej straciły łączność radiową. To rutynowa procedura.

– Co dalej?

– Potem ton się zmienia. W jednej depeszy jest mowa o celowych ćwiczeniach na unikanie wykrycia z prośbą o informowanie w razie dostrzeżenia Mi-24, w przedostatniej proszą o pomoc w znalezieniu grupy dezerterów, w ostatniej o zwrócenie uwagi na wraki śmigłowców. Mało to wszystko spójne.

– Pani kapitan nie miała chyba zaszczytu poznać bliżej pułkownika Karskiego – zauważył Koller. – Powinniśmy się cieszyć, że nie wezwał na pomoc sowieckich dywizji pancernych.

– Czego? – Sanchez spojrzała zdziwiona na Jamroza. Ten wzruszył ramionami. Żart nie był aż tak głupi, jak się wydawał.

– Nieważne. Nadała pani kod ratunkowy do swoich?

– Pierwsza rzecz, którą zrobiłam. Są już w drodze.

– Nie chciała pani z nimi… porozmawiać? – spytał porucznik.

– A wy macie ochotę na telekonferencję ze swoim dowódcą? – Odjechała na fotelu, ukazując ciemny ekran, na którym zaraz, wedle ich wyobrażeń, mógł pojawić się Karski z mieczem samurajskim i pepeszą w rękach. – Może lepiej niech najpierw każdy ochłonie.

Wszyscy zgodnie kiwnęli głowami. Tak, czas był kluczem, nawet jeśli śnieg wszystkich szczytów Afganistanu nie sprawi, żeby pułkownik Karski zdołał ochłonąć.

– Słusznie – odezwał się Koller. – Tłumacz w śmigłowcu?

– Nie inaczej – potwierdził Polonus. – Pomodlę się tylko i możemy ruszać.

– Pomodlisz się w powietrzu. Johny, przez kilka godzin nikomu nie rzucajcie się w oczy. Mówię poważnie. Muszę skontaktować się z Wojtyńskim i poodgrywać bohatera przed Amerykanami. Dopiero potem pogadamy

z Karskim. Aha, jeśli macie w tej maszynce jeszcze chociaż gram opium, ma z niej wypaść po drodze. Jasne?

– Da się zrobić.

– Do roboty! Powodzenia, Johny.

– Powiem ci, Koller – powiedział pilot – że jak człowiek cię lepiej pozna, wcale nie jesteś taki skurwysyn.

– Jeszcze chwila i zaleję się łzami. Podziękujesz po wszystkim. Dla ciebie to jeszcze nie koniec zabawy.

Wieteska dobrze o tym wiedział.

Razem wyszli na zewnątrz.

Grupa, która zajęła miejsce w helikopterze, liczyła siedem osób: Polonusa, Wieteskę, dwóch operatorów uzbrojenia, technika pokładowego oraz rannego Skrawińskiego i Nancy. Tłumacz miał bardzo wysoką gorączkę i majaczył.

– Zapewnię mu najlepszą opiekę – powiedziała Nancy. – Bez obaw.

– Dziękuję. – Jamróz uśmiechnął się. – Powiedziałbym, że to zaszczyt z tobą służyć, ale patos chyba możemy sobie darować, prawda? Nie jedziemy na wojnę, wracamy z niej.

– Tyle że z innej – przyznała Sanchez. – Zdaje się, że mam jeszcze sporo waszych narodowych potraw do spróbowania.

– Tak jest. Bigos, pierogi, wódka i ogórki kiszone.

– Wódka i ogórki brzmią nieźle. Do zobaczenia.

Jamróz zasalutował, Amerykanka odwzajemniła salut. Oboje się roześmiali.

Mi-24 poderwał się w powietrze, wzbijając chmurę kurzu. Maszyna wydawała się całkowicie sprawna, równie dynamiczna i głośna jak zawsze. Wirniki łopotały z przeraźliwym świstem, a piach uderzał po twarzach mocno, też jak zawsze. A potem przód śmigłowca pochylił się lekko i wyrwał gwałtownie do przodu. W stronę gór.

Grupa, która została, odprowadzała go wzrokiem.

Rosomak stał dokładnie na wprost wejścia do MDS-a, zgodnie z wydanym wcześniej poleceniem. Pozostali żołnierze zajmowali pozycje wokół, z pozbawionymi amunicji karabinami w dłoniach.

Jamróz dostał MP-5 od Wieteski, naładowanego Beryla miał jeszcze Koller. Dwie sztuki broni… Plus Glock Kollera. Dość, by odstraszyć bandę pastuchów.

– Wojtkiewicz na wieżyczkę! – powiedział.

– Ale panie poruczniku, po kiego?

– Żebyś ładnie wyglądał.

Liczył, że nawet jeśli jakaś grupa przeciwnika ich zauważy, jej przywódca kilka razy się zastanowi, nim zaatakuje oddział w pełnej gotowości wsparty transporterem opancerzonym.

Przygoda dobiegała końca. Nie bardzo to do niego docierało. Tak jak inni zapatrzył się na odlatujący helikopter.

– Dolecą? – zapytał.

– Dolecą – potwierdził Koller. – Gdyby myśleli, że może być inaczej, wzięliby tylko rannego, nikogo więcej. Nie są aż tak szaleni, na jakich wyglądają.

– Tak jak ktoś, kogo znam.

– Jak wyście to wszystko przeżyli, co? Całą tę zasadzkę?

– Nie wiem. – Jamróz naprawdę nie wiedział. – Może szczęście. Albo statystyka.

– Nie sprzedasz mi bajeczki o genialnym dowódcy? – Koller wyszczerzył zęby.

– Chciałbym, ale nie przejdzie. W Polsce odbędzie się niedługo sporo pogrzebów z pustymi trumnami. Mam dużo listów do napisania – stwierdził Jamróz. Odwrócił się w stronę MDS-a.

Spotęgowany przez echo otaczających gór huk trzech wystrzałów był tak głośny, że prawie zagłuszył uderzenia o pancerz Rosomaka.

Jamróz nie zdążył nawet wydać rozkazu – żołnierze natychmiast wskoczyli za wóz.

– Kontakt. Sto pięćdziesiąt metrów! – krzyknął Wojtkiewicz na wieżyczce. – Trzecia godzina, między skałami pod linią drzew. Jeden człowiek. Łatwy do zdjęcia. Pan porucznik da mi broń?

– Jesteś pewien, że jeden? – spytał Jamróz, zdejmując MP-5 z ramienia.

Znów zaterkotało. Pociski świsnęły, odbijając się od kamieni i stali. Wóz skutecznie ich osłaniał.

– Sam jak palec – odparł żołnierz. – Kto to, do cholery, jest?

– Safez – powiedział Koller, podnosząc się do przyklęku. Wyjrzał zza wozu.

– Ten twój skurwiel? – zapytał Jamróz.

– Ten sam.

– Zwariował?

– Wręcz przeciwnie – odparował Koller. Zachowanie przeciwnika najwyraźniej wcale go nie dziwiło. – Wie, że wezwaliśmy pomoc. Strzela w nadziei, że przyciągnie swoich.

– Jakich swoich? Jego ludzi tu nie ma, o ile dobrze cię zrozumiałem.

– On wie o MDS-ie co najmniej tyle, co my. Pewnie zdaje sobie sprawę, że precyzja maszyny spada z czasem. I nie ma pojęcia, czy trafiliśmy we właściwą datę. Poza tym może tu być ktoś inny.

Jak na zawołanie od strony przełęczy odezwało się kilka kolejnych karabinów. Tym razem jednak nie zobaczyli ani nie usłyszeli, by kule w coś trafiły.

– Wojtkiewicz! Co się dzieje?

– Walą z drugiej strony, panie poruczniku – zameldował operator działka. – Na razie spoza zasięgu skutecznego ognia. Co najmniej sześćset metrów.

– Jak szybko mogą tu być? – warknął Jamróz.

– W tym terenie w dwadzieścia minut, może pół godziny. Jakby biegli na wprost… wtedy w dziesięć, ale tacy głupi nie są. Moim zdaniem w ogóle nie podejdą. Nie jest ich dużo. Przydałoby się coś zrobić z tym bliżej. Ośmiela tamtych.

Kolejna seria Safeza wzbiła w powietrze piach.

Porucznik uniósł MP-5.

– Łap i nie zawracaj mi nim więcej głowy!

Żołnierz chwycił karabin w locie. Owinął pasek wokół przedramienia, wycelował, a potem nacisnął spust. Trzy kule poleciały w dal. Odgłos strzału był cichy, przytłumiony.

– Załatwione?

– No… Melduję, że chyba tak, panie poruczniku!

– „Chyba”?

Jak gdyby na zaprzeczenie słów żołnierza bliższy Kałasznikow znów wystrzelił. Zabrakło tylko świstu kul wokół nich.

– Trafiłem go, panie poruczniku – zameldował Wojtkiewicz pośpiesznie. – Ale nie czysto.

– No to popraw!

– Nie da rady. Schował się za skałami i wali w powietrze.

– Zaczekamy, aż się wystrzela. Obserwuj tych dalszych.

– Tak jest!

Koller przeładował Glocka i wstał. Jamróz obserwował go ze zdziwieniem.

– Zostań, szkoda czasu – powiedział. – Ta maszyna jest ważniejsza od niego, Janek.

Koller zatrzymał się. Podał Beryla Jamrozowi.

– On może uciec.

– Za dwadzieścia minut będzie tu więcej Amerykanów niż w Nowym Jorku. Jesteśmy na pustkowiu, a on to nie Forrest Gump. Mamy rozkazy, do cholery.

– Dla mnie ten cały MDS jest wart tyle, co pudło M&M’s-ów.

Jamróz spojrzał w twarz Kollera. Nie poznawał go. Jego dawny współlokator nigdy nie należał do zdyscyplinowanych, ale zawsze jego zachowania wynikały z jakiejś logiki. Choćby, paradoksalnie, nielogicznej. Teraz wyglądał, jakby stracił rozum.

– Daruj sobie teksty z Pasikowskiego. Tu się lepiej sprzedaje „Dziewiąta kompania”.

Żart trafił w próżnię.

– Ja go muszę mieć. – W głosie porucznika było coś, co powstrzymywało rozmówcę od formułowania kolejnych argumentów. – Muszę. Zabił moich ludzi.

– Moich też, znacznie więcej, a mnie wystarczy, że po prostu zginie. Nie jesteśmy na Dzikim Zachodzie, nie mamy miejsca na twój osobisty pojedy-

nek.

– To muszę być ja – wyszeptał Koller. W jego spojrzeniu było coś niesamowicie silnego, całkowicie pozbawionego rozsądku. – Żaden ze mnie żołnierz, zawsze tak było. Noszę ten mundur tylko dzięki tobie, wiesz o tym dobrze.

Jamróz cofnął się o krok.

Koller ścisnął mocniej Glocka w dłoni.

Zaczął biec.

8

Czas planów się skończył.

Ahmed Szah miał tylko resztkę naboi w magazynku i dwadzieścia, może dwadzieścia kilka minut. Odwodniony, wyczerpany organizm nie ułatwiał podjęcia decyzji, kręciło mu się w głowie, a rana na biodrze kłuła niepokojąco. Wystrzelony przez polskiego żołnierza pocisk uderzył w pasek, niemal dokładnie w pochwę noża. W ciele Palestyńczyka znajdowała się nie tylko kula, ale także odłamki ostrza. Safez nie myślał przejrzyście; po prostu czuł, że musi spróbować odzyskać MDS. Że determinacja wystarczy.

Być może miał już dość.

Z początku nie dostrzegł człowieka, który oderwał się od oddziału i pobiegł w stronę linii drzew. Nie interesowało go także wyeliminowanie obstawy MDS-a. Chciał, żeby kilkuosobowy oddział, który dostrzegł w oddali, włączył się do walki.

Wypuścił kolejną krótką serię w niebo. Nie wychylał się w obawie, że Polak znów go trafi. W karabinie zostało może pięć, sześć nabojów.

Potem dopiero, po minucie albo dwóch, kątem oka dostrzegł czyjąś sylwetkę. Przemykała pomiędzy drzewami, kilkadziesiąt metrów od niego. Wyraźna na tle białych płatków migdałowców.

Złożył się do strzału.

Był naprawdę wyczerpany.

9

Koller miał szczęście.

Gdyby Palestyńczyk przełączył broń na ogień pojedynczy, któryś z pięciu pocisków rozerwałby mu klatkę piersiową. Dwie krótkie serie poderwały jednak broń w ręku Safeza do góry i nie licząc pierwszej kuli, która śmignęła obok ramienia, reszta poszła w powietrze.

Polak nie spodziewał się równie banalnego błędu.

Pierwsza seria liczyła trzy pociski, druga dwie. Domyślił się, że przeciwnik będzie musiał przeładować teraz broń; o ile miał czym. Uniósł Glocka i wystrzelił w stronę Safeza dziesięć z piętnastu pocisków.

Trafił. Ale tylko raz.

Zobaczył, jak Ahmed opiera się o skałę i broń wypada mu z rąk. A potem terrorysta wstał ciężko i zaczął uciekać w dół zbocza, ku sadom migdałowców.

Koller nie strzelał więcej. Oszczędzał amunicję.

Pobiegł truchtem.

Safez poruszał się wolno. Ledwo powłóczył nogami, obie rany ograniczały jego ruchy. Ta ucieczka zdawała się bezsensowna, musiał być świadomy tego, jak jest powolny.

Koller szybko zmniejszał dystans. Zostało kilkanaście metrów. Nie spudłowałby.

Minął leżącą na ziemi rękojeść noża o zdruzgotanej klindze.

Coś odebrało mu zmysły, zawęziło pole widzenia. Widział poskręcane brudem włosy i plamy krwi na ubraniu. Prawie czuł jej zapach. Powinien skończyć to teraz, ale chciał mu spojrzeć w oczy z bliska.

Ahmed zatrzymał się.

Koller stanął również.

Dzieliły ich trzy metry. Gałęzie drzew szumiały cicho na wietrze, kilka białych płatków oderwało się i poszybowało w dal. Polak dostrzegł, że spodnie terrorysty są zakrwawione.

Ciałem Ahmeda wstrząsnął spazm.

Odwrócił się.

Wyglądał strasznie. Miał wychudłą, wyniszczoną z głodu i odwodnienia twarz. Ubranie wisiało na nim, kości obojczyka wyraźnie przebijały przez

postrzępiony materiał. Każdy fragment ciała, który wystawał spod ubrania, był pokryty strupami.

Tylko jeden szczegół był wspólny dla tego obrazu i zdjęć, które przez ostatnie kilkanaście miesięcy stały się dla Kollera obsesją.

Oczy.

Wciąż płonął nich ogień, który zdawał się napędzać wynędzniałe ciało. Nadawał mu szybkość i sprawność, jakich z pewnością nie mogły już zapewnić mięśnie. Być może tylko on utrzymywał w nim jeszcze życie.

Koller bez słowa uniósł pistolet.

Celował w głowę.

Nacisnął spust.

W tej samej chwili upadł na ziemię. Coś oślepiło go ciepłym, lepkim płynem, który wlewał się do nosa, ust i oczu. Coś chwyciło go za nadgarstek dłoni, w której trzymał broń. Poczuł potężne ugryzienie tuż przy szyi. Nacisk zębów szarpał mięsień kapturowy.

Tylko warunkowy odruch obronny, zupełnie nieświadomy, sprawił, że szczęka Ahmeda nie wylądowała na tętnicy.

Koller nie rozumiał, co się stało. Nie miał czasu na analizowanie sytuacji. Spróbował uderzyć łokciem znad głowy, w skroń leżącego na nim przeciwnika. Cios nie miał dość siły. Safez znajdował się zbyt blisko i zachowywał się, jakby zupełnie go nie poczuł. Ugryzł ponownie, tym razem na styku szyi, szczęki i policzka. Polak wyszarpnął się z jego objęć, zyskał odległość kilkunastu centymetrów. Spiął się w sobie i zaatakował podstawą czaszki. Trafił w nos.

Ból, który towarzyszył temu ruchowi, uświadomił mu, że w zębach terrorysty zostawił fragment mięśnia.

Uderzył ponownie. I jeszcze raz.

Ahmed zdawał się nie zwracać uwagi na ciosy i ból. Jego głowa odskoczyła, ale ciało wciąż kleiło się do Polaka, paznokcie szukały oczu, a zęby gardła.

Koller dopiero pojmował, co właściwie się stało. Ta analiza przyszła w zupełnie podświadomej myśli: co robić dalej?

Potrzebował kontekstu.

Krew, która zalewała mu twarz, świadczyła, że zdołał trafić. Siła, z jaką atakował go przeciwnik, mówiła za to, że rana musiała być powierzchowna. Ahmed prawdopodobnie uchylił się w ostatniej chwili. Mógł być ranny w twarz, bark, ale równie dobrze stracić tylko kawałek ucha.

Teraz leżeli na ziemi, Palestyńczyk na górze.

Dotąd Koller miał nogi zapięte za jego plecami, w gardzie, obronie wywiedzionej z MMA bądź brazylijskiego jujitsu, pierwszej technice stosowanej w walce sportowej prowadzonej w parterze. W ten sposób zyskiwało się kontrolę dystansu, przylegało do przeciwnika jak „mokry ręcznik", uniemożliwiając mu zadawanie ciosów, sobie samemu otwierając drogę do arsenału dźwigni i duszeń.

Nie walczyli na macie. To była konfrontacja wyszkolenia Kollera, całej przewagi siły i formy, jaką miał nad krwawiącym, poranionym, osłabionym podróżą wrogiem, i determinacji Safeza, który pierwszego człowieka zabił gołymi rękami, gdy był jeszcze dzieckiem.

Polak uświadomił sobie, że przy dużej ilości płynącej z obu ciał krwi nie zdoła zapiąć żadnej dźwigni. Przeciwnik wyślizgnie się. Jeśli w wyniku błędu pozwoli, by Ahmed znalazł się za jego plecami… wtedy po prostu zginie.

Rozpiął stopy, skręcił się na boku, wysunął biodra, szorując nogawką spodni po piasku, rękoma odepchnął jednocześnie głowę i pierś Ahmeda. Teraz dzieliła go od niego odległość własnego uda – opartym o klatkę piersiową piszczelem trzymał przeciwnika na dystans. Odepchnął się znowu, a potem kopnął obiema nogami.

Trafił w szyję.

Palestyńczyk nawet się nie zachwiał. Cofnął się tylko odrzucony siłą uderzenia, a potem znowu rzucił do przodu. Polak zdołał strącić go kopnięciem, ale tamten nie poddawał się. Skoczył ponownie. Był jak wściekły pies.

Kątem oka Koller poszukał Glocka. Nie znalazł go. Nie wiedział nawet, kiedy go stracił. Towarzyszący ugryzieniu ból musiał sprawić, że wypuścił z dłoni broń, która na nierównym terenie pewnie potoczyła się w dół zbocza.

Kolejnym kopnięciem, właściwie pełną „pedaladą” zdołał odrzucić ciało przeciwnika – tak dziwnie lekkie w stosunku do siły, jaką miało – na bok, o dobre pół metra.

Spróbował wstać, ale natychmiast poczuł kopnięcie w twarz. Zakręciło mu się w głowie i runął do tyłu. Odruchowo chwycił Safeza za ubranie na wysokości pasa. Uderzenie było potężne i gdyby Palestyńczyk nie był tak wychudzony, walka skończyłaby się w tym momencie nokautem.

Ahmed odrzucił do tyłu biodra, zdołał wyrwać się z uścisku i zadał Kollerowi kolejny cios, tym razem w krocze. Porucznik poczuł, jak opada na niego zasłona mroku i gwiazd. Ciałem Polaka wstrząsnął spazm, ale wtedy już całym ciężarem opadał znowu na Safeza.

Palestyńczyk nie zdążył po raz kolejny odrzucić bioder. Nie zachował równowagi. Ważył sześćdziesiąt kilogramów. Jak bardzo zdeterminowany by nie był, nie mógł oszukać różnicy masy. Obaj upadli na ziemię i tym razem Koller znalazł się na górze. Nawet zamroczony wiedział, co robić. Uniósł się lekko i uderzył z góry, łokciem w sam środek czoła. Zadał jeszcze kilka ciosów pięściami, które aż zadudniły o kości, ale zupełnie nie miały wpływu na zaciekłość Palestyńczyka, który drapał go po twarzy, szukając oczu.

Znalazł je.

Przebita paznokciem gałka eksplodowała bólem tak strasznym, że Koller miał ochotę wrzasnąć i skulić się. Nie zrobił tego. Szarpnął głową w bok, wciąż widział przeciwnika drugim okiem. Przycisnął go przedramieniem do ziemi, na wysokości krtani. Miał dosłownie sekundę, może dwie, nim tamten wysunie głowę. Drugą ręką sięgnął po kamień.

Nie był duży, mieścił się w pięści. Uderzył w twarz Ahmeda. Raz, drugi i trzeci.

Safez słabł tak wolno, że zdawało się, iż będzie walczył, dopóki Koller nie rozerwie jego głowy na kawałki.

Ale słabł.

Biegł przez obóz, do matki. Bose stopy ranił żwir ścieżki. Wiatr targał włosami, pot ściekał po plecach, a kolce róży tak dziwnie przyjemnie kłuły w palce. Dziki kwiat, zerwany pod siatką obozu.

Ahmed myślał o uśmiechu, który zobaczy na twarzy matki. Marzył i stracił czujność.

Nie zauważył chłopców z drugiego kwartału. Dostrzegł ich dopiero, gdy leżał na ziemi, gdy czuł spadające na twarz pięści.

Słyszał tylko głuchy huk rozbijających kości ciosów.

Nie zdołał donieść kwiatu matce.

Wiedział, że nic już nie zdoła z tym zrobić. Czekał go tylko niezmierzony bezład brudu, ciemności i śmierci, pusty i pozbawiony znaczenia. I róża, która zawsze będzie leżeć zadeptana w piachu obozu. Umierał. Gasła nadzieja Palestyny. Ta myśl była ostatnim impulsem, który rozjarzył się w mózgu.

11

– *Are you okay?*

Koller otworzył oczy.

– *Are you okay?*

Stał nad nim żołnierz z naszywką Delta Force na ramieniu.

Kawaleria.

– Co z MDS-em? – spytał po angielsku.

Miał na twarzy zakrzepłą krzew. Pod nim leżały zmasakrowane, chude zwłoki, przypominające wypasającego bydło chłopca, a nie terrorystę. Widział tylko na jedno oko.

– Wszystko dobrze. Teren zabezpieczony, grupa na przełęczy zdjęta. – Na twarzy żołnierza malowało się współczucie. – To już koniec.

Koller uniósł się na łokciach. Był bardzo osłabiony. Jego ręce drżały. Tak mocno, że dopiero za drugim razem zdołał pochwycić podaną przez Amerykanina dłoń.

W oddali, tuż za linią drzew, stał MEDEVAC. Ruszyli w jego kierunku. Kollera podtrzymywało dwóch operatorów sił specjalnych.

Nim wsiadł do środka, obrócił się jeszcze raz. Z daleka spojrzał na nieruchome, martwe ciało.

Ahmed Szah Safez. Od czasów Iraku Koller nie pamiętał dnia, żeby o nim nie myślał.

– Nieźle go załatwiłeś – powiedział żołnierz z Delta Force.

Kiwnął tylko głową.

– Co teraz? – spytał.

– Zabierzemy cię do twoich. Do Ghazni. Goście od MDS-a już tam jadą.

Położył się na czekających w MEDEVAC-u noszach. Ratownik zaaplikował mu kroplówkę i jakiś zastrzyk.

– Co teraz? – spytał znowu, już po polsku. A potem odpłynął w ciemność. ■

EPILOG

Państwo Izrael powstało. Jego pierwszym premierem został Dawid Ben Gurion, urodzony w Płońsku Żyd polskiego pochodzenia. Zwykł on mawiać, że kto nie wierzy w cuda, ten nie jest realistą. Trwająca przez pół roku wojna zakończyła się podpisaniem przez władze Izraela czterech osobnych rozejmów z każdym z arabskich przeciwników. Tereny, które zajęło państwo żydowskie, obejmowały trzy czwarte powierzchni Palestyny. Przez kolejne czterdzieści lat państwa arabskie jeszcze sześciokrotnie walczyły z Izraelem. Za każdym razem przegrywały.

Proces pokojowy na Bliskim Wschodzie trwa. W roku 2013 istniejąca od blisko dwudziestu lat Autonomia Palestyńska przekształciła się w Państwo Palestyny, kraj uznawany przez stu trzydziestu pięciu członków ONZ, w tym tylko jednego z członków G8, grupy największych gospodarek świata, Rosję. Izrael nadal manifestuje swoją obecność na terenach należących do Palestyny, w szczególności w Strefie Gazy. Z dwunastu milionów Palestyńczyków cztery i pół mieszka w obrębie swojego państwa. Większość pozostałych zamieszkuje Jordanię, Izrael i Syrię.

W dokumentach przekazanych przez byłego ambasadora ZSRR w Afganistanie, Ivana Smylkovskiego, znaleziono szkice nowoczesnego pojazdu do przewozu piechoty, dostarczone – jak podawał ambasador – przez pracującego dla Moskwy Johna Atwooda, kryptonim „Lotnik”. Po analizie materiałów eksperci uznali, że osiągnięcie właściwości, o których pisał Atwood, nie byłoby możliwe przy użyciu znanych technologii i materiałów. Wywnioskowano, że urządzenie owo jest atrapą i zaplanowaną przez Amerykanów – lub Anglików – dezinformacją. „Lotnika” skreślono z listy płac, a Smylkovsky został odwołany 27 maja 1948 roku, po niespełna roku sprawowania urzędu. Mimo ledwie czterdziestu dwóch lat nigdy więcej nie pełnił już funkcji dyplomatycznych.

John Atwood napisał książkę o swoich przygodach. Żaden z czterdziestu siedmiu wydawców, do których wysłano manuskrypt, nie zdecydował się na jego wydanie. Redaktor Random House nazwał owo dzieło „najbardziej grafomańskim, zaprawionym odorem brandy popisem mitomanii, z jakim spotkał się przez dwadzieścia cztery lata kariery". Atwood zmarł w biedzie.

Placówka amerykańska w Afganistanie została podniesiona do rangi ambasady w czerwcu 1948 roku. Nie podano oficjalnych przyczyn tej decyzji. Ely Eliott Palmer był pierwszym ambasadorem USA w tym kraju. Po kilku miesiącach przeszedł na emeryturę.

Sześćdziesiąt lat później, po powrocie z misji, Jan Karski również przeszedł na emeryturę w stopniu generała brygady. Awans tuż przed odejściem miał zawdzięczać bohaterstwu, z jakim żołnierze Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego wspierali działania największego sojusznika – USA. Pułkownik świadczył zaś na ich korzyść w rutynowych przesłuchaniach dotyczących zaangażowania PKW w przemyt opium. Teraz Karski często udziela się na zjazdach weteranów, gdzie chętnie opowiada o swoich dokonaniach podczas służby w Afganistanie oraz dzieli się wiedzą na temat nowoczesnej taktyki wojskowej i sił zbrojnych Związku Sowieckiego.

W styczniu 2008 roku polskie media podały informację o tragicznej katastrofie w gnieździe Raji. Zderzenie w powietrzu dwóch helikopterów bojowych doprowadziło do wybuchu amunicji, a następnie zajęcia się ogniem zbiorników z paliwem w bazie. W efekcie wypadku zginął niemal cały pluton porucznika Jamroza. Komisja powołana w celu ustalenia przyczyn tragedii nie osiągnęła jednoznacznych ustaleń. Wypadek wywołał gruntowną debatę nad stanem technicznym polskich wojsk i sensem zaangażowania w misje zagraniczne. Zwiększono budżet na modernizację armii.

Kapitan Jan Wieteska oraz wszyscy ludzie z jego klucza zostali oczyszczeni z podejrzeń o udział w handlu narkotykami. Raport polsko-amerykańskiej grupy eksperckiej stwierdzał: „Badania nie wykazały, by oficerowie bądź żołnierze ISAF w prowincji Ghazni brali udział w przemycie opium". Wieteska nadal lata, ale w Polsce. Szkoli młodych pilotów. Bez przerwy jest uziemiany przez dowódcę za wygłupy w powietrzu i nieprzestrzeganie zakazu latania przez czterdzieści osiem godzin od spożycia alkoholu.

Porucznik Leszek Jamróz dokończył zmianę i wrócił do Polski. Obecnie pracuje z żołnierzami, którzy wracają z misji i nie potrafią zapomnieć o wojnie. Pomaga mu w tym Antosz Skrawiński, który po wyleczeniu rany nie odzyskał pełni zdrowia. Żaden z żołnierzy batalionu nie przyjmuje zaproszeń na prelekcje Karskiego.

Nancy Sanchez stanęła przed sądem wojskowym pod zarzutem niedopatrzenia procedur bezpieczeństwa podczas postępowania z eksperymentalnym systemem o najwyższej klauzuli tajności. Po wstępnych przesłuchaniach sprawa została oddalona z powodu nieścisłości formalnych. Stenogramy przesłuchań zniszczono. Nancy wyszła za Jerzego Grobickiego i przyjęła jego nazwisko. Pozostają z Leszkiem Jamrozem dobrymi przyjaciółmi.

Jonathan Whitman nigdy nie poznał pełnej historii przygód córki, jednak po jej trzytygodniowym zniknięciu w Afganistanie zaczął odradzać jej karierę wojskową. Dzień, w którym poznał wnuka, uznał za najwspanialszy moment w swoim życiu.

Porucznik Jan Koller przeszedł operację oka i na własną prośbę dokończył zmianę w Afganistanie. Po jej wygaśnięciu zdecydował się nie wracać do kraju. Obecnie pracuje w jednostce wywiadowczej ISAF, która zajmuje się likwidacją zagrożeń terrorystycznych. Jest skuteczny. Nadal jednak żaden z przełożonych nie nazwałby go dobrym żołnierzem.

Pentagon nie zaprzestał eksperymentów z MDS-em.

KONIEC

■

POSŁOWIE

Książka – jak wskazuje w pewien sposób motto – zarazem jest i nie jest historyczna. Z całą pewnością nie rości sobie praw do rzetelnego opisywania czy komentowania historii oraz – za sprawą swej bliskiej fantastyce natury – oddawania biografii uczestników procesów dziejowych.

Niemniej tak wielka część akcji rozgrywa się w momentach istotnych dla dziejów kilku państw, że nieuczciwością wobec czytelnika byłoby całkowite uciekanie od historii. Większość miejsc opisanych w roku 1948 została oddana – na tyle, na ile możemy to ocenić na podstawie archiwalnych zdjęć – sumiennie. Mówiąc o postaciach: zachowaliśmy te, które były dla rzetelności fabuły niezbędne, żeby wspomnieć króla Afganistanu czy ludzi kluczowych dla powstania państwa Izrael. Z innych – zwłaszcza opisanych niezbyt pozytywnie – zrezygnowaliśmy celowo. Znane jest nazwisko ambasadora brytyjskiego w Afganistanie czy dowódcy transjordańskiego Legionu Arabskiego, co więcej, źródła anglojęzyczne pozwalają dość dobrze prześledzić ich biografie. Nie zdecydowaliśmy się jednak włączać ich do fabuły książki.

Oceny ludzi, którzy zostali wciągnięci na karty powieści, są naszymi prywatnymi opiniami. Ich opisy, lepsze czy gorsze, są tylko i wyłącznie spojrzeniem literackim, choć inspirowanym dostępnymi faktami.

Gdy chodzi o wydarzenia, dobrane są one tak, by współgrały z założeniem, że obecna wersja historii jest efektem działania naszych bohaterów. Biorąc pod uwagę, jak wiele z nich pasowało do wymyślonej przez nas fabuły, trudno było oprzeć się pokusie wykorzystania choć części.

Ze’ev Szerf naprawdę dotarł na miejsce ogłoszenia Deklaracji z półgodzinnym opóźnieniem, choć było to spowodowane faktem, że zapomniał zorganizować dla siebie i tekstu Deklaracji transportu (roztargnienie, którego potencjalne skutki trudno sobie wyobrazić). Historia z przypadkowym

kierowcą i angielskim policjantem jest prawdziwa, choć naturalnie nie uczestniczył w niej żaden Jan Koller.

Trzynastego maja 1948 roku oddziały Legionu Arabskiego naprawdę zdobyły jeden z kibuców, masakrując około stu sześćdziesięciu osób.

Poselstwo amerykańskie w Afganistanie rzeczywiście zostało podniesione do rangi ambasady w czerwcu roku czterdziestego ósmego, a w Kabulu faktycznie grano wtedy w baseball pod okiem Roberta Flukera.

Harry'emu Trumanowi 11 minut zabrało uznanie istnienia państwa Izrael.

Warto pamiętać, że sytuacja polityczna na Bliskim Wschodzie po drugiej wojnie światowej była tak skomplikowana i pełna zwrotów akcji, że niemożliwością jest oddanie jej w pełni. Nie uważamy tego zresztą za potrzebne. Tekst bardzo wiele w tej materii upraszcza, w przeciwnym bowiem razie stałby się wielotomowym thrillerem politycznym, w którym zginęłyby przygody Jana Kollera, kapitana Wieteski i pozostałych postaci. Uciekamy się do skrótów; na przykład o ogłoszeniu Deklaracji Niepodległości zadecydowano nie w przeddzień, ale dwa dni przed oficjalną ceremonią. Akcja książki jest jednak tak gęsta, że pozwoliliśmy sobie „wyciąć" jeden z tych dni, by nie osłabiać dramaturgii i nie zanudzać czytelnika.

Na najwięcej przekłamań zdecydowaliśmy się, prowadząc wątki współczesne; konstrukcja fabuły wielokrotnie rzuca ciemne światło na motywy i zachowania żołnierzy ISAF, w tym Polaków. Chcemy podkreślić, że została ona skonstruowana w oparciu o prawdziwe relacje i dokumenty, by oddać specyfikę życia żołnierzy w trakcie misji i by wydawała się wiarygodna, ale – co ważne – taka nie jest. Celowo uciekamy od opisywania prawdziwych baz Polskiego Kontyngentu Wojskowego, dowódców, polityków i sytuacji; nie chcemy, by komuś przyszła do głowy myśl, że handel opium i gra wywiadów jest opisem stanu faktycznego.

Pomysł, by John Atwood wątpił w rolę bomby atomowej w pokonaniu Japonii, zaczerpnęliśmy z książki „Five Myths About Nuclear Weapons" Warda Wilsona, cenionego angielskiego eksperta od broni nuklearnej. Fragment tego dzieła opublikowano parę lat temu na portalu Foreign Policy.

Nie sposób wymienić wszystkich źródeł i opracowań, z których korzystaliśmy. Było to szerokie spektrum, od podręczników dla oficerów USMC i międzynarodowych raportów, przez archiwa starych fotografii Kabulu czy Tel Awiwu, polskie i zagraniczne fora wojskowe, po filmy dokumentalne i stare brytyjskie kroniki filmowe. Najważniejszym jednak, jak sądzimy, był blog Marcina Ogdowskiego – autora również publikującego w WarBooku. Jeśli nasz opis warunków życia polskich żołnierzy w Afganistanie w którymkolwiek momencie zbliża się do prawdy, jest to z pewnością zasługa skrupulatności, z jaką autor oddał realia panujące w Polskim Kontyngencie Wojskowym w Afganistanie.

Marcin Ciszewski

Tadeusz Michrowski

Spis treści

KARTA TYTUŁOWA
KARTA REDAKCYJNA
DEDYKACJA
*
PROLOG
I - AFGAN
II - WALKA
III - OPIUM
IV - GRA SAFEZA
V - MDS
VI - KRÓL MOHAMMAD ZAHER SZAH
VII - ZIEMIA OBIECANA
VIII - TAM, GDZIE KWITNĄ MIGDAŁOWCE
EPILOG
POSŁOWIE